

PETLE PAMIĘCI



 GENIUS
CREATIONS

MARCIN KOWALCZYK

SPIS TREŚCI

1

SESJA PIERWSZA

2

SESJA DRUGA

3

SESJA TRZECIA

4

SESJA CZWARTA

5

SESJA PIĄTA

6

SESJA SZÓSTA

7

SESJA SIÓDMA

8

SESJA ÓSMA

9

SESJA DZIEWIĄTA

10

SESJA DZIESIĄTA

11

SESJA JEDENASTA

12

SESJA DWUNASTA

13

SESJA TRZYNASTA

14

DZIEŃ ZERO

Strona redakcyjna

1

Poczekalnia jest kanciasta i oszklona. Przypomina terrarium. Vermil Olson czuje, że pocałował się z ręką. Wciska ją między nogi. Naprzeciwko siedzi jowialny grubasek i uśmiecha się przyjaźnie. Najwyraźniej świetnie zna to miejsce.

– Niech się pan nie denerwuje. To nie boli – zagaja.

– Aha.

– Za pierwszym razem też się bałem. Teraz nawet to lubię. A pierwsza lektura?! – Cmoknął, imitując zachwyty. – I niech pan nie wierzy tumanom z „Nowych Książek” czy „Literatury na Świecie”. W tym, co robimy, nie ma niczego złego. Wciąż jesteśmy artystami.

Vermil milczy. W poufałym tonie mężczyzny jest coś niestosownego. Gra na najczulszych strunach.

– No bo skąd są te fabuły, no skąd? Z nas! Z nas! Wyrwane z mózgu jak jaja z moszny! Każdy rodzaj tworzenia jest intymnie bolesny – kończy sentencjonalnie grubasek.

Policzki nadymają mu się jak u żaby. Chce jeszcze coś dodać, ale brakuje mu słów. Zapada chwila ciszy. Słychać miarowy oddech pasywnego biurowca.

– Pan już coś wydał – odzywa się Vermil.

– No jasne! – odpowiada tamten z emfazą.

Olson kamienieje. Może to sławny pisarz, którego powinien znać? Grubasek tymczasem wyjmuje logoszyt. Po ekranie przesuwa się karuzela kolorowych okładek.

– Cykl?

– O tak, i to nie były jakieś. Siedem tomów o wikingach.

– Sprzedają się? – Vermil patrzy krytycznie na hiperrealistyczne grafiki. Nagle zaczyna czuć niewytłumaczalną przewagę nad rozmówcą.

– Wie pan, jak jest z dobrą literaturą. Cały czas walczę, ale już mnie dostrzegli. Miałem parę spotkań autorskich.

– Siedem tomów budzi szacunek. Jeden chyba nawet czytałem. Ten z wężem morskim.

– Naprawdę? – zapala się autor, a Vermil ma wrażenie, że całkowicie panuje nad rozmową. Strach i zdenerwowanie mijają, zostaje tylko litość dla pociesznego grafomana.

– Ma pan talent do scen batalistycznych. Prawie czuje się krew – rzuca. Tamten jest bliski rozrzewnienia.

– Proszę mnie wpuścić. Wrzucę panu na węzeł całą sagę. Oczywiście gratis! Podlajkuje mnie pan tylko tu i ówdzie...

– Nie mam węzła przy sobie – kłamie Olson. – Tu będzie dość sprzętu.

– Rozumiem. – Autor nie kryje zawodu.

– Tak sobie myślę – ciągnie Vermil – że to był jednak zły pomysł.

Wstaje i sięga po kurtkę wiszącą na pająkowatym wieszaku.

– Ale dlaczego? Przecież kariera! – mityguje grubasek.

– Spróbuję inaczej.

W tym momencie w drzwiach pojawia się pielęgniarka. Jej sterylna uroda pasuje do bieli fartucha. Patrzy na mężczyznę, potem na trzymany przez grubaskę logoszyt.

– Pan Vermil Olson, zapraszam.

– Ja właśnie...

Ale ona już się odwraca, oczekując najwyraźniej, że wywołany podąży za nią świetlistym korytarzem. Vermil chce powiedzieć, że się rozmyślił, jednak wciąż patrzy w jej rozkołysane biodra. Wstaje. Idąc w stronę rozsuwanych drzwi, słyszy jeszcze pozdrowienia grubaski. Nie odwraca się.

Gabinet przypomina pomieszczenie w przychodni szpitalnej. Stoją tu: łóżko, parawan, coś na kształt lekarskiego biurka i wygodny, profilowany fotel. Jednak jest też istotna różnica. Ze ściany po lewej stronie wystaje korpus HOMERA. Zupełnie jak na folderach reklamowych Twórczości. Za biurkiem siedzi przystojny czterdziestolatek. Jego spojrzenie mówi, że został przekreślony o jakieś dwadzieścia lat. Gestem prosi Vermila, by usiadł na fotelu. Pielęgniarka pomaga mu ułożyć głowę.

– Panie Olson, jestem doktor Zarayev, będą miał przyjemność pana wprowadzić. To moja asystentka, pani Klara. – Zarayev z wyraźną przyjemnością patrzy na kobietę. Z pewnością ze sobą sypiają.

Ta zachowuje pełną profesjonalizmu obojętność. Doktor znów spogląda na Vermila.

– Proszę się nie denerwować.

Olson kiwa głową. Całą jego uwagę zaprzęta HOMER. Zarayev tymczasem z namysłem gładzi stalowoszarą powierzchnię maszyny.

– Pan jest autorem. HOMER to tylko kartka i długopis. Im prędzej pan to zrozumie, tym większą satysfakcję będzie pan czerpał z pisania.

– Wiem, po prostu nigdy nie widziałem zlepiacza narracyjnego na żywo.

– Mam nadzieję, że po tej sesji przekona się pan do regularnych spotkań.

– Zobaczymy. – Olson jest pełen rezerwy.

– Oczywiście. – Uśmiecha się Zarayev i dodaje: – Podpisał pan wszystkie dokumenty, ale może jest coś, co mógłbym wyjaśnić, doprecyzować?

– Czy to wciąż jest sztuka? – Vermil patrzy gdzieś w bok. Czuje się jak dupek, który przez całą noc powstrzymywał się przed pytaniem: „było ci dobrze, kochanie?”, by w końcu i tak je zadać.

Zarayev udaje, że się zastanawia.

– Odpowiem tak – zaczyna. – Co definiuje sztukę? Sposób jej powstawania? Zważywszy na różnorodność technik ekspresji twórczej, chyba nie. Więc może świadomość? W takim razie musielibyśmy skreślić wszystkie dzieła powstałe pod wpływem środków psychoaktywnych, w twórczym transie. Zresztą, czym innym jest świadomość jako taka, a czym innym świadomość artystyczna. Gdyby dzieło było tworem w stu procentach racjonalnym, najlepszym pisarzem stałby się ten, kto posługuje się językiem w sposób najbardziej sprawny. Absurd, prawda?

– Może...

– Moim zdaniem najważniejsza jest intencja. A pan przecież chce tworzyć.

– Tak!

– Ja wiem. – Zarayev układa dłonie w ekspercki trójkąt. – Pan ma poczucie, że używając HOMERA, nie będzie prawdziwym artystą.

– Coś w tym rodzaju.

– A czy próbował pan pisać?

– Tak – odpowiada z ociąganiem Vermil. – Wielokrotnie.

Przez chwilę szuka odpowiednich słów. Przeżuwa wspomnienia twórczych upokorzeń.

– Mam to w głowie, gdzieś na krawędzi świadomości, ale słowa... w słowach ginie wszystko, co fascynowało mnie w pomysle. Pisałbym, ale przeszkadza mi język. Czuję fabuły, ale nie umiem ich opowiadać.

– Właśnie dla takich ludzi powstały zlepiające narracyjne. Jeśli w czyjejś głowie niczego nie ma, HOMER mu nie pomoże. A tak w ogóle, co pan pisze?

– Fantasy.

– „Nic darowane, wszystko pożyczone” – recytuje Zarayev. – Przynajmniej niektórzy tak twierdzą.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Jeży się Vermil.

– Proszę się nie denerwować, nie chcę pana obrazić. Myślę raczej o pozytywnych aspektach skostnienia konwencji. Łatwiej tu o prawdziwą rewolucję, rozbicie skorupy, trzeba tylko znaleźć sposób. Mam nadzieję, że stanie się to właśnie dzisiaj! – Mruga porozumiewawczo, a widząc brak reakcji interlokutora, ciągnie: – Przed fantastyką jest przyszłość. Realisci, naturalisci, psychologisci – zapala się nagle, zamykając rękę Vermila w poufałym uścisku – nie potrafią już niczego wniesić, niczego zrobić. Nie rozumieją, że rzeczywistości nie da się przygwoździć, zamknąć na wieki w składniowym akwariu. Po prostu nie nadążają.

– Co z awangardą? – wtrąca Vermil.

– Wypaliła się, owładnięta manią niszczenia. Tylko że nie ma już czego niszczyć. Podłączałem wielu takich. Nawet HOMER nie może niczego sklecić z tego bełkotu. Szanuję fantastów. Nie nadymają się, nie udają powagi, nie boją się śmieszności.

– Dobrze, jestem gotowy – mówi Olson.

Ma dość tych pseudokrytycznych wynurzeń. Palce Zarayeva tańczą po holopanelu.

– Zaczynamy – uśmiecha się. – Klaro, mogłabyś skrócić filtr spójności na „cztery”? Pan mi wygląda na wyjątkowo świadomego. Pozwólmy mu puścić wodze fantazji.

Vermil jest tak podniecony, że ledwie zauważa zastrzyk, który robi mu Klara.

– Nanoboty ruszyły – instruuje Zarayev. – Ale proszę się nie martwić. Jutro, po porannym sikaniu, już ich w panu nie będzie.

SESJA PIERWSZA

Komuś jeszcze marzy się kalectwo?

- Jak tu wszedłeś?! – Szpakowaty arystokrata nie krył zniecierpliwienia.
- Pierścień książęcego śledczego to najlepszy klucz do wszystkich drzwi, panie de Stern – odparł intruz.
- Słyszałem o tobie. Mervil, tak? Nazywają cię „pijawką”.
- Możliwe, ale wolę porównania do psowatych, jeśli pan hrabia pozwoli. Hart, ogar czy coś w tym rodzaju.

Jakby na przekór hardym słowom gościa, zniecierpliwienie Wilfreda de Sterna zdawało się powoli mijać. Wstał z kunsztownie rzeźbionego fotela, odłożył książkę i jał przechadzać się po robiącej imponujące wrażenie bibliotece. Jego wypiełgnowana dłoń raz po raz gładziła krótką brodę. Kiedy znów otworzył usta, sprawiał wrażenie kogoś, kto replikuje w uczonej dyspucie:

- Będziesz za to wisiał, wiesz o tym, Mervilu?
- Jeszcze nikt nie ośmielił się grozić mi w ten sposób, panie.

Arystokrata uśmiechnął się z przekąsem.

– Jestem potomkiem jednego z najstarszych rodów w tym księstwie, więcej, w tym kraju, a ty wtargnąłeś do mojego domu przemocą i zachowujesz się w sposób wysoce niestosowny. Wielu nazwałoby cię samobójcą.

– Wybacz, panie, nie jestem zbyt biegły w zasadach etykiety. Ustępuję twej wiedzy i doświadczeniu. Może zechciałbyś mi łaskawie pokazać, jak powinienem się zachowywać, by nie urazić twojej dumy?

De Stern nie był wytrawnym dyplomatą i tym razem skrzywił się gniewnie. Mervil jednak nie pozwolił hrabiemu wybuchnąć, wyciągnął pergamin i zaczął urzędowym tonem:

– Wilfredzie Konradzie de Stern, jesteś aresztowany za zlecenie zabójstwa Tiliana Muniusa, siostrzeńca miłościwie nam panującego księcia

Avidiona.

Arystokrata ruszył w stronę śledczego, jakby chciał mu wyrwać pismo, lecz w tym momencie do biblioteki wpadli zbrojni, prowadzeni przez mocno zbudowanego, na oko dwudziestokilkuletniego mężczyznę. Na wszystkich napierśnikach lśniła oskarżycielsko biała róża rodu Avidionów. Mervil dał znak i żołnierze otoczyli hrabiego, odcinając mu dostęp do okna. Kilku z nich odwróciło się, bacząc na tyły. De Stern patrzył nienawistnie na nowo przybyłych. W dali, za ich plecami, widział osiłków ze swojej gwardii domowej. Żaden nie dobywał broni. Czekali. On również czekał, zbierał się w sobie. W końcu usiadł w fotelu i przez kilka sekund kartkował książkę, którą wcześniej odłożył. Nagle odgarnął włosy opadające na czoło i zaczął:

– Słyszałem, że jesteś dobry, że nigdy się nie mylisz. I ucieszyłem się, kiedy zacząłeś badać ten straszliwy wypadek. Tym razem jednak nos cię zwiódł. Dwa lata śledztwa, a ty przychodzisz do mnie? Bez motywu, bez dowodów? Będziesz wisiał, Mervilu. I ty również! – Wyciągnął upierścienioną dłoń w stronę młodego mężczyzny, który przyprowadził wojsko.

Ten skrzywił się i chciał coś odpowiedzieć, ale śledczy powstrzymał go:

– Nie teraz, Ginko.

Młodzieniec zmilczał, a Mervil ponownie zwrócił się do gospodarza:

– Nie doceniasz mnie, panie, jeśli myślisz, że niepotrzebnie niepokoję cię po nocy.

Hrabia ujął kielich, stojący na małym stoliku. Śledczy odczekał, aż skończy pić.

– Zacznijmy od motywu – powiedział. – Otóż był najprostszy z możliwych: zemsta za urażoną miłość własną i splamiony honor „potomka jednego z najstarszych rodów w tym księstwie, więcej, w tym kraju”. I te właśnie dobra, panie, zostały poważnie narażone na szwank przez działanie Tiliansa Muniusa i, pośrednio, twej szanownej małżonki. Wszak wiadomo, że połowica pana hrabiego jest osobą niezwykle hojną: dzieli się swymi wdziękami z tyloma mężczyznami, z iloma zdoła.

– Dość! – De Stern uderzył pięścią w oparcie fotela.

– Przysięgam, że ja z nią nie spałem! – dodał natychmiast śledczy.

Twarz hrabiego skamieniała. Mervil kontynuował:

– Jesteś, panie, tolerancyjnym mężem. Problem pojawił się jednak wtedy, gdy między jej nogi zawitał Tilian Munius i wszedł znacznie głębiej, niż pozwalałaby na to anatomia. Pani hrabina zakochała się bez pamięci, o czym świadczą długie listy, wysyłane do kochanka. Pan hrabia zna zapewne ich treść. Oczywiście to wszystko nie wystarczyłoby jako motyw zabójstwa. Zdrady, miłostki, uwiedzenia są dziś powszechne. Niestety Tilian, chędożąc panią hrabinę, poczuł nad tobą przewagę, co zwykł ostentacyjnie manifestować w towarzystwie. Cóż, nieszczęściem Tiliana Muniusa było to, że jego roztropność nie dorównywała rozmiarom przyrodzenia (co ponoć jest regułą). Kiedyś, zapytany na forum przez dworskiego błazna, kim chciałby być, jeśli nie byłby mężczyzną, odparł: „hrabią de Sternem”. Wiem, dowcip stary, ale sala pokładała się ze śmiechu.

Nie było cię przy tym, panie, ale z pewnością wiedziałeś o wszystkim. By więc oddalić od siebie podejrzenia, poczekałeś, aż romans się wypali, dałeś sobie jeszcze pół roku i kiedy wszyscy plotkowali już o czymś innym, zemściłeś się.

– Bzdura! – przerwał de Stern – Przecież Tilian spadł z konia, a ja byłem wtedy zupełnie gdzie indziej! Wszyscy o tym wiedzą! Skończ z tymi bredniami, z tą bluźnierczą retoryką. Powtarzam: nie było mnie wtedy w Nerolfie, na co mam świadków!

– Racz zauważyć, panie – przerwał śledczy – że to, gdzie byłeś, nie ma znaczenia. Jesteś przecież oskarżony o zlecenie zabójstwa. Zatem, kontynuując, Tilian uwielbiał wieczorne przejażdżki. Na jednej z nich, w lesie, jak powiedziałaś, nieszczęśliwie spadł z konia, złamał nogę i został rozszarpany przez wilki. Co ciekawe, wybrał drogę, którą nigdy nie jeździł. Dziwnym trafem postanowił o zmierzchu przedzierać się przez południowe chaszczce pełne drapieżników, uzbrojony jedynie w lekki miecz.

– Może ufał, że odpędzi bestie swoim wielkim kutasem. Czego to wszystko dowodzi, pijawko? – rzucił hrabia i znów sięgnął po kielich. Kiedy zorientował się, że jest pusty, drżącą ręką odstawił go na stolik.

– Były jeszcze inne intrygujące drobiazgi, których odkrycie zawdzięczamy obecnemu tu, a biegłemu w medycynie, Ginkorowi. Otóż

zauważył on, że pośród wielu ran szarpanych na ciele ofiary znajdowało się również zagadkowe poparzenie. Musisz bowiem wiedzieć, panie, że Tilian nie umarł z powodu ran zadanych przez wilki, lecz na skutek wprowadzenia do odbytu cienkiego, rozżarzonego prętu. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w środku lasu coś takiego samo wbije się komuś w tyłek?

Mervil zamilkł, jakby oczekiwał, że hrabia odpowie na pytanie. De Stern milczał.

– No i jeszcze sprawa zwierząt. Otóż dokładny pomiar ran pokazał, że Tiliana wcale nie rozszarpały wilki, ale nieco mniejsze, aczkolwiek bardzo agresywne psy. Sądząc po zmiądzonych kościach, była to rasa vira. Raczysz zgadnąć, panie, ile jest hodowli takich psów na terenie naszego księstwa?

– Nie mam pojęcia – wykrztusił de Stern. Jego palce nerwowo tańczyły na rzeźbieniach podłokietników.

– Tylko dwie! – wykrzyknął efektownie Mervil. – Tylko dwie! I tak po nitce dotarliśmy do kłębka. Mamy już zabójców, którym ty, panie, zapłaciłeś. Wszyscy się przyznali i czekają na łaskę stryczka. Niedługo egzekucja, której będziesz, hrabio, ozdobą. Chociaż, prawdę mówiąc, z niektórych winowajców niewiele już zostało do powieszenia.

– To ty będziesz wisiał! – krzyknął hrabia, ale już bez przekonania. – Łatwo złapać kilku rzezimieszków, skatować ich i zmusić, by wskazali niewygodną dla księcia osobę – ciągnął drżącym z emocji głosem.

– Masz rację, panie. Proszę o wybaczenie, zapomniałem bowiem wspomnieć, co tak naprawdę zasugerowało nam, że ty jesteś sprawcą. Ze smutkiem stwierdzam, że byłeś bardzo nieostrożny, każąc sobie przynieść dowód popełnionej zbrodni – medalion rodu Avidionów, który Tilian nosił zawsze na szyi. Oczywiście, najpierw myślałem, że przepadł gdzieś w leśnej szamotaninie. Dziwnym trafem odnalazł się jednak w Nerolfie.

Oczy hrabiego zwężyły się. Był jak wąż, który za chwilę ma ukąsić.

– Przez te dwa lata musiałeś, panie, nieraz oglądać ów medalion, bo zwrócił uwagę jednego z twoich sług, który wykradł go i sprzedał złotnikowi. I tak krąg się zamyka.

Wilfred Konrad de Stern ukrył twarz w dłoniach, po czym zaczął pocierać kciukami skronie. Wyglądał na bardzo skupionego. Można go było

wziąć za aktora, który szykuje się do finałowego monologu przed rozemocjonowaną publicznością. Zbyt kowna szata, szeleszcząca przy każdym ruchu, tylko przydawała jego ruchom dramatyzmu.

– Zaraz zrobi fikołka, puści dym uszami i zniknie – zaśmiał się Ginkor.

– No, kapitanie!

Nim zbrojni zdążyli podejść, w dłoni hrabiego pojawił się nóż, błyskawicznie wyjęty z rękawa. De Stern skierował ostrze ku własnemu gardłu. Już, już miał przeciąć tętnicę, co uchroniłoby go przed publiczną hańbą, gdy zza pleców śledczego wystrzeliło coś ciemnego i jak z mora przywarło do mężczyzny. Po sekundzie na ziemi trwała już kotłowanina, a wielki orzeł unieruchamiał pazurami rękę niedosłego samobójcy, wbijając w nią haczykowaty dziób.

– Dość! – krzyknął Mervil, gdy nóż zadźwięczał na marmurowej posadzce. – Podnieście go i opatrzcie.

Żołnierze natychmiast wykonali polecenie. Ptak, który nie był już tylko ledwie uchwytną dla oka strzałą, lecz materialnym kształtem, podfrunął miękko do śledczego i usiadł mu na przedramieniu. Zastygł w tej pozycji, tracąc zainteresowanie światem. Mervil położył dłoń na łbie ptaka, zadowolony, że jego towarzysz jak zwykle błyskawicznie zareagował na widok dobywanego ostrza.

– Zabierzcie go do aresztu i dajcie najlepszą celę – rzucił w stronę mężczyzn zajmujących się de Sternem. – Pilnujcie też, żeby się nie powiesił i żeby ktoś go nie wychędożył. Pachnie jak dziwka z burdelu mamy Letycji. Ja idę do księcia zameldować, co się tutaj stało.

Gestem przywołał Ginkora.

– Jutro obiad w Złotej Patelni. Bądź koło południa.

Młody mężczyzna skinął głową. Pożegnali się. Śledczy jeszcze przez kilka chwil rozglądał się po bibliotece, po czym wyszedł na świeże powietrze. Orzeł miękko oderwał się od jego przedramienia.

– Szukajcie sobie nowego zajęcia! – krzyknął Mervil do zgromadzonych w ogrodzie ludzi de Sterna, a widząc poruszenie, jakie wywołały jego słowa dodał: – Ale najpierw odwiedźcie spiżarnię swego pana. Nie będzie jej już potrzebował. Słyszałem, że ma niezłą kolekcję win.

Ludzie rozbiegli się po ogrodzie. Aquil zataczał nad ich głowami szerokie koła.

O tej porze miasto było już wyludnione, chociaż latarnie świeciły jasno. Kroki Mervila dudniły na brukowanym, białym chodniku. Minął bogate, inkrustowane zielenią pałace arystokratów, a potem utonął w cieniu murów kopulastej katedry Terilusa Tronującego. Od czasu do czasu nocny patrol obrzucał go służbowym spojrzeniem, salutując na widok książęcego pierścienia.

W największym pałacu Nerolfu już czekano. Jak na ironię książę również przyjął go w bibliotece. Śledczy przyklęknął zgodnie ze zwyczajem.

– Daruj sobie wygiątwę. Co masz mi do powiedzenia?

Bellus wstał.

– Śledztwo w sprawie śmierci twego siostrzeńca, mości książę, właśnie się zakończyło, a ostatni winny, hrabia de Stern, został dziś zatrzymany.

– Ostatni winny. Zatrzymany. – Książę zamyślił się. – Miałem nadzieję, Mervilu, że będziesz mądrzejszy.

– Nie rozumiem, panie.

– Ależ rozumiesz doskonale. Mój ojciec cię szanował i ja cię szanuję. On jednak tolerował twoje kaprysy, które czasem mijały się z interesem Avidionów. Mnie przychodzi to coraz trudniej.

Książę podszedł bliżej i objął Mervila ramieniem. Byli równi wzrostem, lecz obszerna szata niemal podwajała Avidiona. Wydawało się, że książę zmiażdży Mervila w uścisku. On jednak tylko pchnął go nieco do przodu.

– Przejdźmy się kawałek, do mojego muzeum, bym mógł powiedzieć to, czego na pewno domyślasz się sam.

– Służę ci, mości książę – odpowiedział śledczy.

– Otóż, Mervilu, jestem ci wdzięczny za wyjaśnienie śmierci Tiliana, jednak aresztowanie hrabiego to już zupełnie inna sprawa. Wolałbym, by do niego w ogóle nie doszło, bo teraz muszę zorganizować proces. Trzeba będzie upokorzyć de Sterna przy ludziach. Ulica wyda na niego wyrok. Zrobi się niespokojnie. A to nie jest w tej chwili Nerolfowi potrzebne. Lepiej by się stało, gdyby sprawa de Sterna rozwiązała się dziś wieczorem,

na oczach świadków, co byłoby dostatecznym przyznaniem się do winy. Spisałbyś tylko protokół i po sprawie.

– Zawiodłem cię, panie. Żałuję. – Śledczy skłonił się lekko.

– Gówno prawda, Mervilu! – Avidion porzucił nagle pojednawczy ton i nie krył dłużej zdenerwowania. – Znałeś moje zdanie, a i tak aresztowałeś hrabiego zamiast pozwolić mu na samobójstwo! Bo ty, Mervilu, wierzysz w prawo, publiczny proces i tego typu theatrum dla mas, a na taki luksus mogą sobie pozwolić tylko ci, którzy nie wiedzą, czym jest polityka!

– Wierzę w sprawiedliwość, panie, w nic innego. – Oczy Mervila wydawały się pozbawione wyrazu. – Nie faworyzuję publicznych procesów w jakiś szczególny sposób.

Księżę chciał powiedzieć coś jeszcze, ale widząc zaciętą twarz śledczego, zrezygnował. Odwrócił głowę i począł wpatrywać się w obrazy wiszące na ścianach długiej sali. Na jej środku znajdowało się też kilkanaście posągów naturalnej wielkości. Po dłuższej chwili Avidion podszedł do jednego z nich.

– Popatrz. Co sądzisz o tej rzeźbie? – zwrócił się do Bellusa, pieścotliwie dotykając marmuru. – To młody artysta, Buo Tinarro, moim zdaniem wielki talent. W swoich pracach wykorzystuje motywy nawiązujące do dawno przebrzmiałych kultur i mitów. Tu na przykład mamy bardzo znane niegdyś przedstawienie matki trzymającej na kolanach umierającego syna.

Obaj przez chwilę wpatrywali się w dzieło, które zdawało się tak perfekcyjne, jakby prawdziwi ludzie w zwiewnych szatach na chwilę zastygli w marmurowym bezruchu.

– Ciekawe – zaczął Mervil. – Ta kobieta, która ma być matką, wygląda na młodszą od syna.

– Zauważyłeś. No właśnie, podąż za wizją artysty. Zwróć uwagę na granicę między tym, co realne, a tym, co fantastyczne. Cóż bowiem Tinarro chciał powiedzieć o matce, odmładzając ją w ten sposób?

– Nie wiem, panie. Wolę odczuwać sztukę, niż nad nią rozmyślać.

– Stwierdzenie niegodne byłego naukowca. Co cię zatem interesuje? – spytał Avidion.

– Prawda.

– A cóż to jest prawda?

– Kiedy byłem wykładowcą w Akademii, uczyłem, że zgodnie z poglądem Telestorysa prawdziwy sąd to taki, któremu odpowiada określony stan rzeczywistości.

– Piękna definicja, ale polityka nie może pozwolić sobie na luksus jej używania. Bo stan rzeczywistości jest subiektywny, nie istnieje w jednym uchwytym wymiarze. Dla mnie na przykład rzeczywistość to dobro Nerolfu. A nie sądzę, by aresztowanie de Sterna przysłużyło się naszej ojczyźnie. Będę miał kolejną trudną przeprawę z Radą, która zawsze narzeka, że jej prawa są gwałcone. Ty natomiast działasz zgodnie z abstrakcyjną idą sprawiedliwości. Każdy z nas ma swoją prawdę, a ja wymagam, byś zrozumiał moją, w przeciwnym razie nasze drogi się rozejdą.

Mervil już otwierał usta, by odpowiedzieć.

– Milcz, oszczędzę ci możliwości rozgniewania mnie jeszcze bardziej. Żegnam i pamiętaj, że definicja prawdy Telestorysa nie jest jedyną. Znasz z pewnością pracę Vellimachia, który pisał, że w zależności od potrzeb księstwa trzeba być lwem lub lisem.

– Znam, panie, ale jest to dzieło dla władców, nie dla śledczych. Ja wolę pewną starą rozprawę, w której napisano: „każdemu według zasług”.

– Filozof – prychnął Avidion jakby do siebie. – Mam jednak nadzieję – zmienił temat – że wpadkę z de Sternem zrekompensujesz miastu szybkim ujęciem mordercy naszych kobiet. Hrabia Uvili pytał mnie dziś o postępy w śledztwie, a wiesz, że prócz wina i dziwek nic go nie interesuje. Przekonywał mnie, że sprawcą jest wampir. Pewnie usłyszał to od swojej kucharki, którą chędoży. A jakie jest twoje zdanie?

– Nie mam zdania. Pracuję nad tym, panie. Nawet teraz, podczas tej rozmowy.

Avidion patrzył przez chwilę w jego ciemne oczy, by w końcu poprawić na ramionach podbity futrem płaszcz i zniknąć za ogromnymi drzwiami. Bellus nie ruszał się z miejsca. Sycił wzrok cudowną rzeźbą Buo Tinarro. Młodziutka i piękna matka trzymająca ciało dorosłego syna wyglądała, jakby nie tylko chciała umrzeć razem z nim, lecz całkowicie zjednoczyć się

w cierpieniu. Genialny artysta przekuł jej spokojną mękę w estetyczną doskonałość. Śledczy był poruszony. Dobrze rozumiał tę matkę.

Mimo cierpkich słów Avidiona w domu Mervila czekał książęcy sługa z okazałym trzosem. Śledczy dał mu jedną z monet, po czym zaryglował drzwi i w ubraniu rzucił się na łóżko. Przespał całą noc bez snów. Wstał dość późno i leniwie przygotowywał się na spotkanie z Ginkorem. Mimo że mieszkał w dużym domu, nie miał służby. Oczywiście jeśli nie liczyć starej kobiety, która prała i sprzątała. Przemykała jednak po domu niczym duch. Czasem gospodarz nie widział jej tygodniami, co zresztą bardzo mu odpowiadało. Zwłaszcza gdy w dłużące się noce i dni odwiedzały go kobiety.

Zapinał właśnie ostatnie sprzączki wyjściowego kaftana, gdy usłyszał ciche pukanie w jedno z parterowych okien. Podniósł głowę, nasłuchując czujnie.

Trzy stuknięcia. Przerwa. Dwa stuknięcia, przerwa.

Aquil wleciał przez otwarte okno i wzbil się pod sklepienie. Nie wyglądał na zaniepokojonego. Bellus nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, łowiąc schematyczny stuk. Zszedł na dół i uchylił piwniczny lufcik. W chaszczach gęstego, niepielonego od dawna ogrodu krył się drobny człowieczek w kapturze. Śledczy nie musiał widzieć twarzy przybysza, znał go od lat. Pino był kieszonkowcem, którego łatwo można było pomylić ze zbłąkanym szopem. Mervil przymykał oko na jego kradzieże. Ściganie go zostawiał miejskim strażnikom. Książęcego śledczego interesowały wyłącznie zabójstwa.

- Panie, tej nocy znowu widziano wampira – zaczął złodziejasek.
- Gdzie?
- W dzielnicy garncarzy.
- To już drugi raz.
- Tak, panie, tam jest dość ciemno, wąskie, długie uliczki. Dobre miejsce do polowania – szeptał przejęty Pino.
- Ale nie ma ofiar? – Mervil zawahał się.

– Nie, panie.

– Czy strażę o tym wiedzą?

– Panie, ludzie się boją. Mówią, że jak wampir się dowie, kto doniósł, to... – Pino przejechał dłonią po gardle.

– A ty się nie boisz?

– E tam, lichwiarz Sitkun to jest dopiero wampir. Zresztą czy ja wyglądam jak młoda dziewczyna? We mnie więcej gorzałki niż krwi.

Mervil rzucił Pinowi monetę i bez słowa zamknął okno. Słońce prześwietlało piwniczny kurz strunami promieni. Bellus poczuł wzbierającą nienawiść: oczekiwany i dobrze znany stan, sprawiający, że odnajdywał w życiu sens. Pino dał mu nowy punkt zaczepienia. Od dwóch miesięcy bowiem w różnych dzielnicach miasta znajdowano młode kobiety, które miały na szyi wyraźny ślad zębów, a ich ciała częściowo pozbawione były krwi. Ginkor zbadał ugryzienia. Nie pasowały do żadnego ze znanych zwierząt. Nie pomagały wzmożone patrole straży. Plotki mieszały się z faktami, a sprawca pozostawał nieuchwytny. Miasto bało się coraz bardziej.

Mervil wyszedł z domu i skierował się ku bogatej dzielnicy handlowej, gdzie mieścił się zajazd Pod Żółtą Patelnią. Ziemisty płaszcz, okrywający jego szczupłą sylwetkę, krótko obcięte włosy i dwudniowy zarost sprawiały, że nie wyróżniał się z barwnego tłumu. W pulsującym życiu mieście, gdzie roiło się od cudzoziemców, obdarzano go najwyżej przelotnym spojrzeniem. Zbliżając się do rynku, śledczy już z daleka dostrzegł niezwykle jak na tę porę zgromadzenie. Po chwili dobiegł go głos, który cały Nerolf, a pewnie i cała Latilia znały aż nazbyt dobrze: głos Proroka. Nie wiadomo, skąd przybył, kim był, ale regularnie od trzech miesięcy co tydzień nawiedzał miasto z tym samym przesłaniem:

– Strzeżcie się, grzesznicy, prostujcie swoje ścieżki, bo Żniwiarze są już wśród was! Nie widzicie ich, nie słyszycie, dlatego przywiodą was do zguby. Czyńcie pokutę, mówię! Brat niech przebaczy bratu, mąż żonie. Posypcie głowy popiołem, bo Żniwiarze przybyli i nie ma dla świata ratunku.

Prorok miał w sobie jakąś tajemniczą siłę. Sprawiał wrażenie, jakby mówił całym ciałem. Sylwetka skryta w postrzępionej szacie zdawała się falować. Jego krzyk porywał, jak tragedia w teatrze. W słowach

wybrzmiewały cierpienie, rozpacz, klęska: wszystko, co raz w tygodniu mogło podniecić ludzi zadowolonych z życia. Targana wiatrem siwa broda dodawała jego występom polotu i dramaturgicznej głębi. Mervilowi wszakże wydawał się przesadzony, a jego autentyczność udawana. Straże traktowały go na razie jak ulicznego komedianta. Dopóki nie podburzał Nerolfczyków, mógł krzyczeć swoje.

Bellus skrzywił się, słysząc słowa o Żniwiarzach. Lubił teatr, lecz drażniła go taka wiecowa tandeta. Przyspieszył kroku:

– ...i pochłonie was, grzeszników, wieczny ogień piekielny, od którego nie ma odpoczynku. Dowiedcie się prawdy o sobie, bo ta prawda tkwi w Żniwiarzach, a oni są już pośród was. Widzieliście ich rano, zobaczycie ich wieczorem, zaśniecie w ohydzie własnych występów. Dlatego powiadam wam, proście o miłosierdzie, a będzie wam dane!

Prorok zakaszał, zadławiony własnym krzykiem, a tłum zaczął powoli rzednąć. Ludzie przeżyli darmowe katharsis i wracali do pracy. Niektórzy uśmiechali się, kręcąc głowami i pogryzając cukrowane owoce.

Pokaźna grupa słuchających wciąż stała przy wozie, z którego przemawiał starzec, i chyba wdała się z nim w rozmowę. Jak na ironię po ich lewej stronie wznosiła się dumnie figura Ozidona – boga dobrej zabawy, który cieszył się w Nerolfie największą popularnością. Na myśl o Ozidonie Mervil poczuł, jak bardzo jest głodny. Nauki boga mówiły jasno, że szczęście to przede wszystkim wyborne jedzenie i suty napitek. Śledczy w jednej chwili zapomniał o Proroku.

Wkrótce siedział już przy szerokim stole i zastanawiał się, na które z dań ma największą ochotę. W końcu postanowił, że zamówi tylko wino i lekką zupę, a z dalszymi decyzjami wstrzyma się do przybycia Ginkora. Zawsze prowadził surowy tryb życia, a rozkosze podniebienia nie należały do jego namiętności. Ginkor zwykł żartować, że były dni, kiedy Mervil nie poznałby, że zamiast sztuki mięsa podano mu podpieczone końskie siodło. Teraz zdążył wypić prawie pół butelki, kiedy w końcu do zajazdu wkroczył młodszy mężczyzna. Jego twarz promieniała. Dosiadł się i od razu chwycił flaszkę. Grdyka skakała mu to w górę, to w dół. Mervil, nie kryjąc znudzenia, błędził oczami po ścianach zajazdu pełnego wspaniałych

myśliwskich trofeów. Tymczasem Ginkor, ugasiwszy pragnienie, otarł usta wierzchem dłoni i beknął wesoło.

– Zanim usiadłeś do wina, mogłeś napić się deszczówki z beczki przed wejściem. Jest tańsza i lepiej gasi pragnienie – zaczął śledczy.

– Gadanie! Słuchaj, Navida zaprosił mnie dziś do swojej pracowni. Spędziłem tam cały ranek!

Nazwisko artysty i wynalazcy Lorenzo Navidy wypowiedziano w Nerolfie z mieszaniną podziwu i rezerwy. Krążyły plotki, że buduje maszyny latające, a jego rzeźby mają w środku mechanizmy i zachowują się jak ludzie.

– Mervilu! – kontynuował Ginkor. – Jakież rzeczy mi pokazał! Nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile ten człowiek wie na przykład o świetle. Jego głowa jest więcej warta niż cała Akademia.

Bellus uśmiechnął się. Dwadzieścia lat temu też był pełen takiego zapału.

– Wyobraź sobie, że zaproponował mi badanie ludzkiego oka. – Ginkor przezornie ściszył głos. – Nie wiem, skąd miał ich kilkanaście. Najpierw pokazał mi rysunek, a potem zasugerował, byśmy jedno pokroili. A ja mówię, że przecież się rozpadnie. Navida spojrział tylko i najzwyczajniej w świecie odparł: „dlatego najpierw je ugotujemy”.

Trudno było przerwać potok słów medyka. Mervil słuchał więc spokojnie szczegółowej relacji, spoglądając na przystojną, ruchliwą twarz mężczyzny. W takich chwilach jego myśli mimowolnie uciekały ku przeszłości, ku synowi, którego zawsze pragnął.

– ...taki system potrójnych lusterek mógłby się nam przydać... ale czy ty mnie w ogóle słuchasz? – obruszył się medyk, widząc zamyslenie na twarzy współbiednika.

– Tak, słucham cię. System lusterek.

Ginkor westchnął. Wiedział, że nie zdoła zarazić Mervila swoim entuzjazmem.

– Dobra, już skończyłem – powiedział, opadając na oparcie ławy, z udawanym smutkiem.

– Mów, proszę, słucham uważnie.

Ginkor opowiedział mu o więcziach, potem o łatwopalnym proszku i o martwej żabie, która rusza nogami, gdy ją dotknąć tu i ówdzie. Kiedy

skończył, osuszył drugą butelkę zamówioną w międzyczasie przez Mervila i spytał:

– Jak tam wizyta u księcia?

Śledczy nie chciał zagłębiać się w meandry humorów Avidiona, toteż położył tylko na stole połowę książęcej zapłaty.

– No, to rozumiem. – Ginkor zważył trzos w rękę. – Możemy się teraz kłócić, kto stawia.

– Niech będzie, że ja.

– Cóż, nie wypada sprzeciwiać się starszemu. A swoją drogą wczoraj u de Sterna dałeś niezły popis oratorski. Wciąż masz w sobie coś z belfra. – Medyk mrugnął porozumiewawczo.

Mervil skrzywił się:

– Nie tylko, mój drogi, nie tylko. To było klasyczne „zatrzymanie z dowiedzenia”. Mnóstwo świadków, czysta sprawa. Poza tym zjedналиśmy sobie ulicę. No i ostatnia rzecz: ludzie wysoko postawieni nie wyobrażają sobie, by dramatyczne momenty w ich życiu działały się ot tak, w sposób pospolity. Hrabia zasłużył sobie na wydłużenie momentu poznania prawdy o własnym upadku. Życie to teatr, Ginkorze, a ja miałem ochotę przez chwilę zagrać bardziej dramatycznie. Takie przetrzymanie punktu kulminacyjnego nazywamy retardacją.

– Dziękuję, doktorze Bellus – odparł Ginkor, umiejętnie naśladowując uniżony, studencki ton. – Ty mówisz, że życie to teatr, jeden kolega, że wychodek, a mój ojciec mawiał, że życie jest jak sklep.

– Dlaczego jak sklep? – zdziwił się Mervil.

– Nie wiem, bo kiedy upalony fajką staruszek zaczynał te swoje umoralniające wywody, ja dyskretnie wychodziłem. Sygnałem do tego były zawsze słowa: „posłuchaj, mój synu”, wypowiedane głębokim, nosowym tonem – tu Ginkor zatkał nos i zaczął: – „Posłuchaj, mój synu, życie jest jak sklep...”.

Medyk przerwał swój popis, bo na stole pojawił się świetnie przyprawiony gulasz z dzika. Służebna dziewczka nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem.

– Dziękujemy pięknej pani – zaczął Ginkor, ale jej już nie było.

Za to nad stołem unosił się zniewalający zapach.

– W sumie dobrze, że zatrudniają gburowate dziewczyny. Można się skupić na jedzeniu – podsumował.

– Myślę, że to przemyślana strategia – odpowiedział Mervil z pełnymi ustami.

Zabrali się za gulasz, a łby zwierząt na ścianach przyglądały się im z filozoficznym spokojem. Kiedy skończyli, Mervil postanowił podzielić się z przyjacielem ostatnimi wiadomościami.

– Wczoraj w dzielnicy garncarzy widziano wampira.

– A w dzielnicy szewców trzy smoki – odparł podochocony winem medyk.

– Bardzo śmieszne. Ginko, skup się. To nasza sprawa.

– Przepraszam.

– Zginęły już cztery kobiety, nie muszę ci chyba o tym przypominać?

Ginko spoważniał:

– Naprawdę wierzysz, że to wampir? – spytał z nutą kpiny w głosie.

Na dźwięk ostatniego słowa podróżna przy sąsiednim stole spojrzała na nich trwożnie.

– Nie wiem – ściszył głos śledczy – ale dopóki nie sprawdzimy, nie będziemy mieli pewności. Mam plan, choć nie sądzę, by ci się spodobał.

– Pewnie będę przynęta? – zasepił się medyk.

– Ja jestem za wysoki. A ty świetnie się nadasz na dziewczynę o obfitych kształtach. Zarostu też za bardzo nie masz.

– Ejże! Zapuściłbym brodę, gdybym chciał.

– Nie wątpię – odparł śledczy z przekąsem, po czym znów spoważniał.

– Nie musisz się martwić, będziemy z Aquilem śledzić każdy twój krok.

– Co do ciebie, jestem pewien, ale kto wie, co chodzi po głowie twojemu ptaszysku.

– To nie jest moje ptaszysko. Po prostu razem mieszkamy.

– Ale banał. Tylko się nie rozklejaj. Ptak to ptak: sra w locie i tyle. Jaki jest ten plan?

– Dajemy sobie czas na przygotowania do jutrzejszego wieczora. Oczywiście najpierw biblioteka i wszystko na temat wampirów. Potem

przebierzesz się za kobietę i przejdziesz nocą przez dzielnicę garncarzy. Będziemy to powtarzali, aż go przywabimy. Chyba że pokaże się gdzie indziej. Choć to mało prawdopodobne. Sądzę, że wczoraj badał teren kolejnego ataku. Aquil i ja będziemy tuż za tobą. Nie wyobrażam sobie, żeby wampir dał radę nam trzem, zwłaszcza że uzbroimy się po zęby.

– Chyba po dzioby. Oczywiście nie angażujemy straży, żeby nie przepłoszyć zabójcy?

– Oczywiście.

– Dobrze, niech ci będzie. Pożyczę jakieś ciuchy od siostry. Tylko jeśli komuś powiesz... – Ginkor pogroził palcem.

– Jeszcze jedna butelka? – przerwał Bellus.

– Jasne!

– Żartowałem. Czas do pracy.

Bellus zapłacił rachunek i skierowali swe kroki ku bibliotece Akademii Książęcej. Idąc przez gwarne ulice, wyglądali dość osobliwie. Mervil, wyższy o głowę od swego krępego towarzysza, zdawał się płynąć. Ginkor natomiast szedł, kołyszając się z boku na bok i co chwila zezował za co ładniejszymi pannami. Niemal wszystkie odplącały uśmiechem krępemu, przystojnemu medykowi. W końcu wyrósł przed nimi majestatyczny, trzechsetletni gmach Akademii. Wchodząc, ukłonili się odźwiernemu, który znał ich na tyle dobrze, by o nic nie pytać. Na dziedzińcu wyłożonym kamiennymi płytami zobaczyli kilkunastu studentów, którzy obsiedli drewniane ławy i grzali się w słońcu. Przybycie nieznanym rozbudziło ich nadzieje na kubek wina. Podeszli, hałaśliwie oferując swoje usługi medyczne bądź pisarskie. Jeden obiecywał nawet, że za szeląga powie nowo przybyłym, jak być szczęśliwym. Na pytanie Ginkora, czy sam wypróbował już swój przepis, odpowiedział dumnie, że pociąga go teoria, nie praktyka.

– Dupczy też w ten deseń – podsumował jeden z kolegów filozofa i kompania żaków wróciła na ławy ustawione wokół dziedzińca.

– Witam, doktorze Bellus. – Usłyszeli nagle za plecami.

Mervil odwrócił się i ujrzał małego człowieka dźwigającego dwa wielkie, oprawione w skórę tomy.

– Witam, doktorze Strazi. – Ukłonił się Mervil i było widać, że cieszy się z tego spotkania. – Myślałem, że jest pan na Uniwersytecie Inolbskim.

– Byłem, ale zbadałem już tamtejsze zbiory dotyczące wojen granicznych Nerolfu w XIV wieku. To bardzo ważne zagadnienie, stanowiące punkt wyjścia do analizy dzisiejszej sytuacji politycznej.

– Dawno pan wrócił, doktorze?

– Jakiś tydzień temu. A teraz porządkuję papiery. Już czas, bym zrobił sobie przerwę. Wybieram się na kubeczek wina. Może pan, doktorze, i pański młody przyjaciel dołączycie do mnie?

– Będzie to dla nas prawdziwa przyjemność – odpowiedział natychmiast Bellus, udając, że nie zauważa pytającego spojrzenia Ginkora, którego znudzona mina uszła uwagi Straziego.

– Ale mieliśmy przecież... – zaczął medyk.

– Spokojnie, trzy czwarte biblioteki Nerolfu znajduje się w głowie doktora Straziego.

– No, może dwie trzecie – mitygował staruszek, ale widać było, że komplement przypadł mu do gustu.

Kwatera nobliwego wykładowcy mieściła się w jednym z budynków położonych w pięknym ogrodzie za ogromnymi murami Akademii. Obejmowała pięć pokoi, a każdy z nich wyglądał jak pracownia, był pełen książek i map. Ginkora zdziwiło, że nigdzie nie może dostrzec łóżka.

– Gdzie on sypia? – szepnął.

– Gdzie się da – odparł również szeptem Mervil.

Mężczyźni usiedli przy mocnym drewnianym stole, a doktor Strazi nalał wina. – Wciąż mamy nadzieję, że pan do nas wróci, doktorze Bellus – powiedział, delektując się pierwszymi łykami. – Zwłaszcza że znaleziono nowe dokumenty, zmieniające nieco naszą wizję panowania Orena I. Pan się tym zajmował, prawda?

– Tak, ale czas przeszedł tu na miejscu. Mój powrót nie jest możliwy. Za bardzo przywykłem do stosowania wiedzy w praktyce, a tutaj to bardzo trudne.

– Cóż, rzeczywiście. My, historycy Akademii, jesteśmy tylko strażnikami. Pilnujemy mądrości i w miarę możliwości staramy się ją

pomnażać. Jednak boleję nad tym, że tak rzadko przychodzą do nas politycy, tak rzadko się nas radzą. Szczególnie w dobie kryzysów. Oni wciąż myślą, że ich czas, ich wybory czy problemy są unikalne, a przecież wszystko już było.

– Przepraszam, doktorze – Ginkor nie wytrzymał – ale czy nasi przodkowie nie działali jednak w nieco innych warunkach?

– Oczywiście, że nie, młodzieńcze. – Strazi ucieszył się z zadanego pytania i najwyraźniej poczuł jak na wykładzie. – Ze studentami gram w taką grę: proszę ich o podanie jakiegokolwiek współczesnego wydarzenia: posunięcia władcy, konfliktu zbrojnego, po czym natychmiast znajduję jego odpowiednik w przeszłości. Zaręczam, że jeszcze nigdy nie przegrałem.

– Dlaczego więc politycy tu nie przychodzą? – dopytywał Ginkor.

– Może dlatego – odezwał się Mervil – że drzwi do pracowni naukowca są tak niskie, iż wchodząc, trzeba się uklonić. Niestety, u większości rządzących głowa opada tylko na szafocie.

Mężczyźni zaśmiali się.

– Zgrabnie powiedziane. Ale, jak widzę, ten problem was nie dotyczy. Przyjęliście moje zaproszenie, a wcześniej udawaliście się, jak miemam, do biblioteki. Może ja mógłbym w czymś pomóc?

Śledczy najwyraźniej tylko na to czekał.

– Doktorze Strazi – zaczął ostrożnie – zapewne słyszał pan o dziewczętach zamordowanych w ciągu ostatnich miesięcy. Zbrodniarz pozostawia na ciele ofiar dość charakterystyczne ślady. Nie chcę, by zabrzmiało to niedorzecznie, ale ślady te sugerują, że mamy do czynienia z kimś, kto pije krew swoich ofiar. Ma dwa długie kły. Świadkowie mówią, że z daleka przypomina człowieka.

Bellus czekał przez chwilę na reakcję rozmówcy, lecz doktor Strazi wpatrywał się w niego z niesłabnącym zainteresowaniem. Kontynuował więc:

– Nie chcę powiedzieć, że wierzę w wampiry, jednak moją zawodową powinnością jest przygotowanie się na każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną ewentualność, jeśli tylko sygnalizują ją dowody.

– Doktorze Bellus – staruszek aż się zarumienił – oto postawa godna wychowanka i wykładowcy tych murów! Myślę, że dobrze trafiliście. Bo chociaż ja również zachowuję w sprawie wampirów daleko idący sceptycyzm, to kilka lat temu wygłaszałem odczyt dotyczący ciemnej mitologii latiliańskiej, w którym sporo miejsca poświęciłem tym właśnie istotom. Chętnie podzielę się wiedzą, gdyż oszczędzi to wam wertowania dziesiątek ksiąg.

Mervil i Ginkor przytaknęli w milczeniu, nie chcąc przerywać doktorowi Straziemu, który najwyraźniej dopiero się rozgrzewał:

– Dysponuję materiałem, o którym mógłbym mówić przez kilka godzin, ale ograniczę się do niezbędnych informacji. Otóż, jak powszechnie wiadomo, wampiry, czy jak mawia gmin: wąpierce, to istoty pijące ludzką krew. Tu przekazy są zgodne. Opowieści o ich pochodzeniu mają tak wiele różnych wersji, że nie warto o tym wspominać. Podobnie jest z wyglądem: wampiry bywają brzydkie i nieludzkie, chamskie i grubiańskie lub nieziemsko piękne, mądre i czarujące. Jedne kopulują jak szalone (choć nie wiadomo, po co), inne są impotentami. Warto też wspomnieć o problemie zmiennokształtności: mogą zmieniać się w nietoperze lub szczury.

Spotkałem się też z opowieściami o tym, że wąpierce posiadają moc wpływania na ludzi. Ponadto są silniejsze, sprawniejsze i dużo wytrzymalsze od człowieka. Można je zniszczyć, obcinając głowę, przebijając serce drewnianym kołkiem, spalić, wystawić na działanie światła słonecznego. Szczególnie nieprzyjemne są dla nich czosnek i srebro oraz symbole niektórych religii (jak utrzymują wyznawcy).

Z waszych min wnoszę, że nie powiedziałem niczego nowego. W istocie jednak mitologia wampiryczna obfituje w bardzo wiele wzajemnie wykluczających się elementów, co w dużej mierze każe być sceptycznym co do istnienia tych stworzeń. Weźmy na przykład problem rozmnażania. W większości podań jedno ugryzienie decyduje o przemianie. Kompletny nonsens! Jeśli tak byłoby w istocie, krwiopijcy szybko straciliby główne źródło pokarmu. Osobiście uważam, że termin „wampir” oznacza rodzinę, w obrębie której możemy wyróżnić szereg gatunków. Jednak, jak

powiedziałem, według mnie stworzenia te są tylko elementem zbiorowej wyobraźni.

– Szkoda, że trupy pogryzionych kobiet są prawdziwe – wtrącił zgryźliwie Ginkor.

– Doktorze – Mervil natychmiast przejął inicjatywę – czy powinniśmy wiedzieć o czymś jeszcze?

– Chodzi o ciekawostki? Otóż jest cała osobna gałąź piśmiennictwa, dość młoda, ale wpływowa, mówiąca o wampirach gustujących w niewiastach. Według tej teorii miłość bierze górę nad chutliwością i apetytem na krew. Wąpierz taki jest niezwykle piękny, mami białogłową, a ta opuszcza swoją rodzinę i z nim ucieka.

– I co taki stwór robi z tą babą? – zaciekał się medyk.

– Głównie patrzy.

– Jak to?

– No, może trochę upraszczam. W zasadzie to karmi, ubiera, trefi włosy, przygrywa na fujarce, tańczy, recytuje poezje, opowiada, jaka jest piękna. Słowem, chce, żeby była szczęśliwa. Czytałem, że teraz po wsiach, jak kobieta znika, to mówią, że się na nią wąpierz zapatrzył i zrobił z niej królową. Ponoć każda o takim marzy. Bo on ani pić, ani jeść nie musi. Miłością tylko żyje. Istny, powiadam wam, cudak. Niegroźny, dopóki ktoś inny mu niewiasty nie wychędoży.

– Dziękujemy, że tak zacny umysł znalazł dla nas chwilkę. – Bellus uklonił się, dodając: – Dość już o naszej pracy. Jako że rzadko tu goszczę, chętnie usłyszę, nad czym obecnie pracujesz, panie. Brak mi tego źródła, z którego piłem tak obficie.

Ginkor rzucił przyjacielowi mordercze spojrzenie. Po chwili Mervil również pożałował swojego pytania, zadanego na złość medykowi. Doktor Strazi bowiem mówił przez następne półtorej godziny. I tylko wykształcenie historyka pozwoliło śledczemu nie zasnąć i nadążyć za szeregiem dat i nazwisk, którymi zarzucał go stary uczonec. Ginkor nie był tak odporny, toteż po kilkunastu minutach jego głowa uderzyła o stół.

– Proszę nie przerywać, doktorze Strazi. Za dużo wina, a on ma bardzo słabą głowę.

Niepotrzebnie to powiedział. Sędziwy historyk tak zatracił się w wywodzie, że nawet go nie usłyszał.

– Jednak było warto – uśmiechnął się Ginkor, kiedy opuszczali Akademię. – Nie będziemy musieli przychodzić tu ponownie. A poza tym dobrze przespać się po obiedzie.

Przeciągnął się.

– Co zrobimy z zaoszczędzonym popołudniem?

– Poćwiczymy.

Medyk splunął:

– Koszary? Znowu?

– Ile razy mam ci tłumaczyć, że w naszym zawodzie sprawność umysłu to nie wszystko. Nie zawsze jest z nami miejska straż – napominał Bellus.

– Siły ci nie brakuje, ale wciąż musisz pracować nad techniką. Ktoś wprawny w walce zabiłby cię z łatwością.

– Jeszcze takiego nie spotkałem – odparł kwaśno Ginkor.

– Jak spotkasz, nie będziesz mógł mi o tym opowiedzieć.

Do koszar było niedaleko. Poobiednia ociężałość już ich opuściła. Szli więc lekkim krokiem i omawiali szczegóły wieczornej zasadzki. Przekraczając bramę, pozdrowili strażników i skierowali się na sam koniec placu, gdzie zwykle ćwiczili. Najpierw weszli do jednego z budynków, by założyć ochronne napierśniki i hełmy. Wybrali drewnianą broń. Bellus jak zwykle wziął krótki miecz i sztylet, Ginkor natomiast jedno cięższe i dłuższe ostrze. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie, medyk mrugnął:

– O wino?

– Gdybyś wywiązywał się z tych zakładów, byłbym już pijakiem – odpowiedział śledczy.

W tym momencie młodszy mężczyzna zaatakował. Drewniane ostrza Bellusa wirowały z taką szybkością, że ledwo było je widać. Przy tym doskonale pracował na nogach i balansował tułowiem. W jego akcjach trudno było dopatrzeć się wzorca, zupełnie jakby cały czas improwizował. Takiej ruchliwości brakowało Ginkorowi, toteż gdy po chwili przerwali, medyk usłyszał kilka cierpkich słów:

– Przebiłem ci serce, odciąłem rękę i nogę, a poza tym prawie poderznięłem gardło. Ginkorze, nie możesz atakować w linii prostej. Walka nie polega na tym, by przez nieustannie do przodu. Jeszcze raz!

Przez kilkadziesiąt minut mężczyźni zmagali się w popołudniowym słońcu, obserwowani przez ćwiczących żołnierzy. Niemal wszyscy ich tu znali. Jako zawodowcy szanowali to, że Bellus mimo swych ponad czterdziestu lat wciąż zachowuje świetną formę, ćwicząc regularnie kilka razy w tygodniu. Nierzadko, kiedy Ginkor nie mógł przyjść, prosił jakiegoś młodego żołnierza o pomoc, a ten ze zdziwieniem odkrywał, że sam może się wiele nauczyć.

– Dobra, mam dosyć! – przerwał nagle zasapany Ginkor.

– Jeszcze chwila. Prawdziwa nauka zaczyna się dopiero, kiedy jesteś zmęczony. Nie sztuka walczyć w pełni sił.

Mervil odrzucił broń i szybkim chwytem założył Ginkorowi duszenie. Ten próbował się oswobodzić.

– Spójrzcie! – dobiegł ich głos. – Ćwiczą, jak uwolnić się od kobiety, kiedy ta zechce pocałować któregoś z nich. Oni są... no wiecie.

Po tych słowach ćwiczący usłyszeli salwę śmiechu. Przerwali i spojrzeli w stronę, skąd dobiegały głosy. Na plac z koszarowych budynków wysypała się grupa mężczyzn w skórzanych kaftanach. Szli w stronę Mervila i Ginkora.

– Bellus! – kontynuował ten sam głos, który, jak się okazało, należał do barczystego brodacza. – Jedna dziwka mi mówiła, że trzeba się z tobą sporo napracować. Pewnie wszystko wychodzi ci lepiej z tym chłopcem!

Ginkor ruszył w stronę mówiącego. Mervil chwycił go za ramię.

– Daj spokój.

– Dlaczego?

– Daj spokój! Jego brat siedzi za morderstwo. Ja go posadziłem. Niech się wykrzyczy. Dość już tych ćwiczeń, chodźmy się przebrać.

Zebrawszy ochraniacze i drewnianą broń, skierowali się do budynku nieopodal. Tam przebrali się i zostawili ćwiczebny sprzęt. Kiedy wyszli, tamci zagrodzili im drogę. Najwyraźniej nie byli usatysfakcjonowani przebiegiem zaczepki. Było ich ośmiu, na czele z drabem, któremu wciąż nie zniknął z twarzy szydrczy uśmiech.

– No to jak? Dacie sobie buzi, przyjemniaczki? Zróbcie to, a was puścimy.

Ginkor aż trząsał się ze złości i bezsilności. Wiedział, że nie mają szans z ośmioma wprawionymi żołnierzami. Jednak wzorem Mervila stał i milczał.

– Bellus, a może ty w ogóle nie możesz? Słyszałem, że żona cię zostawiła, bo nie chciał ci stanąć. Mogłeś przyprowadzić ją do mnie, ja bym jej pokazał, co to znaczy mieć chłopca.

Nim wybrzmiały ostatnie słowa i nim ktokolwiek zdążył zareagować, Mervil znalazł się przy mówiącym i chwyciwszy go za kaftan, z całej siły uderzył głową w twarz. Dał się słyszeć chrzęst łamanego nosa i wybijanych zębów. Nim ciało osunęło się na ziemię, śledczy już trzymał w rękach dwa lśniące ostrza – nóż i krótki miecz. Położył stopę na krtani leżącego, a miecz skierował w stronę osłupiałych mężczyzn. Cofnęli się. Żaden z nich nie miał broni.

– Komuś jeszcze marzy się kalectwo?

Odpowiedzią było głucho milczenie.

Kiedy pozbawiony dopływu powietrza żołnierz zemdłał, śledczy zdjął nogę z jego gardła. To jednak nie był koniec. Mervil z wprawą przydepnął rękę leżącego i obciął mężczyźnie mały palec. Oczy żołnierzy niemal wyskoczyły z orbit.

– Ty skurwysynu! – Jeden z nich ruszył do przodu.

W tym momencie nóż wzbił tuman kurzu, wbijając się w ziemię tuż przed jego stopą. Mężczyzna stanął. Mervil już trzymał w ręku kolejne małe ostrze. Nie opuszczał też miecza. W jego oczach czała się groźba.

– Czy to ja go zaczepiłem?

Odpowiedziała mu cisza.

– Czy to ja go zaczepiłem?! – krzyknął.

– Ale on był nieuzbrojony! – rzucił gniewnie jeden z towarzyszy leżącego.

– Skoro przyszedł rozmawiać o mojej żonie, to powinien był się uzbroić.

Mężczyzna chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ton śledczego najwyraźniej pozbawił go odwagi.

– Będziecie robić nam kłopoty? – spytał Mervil, a nóż błyszczał między jego palcami.

Żołnierze bez słowa odwrócili się i, wzięwszy rannego, ruszyli w stronę szpitala. Mervil, nie patrząc za siebie, skierował się do bramy. Oszołomiony Ginkor podążał za nim.

2

Vermil budzi się spocony. Nie pamięta przedchwilowych rojeń, lecz ma wrażenie, że były doniosłe. Rozstrzygał jakieś sprawy, decydował o życiu i śmierci – pisał. Przeciera twarz. Myśli o HOMERZE, o zakamarkach własnego umysłu. Wygrzebuje się z łóżka i jak zwykle rzuca na holo pierwszy rozdział *Żniwiarzy*. Zaczyna word building. Najpierw część estetyczna: czyta, chwytta wyrazy, ostrożnie obraca w palcach, przestawia je, by po kilku sekundach mogły wrócić na dawne miejsca. Przygląda się zdaniom, dialogom. Zmienia kształty i kolory swego dzieła, iluminując holomanuskrypt. Zachwyca się jego namacalną objętością. Tak pisze, to jego historia, dosłownie wyciągnięta z głowy.

Czy coś go zaskakuje? Czasami. Jakies sformułowanie, puenta. Pyta więc ze śmiechem: to naprawdę jest we mnie, naprawdę tak uważam? Najczęściej godzi się z samym sobą, co więcej, jest dumny. Jedyny problem stanowi okrucieństwo. Olson nie rozumie, dlaczego Mervilowi brak jego empatii? Jednak i w tym jest coś ożywczego. Vermil odkrywa przyjemność w dyskretnym kokietowaniu przemocą.

Przygasa holo i idzie do kuchni. Pierwszy etap już za nim, a to podobno najtrudniejsze. Wreszcie powstał zwarty kawał tekstu. A wartość artystyczna? Subiektywna, zawsze subiektywna, powtarza sobie. Ważne, że on to napisał – nikt inny. Dziś pracuje dopiero po południu, ma więc czas na sztukę. Myje się pospiesznie, zjada garść owoców identycznych z naturalnymi. Siada na środku pokoju i zabudowuje się holosferą. Wraca do szlifowania tekstu. Jest słońcem, wokół którego krążą niezliczone planety zdań. Układa, przeformułowuje, wzmacnia intencję samoświadomego „ja” artysty.

Po trzech godzinach jest usatysfakcjonowany. Jednak natychmiast, jak stado wron, opadają go wątpliwości: gdzie kończy się on, a zaczyna HOMER? Zagarnia fragmenty powieści do misternie rzeźbionej skrzynki

folderu, która zamyka się z nieznośnym skrzypieniem. Druga ręka Vermila tkwi już w unoszącej się przed nim eleganckiej aktówce, z której wyciąga dane o zlepiaczu narracyjnym. Olson zna je na pamięć. Mimo wszystko lektor zaczyna czytać wykład profesora Fina. Głos wybrany z synestezyjnego menu brzmi w odcieniu niebiesko-żółtym.

– Kiedy uczymy się czegoś nowego, powstaje neurochemiczny ślad pamięci. Proszę o tym pomyśleć jak o pętli, połączeniu. Wspomnienie da się odtworzyć przez każdorazowe przepuszczenie impulsu przez ścieżkę. Im częściej to robimy, tym pamięć staje się trwalsza. Nieużywane pętle zwyczajnie zanikają. Zlepiacz narracyjny pobudza i dekoduje ślady pamięci. Do krwioobiegu wprowadzane są nanoboty, wykazujące tropizm do odpowiednich części mózgu. Tworzą one czterowymiarowy obraz i cały czas się komunikują. Szczytują informacje pomiędzy granicami interakcji. Jednocześnie pacjent stymulowany jest chemicznie, co pozwala na lokalną aktywność nanobotów. HOMER odczytuje wszystkie dane, a pacjent pozostaje uśpiony. Podczas tego procesu pobudzane są: kora czołowa, hipokamp, ciało migdałowate i płat ciemieniowy oraz kilka innych miejsc, których ujawnienie byłoby złamaniem prawa patentowego. Jako że możliwych stanów aktywności mózgu w interesujących nas obszarach jest bardzo dużo, proces nie może być do końca precyzyjny. Dlatego ważnym zadaniem zlepiacza narracyjnego jest wypełnianie pustych miejsc, dzięki czemu wspomnienie pozostaje spójne. Tam, gdzie pętla jest przzerwana, program wprowadza fabularną plombę i formatuje wspomnienie w czasie rzeczywistym. Ile jest tych plomb? Nie wiadomo, choć można to sprawdzić.

Vermil zatrzymuje wywód. Nie chce sprawdzać, skoro istnieje teoretyczna możliwość, że HOMER nie dodał niczego, absolutnie niczego, do jego prozy.

– Tego się trzymaj. Tak, tego się trzymaj – powtarza Olson.

I rzeczywiście mu się to udaje. Jest pewien, że wróci do Zarayeva, że będzie kontynuował tworzenie powieści.

SESJA DRUGA

Na jakiś czas musisz jednak zniknąć

Dochodziła północ. W dzielnicy garncarzy okiennice były już dawno pozamykane. Wszyscy zasypiali w strachu przed wampirem, choć w codziennych rozmowach zwykli podkreślać, że wiosenne noce są jeszcze dość zimne. Kobiety, dzieci i mężczyźni nocowali teraz w jednej izbie, a ci ostatni najczęściej czuwali całą noc, ściskając spoconymi rękami rękojeści starych mieczy, pamiętających dawną służbę wojskową ich ojców czy dziadów. Nie miało znaczenia, że wampir atakował wyłącznie na ulicy, przecież zawsze mógł zmienić przyzwyczajenia.

Mervil bezszelestnie posuwał się krok za krokiem tuż przy murze, tam, gdzie nie dochodziło światło latarni. Aquil niczym czarny krzyż unosił się nad ulicą. Bellus znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów za Ginkorem, który dla odmiany trzymał się w świetle. Kluczyli labiryntem uliczek i zaułków, tak, by droga przebranego za kobietę medyka wyglądała na poszukiwanie adresu przez nowo przybyłą do Nerolfu piersiastą prowincjuskę. Czasami przebieraniec wyciągał coś z tobołka i uważnie badał drzwi mijanego budynku. Jeszcze jakiś czas temu wzbudzało to zainteresowanie ostatnich przechodniów, teraz jednak, koło północy, Ginkor został sam. Śledczy widział jego lekko zgarbioną sylwetkę, sunącą wolnym, rozkołysanym krokiem.

W pewnym momencie Bellus usłyszał cichy skrzek Aquila. Przystanął, wtulając się w cień budynku. Po chwili do jego uszu również doszło pogwizdywanie i kroki. Ostrożnie wyciągnął broń i ukrył ją pod długim, czarnym płaszczem. U wylotu uliczki majaczył zarys sylwetek dwóch mężczyzn. Byli pijani. Najwyraźniej wracali do domu po udanym wieczorze w karczmie. Zbliżali się chwiejnym krokiem. Nie zauważyli skrytego w mroku śledczego i skręcili w najbliższą ulicę, głośno rozmawiając. Mervil schował broń. Odczekał jeszcze chwilę i ruszył dalej. Musiał trochę

przyspieszyć. Na szczęście już po chwili znów dostrzegł Ginkora. Niestety, usłyszał również gdzieś daleko, po lewej stronie, dudniące kroki miejskich strażników. Miał nadzieję, że przebieraniec też je słyszy. Tak najwyraźniej było, bo medyk skręcił w lewo, znikając z oczu Mervila.

Po chwili Bellus znalazł się w zaułku, gdzie przed chwilą, jak mu się zdawało, zniknął Ginkor. Jednak było tam zupełnie ciemno i nie mógł dostrzec przyjaciela. Widział tylko majaczące latarnie następnej ulicy. Zaczął biec. Już po chwili musiał jednak stanąć. Na wprost rozpoczynał się drugi zaułek, a po prawej i lewej stronie rozciągała się brukowana ulica, oświetlona ognikami latarni. Nigdzie nie było śladu Ginkora. Mervil stał niezdecydowany przez kilka sekund. Nagle usłyszał krzyk.

Aquil zareagował pierwszy. Lekceważąc wszystkie środki ostrożności, energiczniej machnął skrzydłami i zniknął w zaułku naprzeciwko. Bellus ruszył biegiem. Po chwili dobiegły go odgłosy szamotaniny. Przyspieszył, nie zważając już na to, że twarde podeszwy butów bębnią na bruku. Jego wzrok zdążył przyzwyczać się do ciemności. Wkrótce dostrzegł tarzającego się na ziemi mężczyznę, który próbował osłonić się przed szponami Aquila, i drugiego, leżącego między nogami Ginkora. Najwyraźniej napastnik wziął medyka za kobietę. Jego niezdarne czynności nie pozostawiały wątpliwości, co zamierza zrobić z bezwładnym ciałem.

Mervil kopnął niedoszłego gwałciciela w twarz, a ten upadł bez przytomności. Potem ukląkł przy leżącym Ginkorze. Medyk miał na głowie paskudnego, krwawiącego guza, ale oddychał równo. Bellus przestał się nim zajmować i zakuwszy ręce nieprzytomnego gwałciciela w cienkie, stalowe obręcze własnego pomysłu, ruszył w stronę skotłowanych walczących. Orzeł był na górze i usiłował dosięgnąć gardła mężczyzny.

– Dość! – krzyknął śledczy.

Ptaka nie reagował.

– Aquil, dość! – powtórzył.

Tym razem zatrzepotały skrzydła i orzeł puścił przeciwnika. Ten jednak, zamiast pozostać na ziemi, zerwał się natychmiast, sięgając po nóż. Aquil skrzeknął groźnie.

– Rzuć nóż i połóż się na ziemi z rękami do tyłu – rozkazał śledczy.

– No chodź, chodź, potnę was na kawałki! – zawył mężczyzna.

Bellus nic nie mówiąc wyciągnął miecz, po czym jednym szybkim wypadem skrócił dystans. Ostrze wytrąciło nóż z ręki bandyty, tnąc nadgarstek aż do kości. Płaz uderzył w skroń. Napastnik padł bez zmysłów. Mervil wykorzystał drugą parę stalowych obręczy. Skuwając przeciwnika, zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z tymi dwoma, którzy tak niedawno go mijali. Kto by pomyślał, że narobią tyle kłopotu? Dalsza akcja nie miała sensu. Bellus odwrócił się, chcąc ocucić przyjaciela i wezwać miejską straż, żeby zajęła się bandytami. Ze zdziwieniem stwierdził, że za nim unosi się biała, mglista ściana stworzona z niezliczonych drobinek skrzącego się pyłu. Cofnął się odruchowo. Przez chwilę wyteżał wzrok, jednak nigdzie nie mógł dostrzec ciała Ginkora, mimo że zostawił je parę kroków za sobą. Przez dłuższą chwilę nie ruszał się z miejsca, wyteżając słuch. Nagle po prawej stronie, tuż przy murze, dostrzegł wielki ciemny toból. To był Aquil. Ciało orła nie wyglądało na poranione. Najwyraźniej jednak ptak stał się ofiarą białej mgły.

Bellus nie zastanawiał się dłużej. Roztarł w dłoniach czosnek, spod kaftana wyciągnął kilka talizmanów różnych religii, które zawiesił na łańcuszku, po czym poprawił dwa drewniane kołki, tkwiące za paskiem. Tak przygotowany, chwycił mały srebrny sztylet. Szczelnie okrył twarz płaszczem, zamknął oczy, nabrał powietrza i, trzymając przed sobą ostrze, ostrożnie ruszył do przodu. Ginkor był ciężki, napastnik zapewne nie zdołał uciec z nim za daleko. Po kilkudziesięciu sekundach śledczy odważył się wyrzeć zza osłony płaszcza. Mgła była już kilka kroków za nim, a na wprost rozciągała się oświetlona ulica. Nie wydało mu się prawdopodobne, by wampir ruszył w lewo lub w prawo, ku światom latarni. Musiał zatem znajdować się w zaułku naprzeciwko, z którego wcześniej wybiegł Bellus szukający Ginkora. Mervil zaczął skradać się w półprzysiadzie. Wyglądając zza sterty desek, dostrzegł zgarbioną postać, która bezskutecznie próbowała poradzić sobie ze stalową, drobnokolczastą osłoną na gardło, którą nosił Ginkor. Szyja Bellusa również zabezpieczona była w ten sposób.

Wampir pracował coraz bardziej gorączkowo, a z jego ruchów dało się wyczytać, że jeśli mu się nie uda, za chwilę porzuci ofiarę. Mervil wstał i

biegiem ruszył w jego stronę. Nim napastnik zorientował się, co go czeka, było za późno. Bellus stał tuż przy nim i gdy ten podniósł się, improwizując obronę, śledczy z całej siły wbił srebrny sztylet w brzuch krwio pijcy. Ku jego przerażeniu ostrze napotkało opór i miękki metal wygiął się w bok, nie czyniąc wampirowi szkody. Nim śledczy zdążył zadać drugi cios, przeciwnik odepchnął go i zaczął uciekać. Mervil poderwał się i ruszył za nim. Wampir nie próbował już kryć się w ciemnościach. Biegł w świetle latarni. Był szybki i miał przewagę, ale śledczy nie ustępował. Kiedy uciekający zawahał się na moment, wbiegłszy na mały targowy plac, Mervil posłał w jego stronę dwa noże. Jeden wbił się w łydkę. Wampir zmylił krok, lecz po sekundzie odzyskał równowagę i usiłował biec dalej. Za późno. Mervil już był na jego plecach. Obaj potoczyli się do przodu.

Bellus kolaniem przygniół pierś oszołomionego krwio pijcy i wyciągnął drewniany kołek. Spojrzał w wielkie czarne źrenice tamtego. Istota charczała, pokazując nienaturalne kły. Śledczy uderzył. Jednak mimo że wampir zawył z bólu, znów nie udało się go zranić. Bellus poprawił pięścią w twarz, a potem gwałtownym ruchem podciągnął kaftan tamtego. Zobaczywszy błysk kolczugi, wszystko zrozumiał. Znów z całej siły uderzył przeciwnika, jednocześnie sięgając za plecy po miecz. To nie było jednak potrzebne. Wampir stracił przytomność. Bellus, dysząc ciężko, przyglądał się jego twarzy. Mężczyznę można by uznać za przystojnego, gdyby nie szpecące go zęby. Śledczy patrzył na nie dłuższą chwilę, po czym ostrożnie chwycił jeden z kłów i zaczął nim poruszać. Ząb został mu w dłoni. Powtórzył operację i już po chwili trzymał w ręku dwa misternie wykonane kły z kości słoniowej. Obszukał nieprzytomnego, znajdując sztylet i woreczek jakiegoś proszku. Schowawszy to wszystko, zarzucił go sobie na plecy i ruszył w stronę zaułka, gdzie zostawił Ginkora. Medyk powoli się wybudzał.

- Oto wampir – rzekł Mervil, rzucając ciało do stóp przyjaciela.
- Oto człowiek – wyszeptał Ginkor, dokonawszy wstępnych oględzin.
- Popatrz.

Mervil pokazał mu sztuczne zęby.

– Misterna robota. – Medyk obracał w palcach kość słoniową. – Cóż, tym lepiej, łatwiej będzie go powiesić.

– Ha, ha, ha. Powiesić? – wycharczało ciało u ich stóp. – Powiesić? Głupcy, jestem Archibald Lukrecjusz II, a mój ojciec to generał wojsk Nerolfu. Myślicie, że pozwoli mnie powiesić?

Gdyby było jasno, obaj śledczy dostrzegliby jeszcze bezczelny uśmiech na pokrzwawionej twarzy młodzieńca.

– Zabiłeś cztery kobiety – odezwał Mervil.

– I co z tego?

– Zabiłeś cztery kobiety – powtórzył i nagłym skokiem usiadł na piersi mężczyzny, przygniatając kolanami ręce.

– Co chcesz zrobić, głupcze? – wydyszał leżący, spojrzawszy w oczy Mervila.

– Archibaldzie Lukrecjuszu II, kto wykonał dla ciebie te zęby? Jeśli mi nie powiesz, stracisz oko. – Fałszywy wampir nie zamierzał jednak mówić.

– Będziesz wisiał! – dyszał. – Będziesz wisiał!

– Jeszcze nikt nie groził mi w ten sposób – odparł spokojnie śledczy.

Znienacka zagłębił kciuk w oczodole leżącego. Połowę twarzy młodzieńca zalała krew. Mervil odrzucił resztki tkanki i wytarł rękę w jego ubranie. Archibald Lukrecjusz II rzucał się wściekle i wył z bólu, jednak nie udało mu się uwolnić od śledczego.

– Kto zrobił ci te zęby? – ponowił pytanie Mervil. – Chcesz stracić drugie oko?

Leżący pokręcił głową. Bellus pozwolił mu mówić.

– Medyk Remert, opiekun naszej rodziny.

– Dobrze – ucieszył się śledczy.

Przez chwilę słychać było tylko przyspieszony oddech leżącego. Mervil tymczasem wyjął zza pasa jakąś szmatę, zakneblował niedoszęłego wampira i odwrócił się w stronę towarzysza: – A teraz, Ginkorze, poproszę cię, abys stąd zniknął.

– Co? – W głosie medyka słychać było przestrasz.

– Zrób, jak mówię, nie chcę cię w to wplątywać.

– Ale w co? – ten jeszcze nie rozumiał.

– Rada nigdy nie osądzi i nie skaze syna Lukrecjusza. On ma za sobą wojsko i znaczną część arystokracji. Urządź szybki proces.

– Mervilu!

– Dość, znikaj! A jakby ktoś pytał, to mów, że byłeś nieprzytomny. Co poniekąd jest prawdą – dodał. – Dalej, Ginkorze! – ponowił rozkaz, gdyż medyk wciąż stał niezdecydowany.

Tymczasem drgająca twarz najbardziej zainteresowanego tym dialogiem pokazywała wszystkie odcienie przerażenia. Uczucia skupiły się w końcu w jednym załzawionym oku, drugie pozostawało krwawą jamą. Archibald Lukrecjusz II nie mógł rzec ani słowa, wydawał z siebie tylko charkotliwy szloch.

– Niech bogowie osądzą cię wedle praw twojej religii – wyszeptał Mervil, po czym płynnym ruchem poderżnął mu gardło.

Ciało zadrgało kilka razy, po czym znieruchomiało. Mervil już nie patrzył w jego stronę. Podszedł do nieruchomego Aquila, rozgarnął dłonią pióra i poszukał serca. Biło mocno i równo. Śledczy usiadł przy ptaku. Czekał na miejskich strażników. Kałuża krwi wokół Archibalda Lukrecjusza II rosła.

– Dlaczego to zrobiłeś? Z powodu twojego wyobrażenia o sprawiedliwości? – głos Avidiona wydawał się obojętny, ale na muskularnych rękach trzymany za pasem drgały żyły. – Dostrzegasz chyba różnicę między pożądanym samobójstwem de Sterna a niepożądaną śmiercią syna Lukrecjusza?

– Panie, racz zrozumieć – Mervil mówił powoli, jakby szukał odpowiednich słów – ja się tylko broniłem. Chłopak był jak dzikie zwierzę, a ja myślałem...

– ...że masz do czynienia z wampirem? – dokończył pogardliwie książe.
– Ty, doktor, historyk? Nie rozśmieszaj mnie.

– Panie.

Avidion przerwał mu ruchem ręki.

– Nie wybronię cię przed Radą. Lukrecjusz zażąda dla ciebie surowej kary, a ja będę musiał mu coś dać.

– Panie, to było w obronie własnej. On chciał mnie zabić – powtórzył śledczy.

– Jednak zgodzisz się chyba, że rzadko się zdarza, by rany odniesione w walce ograniczały się do wyłupanego oka i poderżniętego gardła. Zresztą ty jesteś nietknięty – ironizował Avidion.

– Panie, te rany powstały w walce. Da się to łatwo wytłumaczyć. Napastnik rzucił się na mnie, chcąc wbić zęby w szyję. Próbowałem odgiąć jego głowę i wyłupałem mu oko. Później przejechałem sztyletem po gardle. Wszystko działało się bardzo szybko. Walcząc o życie, nie zastanawiałem się nad tym, kto chce wyssać moją krew.

– Może i tak było, ale jak już mówiłem, prawda to dziwne zwierzę, każdy widzi je na swój sposób. Społeczeństwo cieszy się z unieszkodliwienia mordercy, śledczy wykonał swoje obowiązki, ale niestety inaczej traktuje tę sprawę ojciec, który na twoje nieszczęście jest osobą niezwykle wpływową. A jeszcze inaczej ja, polityk. – Książę zamyślił się. – Co mam z tobą zrobić?

– Pozwól mi dalej służyć Nerolfowi, panie. – Mervil skłonił się z pokorą.

– Służyć? Nie wiem, czy w twoim przypadku to dobre słowo. Zawsze masz na wszystko odpowiedź, mówisz przekonująco, budzisz szacunek. Ale strażnicy gadają. Masz dziwnego towarzysza.

– Panie, Ginkor jest jeszcze młody.

– Nie o niego mi chodzi! – oburzył się książę. – Zresztą to nie jakiś tam orzeł jest problemem, tylko ty. Sam wciskasz argumenty do rąk swoich oskarżycieli. Czemu uczyniłeś z dobrego żołnierza kalekę? Co powiedział, czym cię sprowokował? Świadkowie mówią, że zachowywałeś się jak szaleniec.

– Panie, ja tylko...

– ...broniełeś się, tak? – Avidion energicznie ruszył w stronę Mervila i zatrzymał się tuż przed nim, jakby powstrzymując się przed stratowaniem

śledczego. – Na Terilusa, o tym właśnie mówię! Znam twoje tłumaczenia, tyle że zeznania świadków zawsze odbierają im wiarygodność!

– Panie, widziałeś te zęby.

– Gówno mnie obchodzą jakieś tam zęby. Nawet jakby wyrastał mu z tyłka śmiercionośny kolec, to wciąż syn Lukrecjusza! Twoją powinnością było wzięcie go żywcem!

Śledczy stał spokojnie, podczas gdy na jego głowę wciąż spadały gromy:

– Nie interesują mnie twoje wybiegi, wszystko ma swoje granice. Może bezkompromisowa postawa jest godna podziwu, ale jest też destrukcyjna i nieżyłowa. Kiedyś karą za złodziejstwo było ucięcie ręki. Podejrzewam, że połowa moich urzędników mnie okrada. Czy mam im wszystkim poobcinać ręce? A kto wtedy zajmowałby się administracją? Ty pewnie zrobiłbyś to bez wahania, ale czy to byłoby słuszne i dobre dla Nerolfu? Oczywiście, że nie. Niestety, nie możesz albo nie chcesz tego pojąć.

– Dlatego ty jesteś księciem, panie.

– Nie bądź bezczelny.

– Przepraszam, panie, nie chciałem cię urazić.

– Mam nadzieję, bo jestem w tej chwili jedyną dobrze urodzoną osobą w Nerolfie, która nie pragnie widzieć cię martwym. Naruszyłeś delikatną strukturę, jaką jest spokój arystokracji. Ona nie lubi, jak ktoś poczyna sobie zbyt gwałtownie, zwłaszcza jeśli robi to w imię sprawiedliwości. Musisz być świadomy, że wszystkie grupy społeczne najbardziej cenią sobie klasową solidarność. Zresztą jesteś historykiem, więc chyba wiesz o tym lepiej ode mnie. Ludzie boją się idealistów, bo ich nie rozumieją. Wszyscy odetchnęliby z ulgą, wiedząc, że zabiłeś syna Lukrecjusza z zemsty.

Avidion oddychał głęboko, patrząc na reakcję Bellusa.

– Co, milczysz?

– Tym milczeniem przyznaję ci rację, książę. – Śledczy skłonił się lekko.

– Dobrze, dość już tej dysputy. Powiem krótko: masz kłopoty. Rada zażąda śledztwa i postawienia cię przed sądem, a Lukrecjusz i rodzina de Stern twojej głowy. Nie mogę cię obronić. Nie masz przyjaciół ani stronników. Ceni cię tylko lud, czyli w tym przypadku nikt.

– Trudno, panie.

– Z fatalizmem ci nie do twarzy! – Avidion prychnął gniewnie. – Zwłaszcza udawanym. Posłuchaj mnie uważnie: nie zamierzam złożyć twojej głowy na ołtarzu polityki. Na jakiś czas musisz jednak zniknąć. Przed bramą czeka na ciebie eskorta. Odprowadzi cię do domu. Spakujesz się i udasz w dowolne miejsce, byle daleko. I pozostaniesz tam przez kilka tygodni, żeby przeczekać tę burzę. Żołnierze wyprowadzą cię z miasta, a dwóch z nich dla bezpieczeństwa będzie ci towarzyszyć w drodze. Później wrócą i poinformują mnie o miejscu twojego pobytu. Będę mógł cię wezwać w odpowiedniej chwili. Czy to jasne?

– Tak, panie. Najzupełniej.

– Masz dokąd jechać?

– Tak, panie.

– To dlaczego jeszcze tutaj stoisz i marnujesz mój cenny czas? – Księżę zmarszczył brwi.

– Martwię się o mojego współpracownika Ginkora, panie.

– Niepotrzebnie. Poprosiłem Lorenzo Navidę, by zajął się tym zdolnym młodym człowiekiem. Przez najbliższe tygodnie Ginkor nie opuści jego pracowni, podobnie jak ty miejsca, do którego się udasz. Inaczej stracisz moją sympatię. Bezpowrotnie.

3

Reklamy brainbooka są cholernie natarczywe. Już trzeci czy czwarty raz przebijają się przez zapory Vermila. Mówią o przyszłości, która możliwa jest już dziś, o rozplynięciu się w emocjach całego świata, zanurzeniu w duszy ludzkości. Bb staje się modny. Korzystają z niego aktorzy i celebryci. Coraz więcej ludzi przesiada się na niego z face plusa. Vermil na co dzień o tym nie myśli, ale w chwilach takich jak ta jest zrozpaczony. Zawsze był w awangardzie postępu, obudował się holo jeszcze w czasach, kiedy wielu kupowało coraz większe ekrany. Zaczepował rękę i podkręcił parę rzeczy, podczas gdy znajomi z dzieciństwa wciąż mieli popsute zęby. Teraz jednak stoi pod ścianą. Brainbook osacza, jest wszędzie, o nim się mówi. No, ale ma też ciemną stronę: potrzebna mu jest wszczepka. Nanogówno w głowie, które zbiera impulsy z określonych części mózgu i przekłada je na możliwy do przesłania i odebrania cyfrowy strumień danych. Niestety, jakieś niezrozumiałe dla samego Vermila atawizmy sprawiają, że na myśl o umieszczeniu czegokolwiek pod czaszką ma ochotę uciekać. I tak już ledwie wytrzymuje ingerencję HOMERA. Po każdej sesji zmusza się do wypicia dwóch litrów wody, żeby jak najszybciej wyszczać nano, które podają mu w Twórczości. Wszczepka na stałe to zdecydowanie za wiele. Budzi się w nim spanikowane zwierzę, którego instynkt obronny podsycany jest przez szaleństwa trzeciej fali cyberpunku, na której się wychował. Broni się przed przekroczeniem granicy, a jednocześnie mocno tego pragnie. Któż bowiem nie chciałby poczuć tego samego, co Buttler Rex pieprzący zjawiskową Amandę Morgan, której orgazm, jak mówią holówki brainbooka, sprawia, że cały świat staje się na chwilę piękniejszym miejscem.

Vermil kasuje reklamę i ręcznie aktualizuje zaporę. Patrzy na skrzynię folderu, w którym kryje się jego powieść. Ma ochotę tam zajrzeć, ale się powstrzymuje. Obiecał sobie, że pozwoli jej trochę odleżeć. Niemniej nie sposób nałożyć bariery na myśli. Automatycznie sprawdza face plusa, a w

jego mózgu zacieśniają się kolejne pętle dotyczące Mervila. I nagle, kiedy na wallu wykwita przed nim roześmiana twarz młodej dziewczyny, uderza go oczywisty fakt: w jego powieści właściwie nie ma kobiet. Gorączkowymi ruchami czyści pulpit i otwiera skrzynię. Stopuje manieryczne holo, po czym przewija tekst, szukając choćby zaczątku kobiecego wątku.

Nic.

Odchyła się na krześle. Nie wie, co myśleć. Czy to objawy jakiegoś kryzysu, a może zespół nabytej inwersji seksualnej? Nigdy nie interesowały go statystyki, ale teraz kilkoma nerwowymi ruchami przywołuje face'a i destyluje z niego krzywe randek i seksualnej satysfakcji. Nie wygląda to najlepiej. Bezduszne wykresy inkrustowane datami wydają się należeć do pracoholika lub zahukanego ojca rodziny. Vermil w panice wprowadza komendy i wrzuca portfolio. Face już po kilku sekundach wypływa kilka kandydatek: znajome znajomych. Zgodność z preferencjami na poziomie dziewięćdziesięciu procent. Wszystkie są ładne i naturalne, oficjalnie nieprzekręcone. Olson wie, że może wybrać na chybił trafił, face przefiltrował ich portfolio i każda chętnie umówi się z kimś takim jak on. Jedna z kobiet, Malwa, ma coś zadziornego w uśmiechu. Vermil chwytą jej twarz i rzuca na środek pokoju. Kobieta w lekkiej sukience uśmiecha się i idzie kilka kroków w jego kierunku, po czym nachyla się tak, że niemal widać piersi. Malwa nie nosi stanika. Natychmiastowa erekcja upewnia go, że wszystko z nim w porządku. Puszczą gołąbka do Malwy i bierze się za sprzątanie mieszkania.

Randka jest udana. To się czuje. Vermil nie sili się na dowcip, nie stara się imponować. Bycie sobą zawsze wychodzi mu najlepiej, choć często o tym zapomina. Siedzą w knajpce o wdzięcznej nazwie Na Rufie. Wnętrze jest rustykalne; mieszanina wiejskiej chaty i dalekomorskiego żaglowca. Na środku leniwie kręci się młyńskie koło napędzane wodą z wijącego się między stolikami strumyczka. Mają tu papierowe menu. Brakuje tylko cyncatej karczmareczki, którą można by uszczypnąć w tyłek.

– Jakiś czas temu chciałam spróbować bez face'a – mówi Malwa pomiędzy jedną a drugą łyżką lekkiej zupy. – Koleżanka zaciągnęła mnie do Aquy. Przyczepił się jakiś gość w obcisłej koszulce. Sutki tak mu sterczały, że mógłby nimi pisać na klawiaturze. No, ale to jeszcze nic, gdybyś zobaczył, jak tańczy...

– Znam ten format – odpowiada Vermil, eleganckim ruchem chwytając serwetkę i wycierając usta. – Mówię na nich Indianie.

– Dlaczego?

– Bo na parkiecie ruszają się, jakby tańczyli tradycyjny taniec „przybądź, bizonie”. – Olson naśladuje nieporadne ruchy, a Malwa zasłania dłonią usta, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– Mam nauczkę – ciągnie. – Teraz tylko randki profilowane.

– Od dawna tak twierdzą. – Vermil unosi kieliszek i uśmiecha się uwodzicielsko.

– Oglądałeś wczoraj wiadomości? – Malwa zmienia temat, odsuwając talerz z resztkami zupy. – Podobno Nirowski jednak wziął te pieniądze.

– Może, ale ja ufam tylko oddolnym infostreamom. Wczoraj miałem robotę, więc nie sprawdzałem.

Wyraz twarzy Malwy zmienia się nagle, Olson myśli, że może coś palnął. Ale nie, po prostu zawisła na soczewkach.

– Przepraszam – mówi szybko Malwa. – Dostałam wiadomość. Moja mama wybudziła się po zabiegu. Dwa lata czekała w kolejce na nowe ciało.

– Widząc minę Vermila, dodaje wesoło: – Wciąż nie wiem, czy to mamie przeszczepili ciało, czy tamtej drugiej kobiecie jej głowę.

– Czemu, jeśli mogę zapytać...

– Jasne! Wypadek samochodowy. Dwa lata temu coś się popieprzyło w jej SAMie. Jechała autostradą sto pięćdziesiąt na godzinę i walnęła w barierki. Miazga! Ubezpieczalnia nieźle zabuliła. Wystarczyło na nowe ciało i nowe życie. Teraz mamusia robi to, o czym zawsze marzyła: zwiedzi świat.

– Nieźle. – Vermil jest autentycznie podekscytowany. – A ciało?

– Rakietą, mamusia zyskała dwadzieścia lat. Ojciec pewnie też nie może się już doczekać. – Malwa mruga porozumiewawczo.

I tak rozmowa schodzi na temat naprawdę istotny. Oboje wiedzą, że niczego już nie zamówią. Malwa zsuwa but i dotyka stopą jego uda, a potem pnie się wyżej i wyżej. Mruczy z aprobatą, wyczuwając twardość krocza.

– Grzeczny chłopiec.

Vermil już wskakuje na soczewki i wzywa taksówkę. Wychodząc, trzymają się za ręce. Są doskonale ubrani, sterylnie ładni. Łączą w sobie witalizm młodości i elegancję dojrzałości, stanowią sól nowoczesnego miasta. Jeszcze w taksówce Malwa mierzwi mu włosy, wpijając usta w jego szyję. On rozkoszuje się obiecującym ciężarem jej piersi. Oboje ostatnio dużo pracowali, nie mieli czasu na randki. Czerpią więc z bliskości: dotyku, zapachów, westchnień. Malwa jest dokładnie taka, jak powinna być: reprezentuje cudowny destylat śmiałości i uległości, jej spontaniczność ma wyraźnie wyznaczone, przewidywalne granice. Partnerka idealna. Złośliwi twierdzą, że ten typ jest tylko efektem ubocznym korporacyjnej etykiety seksualnej, ale Olson go uwielbia i nie przejmuje się stereotypami.

– Lubię seks najwyższej jakości – szepcze kobieta, ciągnąc go przez swój sterylny przedpokój do sypialni.

Vermil ma nadzieję, że nie jest to wstęp do propozycji chemousztywnienia penisa lub podwieszenia za sutki pod sufitem. Byłaby to spektakularna wpadka face plusa. Na szczęście Malwa śmieje się figlarnie, widząc jego minę.

– Bez obaw, chcę, żebyś to dzięki mnie dokonał dziś cudów.

Zgrabnie uwalnia się z ubrania. Kiedy jest naga, wciąż umie dobrze wyglądać, jej ruchy nie tracą nic z dziewczęcej figlarności. Algorytm Vermila spisał się wspaniale. Jej ciało wygląda bosko. Olson ma problemy ze zdjęciem spodni, co Malwa znów kwituje sympatycznym śmiechem.

– Wiesz, że twoje imię brzmi trochę elficko?

Ruchem ręki odpala holo. Vermila w okamgnieniu otaczają drzewa i ocean zieloności.

– Witaj w domu, bohaterze.

Malwa chwyta go za rękę, a on stoi w opuszczonych do połowy majtkach w sercu Lothlórien. W oddali majaczy Caras Galadhon.

Tandeta, myśli Olson i przez chwilę jest zawiedziony. Jego penis ma jednak własne zdanie.

– Jesteś piękniejsza niż Galadriela. – Vermil odzyskuje rezon, wchodzi w format.

Malwa mruczy z aprobatą i pociąga go na siebie. Nie ma żadnych barier, żadnych niepewności. Ich profile wymieniły się kartotekami medycznymi i łózkowymi preferencjami. Algorytm gwarantuje udany seks w osiemdziesięciu pięciu procentach. Vermil powoli wchodzi w Malwę na mchu pośród szumiących drzew Lothlórien. Nie ma w tym gimnastycznej ekstrawagancji, sportowego zacięcia. Nie są parą, która seksualną satysfakcję mierzy bólem mięśni, litrami wylanego potu i otarciami narządów. Malwa delikatnie syci ręce dotykiem jego szczupłego, muskularnego ciała, lecz jej półprzymknięte oczy patrzą gdzieś w górę, na niebieskie holoniebo z połyskującym medalionem zachodzącego słońca.

Vermil nie zwraca uwagi na scenerię. Pochłania go kałuża czarnych włosów rozlana na mchu, płaski brzuch i piersi kobiety. Dotyka ich raz po raz, wciąż na nowo przepełniony zachwytem, że na świecie istnieją tak cudowne rzeczy. Podniecony przyspiesza. Czuje się wspaniale. Jak wielokrotnie wcześniej, pragnie zatrzymać tę chwilę. Może Malwa jest kobietą, która co wieczór będzie dawać mu szczęście? Wie oczywiście, że sekundę po orgazmie myśl ta wyda mu się głupia i w gruncie rzeczy żenująca, i że wszystkie swoje siły skupi na taktownym opuszczeniu mieszkania. Teraz jednak lekko kołyszące się piersi Malwy, jej zaróżowione usta, pachnący oddech, ciemne oczy wydają mu się tym, co świat ma najlepszego.

Ptaki pięknie śpiewają w Lothlórien, a drzewa szumią w rytm jęków Malwy. Kochankowie kończą, a dziesiątki elfów biją brawo z pełnym wyrozumiałości uśmiechem.

– To nie był seks, to było dzieło sztuki! – podsumowuje dźwięcznym basem jakiś legolasopodobny młodzieniec.

Algorytmy face plusa pracowicie przetworzą nowe dane. Randka była naprawdę udana i żeby tak zostało, nigdy nie może się powtórzyć. Vermil leży obok drżącej jeszcze Malwy i myśli o pisaniu. W końcu Mervil Bellus

jest w drodze, a nie może jechać w nieskończoność. Olson dyskretnie sięga po węzeł i umawia sesję w Twórczości.

SESJA TRZECIA

Nic z tego nie rozumiem

– Tutaj możemy się rozstać – powiedział Mervil, a żołnierze przyjęli te słowa z wyraźną ulgą. W dali, ponad lasem, strzelały w niebo wieże zamku – celu ich podróży.

Od trzech dni jechali na południe. Na początku na szerokim książęcym trakcie spotykali wielu podróżnych, a pierwszą noc spędzili w ciepłym zajeździe. Drugiego dnia jednak, chcąc skrócić sobie drogę, zboczyli w las i znaleźli się z dala od kupieckich pokrzykiwań. Spali pod gołym niebem w pachnącej, wiosennej trawie. Później posuwali się wąskimi drożynami, z rzadka formowanymi kołami wozów. Odkąd wyjechali z lasu Nilen, pogoda zmieniała się zaskakująco szybko. Przez ostatnie godziny podróży padało i było tak potwornie zimno, jakby natura wbrew regułom kalendarza zapomniała, że jest już wiosna. Żołnierze mieli kiepskie humory, ich ubranie przesiąkło wilgocią, a na popasach trzęśli się z zimna. Mervil udawał, że tego nie zauważa. Zresztą małowówny śledczy nawet w sprzyjających warunkach nie był dobrym towarzyszem podróży. Zwykle milczał lub czytał. Nic więc dziwnego, że jego towarzysze klęli pod nosem i tęsknili za przytulnymi koszarami, w których jedynym zmartwieniem jest znalezienie sposobu na wymknięcie się do burdelu.

– Niech ci się szczęści, panie, w tej ponurej okolicy. – Dowódca eskorty pożegnał go z ledwie hamowaną niechęcią.

Droga zrobiła swoje, a poza tym po ostatnich wydarzeniach w koszarach śledczy nie był zbyt popularny wśród żołnierzy. Niemniej Bellus zmusił się do uśmiechu.

– Dziękuję za miłą kompanię. Przekażcie księciu, że pozostaję w Rezie, majątku Iorgo Sarivy. Wiecie, jak mnie znaleźć.

Żołnierze odjechali bez dalszej wymiany uprzejmości, a śledczy szczerzej owinął się płaszczem. Nie pamiętał, by za jego życia latiliańska wiosna była

tak nieprzyjemna. Mimo wczesnego popołudnia dokoła królowała szarość i wiał przenikliwy wiatr. Mężczyzna spiął konia i ruszył w stronę zamku. Musiało padać od wielu dni, bo droga przypominała błotnisty strumień. Budowla stała na wzgórzu jakieś ćwierć mili od ściany lasu. Nie była duża, lecz jej mury budziły respekt. Podjechawszy bliżej, Mervil nie zdziwił się, widząc stary, poczerniały most zwodzony rozciągnięty nad błotnistą pozostałością fosy. Reza była niemal taka, jaką ją pamiętał. Jakby czas, dokonawszy pewnych drobnych zniszczeń, po prostu zapomniał o tym miejscu.

Brama, przy której się zatrzymał, wyglądała bardzo solidnie. Przez chwilę przypatrywał się wieżom, murom i rozjarzonym gdzieś tam oknom. Zamek nie był zdobywany od dziesięcioleci. Zapewne i teraz nie utrzymywał silnego garnizonu. Jego pan zawsze wolał rozwiązywać konflikty piórem, nie mieczem. Mervil pamiętał, że doktor Sariva, czy raczej hrabia Sariva, do szczęścia potrzebował jedynie spokoju i mnóstwa książek. Jednak panująca tu cisza, przerywana bębniącymi o mur kroplami deszczu, nie miała w sobie nic ze spokojnej zadumy. Śledczemu kojarzyła się raczej z żałobą.

Jakieś czujne oczy musiały wypatrzeć przybysza, bo nim zdążył zastukać, usłyszał nad sobą nieprzyjemny głos:

– Czego?!

Spojrzał do góry i w wąskim okienku nad bramą dostrzegł zarys hełmu.

– Mervil Bellus do hrabiego Sarivy! – krzyknął.

– Odejdź, człowieku, hrabia nikogo nie przyjmuje! Nie chcemy tu nieznajomych!

Mervila rozdrażnił agresywny ton.

– Słuchaj, durniu! – zagrzemiał. – Jestem Mervil Bellus, książęcy śledczy Nerolfu, i chcę zobaczyć pana tego zamku. Zejdź na dół, a pokażę ci mój pierścień!

Nie było odpowiedzi, ale wkrótce dał się słyszeć zgrzyt bramnego okienka umieszczonego na wysokości głowy. W wąskim prostokącie pojawiła się lekko przestraszona, pucółowata twarz. Mervil pokazał pierścień i już po chwili stał za bramą, którą szczelnie za nim zamykano.

– Wybacz, panie, zemdlałem od razu nie rozeznałem, z kim mam sprawę, ale ostrożności nigdy za wiele. Zresztą niebezpieczne mamy czasy, aż dziw bierze, że bez szwanku przejechałeś las.

Mervil zdziwił się. Nie słyszał o jakichkolwiek niepokojach przy południowej granicy.

– Prowadź do hrabiego – rzekł tylko. – Aha, i jeśli przypadkiem ktoś z was zauważy tu orła, niech nie waży się do niego strzelać. Jest ze mną: tresowany i nieszkodliwy. Teraz pewnie poluje.

– Tresowany orzeł? – wyjąkał strażnik.

– Najlepszy przyjaciel gadającego chomika, którego trzymam w jukach. Powtarzam, niech nikt nie waży się do niego strzelać.

Mężczyzna skinął głową i poprowadził Mervila przez dziedziniec. Ukradkiem popatrywał na niego, zastanawiając się zapewne, czy jest tylko szalony, czy również niebezpieczny.

Na dziedzińcu stało kilkunastu żołnierzy. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

– Spodziewacie się napaści? – zagadnął śledczy.

– Nigdy nie wiadomo, panie, szczególnie teraz – odpowiedział ostrożnie żołnierz.

Bellus mimowolnie spojrział w zachmurzone niebo, szukając Aquila. Przewodnik tymczasem mówił dalej:

– Czwarty posłaniec, ale w końcu się przebił i przysłał cię, panie. A nasz kapitan, Thoric, mówił, że stolica nigdy nie potraktuje nas poważnie. Bez obrazy, panie.

Mówiący zamilkł, uznając, że trochę się zagalopował.

– Ja tam zawsze wierzyłem, że książę o nas nie zapomni – dodał.

Bellus puścił jego patriotyczne wyznanie mimo uszu. Uważnie obserwował dziedziniec.

Wszystko wyglądało normalnie, jednak w zachowaniu zbrojnych, a nawet służby, która wycierała ciekawie z pomieszczeń gospodarczych, dało się wyczuć jakieś napięcie. Nie zdążył wszakże zastanowić się nad tym głębiej, bo gdy tylko przekroczył próg budowli i znalazł się na początku długiego korytarza, usłyszał znajomy głos.

– Przysłał śledczego! Nareszcie! Dawajcie go tu, szybko!

Mervil spojrział w tamtą stronę, zawahał się, przystanął, a potem ruszył przed siebie. Wreszcie po tylu latach miał zobaczyć swojego starego przyjaciela i mentora – autora licznych prac, które zmieniły pojmowanie przeszłości, a zatem i teraźniejszości Latilii. Jednakże dobrze znany Mervilowi mocny głos nie należał już do szpakowatego, prostego jak włócznia filozofa z wydatnym orlim nosem. Hrabia Sariva był zgarbionym starcem o twarzy pobrużdżonej troskami. Mervil przystanął na chwilę, badawczo spoglądając w oczy pana zamku. Dostrzegł w nich echa dawnej niezłomności. Sariva był nie mniej zdziwiony zmianą, która zaszła w jego niegdysiejszym podopiecznym. Zasmucił się, poznając, że jego uczeń przegrał w życiu coś ważnego. Wzajemne czytanie twarzy trwało kilka sekund. Obaj zakończyli je szczerym uśmiechem. Hrabia Sariva zaczął z namaszczeniem:

– To zaszczyt i przyjemność gościć śledczego księstwa Nerolfu.

Bellus ukłonił się.

– Niewielu by się z tobą zgodziło, panie hrabio. Ale to nieważne. To ja się cieszę, że tu jestem. Nie jako śledczy, ale jako dawny uczeń i przyjaciel. Powiedziałeś mi kiedyś, panie, że twoje drzwi zawsze stoją przede mną otworem. Dziś więc korzystam z dawnego zaproszenia.

– Pamiętam o nim i z przyjemnością je podtrzymuję. – Hrabia gestem wskazał gościowi komnatę i spojrział wymownie w stronę służącego.

Po chwili siedzieli już przy zastawionym stole i wznosili pierwsze toasty.

– Wiele o tobie myślałem przez te lata, Mervilu. Zastanawiałem się, co robisz. Próbowałem znaleźć u księgarzy jakieś twoje dzieło.

– Niestety, żadnego nie napisałem, panie hrabio. – Uśmiechnął się smutno śledczy.

– Och – Sariva machnął ręką – dajmy spokój tytułom, przecież kiedyś mówiliśmy sobie po imieniu.

– Cieszę się, Iorgo, że o tym pamiętasz. Niewielu w Nerolfie chce dziś przyznać, że kiedyś mnie znało.

– Ja do nich nie należę.

Bellus uniósł puchar. Wypili.

– A twoje nowe zajęcie, Mervilu? – zainteresował się hrabia.

– Już nie takie nowe. Mam spore doświadczenie. I jestem dobry w tym, co robię. – W jego słowach nie było ani odrobiny pychy i Sariva o tym wiedział.

– Lubisz je? – spytał uprzejmie.

– Jest pożyteczne. Zresztą nic innego nie umiem.

– A nauka?

– Straciłem do niej serce. Nigdy tak naprawdę mi nie pomogła.

Po tych słowach Mervil zamilkł. Iorgo Sariva taktownie zmienił temat:

– Przyjąłeś to zlecenie po starej znajomości?

– Mówisz o przyjeździe tutaj?

– Właśnie.

– Nie, Iorgo, mówiłem poważnie. Przyjechałem tu, by odpocząć i zobaczyć starego przyjaciela. Nic więcej. Nie mam pojęcia, o jakim zleceniu mówisz. Bierzesz mnie za kogoś innego – odparł śledczy.

– Więc nie przysłał cię Avidion?

– Nie. Przykro mi. Jakikolwiek problem macie w tych stronach, ja nie przyjechałem go rozwiązać, choć – tu Mervil nieco się zawahał – nieoficjalnie mogę coś doradzić.

– Ach tak. – Sariva mówił jakby do siebie. – A więc czterech posłańców zawiodło.

– Może Avidion zlekceważył prośbę?

– Nie sądzę. Posłańcy nie wrócili. Zresztą sprawy zaszły za daleko. Gdyby książę wiedział, z pewnością by zareagował.

– Co tu się dzieje, Iorgo? – Bellus spojrzał na niego z troską.

Twarz hrabiego odmieniła się w mgnieniu oka.

– Dzisiaj nic się nie dzieje! Dzisiaj pijemy wino i rozmawiamy jak starzy przyjaciele, którymi jesteśmy. Mamy całą noc, by nadrobić kilkanaście lat. Ty, jak widzę, wolisz milczeć na temat przeszłości, zatem mam nadzieję, że wysłuchasz, co ja mam ci do opowiedzenia.

Uniósł kielich.

– Zdrowie twojej głowy, która tak dobrze zapamiętała moje zaproszenie.

Śledczy obudził się o świcie. Porę dnia rozpoznał po krzątaniu i okrzykach na dziedzińcu, bo za oknem próżno było szukać słońca. Głowa natychmiast dała mu do zrozumienia, że dopiero niedawno się położył. Trzeba było kilku butelek wina, by nadrobić stracone lata, przypomnieć sobie o niegdysiejszych pasjach, wspomnieć zmarłą żonę gospodarza. Mimo bólu w skroniach Bellus wstał od razu i zaczął rozciągać zleżałe mięśnie. Czuł się prawie wesoły. Tego uczucia nie zagłuszała nawet myśl o tajemniczych problemach hrabiego. Dobrze wiedział, że prędzej czy później będzie musiał się z nimi zmierzyć i był na to gotowy. W drzwiach pojawił się służący.

– Czy życzysz sobie miednicę, panie?

Mervil skinął głową. Wszystkie jego rzeczy leżały starannie ułożone pod ścianą. Po zakończeniu porannej toalety wysupłał z juków lekki strój, którego nie nosił od dawna i zadowolony, że wciąż pasuje, postanowił sprawdzić, jak zajęto się jego koniem. Idąc zamkowymi korytarzami, podziwiał smak i klasę, z jaką Sariva urządził swą siedzibę. Ściany ozdabiały dzieła wielkich artystów epoki. Część z nich nieznana była jeszcze szerszej publiczności, ale Mervil wiedział, że skoro Sariva ocenił je pozytywnie, z pewnością kiedyś zostaną uznane za arcydzieła. Śledczy z przyjemnością przyglądał się zbrojom, rzeźbom, kolekcjom broni. Kiedy w końcu znalazł się na dziedzińcu, poczuł przenikliwe zimno.

– Czy tu zawsze tak jest o tej porze roku? – zagadnął jednego ze strażników.

– Nie, panie – odparł tamten, spluwając.

Ton jego głosu wskazywał, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę.

Śledczy nie naciskał i skierował się w stronę stajni. Jego koń był oporzędzony i nakarmiony. Jeździec poklepał go tylko po karku, po czym rzucił stajennemu drobną monetę. Ten nadzwyczaj zręcznie chwycił ją w locie. Bellus przez chwilę miał ochotę zrobić to jeszcze raz, by obejrzeć w akcji chwytne ręce chłopaka.

„W Nerolfie byłby już pewnie złodziejem” – pomyślał.

Opuściwszy stajnię, Mervil począł przechadzać się po dziedzińcu i murach obronnych. We wszystkich twarzach dostrzegał ten sam niepokój.

Niektórzy próbowali niezdarnie ukryć zdenerwowanie. Śledczy wiedział, że tak zachowują się ludzie o zszarganych nerwach, którzy zbyt długo czekają na coś strasznego, co wciąż nie nadchodzi. Sam jeszcze się nie bał, był tylko ciekawy. Jako że lekki kaftan nie chronił zbyt dobrze przed zimnem, postanowił wrócić do zamku. Nie poszedł jednak do swej sypialni na piętrze, lecz do dużej sali biesiadnej, w której ucztował zeszłej nocy z gospodarzem. Spodziewał się śniadania i rzeczywiście na niego czekało. Hrabia Sariva siedział już przy zastawionym stole w towarzystwie dobrze zbudowanego mężczyzny o ogorzalej twarzy.

– Witaj, Mervilu. – Gospodarz przyjaźnie skinął głową. – Zapraszamy.

– Wcześniej wstałeś, Iorgo – powiedział śledczy, dziękując gestem i siadając.

– W ogóle się nie kładłem. Bezsenna noc to dla mola książkowego jeden z prezentów starości. Poznaj kapitana Thorica, dowódcę moich żołnierzy. – Sariva wskazał na swego towarzysza.

Mervil odpowiedział na pozdrowienie żołnierza lekkim ukłonem. W jego oczach dostrzegł oznaki wrogości. Zapewne, jak większość prowincjonalnych oficerów, ten człowiek uważał, że ludzie ze stolicy niewiele wiedzą o prawdziwym życiu i w gruncie rzeczy nie znają się na swojej robocie. Przez chwilę mężczyźni jedli w milczeniu, jednak w końcu Thoric nie wytrzymał:

– Panie śledczy, czy mógłbym zapytać, dlaczego księżę przysłał nam tylko ciebie? Nie wątpię w twoje umiejętności, ale sam rozumiesz...

– Kapitanie – rzekł twardo Bellus, bo nie chciał zachęcać mężczyzny do dalszych zuchwałości. – Powiem to tylko raz. Posłuchaj uważnie, a potem powtórz swoim podwładnym: nikt mnie tutaj nie przysłał! Z własnej woli przyjechałem odwiedzić starego przyjaciela. Tak się składa, że jestem księżęcym śledczym, a wy akurat kogoś takiego potrzebujecie. Ze względu na gospodarza zrobię, co będę mógł, by wam pomóc, lecz nie zmienia to faktu, że nie jestem tu oficjalnie. Więc jeśli ktokolwiek w tym zamku ma jakieś pretensje do księcia Avidiona, proszę, by wyrażał je pod moją nieobecność, a najlepiej by nie wyrażał ich wcale. Czy to jasne, kapitanie?

Mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Thoric z ociąganiem skinął głową. Mervil przewidywał, że jeszcze będą z nim kłopoty. Wszak każdemu dowódcy trudno przyznać, że stracił panowanie nad sytuacją.

– Poza tym – kończył surowo śledczy – nie przywykłem, by ktokolwiek zwracał się do mnie w ten sposób. To również radzę zapamiętać.

Thoric milczał. Iorgo Sariva nie wtrącał się, rozumiejąc, że właśnie wykuwa się nowa hierarchia kompetencji. Po dłuższej chwili zaczął pojednawczo:

– Drogi Mervilu, kapitan Thoric nie chciał cię urazić. Nikt tu nie wątpi w dobrą wolę księcia. Sytuacja, z którą mamy do czynienia, wprowadza w nasze zachowanie pewną nerwowość. Jest mi niezmiernie przykro, że jako gość będziesz zmuszony pomagać nam w rozwiązywaniu problemów.

Mervil sięgnął po kawałek chleba.

– Od lat nie robię nic innego. Choć ci, w których imieniu upominam się o sprawiedliwość, zazwyczaj są już martwi. Tym razem chętnie zrobię coś dla żywych. Pod warunkiem, że sami tego zechcecie. – Spojrzał znacząco na Thorica, lecz ten nie podjął zaczepki.

– Niestety, w naszej historii również nie brakuje trupów. – Sariva pokiwał smutno głową.

– Domyślam się – wzruszył ramionami Mervil. – Wystarczy rzut oka na wasze twarze i zachowanie. Wszyscy noszą broń, strażę wypatrują jakiegoś niewidzialnego wroga. Jednak nie przygotowujecie się do odparcia szturmowi ani do otwartej wojny. Żołnierz nie boi się śmierci w chwale, tylko skrytobójstwa, sztyletu zdradziecko wbitego w plecy i tego, czego nie rozumie. W tym zamku nawet kucharz idący do spiżarni ostrożnie łapie za klamkę i zagląda, czy ktoś nie czai się za drzwiami. Dla was wróg jest wszędzie i nigdzie. Mam rację?

– Tak, Mervilu, żyjemy w strachu. Pozwól jednak, że zacznę od początku.

Thoric dolał Mervilowi wina, a śledczy podziękował, doceniając pojednawczy gest. Pociągnął spory łyk, mając dziwne wrażenie, że jest

wieczór, a nie wczesny ranek. Uczucie to potęgowały drwa trzaskające na palenisku i zaokienna szarość. Hrabia Sariva podążył za wzrokiem Mervila.

– No właśnie – zaczął – od tego wszystko się zaczęło: od pogody. Na początku nikt tego nie zauważył, ale czas mijał i nic się nie zmieniało. Ostatnie lato skończyło się zwyczajnie, a po nim nadeszła jesień. Jednak nie zmieniła się w zimę. Na przełomie roku nie spadł ani jeden płatek śniegu. Było szaro, zimno, coraz bardziej ponuro i deszczowo. Świat wokół nas zaczął się zmieniać, gnić. Czuliśmy to w powietrzu, w wodzie, w drzewach. Zwierzęta były niespokojne, ludzie rozdrażnieni. Nie można wszakże prosić o pomoc Nerolfu ze względu na to, że nie ma zimy i nie nadchodzi wiosna, prawda? Przewertowałem wszystkie rozprawy przyrodników, jakie posiadam i żaden z nich nie pisał o takich zjawiskach. Owszem wspomniano o niezwykle mroźnych lub łagodnych zimach lub o tym, że po mroźnej zimie gwałtownie przychodzi wiosna, ale nigdzie nie znalazłem wzmianki o sześciomiesięcznej jesieni.

Sariva sięgnął po butelkę. Kiedy napełniał kielich i unosił go do ust, ręka drżała mu nieznacznie. Jednak trunek wygładził rysy twarzy, łagodząc niepokój i pozostawiając na ustach krople czerwieni. Hrabia kontynuował:

– Zaczęło się chyba ze dwa miesiące temu. Mam na myśli morderstwa. Ludzie z wioski znaleźli dwa ciała, rozerwane niemal na strzępy. Potem było jeszcze kilkanaście takich przypadków. Chłopi nie wychodzili już samotnie. Niestety, z czasem zaczęto znajdować nie pojedyncze ciała, lecz całe sterty ludzkich strzępów. Oczywiście zarządziłem śledztwo, wysłałem do wsi żołnierzy. Jednak wiosek mam aż pięć, a zbrojnych ledwie trzydziestu. Nic to nie dało, bo choć ludzie stali się ostrożniejsi, ginęli nadal. Miesiąc temu znaleziono całą rodzinę. Wymordowano ich w nocy w zamkniętej od środka chacie. Ludzie słyszeli straszliwe wrzaski, lecz nie mogli dostać się do środka. Kiedy drzwi ustąpiły, zostały już tylko zmasakrowane ciała. Ani śladu napastników.

Thoric spuścił głowę. Zapewne badał tamte zwłoki. Bellus przyglądał mu się kątem oka. Kapitan wyglądał na doświadczonego żołnierza, który widział w życiu wiele śmierci. Ta musiała być inna, skoro wciąż wzdrygał się

na jej wspomnienie. Nagle żołnierz odwrócił się w stronę Mervila, potwierdzając jego przypuszczenia:

– Przepraszam. Może ja powiem, panie hrabio.

– Ależ proszę, kapitanie.

– Byliśmy tam nazajutrz. Te dzieci... matka, ojciec... wyglądali, jakby bardzo cierpieli. Ich ciała były dosłownie rozszarpane. Wszędzie walały się ostre przedmioty. Pewnie bronili się do samego końca. W kącie chaty była kałuża krzepnącej krwi, jakby tam zostali zabici, potem ktoś ułożył z nich dziwny stos. Trudno to wytłumaczyć. Jakby sprawcy poprzenosili zwłoki i związali je razem. Tylko jak potem wydostali się z chaty otoczonej przez kilkadziesiąt osób? Panie, widziałeś kiedyś coś takiego?

– Nigdy. – Śledczy pokręcił głową.

– Dziękuję, Thoricu. – Hrabia położył rękę na ramieniu mężczyzny i zwrócił się do Mervila: – Od tamtej pory żyjemy w strachu, chłopci nie opuszczają wioski, nie czujemy się tu bezpieczni. Ludzie zaczynają tracić zmysły, szukają pocieszenia w starych legendach. Mówią, że w tych lasach czai się jakieś pradawne zło. Jakby tego było mało, naszą sytuację wykorzystują wszelkiej maści szumowiny, gwałciciele i rabusie. Kiedy bowiem słabną rządy prawa, na to miejsce natychmiast wchodzi siła. Doszły nas słuchy, że od kilku tygodni grasuje tu banda, która zamierza wzbogacić się na naszym nieszczęściu. Niestety, nie mogę chronić poddanych tak, jak bym chciał. Nie ma środków, by tych bandytów wytropić i postawić przed sądem. Zostało mi tylko dwudziestu ludzi. Czterech wysłałem do Nerolfu i najwyraźniej przepadli bez wieści. Sześciu zginęło w lesie. Odnaleźliśmy trzy ciała. Leżące razem. Powiedz, Mervilu, kto jest w stanie zabić trzech zbrojnych, nie zostawiwszy żadnych śladów?

– Nie wiem, Iorgo, naprawdę nie wiem. Potrzebuję więcej informacji, muszę obejrzeć miejsca zbrodni.

– Pochowaliśmy już ofiary. Możesz jednak ruszyć z moimi żołnierzami. Co drugi dzień wysyłam pięcioosobowy patrol, by objechał wioski. Ostatnio nic się nie wydarzyło. Kto wie, może to wszystko już się kończy? – W głosie hrabiego pobrzmiwała irracjonalna nadzieja.

– Wątpię – odpowiedział Mervil.

– Ja również. – Thoric pociągnął spory łyk wina.

Czerwony płyn pociekł mu po brodzie.

– Ruszymy dalej, na południe? – upewnił się śledczy.

– Tak. – Sariva skinął głową. – Jak wiesz, Reza leży w zakolu rzeki, zatem jedyna droga, na której nie trzeba się przez nią przeprawiać, to gościniec prowadzący do Nerolfu. A za rzeką leży już Mora.

– Czy tam również utrzymuje się taka pogoda? – spytał Mervil.

– Nie wiemy – odpowiedział smutno hrabia. – Wezbrana od deszczów rzeka zerwała trzy mosty i zalała wszystkie brody. Jesteśmy odcięci.

Jakby na potwierdzenie tych słów usłyszeli krople deszczu, z coraz większą siłą uderzające w grube mury.

– Pada, znowu pada – wyszeptał kapitan Thoric, wpatrując się w okno jak zahipnotyzowany.

– Thoricu. – Sariva spojrzał na niego zatroskany. – Thoricu! – powtórzył, gdyż ten nie reagował. – Kapitanie! – krzyknął w końcu.

Rysy Thorica zmiękły. Przez chwilę wyglądał jak bezbronne dziecko, przyłapano na robieniu czegoś złego. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i bezradnego.

– Panie, ja...

– W porządku, kapitanie, wszyscy mamy zszargane nerwy. Przygotuj ludzi do wymarszu. – Głos hrabiego brzmiał pojednawczo, lecz w oczach pojawił się niepokój.

Kiedy Thoric wyszedł, Sariva zwrócił się do Mervila ściszym głosem:

– Służysz tu od dziesięciu lat. Trzy razy ocalił mi życie, a teraz? Zawsze był twardy i lojalny, ale to chyba go przerasta. Widziałeś, jak się przed chwilą zachował. Co o tym myślisz?

– Myślę, że zacznę nosić przy sobie więcej broni. Przegrywacie tę wojnę.

– W jakim sensie?

– Mówię o morale twoich żołnierzy, ich niepewności i strachu. Złapałem wielu zabójców. Niektórzy, zanim zabili, doprowadzali ofiarę na skraj obłądzenia, sprawiali, że samej śmierci wypatrywała z ulgą. Obaj wiemy, że istnieją twierdze zdobyte bez jednej potyczki, bo dusze obrońców nie były z tego samego materiału, co ich miecze.

Sariva jeszcze bardziej ściszył głos.

– Ktoś chce nas stąd wykurzyć?

– Być może. Krąży wokół jak drapieżnik, terroryzuje stado. Zaatakuję lub wywabi was z zamku. Kiedy strach odbierze wam rozsądek, staniecie się łatwym celem. Zostaną puste mury. Kto się poskarży Nerolfowi? Zresztą nowi właściciele będą mieli jakieś „zaginione” dokumenty, stwierdzające, że prawowity dziedzic tych ziem powrócił. Sam wiesz, Iorgo. Historia zna takie przypadki.

Sariva pogładził nerwowo zmarszczony jak pergamin policzek.

– Może masz rację, a może... Mervilu, nie mówiłem o tym nikomu, a jeszcze rok temu sam bym się z tego śmiał, ale znalazłem pewne podania...

– Iorgo, pozwól, że najpierw sam wyrobię sobie zdanie na ten temat. Kiedy wyeliminujemy wszystkie wyjaśnienia, przyjdzie pora na legendy i baśnie. Ostatnio ścigałem wampira, który okazał się człowiekiem. Wierzę, że i tu wyjaśnienie będzie racjonalne i logiczne.

– Wampira, naprawdę?

– Bogaty gówniarz rozgryzał kobietom gardła.

– I co się z nim stało?

– Nazywam to „aresztowaniem w starym stylu”.

– Brzmi efektownie.

– Ale brudzi ręce.

Ostatnie naczynia znikają w ogromnej zmywarce. Pośród ziewania i poklepywań po plecach wszyscy zbierają swoje rzeczy i wychodzą. Sebastian, restauracyjny trendsetter w monoklu Ray-Bana, proponuje Vermilowi podwózkę. Ten jednak odmawia. Jest oszołomiony uderzeniem rzeńskiego, nocnego powietrza. Po kilku godzinach na imprezie dla młodych wilczków regionalnego biznesu chce dotlenić organizm. Twarz aż boli od uprzejmego uśmiechu. Młodzi menedżerowie są szczególnie wrażliwi na choćby najmniejsze odstępstwo obsługi od wiernopoddańczej formy. Trudny wieczór rekompensuje jednak spory napiwek. Olson idzie w kierunku Jagiellońskiej, po czym skręca w Gdańską. Czeką go trzydziestominutowy spacer. Odwraca się jeszcze w stronę jasnego łuku aerostrady. Jest piękna.

Na ulicach pustka. Ostatni imprezowicze wsiadają do taksówek. Tylko wszechobecne holo stwarza pozór ruchu. Vermil mija witryny sklepowe, pozamykane kawiarnie. Nad jego głową co jakiś czas brzęczy policyjny dron. Za dwie godziny ludzie mający normalne, nudne zajęcia wstaną i jak mrówki wyleją się na ulice. A on będzie spał i marzył. Uwielbia to uczucie, które pozwala mu sądzić, że nie zanurza się w smutnej rutynie życia, że podobnie jak na studiach jest wolny, sam buduje swój niestandardowy plan dnia. Mija centrum i zagłębia się w Gdańską. Nie każda fasada trzyma tu pełne holo. Jest sporo ładnej cegły, przeplatanej białymi tynkami ponad stuletnich kamienic.

Vermil czuje się trochę jak stworzony przez niego bohater, przechadzający się ulicami Nerolfu. Patrzy więc w prawo, czy w tunelu przecznicy nie uda mu się dostrzec ogromnej kopuły bazyliki św. Wincentego à Paulo. Niestety, zasłaniają ją kamienice. Wyobraźnia Olsona pracuje dalej. Myśli o nożach, które mógłby ukrywać w zakamarkach odzieży i zastanawia się, dlaczego właściwie nigdy nie nauczył się nimi porządnie rzucać. Owszem, fascynowały go w dzieciństwie, ale mama

wyraziła zgodę tylko na plastikowy scyzoryk, a ojciec bredził coś o survivalowym sprzęcie jakiegoś Johna Rambo. A jemu chodziło przecież o eleganckie, dyskretne ostrze na każdą okazję. Postanawia, że poszuka czegoś takiego. Mimowolnie sięga do wężła i wyrzuca na okulary kilka stron dla miłośników białej broni. Przed sobą zostawia tylko mgławą nitkę chodnika. Nie musi uważać, na ulicy i tak jest pusto. Z radością stwierdza, że noży jest dużo. Na pewno znajdzie coś dla siebie. Być może zamówiłby coś już teraz, ale nagle zdaje sobie sprawę z dojmującego bólu w podbrzuszu. Cholernie chce mu się sikać. Najwyraźniej przestawione na tryb pracy ciało dopiero teraz pozwoliło sobie na rozluźnienie, dając znać, czego potrzebuje.

Vermil wygasza wężel i bezradnie rozgląda się za miejscem, gdzie mógłby się odlać. Restauracje są pozamykane. W pobliżu nie ma żadnego miejskiego szaletu, jednak jakieś trzydzieści metrów dalej dostrzega ocieniony zaułek, prowadzący na tyły sklepu spożywczego. Odpala wężel i aktywuje nie do końca legalną apkę, pokazującą aktywność policyjnych dronów. Rozgląda się uważnie dokoła. Okulary zamieniają świat w czarno-biały szkic. Na czerwono powinny podświetlić się aktywne drony. Najbliższy znajduje się siedemdziesiąt metrów dalej. Olson wchodzi w zaułek, sprawdzając, czy nie ma tam kamer. Zbliża się do zacienionego kwadratu przy śmietniku i rozpina rozporek. Mocz szmerze na ceglanej ścianie jak górski strumyczek, a on czuje niewymowną ulgę.

– A potem się dziwić, że jebie tu szczołami! – Słyszy szyderczy głos za plecami.

Obraca się, niezdarnie dopinając spodnie.

– Coś tam się ułało, kolego. – W głosie mężczyzny brzmi ironiczna troska.

Pozostali wybuchają śmiechem. Jest ich czterech, w rękach mają niedopite piwa. Noszą się niedbale, mają popsute zęby. Należą do gatunku ludzi, których nigdy nie obejmie żaden postęp. Nawet jeśli garnitury rozdawano by za darmo, oni i tak woleliby swoje stare dresy. Są niewiele starsi od Vermila, a wyglądają, jakby dzieliła ich epoka. Na ich tatuowanych przedramionach widać węzłaste mięśnie.

– Podobają mi się twoje okulary – mówi jeden, przypominający marynarza.

Olson wie, co zrobiłby Mervil. Kopnąłby „marynarza” w jądra, po czym pchnąłby go w kierunku drugiego napastnika. Następnie chwyciłby wystający ze śmietnika kątownik i cisnął nim w twarz trzeciego zbira. Czwarty byłby na tyle zdezorientowany, że wystarczyłoby kopnięcie w udo i poprawka kolanem w twarz. Potem chwyt za butelkę, uderzenie w głowę najbardziej przytomnego i kilka kopniaków dla pozostałych leżących. Na koniec zgrabny piruet i ucieczka z zaułka. Na Gdańskiej są kamery i drony, tam byłoby bezpiecznie.

Jednak Vermil nie jest Mervilem, dlatego stoi i patrzy. Nie stać go nawet na uniesienie rąk, gdy niezdarny cep leci w kierunku jego szczęki. Nie broni się. Pada jak kłoda. Czuje ręce przeszukujące mu kieszenie, lepkie, śmierdzące palce zdejmujące okulary z nosa. Bandyci nie biorą węzła. Za duże ryzyko. Na szczęście ma trochę gotówki. Są zadowoleni. Pomagają mu wstać.

– Tu jest niebezpiecznie, ziomus. Można się przewrócić. Nie trzeba było tyle pić.

Ktoś oblewa go piwem.

– No, a teraz do domu. Do żonki. Bez awantur na mieście.

Silne ręce wypychają go z zaułka. Wygląda jak pijak, który osikał się w bramie. Chce protestować, chce walczyć. Ale nie potrafi. Tkwi w nim wpajany od dzieciństwa imperatyw pacyfizmu. Nie chodzi tylko o strach, choć oczywiście Vermil się boi, lecz raczej o poczucie wyższości, którą rzekomo ma odczuwać ofiara. Obrona to przemoc, a przemoc jest zła, tylko rozsierza napastnika. Prawdziwy mężczyzna nie toleruje przemocy, a zaczyna przede wszystkim od siebie.

Olson ma ochotę się rozplakać. W jego umyśle z impetem tektonicznych płyt ścierają się ze sobą biologia i ideologia. Zaułek zostaje daleko za nim. Ociera mokry od alkoholu policzek. Tłumaczy sobie, że wszystko skończyło się dobrze, że nie ma sensu tego zgłaszać. Zachował się bardzo mądrze. Nie podjął zbędnego ryzyka. Zresztą i tak nie lubił tamtych okularów. A pieniądze? Już o nich zapomniał.

Mimo wszystko Vermil musi złożyć hołd testosteronowi. I robi to. Może nie jest w stanie skuć komuś mordy w Bydgoszczy, jednak ma nadzieję, że niedługo Mervil zrobi to za niego w Rezie.

SESJA CZWARTA

Musiłbyś widzieć te ciała

Sześciu zbrojnych opuściło bezpieczne mury zamku i wjechało na drogę prowadzącą w głąb ziem hrabiego Sarivy. Jeszcze kilka miesięcy temu był to ubity trakt, ale teraz, pod wpływem obfitych deszczy, przemienił się on w błotnistą breję, co krok tryskającą spod kopyt wierzchowców.

– Przynajmniej przestało padać – stwierdził Thoric z udawanym optymizmem.

Żołnierze, którym najwyraźniej chciał dodać w ten sposób otuchy, nawet nie zwrócili na niego uwagi. Byli spięci. Zbyt spięci jak na gust Mervila. Wątpił, by w krytycznym momencie mógł polegać na którymkolwiek z nich.

– Kapitanie, jedziemy do wioski, tak? – spytał ostrożnie jeden ze zbrojnych.

– Właśnie tak, Marco. I to nie do jednej, lecz przynajmniej do trzech. No, żwawo! Chcemy wrócić przed zmrokiem!

– Tak jest! – odparł żołnierz, wykrzesawszy z siebie resztki animuszu.

Przez dłuższy czas jechali w ciszy.

– Dlaczego ja, Thoricu? – Obruszył się nagle ten, który wcześniej zadał dowódcy pytanie. – Przecież było tylu innych, dlaczego właśnie ja?

Kapitan spał konia i obrócił się w stronę mówiącego.

– Chcesz coś powiedzieć, Marco? – spytał ostro.

Podwładny nie odpowiedział, ale z sekundy na sekundę zdawał się tracić nad sobą panowanie. Jego oczy rzucały dzikie błyski, dolna szczęka drżała. Pozostali, włącznie z Mervilem, przyglądali się tej scenie w napięciu. Jednak po chwili Marco się opanował, bo zawrócił konia i bez słowa dołączył do szeregu.

– Hej, tam się coś rusza, tam ktoś jest! – zawołał nagle jeden z żołnierzy.

– Trzymać szyk! – krzyknął Thoric.

Mężczyźni dobyli mieczy i przez długą chwilę przyglądali się pobliskim drzewom.

– Zdawało ci się, Tradisie – zaczął ostrożnie kapitan, jednak wtedy za plecami usłyszeli głuchy skrzek. Znad koron drzew wynurzyły się wielkie skrzydła.

Mervil najszybciej ocenił sytuację.

– Spokojnie, on jest ze mną – odezwał się. Aquil przysiadł pośrodku drogi i przyglądał się żołnierzom, jakby chciał zapamiętać ich twarze.

Kapitan skinął tylko głową i dał znak. Ruszyli.

– Ale ja naprawdę kogoś widziałem! Nie tylko ptaka! – Tradis wciąż nie dawał za wygraną.

– Ktokolwiek tam był, już go nie ma. Przecież nie będziemy gonić za nim po lesie. Jedźmy! – rzucił Thoric, ale w jego głosie słyhać było, iż wątpi w prawdziwość słów podkomendnego.

Mervil wszakże jeszcze przez kilka chwil wpatrywał się ciemną ścianę lasu, podążając za bystrymi oczami Aquila. Tradis miał rację, cokolwiek czaiło się w gęstwinie, orzeł też to wyczuł lub zobaczył. Mervil przez chwilę obserwował ptaka, wyciągającego szyję w stronę drzew. Nie było jednak sensu zostawać dłużej w tyle, więc dołączyli do oddziału. Wkrótce patrol wyjechał z leśnego traktu na otwartą przestrzeń, gdzie droga oplatała uprawne pola. Żołnierze nieco się rozluźnili. Tutaj łatwiej mogli dostrzec potencjalne niebezpieczeństwo. Posuwali się wolno, uważnie lustrując okolicę skrytą w kłębach szarawej mgły, która unosiła się nad polami. Trudno było uwierzyć, że jest wczesne, wiosenne przedpołudnie. Mervil wbijał wzrok w szerokie plecy jadących przed nim żołnierzy. Badał ich reakcje, słuchał, o czym rozmawiają. Choć wydawało się mało prawdopodobne, że nawet najbardziej zwyrodniała banda rzezimieszków odważy się zaatakować sześciu konnych w pełnym rynsztunku na otwartym polu, mężczyźni raz po raz odruchowo dotykali rękojeści mieczy. W związku z tym jakaś natarczywa, nie do końca jasna myśl nie dawała Mervilowi spokoju, uwierała niczym niedopasowany but. Jej potwierdzenie znalazł na twarzy Marco, który od dłuższego czasu rozglądał się po okolicy, jakby widział ją po raz pierwszy od bardzo dawna.

Śledczy szczerzej otulił się płaszczem, przeklął klimat Rezy i przyspieszył, by zrównać się z dowódcą.

– Thoricu – zagaił – od jak dawna nie wyruszenie na patrol?

– Nie rozumiem, panie, przecież robimy to co drugi dzień.

– Ależ rozumiesz, kapitanie – przerwał twardo Bellus. – Pytam, od jak dawna nie wyruszaście na prawdziwy patrol, bo coś mi się zdaje, że gdyby nie ja, zatrzymalibyście się tuż za zakrętem, oddaliwszy się od zamku tylko na tyle, by nie widziano was z murów. Mam rację?

Kapitan zacisnął usta.

– Trzy tygodnie – wyszeptał. – Trzy tygodnie temu ostatni raz byliśmy we wsi.

Mervil nie odpowiedział. Postanowił darować sobie reprimendy. W tej chwili znajdował się na terenie wroga i był zdany tylko na siebie i Aquila. Bez słowa zostawił kapitana. Ten jednak dogonił go i powiedział łamiącym się głosem:

– Panie, ty nie rozumiesz. Musiałbyś widzieć te ciała. Tu grasuje demon, nie człowiek, nic tu po nas, musimy przeczekać! Nie pomożemy ludziom w wiosce, bo nie umiemy pomóc samym sobie. Musimy przeczekać.

– Przeczekać? – zdziwił się śledczy.

– Tak – wtrącił jeden z żołnierzy. – Ta pogoda, panie, kiedyś się zmieni. To będzie znaczyło, że demon odszedł.

Żołnierze pokiwali głowami na znak aprobaty.

– No tak, demony – powiedział śledczy i urwał myśl.

Nie miał zamiaru dyskutować z zabobonami. Żałował, że nie ma z nim Ginkora.

Przez dłuższy czas znów jechali w milczeniu. Rozmowa jednak nie dobiegła jeszcze końca, bo żołnierz jadący tuż przed Mervilem nagle zwolnił.

– Panie, jechałem w patrolu, który odnalazł ciała trzech naszych. – Na jego młodej, szczerzej twarzy odbijał się ból i obrzydzenie. – Nigdy nie byłem religijny, nie wierzyłem w potwory, demony, duchy. No, sami wiecie. Moi zamordowani towarzysze mieli jednak taki wyraz twarzy, jakiego nie widziałem u żadnego człowieka. Wszyscy zginęli z bronią w ręku,

niemożliwe, żeby nie próbowali walczyć, a byli dosłownie poszatkowani. Leżeli blisko siebie, więc do ostatniej chwili musieli się bronić ramię w ramię. Mimo to nie wytrwali. Ale ich spojrzenia były tak pełne bólu i nienawiści! Ledwie ich poznaliśmy. – Mężczyzna zamilkł i popatrzył w niebo. – Może jednak warto by uwierzyć w jakiegoś boga? – dodał.

– Co zrobiliście z ciałami? – spytał rzeczowo Mervil.

– Pan hrabia kazał spalić, a prochy zakopać na cmentarzu.

– Szkoda – rzucił Mervil, lecz zaraz pożałował niebacznie rzuconego słowa, mężczyzna bowiem stracił ochotę do dalszych rozmów.

Zbrojni posuwali się w milczeniu. W pewnej chwili, gdy znów wjechali do lasu rozciągającego się po obu stronach szerokiej, błotnistej drogi, kapitan odezwał się cicho:

– Za tym lasem będzie wioska i...

Nim zdążył dokończyć, do uszu jadących dobiegł cichy, lecz wyraźny krzyk.

– Stop! – syknął Mervil i odwrócił się.

Aquil wzbił się wyżej.

– Ktoś jest przed nami, prawdopodobnie za tamtym zakrętem. – Spojrzał na ptaka, próbując wyczytać coś z jego kołowania.

Kapitan nie zadawał zbędnych pytań. Wydał krótki rozkaz i oddział zbliżył się do ściany lasu, zwalniając kroku. Tuż przed zakrętem kapitan dotknął ramion dwóch żołnierzy. Żaden z nich nie protestował. Mervil zdał sobie sprawę, że groza, którą odczuwał niedawno, odeszła. Inni też musieli wyczuć jakąś zmianę w powietrzu, bo kurczowo ściskali broń, a w ich oczach czaił się nie strach, lecz – determinacja. Tymczasem wyznaczeni mężczyźni zsiadli z koni i zagłębili się w zieloną gęstwinę. Po chwili na powrót wyłonili się z mokrego listowia. Jeden z nich raportował rzeczowo:

– Trzech rabusiów. Zabili chłopca i jego żonę. Dwóch plądruje wóz, a trzeci zabawia się z córką. Wątpię, by żyła – dodał.

– Broń? – spytał kapitan.

– Fragmenty zbroi, miecze. Zwykli bandyci.

– Dobra, wy dwaj z obu stron przez las, a reszta drogą. Najpierw spokojnie, potem przyspieszamy. Jak daleko za zakrętem?

- Jakies sto kroków – odparł zwiadowca.
- W takim razie ruszamy – zakomenderował dowódca.

Mervil również wyciągnął miecz, choć walka w siodle nie należała do jego najmocniejszych stron. Na koniu nie można było korzystać z większości technik szermierczych, które lubił.

Na zakręcie kapitan uniósł dłoń i mężczyźni pomknęli jak huragan. Nim rabusie zdążyli w pełni zdać sobie sprawę, co się stało, byli otoczeni. Zaskoczenie malujące się na ich twarzach świadczyło o tym, że prędeziej spodziewali się tu skrzatów ujeżdżających borsuki niż patrolu. Mervil pomyślał, że wina za to morderstwo obciąża sumienie kapitana. Teraz jednak Thoric miał okazję się zrehabilitować. Jeden z oprychów próbował uciekać, ale końskie kopyta szybko osadziły go w miejscu. Rabusie nie dobyli broni. Stali bezradnie na drodze pełnej porozrzucanych sprzętów. Obok wozu leżały ciała mężczyzny i kobiety. Z ich poderżniętych gardeł spływała krzepnąca powoli krew. Na wozie spoczywała rozkrzyżowana naga dziewczyna. Jej szyja, paskudnie rozharatana, była jedną wielką raną. Obok niej stał ze spuszczoneymi portkami włochaty drab.

– Związać ich! – rzucił kapitan do dwóch żołnierzy, którzy właśnie wyszli z lasu.

- Kapitanie, mamy tu potrójne morderstwo. Pozwól, że ja się tym zajmę.
- Głos Mervila przeciął chłodne powietrze.

Thoric wycofał się. Mervil popatrzył na pojmanyh.

– Jestem Mervil Bellus, książęcy śledczy Nerolfu – dodał oficjalnie.

Poczekał, aż żołnierze powiążą zdeorientowanych zbirów.

– Za potrójne morderstwo powinniście zostać skazani na śmierć. Jednak działamy w niecodziennych warunkach. Możecie uratować życie, jeśli udzielicie nam kilku informacji.

Po tych słowach zsiadł z konia i przyjrzał się ofiarom.

– Niech twoi ludzie, kapitanie, pochowają tych biedaków. To była zwykła napaść. Nie ich szukamy. – Gestem wskazał pojmanyh zbirów.

Thoric wydał rozkazy. Dwóch podkomendnych zajęło się zakopywaniem ciał, jeden ładował rozrzucone rzeczy z powrotem na wóz.

Mervil tymczasem stanął przed pierwszym ze związanych i przyglądał mu się z surowym wyrazem twarzy.

– Zadam ci pytanie – zaczął. – Jeśli odpowiedź mnie nie zadowoli, wyjmę zza pasa ten długi nóż. Jest naprawdę ostry. A potem zrobię ci nim nacięcie na przedramieniu. Wiesz, jak długo trwa zdzieranie paska ludzkiej skóry z całej ręki? Ja wiem, ale chcę byś sam się przekonał, dlatego ci nie powiem.

– Panie – odezwał się niepewnie kapitan – hrabia Sariva zabrania torturować jeńców. Rozkazy są ścisłe.

– A widzisz go gdzieś tutaj, Thoricu? – odparł spokojnie Bellus. – Zresztą i tak nie ma już nad nimi władzy. A nas łączy przecież wspólna tajemnica. Jeszcze nie zdecydowałem, czy powiem hrabiemu o waszym haniebnym postępku. Zatem i ty powinieneś rozważyć treść relacji z tego przesłuchania.

Thoric najwyraźniej rozważył, bo cofnął się pół kroku. Mervil zaczął przesłuchanie:

– Ilu ludzi liczy wasza banda?

– Tylko nas trzech – odpowiedział szybko pytany.

– Potwierdzisz to? – śledczy zwrócił się do drugiego z nich, włochatego olbrzyma, który wcześniej gwałcił leżącą na wozie dziewczynę.

Ten najwyraźniej otrząsnął się z szoku, bo z pogardą splunął śledczemu pod nogi. Bellus przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym powiedział:

– Niektórzy twierdzą, że torturowanie jest sztuką, że zadawania bólu trzeba się uczyć latami. Podobno dobra katowska cela winna zawierać więcej przyrządów niż można by zabrać tym wozem. Ja jednak się z nimi nie zgadzam. Uważam, że w zadawaniu mąk liczą się przede wszystkim małe, łatwo dostępne przedmioty.

W rękę śledczego pojawiła się nagle długa igła.

– Oto jedna z moich ulubionych zabawek: mała, poręczna i nie zawadza w podróży. Takim jak ty – wciąż patrzył na gwałciciela – potrafi bardzo uprzykrzyć życie.

Zamilkł. Błyskawicznie chwycił mężczyznę za włosy i wsadził mu igłę do ucha, przebijając bębenek. Zraniony zawył jak zwierzę. Upadł na ziemię i

zaczął więc się z bólu. Jako że ręce miał związane z tyłu, wyglądał jak mała włochata larwa, przypadkiem nadepnięta przez człowieka. Mervil przyglądał mu się przez chwilę z zainteresowaniem badacza, po czym uśmiechnął się do trzeciego z pojmanych. Nie musiał nawet zadawać pytania.

– Było nas ośmiu, jaśnie panie, ale tamtych już nie ma. Coś ich zabiło. Nie wiemy jak. Widzieliśmy tylko ciała.

– Zmaltretowane, pocięte, z nieludzkim grymasem na twarzach? – przerwał śledczy.

– Tak – odparł pokornie mężczyzna.

Kątem oka wciąż zerkał na wijącego się obok kompana.

– Kiedy zginął ostatni?

– Cztery dni temu.

Mervil zamyslił się i już, już miał zadać kolejne pytanie, kiedy pod rozchełstany płaszcz rabusia dostrzegł znajomy symbol. Mężczyzna miał na sobie napierśnik z białą różą Avidionów, taki, jakie nosili żołnierze eskortujący śledczego. Bellus, czując, jak tętno mu przyspiesza, rozerwał tkaninę na piersi mordercy.

– Skąd to masz!?! – ryknął

Mężczyzna skulił się, przytłoczony tym nagłym wybuchem złości. Żołnierze Thorica przyglądali się tej scenie w skupieniu.

– Mów, skąd to masz? – Śledczy powtórzył pytanie, puszczając więźnia.

– Wczoraj wieczorem, jaśnie panie, znaleźliśmy martwych żołnierzy. Zabiło ich to coś. – Głos mężczyzny lekko drżał.

Mervil nie wątpił, że tamten mówi prawdę. Nie wyobrażał sobie, by trzech kiepsko uzbrojonych rabusiów mogło zagrozić dwóm konnym żołnierzom Avidiona.

– Kapitanie – zwrócił się do Thorica – Książę wyznaczył mi eskortę, którą wczoraj po południu odesłałem do domu. Rozstaliśmy się nieopodal zamku. Mieli wracać drogą w stronę książęcego traktu.

– Chciałbyś znaleźć ciała, panie? – domyślił się żołnierz.

– Tak. Zobaczyłbym wreszcie, z czym mamy do czynienia – odparł śledczy. – Zaprowadzisz nas tam? – zwrócił się do mężczyzny.

Ten pokiwał głową.

– A co z tymi dwoma? – spytał Thoric.

– Na gałąź.

Dwóch żołnierzy zaczęło posłusznie wiązać pętle.

– Ale, panie miłosierny! Mówiłeś, że darujesz nam życie! Ja nikogo nie zabiłem, to oni mnie zmusili, ja tylko rabowałem! – Pierwszy z mężczyzn upadł do nóg Mervilowi. – Ja nic nie zrobiłem, chcę sądu, litości, ja nikogo nie zabiłem!

Śledczy odepchnął go kopniakiem:

– Działaliście wspólnie, zabijaliście wspólnie. Jeśli mówisz prawdę, to i tak jesteś odpowiedzialny. Ograbieś martwych z majątku i nie powstrzymałeś morderców.

– Panie, zabiliby mnie! – łkał tamten.

– Więc ocaliłeś życie, ale tylko na chwilę.

– Panie, może powinniśmy odstawić go do zamku? – zaczął niepewnie Thoric.

– Kapitanie – rzucił twardo Bellus – niereagowanie na zło czyni człowieka współwinnym. Zresztą i tak nie wiemy, czy on mówi prawdę. Za napad, trzy morderstwa i gwałt sprawiedliwą karą jest śmierć!

– Ale dałeś słowo! – krzyczał zbir.

– Bez przesady, zasugerowałem tylko taką możliwość. Jednak zmieniłem zdanie.

– Słusznie mówisz, panie – odezwał się nagle ten, który miał być przewodnikiem – zasłużyliśmy na śmierć. Bo Didon co prawda dziś nikogo nie zabił, ale musiałbyś go, panie, widzieć pięć dni temu.

– Ty! – wysapał nienawistnie mężczyzna u stóp Mervila, jednak nie zdążył dokończyć, bo uderzenie w twarz pozbawiło go przytomności.

– Nie myśl, że wywiniesz się od stryczka. – Bellus pociągnął za sobą skruszonego rabusia.

– Panie – zaszlochał tamten – myślę już o przyszłym życiu.

Mervil pchnął go w kierunku wozu.

– Sprawcie się szybko – nakazał żołnierzom, przerzucającym liny przez grube konary.

Kapitan i jego podwładni nie odezwali się już słowem. Z wprawą założyli pętle na gałęzie, po czym posadzili skazańców na koniach. Zwierzęta gwałtownie ruszyły, zostawiając dyndające na gałęziach ciała. Ostatni żywy skazaniec trafił na wóz, ciągnięty przez jedną starą szkapę. Pochlipywał cicho, patrząc na zapowiedź czekającego go losu. Zawrócono konie i oddział podążył z powrotem ku północnej części Rezy, gdzie zaczynała się droga prowadząca do Nerolfu.

Jechali stępą wśród siąpiącego deszczu, na który nikt już nie zwracał uwagi. Kapitan prowadził, a za nim podążali żołnierze otaczający wóz, na którym jechał więzień. Pochód zamykali Mervil i kołujący nad nim wysoko Aquil. Orzeł był tylko czarną plamką na szarym niebie, wydawało się, że deszcz nie robi na nim wrażenia. Bellus przetarł twarz i odruchowo sprawdził, czy noże są tam, gdzie powinny. Właśnie dojeżdżali do rozwidlenia, które mijał, jadąc tutaj z Nerolfu. Dobrze pamiętał to miejsce. Kawalek dalej zobaczyli zamkowe wieże i wtedy pozwolił eskortie odjechać.

– Bądźcie gotowi! – odezwał się kapitan i nie wiadomo było, czy chodzi mu o domniemany atak, czy też może o widok ciał, które mieli za chwilę odnaleźć.

Skazaniec tymczasem uważnie lustrował skraj lasu. Bellus znów popatrzył w niebo. Słońce prawdopodobnie już dawno minęło najwyższy punkt na nieboskłonie, co trudno było stwierdzić, jako że zza gęstych chmur nie przebijała się nawet odrobina błękitu. Mervil miał nadzieję, że zdążą przed zmrokiem. Jechali dość długo, aż nagle więzień krzyknął:

– To chyba tutaj! Kilkadziesiąt kroków w głąb lasu. Tam jest polana, na której ich znaleźliśmy.

– Prowadź! – rozkazał śledczy. – Kapitanie, biorę dwóch ludzi. Reszta niech zostanie tu z wozem i końmi.

Żołnierze popatrzyli niepewnie. Thoric wskazał dwóch z nich. Mężczyźni zsiadli z koni, wpatrując się z lękiem w nieprzyjazną ścianę drzew. Powykrzywiane gałęzie wyglądały jak szponiaste palce. Aquil pierwszy wbił się w ciemną zielen. Mervil przywiązał sznur do szyi skazańca i pchnął go lekko do przodu. Gdy tylko weszli w las, w oddali dostrzegł prześwit, który mógł być wspomnianą polaną. Odruchowo

wyciągnął miecz. Żołnierze poszli za jego przykładem. Bellus pomyślał, że chyba nigdy tak ostrożnie nie podchodził do trupów. Choć opowieści przygotowały go na to, co zobaczy, rzeczywistość prześcignęła wszystkie wyobrażenia. Rzut oka na ciała wystarczył, by jeden z żołnierzy wymiotował. Drugi przytomnie stanął tak, by to, co najgorsze skryło się za drzewami.

– Pilnuj go – wydyszał Mervil, chowając miecz i podając mu powróż, na którym prowadził więźnia.

Śledczy z trudem przetykał ślinę. Na dywanie zieloności leżały dwie postacie, powyginane w tak fantastyczny sposób, jakby ruchów ich kończyn nie ograniczały stawy. Ciała były blisko siebie, pokłute, pocięte i poszarpane. Rabusie zapewne je przesunęli, żeby zdjąć napierśniki, dlatego Mervil musiał wyobrazić sobie, jak mogły wyglądać, tworząc jedną, zwartą masę. Stąpał bardzo ostrożnie. Wnętrznosci wypływające z brzuchów rozlały się w śmierdzącą kałużę. Najgorsze były jednak twarze. Malował się na nich wyraz tak nieludzkiej nienawiści i bólu, że Bellus musiał odwrócić wzrok. Przez chwilę oddychał głęboko. Potem zasłonił nos i usta płaszczem, podszedł bliżej, by dotknąć leżących. Tkanina nie powstrzymała fetoru, który mieszał się z zapachem wilgoci. Śledczy przewyciężył torsje, kucnął i zaczął przyglądać się ranom oraz ułożeniu poszczególnych członków. Po dłuższej chwili z niemałym trudem przewrócił ciała na brzuch, chcąc zlustrować plecy. Zauważył, że wszystkie rany zostały zadane z przodu.

Wstał i przyjrzał się wilgotnej ściółce. Zdawało mu się, że rozróżnia buty żołnierzy i rabusiów, niemniej nie był tego pewien. Zaczął zataczać coraz większe koła wokół polany. Jednak nie znalazł niczego prócz wydeptanej ścieżki, którą tu przyszli. Wrócił i jeszcze raz przyjrzał się miejscu zbrodni. Nagle mimo dojmującego chłodu zrobiło mu się gorąco, a po plecach zaczęły płynąć strumienie potu. Znalazł odpowiedź. Nie było tu żadnego napastnika: człowieka czy demona. Żołnierze po prostu pozabijali się nawzajem, tak jak zamknięta w domu rodzina, o której słyszał dziś rano. Ofiary były ze sobą splecione nie dlatego, że ktoś poprzenosił je po śmierci, lecz dlatego, że każdy z walczących chciał zadać przeciwnikowi jak najwięcej ran, nie dbając o własne życie.

Mervil stał nieruchomo, jakby był kolejnym ciemnym od wilgoci drzewem. Aquil przysiadł bezradnie kilka kroków za nim. Żołnierze patrzyli wyczekująco. W końcu śledczy bez słowa ruszył z powrotem. Czekaający na drodze od razu dostrzegli, że coś się wydarzyło. Twarz Bellusa utraciła zawodową obojętność.

– Mówiłem – zaczął ostrożnie kapitan. – Straszny widok!

– Nie – pokręcił głową Mervil – straszne jest to, że sami to sobie zrobili.

Na polanie zapanowała cisza, słychać było tylko deszcz.

– Co znaczy „sami”? – wyszeptał z niedowierzaniem Tradis.

– Wszystkie ślady i rany wskazują, że rzucili się na siebie, chwycili z całych sił i w amoku dźgali tak długo, dopóki mogli.

– Ale dlaczego? – dopytywał żołnierz.

– Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Może odpowiedź znajdziemy w wiosce. Przecież mówiliście, że inne ciała także znajdowano splecione ze sobą – odpowiedział śledczy, a jego głos znów brzmiał rzeczowo.

– Dziś tam nie dotrzemy, panie, ściemnia się, a lepiej nie chodzić po nocy – ostrzegł Thoric, rozglądając się dokoła.

– W takim razie wracamy do zamku – zgodził się Bellus.

Wszyscy ochoczo dosiedli koni. Tylko pilnujący więźnia żołnierz stał niezdecydowany, trzymając końcówkę sznura.

Śledczy popatrzył na niego:

– Tamto drzewo wygląda solidnie. Dalej, pomóżcie mu jeden z drugim!

Mężczyzna wbrew wcześniejszym zapewnieniom wcale nie myślał o przyszłym życiu. Najpierw prosił, a potem wierzgał i kłął. Żołnierze chwycili go za ramiona.

Po chwili mokra gałąź strząsnęła kaskadę kropel, zgięta pod jego ciężarem.

– Ruszamy! – zakomenderował kapitan.

Robiło się coraz ciemniej.

– To wszystko zmienia, prawda? To, że oni sami... – jadący na końcu żołnierz zrównał się z Mervilem. – Co mamy robić, żebyśmy byli bezpieczni?

- Unikać ludzi – odparł Bellus.
- Ale których?
- Wszystkich – uciął śledczy.

Ogień na palenisku trzaskał cicho. Mervil, hrabia Sariva oraz Thoric i jego zastępca, Kalvis, jedli w milczeniu. Teraz, kiedy śledczy sformułował już wniosek, każdy z nich obracał w głowie hipotezy, których wcześniej nie miał odwagi wypowiedzieć na głos. W końcu hrabia zaczął z ociąganiem:

– Nigdy nie spotkałem czarownika, choć, jak wiadomo, jest mnóstwo ludzi, którzy wierzą w możliwość wykorzystywania sił nadprzyrodzonych do własnych celów. Ja wierzę tylko w siłę stwórczą. Nie mam dla niej nazwy, nie definiuję jej poprzez istniejące mitologie, lecz raczej poprzez tradycję filozoficzną, mówiącą o Absolucie. Wystarczy mi myśl, że istnieje jakiś wielki, niedostępny byt. Lubię o nim myśleć jak o wielkim architekcie, artyście. Nie chcę was zanudzać filozofią, ale jeśli wierzymy (a ja wierzę), że jest coś poza tym światem, musimy założyć, że niebezpieczeństwo przyjsć może również stamtąd. Zgodzisz się ze mną, Mervilu? – Hrabia wyraźnie oczekiwał wsparcia.

– Tak – odparł Bellus – ale ujmę to inaczej. Nauka, którą znamy, nie potwierdza wprost istnienia zjawisk magicznych. Wspomina oczywiście o rzeczach niewyjaśnionych. Jednak doświadczenie podpowiada, że wszystkie tego typu przypadki można racjonalnie wyjaśnić. Problem polega na tym, że jeśli mamy tu do czynienia z magią – jesteśmy bezsilni. Wykracza to poza wiedzę i doświadczenie każdego z nas. Oczywiście powinniśmy podążać za dowodami, ale czary wydają mi się ślepą uliczką. Szukałbym jednak w naszym świecie.

– Panie – przerwał mu Thoric, zwracając się do hrabiego. – W jednej wsi jest stary człowiek, mówią, że umie zaklinać różne rzeczy.

– Czarownik? – prychnął Bellus.

– Nie, panie – pospieszył z wyjaśnieniem kapitan – uzdrowiciel. Zna tę ziemię, jego rodzina mieszka tu od wielu pokoleń. Może coś wiedzieć.

– Dawno temu słyszałem – włączył się Kalvis – jak gadał, że w tych lasach czai się zło, że ludzie muszą czynić dobro, bo nadejdzie dzień, kiedy zło upomni się o swoje.

– Kalvisie – Sariva położył rękę na drżącym z przejęcia ramieniu – to zwykły motyw dydaktyczny powtarzający się we wszystkich religiach: postępuj dobrze, bo inaczej czeka cię kara. Nie ma w tym nic tajemniczego.

– Panie, nie jestem człowiekiem uczonym, ale powiedz mi, czy jeśli coś jest powszechne, musi to oznaczać, że jest nieprawdziwe?

Hrabia i Mervil zawahali się. Żołnierz, widząc to, kontynuował:

– Bregus, ten dziad ze wsi, mówił, że kiedyś nadejdzie czas, że Żniwiarze upomną się o swoje.

– Żniwiarze? – spytał śledczy.

Był zaintrygowany.

– Powiedziałeś „Żniwiarze”? – powtórzył.

– Właśnie tak – potwierdził Kalvis – Żniwiarze.

– Co się stało? – Sariva spojrzał badawczo na śledczego.

– W Nerolfie jest pewien kaznodzieja, który przemawia na ulicach i nawołuje ludzi, by się nawracali. Mówi, że koniec jest blisko, bo Żniwiarze są już wśród nas.

Thoric dorzucił do ognia.

– „Żniwiarze” – podjął hrabia Sariva. – Ale co to może oznaczać? Ów kaznodzieja nie mówił niczego więcej? Może Bregus go znał?

– Kto wie? Latilia nie jest znowu taka wielka. Wyznawcy różnych kultów wciąż migrują – stwierdził Mervil.

– Trzeba porozmawiać z Bregusem, panie – zawyrokował Kalvis.

– Słusznie. Jedźcie do wsi jutro rano – zgodził się gospodarz.

Thoric skinął głową, unikając wzroku śledczego.

– Pamiętajcie jednak – zastrzegł Bellus – że zbadamy tylko jeden z tropów. To równie dobrze może być zaraza, która powoduje ataki szalu. Proponuję więc, by dla wszystkich, którzy jutro wyruszą, przygotowano szczelne opaski na usta i nos. Może powstrzymają one morowe powietrze. Aha, i pijcie tylko wino lub piwo, unikajcie wody ze studni.

– Zawsze jej unikałem – zaśmiał się Kalvis.

– Poza tym – ciągnął śledczy – ogarnięci szalem ludzie zabijają siebie nawzajem, zatem niech każdy, kto może, śpi dziś osobno w dobrze zamkniętym pomieszczeniu. Nawet jeśli coś go opęta, nie będzie stwarzał zagrożenia dla innych. Chyba że w amoku okaże się na tyle świadomy, by otworzyć sobie drzwi. Zważywszy jednak na wyraz twarzy martwych żołnierzy Avidiona, szczerze w to wątpię.

Thoric i Kalvis poszli wydać rozkazy, Iorgo udał się na spoczynek, a Mervil pił jeszcze w samotności, rozkoszując się ciepłym kominka. Po całym dniu w siodle wino smakowało mu jak nigdy.

Jechali otuleni kłębam wilgotnego powietrza. Mgła powoli opadała. Kiedy droga prowadziła przez las, było niemal zupełnie ciemno. Potem zrobiło się jaśniej. W końcu, wjechawszy na spore wzniesienie, ujrzeli zarys chłopskich chat, stojących kilkaset kroków od zakola rzeki. Thoric podniósł rękę i wszyscy na chwilę stanęli. Mervil wytężył wzrok, ale nie mógł dostrzec niczego konkretnego. Oddział zjechał wolno, ledwie widoczną ścieżyną. Nikt nie wyciągał broni. Żołnierze zamierzali uciekać, gdyby rzucili się na nich chłopcy pałający żądzą mordy. Podjęcie walki oznaczało pewną śmierć. Mervil ukradkiem obserwował towarzyszy. Byli spięci, ale dalecy od paniki. Maski dodawały im pewności siebie.

Byli coraz bliżej. Dało się już rozróżnić szczegóły: tam studnia, tam zagroda, a pod nią przewrócony wóz. Śledczy spojrział na Thorica, a ten kiwnął głową. Obaj mieli złe przeczucia. I wtedy zobaczyli pierwsze cztery ciała. Leżały kilkadziesiąt kroków przed nimi, na drodze, splecione w makabryczny czworokąt. Chłopcy musieli szarpać się nawzajem, wgryzać w szyje. Wszędzie było pełno krwi, a trupy tonęły we własnych wydartych z brzuchów wnętrznościach. Widok był tak nieoczekiwany, że jeden z żołnierzy zaczął kaszleć, najwyraźniej nie mogąc nabrać powietrza. A kiedy już mu się to udało, nagle ściągnął z ust maskę. Jak na komendę wszyscy poszli za jego przykładem, uwalniając usta i z ulgą łykając powietrze.

– Spokojnie, nie sędzę, by w tych warunkach te główniane maski na coś się przydały – odparł Mervil, widząc twarze mężczyzn, przerażonych

własną impulsywną reakcją.

Ruszyli dalej, lecz wkrótce przekonali się, że lepiej było zawrócić. Uzyskali bowiem odpowiedź, dlaczego z daleka nie dostrzegli żadnego ruchu. Wioska stała się jednym wielkim makabrycznym pobojuwiskiem. Powyginane groteskowo ciała leżały wszędzie. W nozdrza przybyłych uderzył potworny smród, świadczący o tym, że stało się to jakiś czas temu. Oddział zatrzymał się pośrodku osady, nie było sensu jechać dalej. Najwyraźniej wszyscy uśmiercili się nawzajem w jakiejś niewyobrażalnej orgii zabijania. Jeźdźcy stali w absolutnej ciszy.

– A gdzie zwierzęta? Słyszycie, tu nie ma żadnych zwierząt? – rzucił jeden z żołnierzy.

Rzeczywiście, wszystkie gospodarskie zagrody były puste, nie było krów, świń ani nawet kur, zwykle dziobiących ziemię gdzie popadnie.

– Co oni zrobili z tymi wszystkimi zwierzętami? – powtórzył mężczyzna niemal histerycznie.

– W tej chwili to nie ma znaczenia – odparł twardo Mervil, spinając konia. – Bregus, pamiętacie? Druga chata po prawej, licząc od rzeki.

– Ale, panie, to przecież tam na końcu, a oni wszyscy...

– Nie żyją, kapitanie, przecież widzę, ale nie zamierzam odjechać stąd, nie upewniwszy się, że starzec niczego nam nie powie.

– Przecież on równie dobrze może leżeć tu gdzieś pomiędzy trupami – upierał się Thoric.

– Mimo to sprawdzę jego dom. Nikogo z was tam nie ciągnę – odparł śledczy.

Już po chwili, kiedy jego koń samotnie jął kluczyć pomiędzy martwymi szczątkami, pożałował swojej decyzji. Chłopi zabijali się wszystkim: grabiami, sierpami, kosami, a nawet olbrzymimi gwoździami służącymi do naprawy mostów. Prawdopodobnie każdy z nich chwycił cokolwiek miał pod ręką i rzucał się na kogo popadło. Ci, którzy nie zdążyli zdobyć broni, walczyli jak dzikie zwierzęta, za oręż mając własne zęby i paznokcie. Mervil zdał sobie sprawę, że stan amoku musiał przyjść nagle, stąd taka różnorodność broni. Przecież nikt nie nosi przy sobie gwoździ, lecz co

najwyżej, gorączkowo szukając jakiegokolwiek przydatnego narzędzia, chwyta je, nie mogąc znaleźć niczego innego.

W końcu stanął przed chatą Bregusa. Z bijącym sercem przywiązał konia do płotu i ruszył ku drzwiom. Były zamknięte. To dawało jakąś nadzieję. Może starzec zabarykadował się w domu? Śledczy wyciągnął miecz i otworzył je mocnym kopniakiem. W chacie panował półmrok. Nim Mervil wszedł do środka, spojrzął na Aquila. Orzeł przysiadł na podwórku, wyglądał na spokojnego. Śledczy ruszył dalej.

Na posłaniu dostrzegł zarys zwalistej sylwetki. Zbliżył się. U szyi starca, który prawdopodobnie był Bregusem, niczym oślizły wąż wisiało okrwawione dziecko. Prawdopodobnie wgrzyzło mu się w gardło, kiedy usiłował rozerwać je rękami. Oboje nie żyli. Bellus odwrócił się z obrzydzeniem. I już, już miał wychodzić, kiedy wiedziony jakimś impulsem jeszcze raz spojrzął w głąb chaty. To, co początkowo brał za rozbryzg krwi na ścianie, ukrywało duży czarny ślad, który przeraził go bardziej niż wszystkie ciała, które zobaczył w wiosce. Obok siebie umierający starzec zdołał bowiem węglem narysować wielką literę „Z”.

Nie! Poprawił się Mervil. Bregus wcale nie umierał. Litera była równa i gruba. Musiał więc narysować ją wcześniej! Mervil ostrożnie starł krew ze ściany i długo przyglądał się czarnemu znakowi. Niczego więcej wszakże z niego nie odczytał. Udało mu się tylko oswoić strach, wziąć go w karby i zamknąć gdzieś na dnie serca. Wciągnął głębiej powietrze przesycone zapachem rozkładających się zwłok i wyszedł na zewnątrz. Thoric i jego ludzie stali daleko, zbici w ciasną grupę. Mervil spojrzął w niebo. Zbierało się na deszcz.

Nie wiedzieli, czy pozostałe wioski spotkał ten sam los. Jednak zakładali, że tak. Kiedy Iorgo Sariva usłyszał relację Mervila, spytał tylko:

- Co radzicie?
- Musimy uciekać – odparł śledczy.
- Z tego zamku?
- Z tej krainy!

Sariva spojrział na Thorica. Kapitan skinął głową.

– Dobrze, przemyślę to, ale przecież sam mówiłeś, że ktoś chce nas stąd wywabić. Jesteśmy w bezpiecznej twierdzy.

– Która wkrótce może przemienić się w równie bezpieczny grobowiec. Nie sądzę, by mury stanowiły jakąkolwiek obronę.

Sariva milczał. Mervil i Thoric poszli się przebrać. Kiedy wrócili po godzinie, hrabia stał przy oknie i patrzył na deszcz, raz po raz podnosząc do ust przepastny kielich. Bellus spojrział na butelkę stojącą na stole. Była pusta.

– Wyjeżdżamy – powiedział Sariva. – Przegraliśmy.

Bellus chrząknął.

– Nie, Iorgo, uginamy się tylko. Żeby zwyciężyć, pamiętasz?

– Zaczynamy, panie? – wtrącił Thoric.

– Tak!

Po kilku chwilach w całym pałacu dały się słyszeć nawoływania żołnierzy:

– Opuszczamy zamek! Pan hrabia rozkazuje wszystkim zabrać najpotrzebniejsze rzeczy oraz niezbędne zapasy i jak najszybciej stawić się na dziedzińcu!

Mervil, który w zasadzie nie miał czego pakować, postanowił wykorzystać ten czas na drzemkę. Nie wiedział, kiedy będzie miał ku temu następną okazję. Przyniósł Aquilowi coś do jedzenia i sam nieco się posilił, po czym zabarykadował komnatę jak poprzedniej nocy. Sen nadszedł szybko, jednak wypełnił go Bregus. Mervil wciąż na nowo oglądał jego walkę z potwornym dzieckiem. Z małego ciała wyrastały płytki na podobieństwo smoczej łuski, nienaturalnie wielkie zęby nie mieściły się w ustach, zakrzywione szpony wściekle orały ciało starca. Bregus tymczasem intensywnie wpatrywał się w Mervila, bardzo powoli rozrywając małego potworka. Ten widok był ze śpiącym aż do otwarcia oczu, które wymusiło walenie w drzwi.

– Panie, jesteś tam?! Panie! – Głos należał do kapitana Thorica. – Wyruszamy! Wszystko porządku?

– Tak, nic mi nie jest, już schodzę! – krzyknął Bellus, zastanawiając się, jak długo spał.

Wkrótce przekonał się, że dość długo, bo na dziedzińcu znajdowała się już cała służba, żołnierze oraz wozy z zapasami żywności i niezbędnymi sprzętami. W środku kolumny stał piękny powóz hrabiego Sarivy w dumnych, czerwono-niebieskich barwach. Gospodarz zaprosił Mervila do środka, jednak ten pokręcił głową:

– Lepiej ci się przysłużę z siodła, Iorgo. Muszę obserwować Aquila, on zawsze ostrzega pierwszy.

– Zostawiam, tu wszystko, co kocham. Trudno mi to robić samemu.

– Każdy coś tu zostawia. – Śledczy powiódł wzrokiem po zgromadzonej ciżbie.

– Masz rację. – Głowa hrabiego zniknęła w półmroku wnętrza powozu.

Kolumna ruszyła. Odjazdowi towarzyszył głuchy dźwięk uderzeń młota. To pachołkowie zabijali bramę grubymi deskami.

Podróż miała w sobie coś z uroczystej pielgrzymki. Nie było słycać zwykłych dla karawan rozmów i śmiechów. Wszyscy czekali na dotarcie do gwarne go książecego traktu. Na razie mieli przed sobą wiele mil jazdy, wciąż pozostawali więc w wilgotnych szponach Rezy. Bellus od czasu do czasu zerkał na kołującego Aquila. Orzeł wydawał się spokojny, prawdopodobnie nic szczególnego nie zaprzętało jego uwagi. W pewnej chwili Mervil stwierdził, że dokoła nieco pojaśniało, jakby słońcu udało się przebić czapy gęstych chmur. Wkrótce jednak zmienił zdanie, bo nad polami i drzewami na powrót zaległa szarość. Uciekinierzy dojeżdżali właśnie do zakrętu, za którym droga miała się znacznie poszerzyć, gdy ich oczom ukazał się niezwykle widok. Oto gdzieś w oddali zamajaczyły zamkowe wieże.

Zaczęły się gorączkowe szepty. Bellus nie wiedział, co się właściwie dzieje. Stał więc, bacznie przyglądając się budowli. Kątem oka uchwycił sylwetkę Thorica, który nachylił się do okna powozu i gorączkowo szeptał coś hrabiemu.

– Skąd to zamieszanie? – spytał najbliższej stojącą kobietę.

Ta jednak nie odpowiedziała. Patrzyła na budowlę w oddali, a na jej twarzy przerażenie mieszało się z niedowierzaniem. Mervil poczuł ukłucie niepokoju. Czyżby zabłądzili? Niemożliwe. Przecież od paru godzin trzymali się drogi, którą Bellus dobrze pamiętał, ponieważ jechał tędy z Nerolfu.

Kapitan tymczasem wysłał dwóch zwiadowców.

Wszyscy czekali w milczeniu. Nie było sensu strzępić języka, wiedzieli już bowiem to, czego Mervil się domyślał. Kiedy zwiadowcy wrócili, jeden z nich wydyszał tylko trzęsącym się z emocji głosem:

– To nasz zamek, deski na bramie są jeszcze świeże! Niech wszyscy bogowie mają nas w swojej opiece!

Jest coraz lepiej. Szczęka prawie nie boli, a niedawna radość wybierania nowych okularów z nawiązką zrekompensowała wypadek. Vermil opuszcza Twórczość bez poczucia dyskomfortu, które towarzyszyło mu ostatnio. Muśnięciami przerzuca strony logoszytu. Jest ciekawy, czy HOMER zawsze zlepia taką samą liczbę stron. Następnym razem spyta Zarayeva. W tym tempie na trzystustronicową powieść potrzebowałby kilkunastu sesji. Niemały wydatek, ale Vermil nie zamierza oszczędzać. Tworzenie jest jak narkotyk, czekanie na kolejne fragmenty zniewala. Teraz Olson żyje w dwóch światach: swoim i Mervila. Latilia, Nerolf, Reza są tylko jego.

Siada na ławce tuż przy Brdzie. Patrzy na bawiące się dzieci. Zatrzymuje spojrzenie na co ładniejszych mamach. Uśmiecha się do swoich myśli, ściskając logoszyt jak bezcenny skarb. Na imitującej skórę okładce zostają spocone ślady. Myśl, że otaczają go ludzie nieświadomi tego, że jest artystą, wprawia go w dziwny błogostan. Zaczyna ślizgać się oczami po wydestylowanych z głowy powieściowych zdaniach i projektuje sytuację, w której ktoś dosiędzie się do niego, pytając:

– Co czytasz?

On uniesie głowę i powie:

– *Żniwiarzy*.

– Nie znam – odpowie ta osoba (najlepiej kobieta).

– Wiem, dopiero ją piszę – spuentuje z wyższością, a spojrzenie nieznajomej doładuje mu na węźle dziesięć punktów pewności siebie.

Nic takiego jednak nie następuje, ale Vermil się nie martwi. Wie, że to tylko kwestia czasu. Przez moment waha się, czy na face plusie nie zmienić statusu na „tworzę”. To poszerzy mu krąg znajomych, podkreśli nieszablonowość, choć z drugiej strony pozbawi radości z posiadania sekretu. Odrzuca pomysł. Nie ma sensu kroić sławy na zbyt cienkie plasterki. Jeszcze poczeka.

Wstaje z ławki, zostawia plac zabaw i rusza na spacer wzdłuż rzeki, która ciągnie się między piwiarniami i restauracjami z jednej strony i zielonym parkiem z drugiej. Przychodzi tu od dziecka. Wychował się niedaleko. I choć teraz wynajmuje mieszkanie w innej części miasta, wciąż często tu bywa. Jak zawsze ma wrażenie, że Bydgoszcz jest dobrym tłem dla powieści. Chciałby kiedyś taką napisać. Oczywiście jeszcze nie teraz. Debiutanci muszą wybierać bardziej komercyjne lokacje.

Do rozpoczęcia pracy ma jeszcze kilka godzin. Postanawia coś zjeść. Siada w jednej z nadrzecznych restauracji. Jest pierwsza piętnaście, niedawno otworzyli. O tej porze nie ma tu zbyt wielu osób. Vermil kryje się przed słońcem pod rozłożystym parasolem. Przez chwilę patrzy na bystry nurt rzeki i na kaczki. Zastanawia się, które są prawdziwe. Otwiera menu. Kilkoma dotknięciami, jak pianista, komponuje lekki obiad. Cieniutki, giętki wyświetlacz grafenowego menu do złudzenia przypomina laminowany papier. Vermil, jako wytrawny kolekcjoner, z pogardą odnosi się to takich tandetnych sztuczek. W końcu jest posiadaczem kilkuset starych papierowych kart dań z restauracji całego świata.

Myśli o Malwie i niedawnej kolacji. Dziwi się, że zamiast smaku jej ciała przypomina sobie zupę, którą wtedy zjadł. Przy stoliku obok siadają dwie kobiety w średnim wieku. Urwały się z pracy na lunch. Obie wiszą na soczewkach. Vermil uśmiecha się z aprobatą. Światowa kultura: nie szczebiocą w publicznej restauracji, tylko wrzucają wszystko na węzeł. Jedna z kobiet wybucha śmiechem. Jest to śmiech tak szczery i zaraźliwy, że Olson zaczyna nagle żałować, że nie słyszy rozmowy. Chcąc zabić czas, trze palcami interaktywne menu. Zagina jeden z rogów, który jednak natychmiast wraca do poprzedniego kształtu. Trudno zniszczyć grafenowy papier, nie zaszkodzi mu gięcie, zachlapywanie, uderzanie. Zdaniem Vermila odbiera to karcie dań cały romantyzm istnienia. Dolna część menu jarzy się zielonym światłem: zamówienie zostało przyjęte do realizacji. Zegar zaczyna odliczać czas. Vermil nie potrzebuje czasomierza, ma go w sobie. Wie, że jeśli zamówione przez niego piwo imbirowe nie pojawi się tu za dwie minuty, będzie za późno. Kelnerka spóźnia się minimalnie. Na

domiar złego stawia napój po niewłaściwej stronie. Vermil jest zażenowany. Odebrała mu radość posiłku.

Na szczęście obiad przychodzi na czas. Olson je niespiesznie, wciąż patrząc na rzekę. Myśli o Mervilu. Czym się teraz posila, co dzieje się w jego świecie? Wraca problem kobiet. W zamku Sarivy pojawiają się tylko jako tło. A może Mervil jest gejem, może następna sesja będzie dotyczyła jego romansu z Ginkorem? Jest to mało prawdopodobne. Przecież bohater miał żonę. Ponadto randka z Malwą dowartościowała męskie ego Vermila, a list, który dostał od niej następnego dnia, był równie miły jak samo spotkanie. Nie wydaje mu się więc, by *Żniwiarze* ewoluowali w stronę gay fantasy. Mimo wszystko myśli o przepuszczeniu tekstu przez najnowszego Freuda.

W polu widzenia Vermila miga czerwone światełko. Ma wiadomość, której jednak nie chce mu się czytać. Odpina pocztę od interfejsu i przyciemnia okulary. Reguluje rachunek w stolikowym terminalu i rusza brzegiem Brdy. Brukowe kamienie przyjemnie dudnią przy każdym kroku. Dają poczucie realności, mocnego zanurzenia w historii. Vermil mija urokliwy mostek stylizowany na weneckie arcydzieła. Patrzy na twarze przechodniów, w większości nieprzekręcone i rozbijające szczere w swoich zmarszczkach i niedoskonałościach. Są takie polskie. Kocha je i ich nienawidzi.

Za mostkiem, za załomem muru, para nastolatków namiętnie się całuje. Ileż westchnień przyjęły te łuki, zastanawia się Olson, marząc przy tym o napisaniu romansu. Przypomina sobie Marqueza i *Miłość w czasach zarazy*. Uwielbia tę książkę, chciałby kiedyś stworzyć coś takiego. Jednak jego twórczość podszyta jest raczej chaotycznymi wybuchami uczuć, a nie rzetelną analizą własnego wnętrza. W swojej jakże typowej biografii nie dostrzega jeszcze materiału na wielką powieść. A czas mija. Niedawno z trudem pogodził się z tym, że nie będzie już skrybą dla żadnej ciotki Julii. Czeka więc, wiąż czeka na wielką miłość, wielki temat.

Uliczką Ku Młynom wychodzi na Stary Rynek. Ponad dachami dwustuletnich kamienic dźwięgających piękne, pozbawione reklam fasady widzi świetlistą nitkę aerostrady. Siada pod parasolkami i zamawia małe

piwo z lokalnego browaru. Jest zimne, że aż bolą zęby. Vermil rysuje palcem linie na oblodzonej szklance. Patrzy na wieże Fary, skrytej w cieniu kamienicy. Kościół jest tu chyba od zawsze. Próbuje sobie wyobrazić, jak ktoś podobny do niego przechadzał się tędy sto lat temu. Ostrożnie macza usta w piwnej pianie. Spada na niego jakaś swojska rzewność. Nagle czuje, że jest mu tutaj bardzo dobrze. Zdejmuje okulary, zamierzając wyłączyć węzeł. Wokół krążą gołębie i śmieją się dzieci. Ekran węzła natrętnie informuje o priorytetowej wiadomości. Vermil otwiera ją z westchnieniem i natychmiast sztywnieje. Twórczość proponuje przyspieszenie terminu następnej sesji.

Olson wstaje, nie dopiwszy piwa. Kocha Bydgoszcz, ale czekają na niego w Rezie.

SESJA PIĄTA

Jestem jednym ze Żniwiarzy!

– Musimy trzymać się razem! – Hrabia Sariva donośnym głosem przemawiał do tłumu. – Teraz rozpakujemy wozy i udamy się na spoczynek. Najlepiej każdy osobno! Zamkniemy się na klucz, zabarykadujemy drzwi lub dobrze się ukryjemy. Nie jesteśmy bezsilni, możemy coś zrobić, by przetrwać! Przetrwać tę noc i następny dzień, a potem jeszcze jedną noc. Będziemy to robić tak długo, aż wszystko się skończy, bo to, co złe, zawsze ma swój koniec!

Pan zamku zszedł z podwyższenia, a na dziedzińcu w świetle pochodni rozpoczęła się praca. Nie było w niej entuzjazmu, lecz straceńcza determinacja.

– Thoricu, zostawiam wszystko twojej pieczy. Przygotuj zamek na noc. Liczę na ciebie, jak zawsze. – Sariva klepnął go poufale w ramię.

– Zrobię wszystko, co będę mógł, panie! – Skłonił się kapitan.

Mervil przetarł mokrą od deszczu twarz. Miał wrażenie, że wszystko, co usiłują tu zdziałać, przypomina próbę zatrzymywania lawiny tarczą piechura.

– Kto rządzi naszym gniewem? – wyszeptał, spoglądając w niebo.

– Co mówisz, Mervilu? – zainteresował się hrabia.

– Nic, zupełnie nic.

– Odprowadzisz mnie? – spytał Sariva, ale zabrzmiało to jak rozkaz.

– Tak, i pomogę zabarykadować drzwi.

Hrabia machnął tylko ręką. Sprawiał wrażenie, jakby chciał Mervilowi szybko o czymś powiedzieć. Kiedy zostali sami, z trudem powstrzymał się, by nie chwycić śledczego za poły płaszcza.

– To Crispon, Mervilu! Czytałeś Crispona? – spytał przejęty.

– Mówisz o tym Crisponie z IX wieku? – upewnił się śledczy i dodał: – Wiesz, że nie interesował mnie nigdy koniec świata. Zresztą on ponoć był

wariatem.

– Ale oryginalnym, Mervilu, oryginalnym.

– Daj spokój – niecierpliwił się Bellus, widząc, że naukowa pasja na chwilę zwyciężyła w przyjacielu strach. – Przecież są setki wersji opowieści o końcu świata, każda mitologia ma swoją. Chyba nie twierdzisz, że któraś jest prawdziwa. Posłuchaj, Iorgo...

– To ty posłuchaj! – przerwał mu hrabia. – Każdy sceptycyzm musi mieć granice, by pełnił funkcję drogowskazu, oddzielał ziarno od plew. I ja właśnie dotarłem do takiej granicy. Co z tego, że jest tyle różnych wariantów opowieści o końcu świata? Czy wielość musi oznaczać fałszywość każdej z nich? Pamiętasz? Nawet niewykształcony Kalvis zadał to pytanie. Zresztą weźmy prosty eksperyment, Mervilu. Oto twierdzenie o trójkątach prostokątnych Gopitosa.

– $a^2 + b^2 = c^2$ – wzruszył ramionami Bellus, patrząc na wzór nabazgrany na skrawku pergaminu. – Ale co to ma do rzeczy?

– Wyobraź sobie, że teraz wołam służącego i pokazuję mu ten wzór wraz z dziesięcioma innymi, bzdurnymi, wymyślonymi przeze mnie. Potem każę mu wybrać prawdziwy. Ów służący wybierze na chybił trafił, powie, że nie wie, albo stwierdzi, że wszystkie są fałszywe. Rozumiesz? Bez względu na to, czy większość ludzi zna twierdzenie Gopitosa, czy nie, ono i tak pozostaje prawdziwe!

– Iorgo, nie filozofujmy! Naprawdę chcesz powiedzieć – zawahał się śledczy – że przeżywamy koniec świata w wersji szalonego Crispona?

– Tego nie jestem do końca pewien, ale niektóre elementy pasują. Mervilu – Sariva położył mu rękę na kolanie, pochylając się w fotelu – nie mamy wyjścia, posłuchaj. Crispon uważał, że wyrażenie „koniec świata” wcale nie musi odnosić się do całej ziemi, ale do naszego osobistego, zmysłowego doświadczenia materialnej rzeczywistości, w której żyjemy. Słowem, wokół nas istnieje wielość światów: twój świat to Nerolf, mój to Reza i tak dalej. Crispon pisał, że może nadejść taki okres, kiedy światy te oderwą się od siebie w czasie i przestrzeni i zaczną umierać w sobie tylko znanym tempie. Wtedy dla wszystkich ludzi zamieszkujących tę umierającą

przestrzeń opuszczenie jej będzie niemożliwe, wessie ich ginący świat, bo są jego podzbiorami.

Mervil z niedowierzaniem kręcił głową.

– No, nie wiem.

– Tak, może to zbyt fantastyczne, ale sam wciąż powtarzałeś: „idź za dowodami, dokądkolwiek cię zaprowadzą”. Spójrzmy więc: najpierw pogoda, jakbyśmy przeżywali jesień naszego świata, potem paradoks, który sprawia, że wracamy do punktu wyjścia, nie zmyliwszy drogi.

– A morderstwa?

– Można je potraktować jako owo zagadkowe „wsysanie”. Crispo nie wspomina tylko o Żniwiarzach.

– Dla mnie nie brzmi to logicznie, ale ostatnio zauważyłem, że racjonalność naszej rzeczywistości znacznie staniała – rzekł Bellus i dodał:

– Jak powiedziałeś: każdy świat umiera we własnym tempie. Tutaj najwidoczniej wszyscy skończymy szybko i gwałtownie.

– A więc zostało nam tylko czekanie na śmierć? – spytał prowokująco Sariva.

– Nie wiem, Iorgo, ale ja wracam do swojej komnaty. Spróbuję przeczekać tę noc, a potem jeszcze raz wyruszę w podróż. Sam. Nie rozwiążę tej zagadki. Teraz, podobnie jak wy, walczę o życie. Jeśli mi się uda, sprowadzę pomoc.

Po tych słowach Mervil wstał i mocno uściśnął obie ręce hrabiego. Sariva uśmiechnął się.

– Przykro mi, że zamiast odpoczynku zafundowałem ci koniec świata.

Śledczy zabarykadował się w swojej komnacie, używając stołu, skrzyni na ubrania i krzesła. Potem usiadł na łóżku i oparł się o ścianę. Na kolanach położył miecz. Obok legł Aquil. Mervil odruchowo zatopił palce w jego miękkich piórach. Dotyk żywej istoty uspokajał. Jednak trudno było nie wyczuć napięcia, jakby orzeł wiedział, że przyszło mu żyć w czasie ostatecznym. Chwile mijały, a Mervil miarowo głaskał Aquila. Nie zamierzał tej nocy zmrużyć oka. Odczuwał wszakże coraz większy,

wszechogarniający bezwład. Ja to zwykle bywa, sen nadszedł niepostrzeżenie.

Mervila obudził krzyk. Pojedynczy, urywany, który wybrzmiał tak szybko, że śledczy zastanawiał się, czy go w ogóle słyszał. Rozejrzał się dokoła. Nie zauważył nic podejrzanego. W myślach przeklął swoją słabość. Musiał przespać większą część nocy, bo zniknęły zmęczenie i apatia. Czuł się rześki i silny. Odruchowo spojrzął w bok, na Aquila. To, co zobaczył, sprawiło, że jednym skokiem znalazł się na środku komnaty. Orzeł spał i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie jego upierzenie. W ciągu jednej nocy stało się śnieżnobiałe. Mervil patrzył z niedowierzaniem. W pewnym momencie wielki biały kształt otworzył oczy. Bellus dostrzegł w nich spokój i oddanie. To był jego Aquil. Podszedł więc i ostrożnie dotknął białych piór. Powoli się uspokajał.

Zza okna ponownie dobiegł krzyk. Tym razem dołączył do niego szereg innych. Nie mogły to być dźwięki wydawane przez istoty myślące. Groźba, a jednocześnie ból i cierpienie, które w nich pobrzmiwały, przywodziły na myśl coś pierwotnego. Bellus ostrożnie podszedł do okna. Wkrótce przekonał się, że to, co widział we wsi, było zaledwie preludium tego, co działo się na dziedzińcu. Tam bowiem w świetle księżyca walczyło, a raczej zabijało się nawzajem kilkanaście osób. Wśród nich Mervil rozpoznał Thorica. Kapitan, rycząc wściekle, siał spustoszenie mieczem, podczas gdy służba – tak kobiety, jak i mężczyźni – usiłowała rozerwać go zębami i rękami. W końcu wszyscy upadli na ziemię, wyjąc i drgając konwulsyjnie, dopóki nie znieruchomieli jako jedna zwarta masa. Mervil czuł trwogę, ale i fascynację. Było w tym akcie przemocy coś niezwykłego, ostatecznie bezkompromisowego.

Na chwilę w zamku zapanował cisza. Mervil przyłożył ucho do drzwi. Wzdrygnął się, kiedy nagle uderzyła w nie narastająca fala dźwięków: odgłosów walki, krzyków. Bellus próbował nie poddawać się panice. Zrozumiał, że tuż za drzwiami również odbywa się rzeź. Ściskając broń, krążył po pokoju jak osaczone zwierzę. Jęki, wrzaski, chrzęst rozrywanych członków zdawały się osaczać go zewsząd. Nie mógł zebrać myśli.

Niespokojnie czekał, kiedy i jego ogarnie szal zabijania. Nic takiego jednak się nie stało.

Wtem usłyszał walenie w drzwi.

Ktoś najwyraźniej przypomniał sobie o nim. Mervil wstrzymał oddech. Walenie ustało, lecz po chwili powtórzyło się ze zdwojoną siłą. Drzwi i barykada lekko drgnęły. Sforsowanie tej przeszkody było tylko kwestią czasu.

Śledczy gorączkowo rozejrzał się po komnacie. Łóżko i półka z książkami były zbyt ciężkie, by mógł przesunąć je w pojedynkę. Nie miał tu niczego, co nadałoby się do mocniejszego zabarykadowania wejścia. Podbiegł do okna. Dziedziniec był pełen ciał. Żadne z nich już się nie poruszało. Polem bitwy stało się teraz wewnątrz zamku. Jeśli Mervilowi udałoby się wydostać z sypialni, na otwartej przestrzeni mógłby mieć jakąś szansę. Być może nie na ucieczkę, ale na odroczenie zbliżającego się wyroku. W tej chwili wszystko było lepsze od śmierci w czterech ścianach, zadanej rękami pogrążonych w amoku poddanych hrabiego Sarivy. Śledczy jeszcze raz wychylił się przez okno. Pod sobą miał pionową ścianę. Potrzebował liny, by dostać się na dół. Walenie w drzwi nasilało się. Mervil wyciągnął ze swych juków mocny, długi sznur i przewiązał go wokół masywnej nogi drewnianego łóżka. W tym momencie kotłowanina za drzwiami ustała. Bellus początkowo nie zwrócił na to uwagi, zajęty przygotowaniami do opuszczenia komnaty. Nagle jednak zza drzwi dobiegł go dobrze znany głos:

– Mervilu, jesteś tam jeszcze? Mervilu!

To był Iorgo Sariva. Bellus przez chwilę stał niezdecydowany. Wiedział, że powinien uciekać, jednak głos przyjaciela trzymał go w miejscu.

– Mervilu, idą po mnie, szybko, otwórz drzwi!

Z różnych części zamku wciąż dobiegało wycie, ale za drzwiami panował spokój.

– Przyjacielu, to ja, jestem przy zdrowych zmysłach, ratuj mnie! – błagał Sariva.

Śledczy czuł, że otwieranie drzwi jest szaleństwem, nie mógł jednak obojętnie słuchać tego głosu. Jeśli istniała choćby najmniejsza szansa ocalenia przyjaciela – musiał ją wykorzystać. Zaklął i ruszył w stronę

barykady. Przechylił się ponad blokującym drzwi stołem i przekręcił klucz w zamku. Coś naparło na olbrzymie drewniane skrzydła z takim impetem, że Bellus odruchowo odskoczył. W szparze, która powstała, pojawiła się wściekła głowa, wykrzywiona potwornym grymasem. Ktokolwiek to był, nie miał nic wspólnego z Iorgo Sarivą. Za chwilę z pewnością przybiegną tu inni przemienieni. Nie było czasu, by na powrót zatrzaskać drzwi. Mervil rzucił się w stronę okna.

I wtedy zaczęło się z nim dzieć coś dziwnego.

Kształt majaczącej przy parapecie liny stopniowo się zacierał, a Bellus poczuł nieodparte pragnienie, by zdemontować barykadę. Widział czerwień, wszędzie czerwień, jakby wszystko dokoła zalała krew. Poczucił ogromny, niepoohamowany gniew na tych, którzy wyli i wrzeszczeli. Wiedział, że musi ich unicestwić. Za wszelką cenę, nawet za cenę własnego życia. Nic nie było już ważne, wszyscy musieli zginąć, tu i teraz, najlepiej w męczarniach. Bo ceną za gniew Mervila Bellusa była śmierć!

Zawył, a skowyt ten wybił się nad głosy innych wyjących, którzy nadbiegali ze wszystkich stron. Śledczy rzucił się ku meblowej barykadzie i zaczął ją gwałtownie rozwalać. Pod ciężarem napierających z zewnątrz ciał drzwi otwały się jeszcze szerzej. Mervil cofnął się, wyciągnął miecz, drugą ręką sięgając po jeden z ukrytych sztyletów. Stał na środku pomieszczenia na lekko rozstawionych nogach, cały drżący. Zaraz będzie robił to, do czego został stworzony – zabijał. Już, już zamierzał ruszyć z impetem na wdzierających się do środka napastników, gdy nagle potok ekstatycznych myśli przerwał dojmujący ból w łydce. Mężczyzna z niedowierzaniem popatrzył w dół. Dostrzegł tam ogromnego białego orła, który wbijał dziób w jego nogę. Bellus uniósł miecz, by ciąć ptaka przez łeb. Ręka jednak zatrzymała się w połowie drogi. Do świadomości mężczyzny zaczęły sączyć się uczucia inne niż te, których doznawał przed chwilą. Jego umysł podpowiadał, że jest śledczym, który musi szukać sprawiedliwości, że poświęcenie własnego życia w krwawej orgii nie ma sensu.

Świat przed oczami odzyskał kolory.

Mervil znów poczuł gniew, lecz tym razem inny, bo skierowany ku źródłu żądzy niszczenia, która owładnęła nim w podstępny sposób. Zrozumiał, że

musi zniszczyć to źródło i przeżyć – wtedy zwycięży. Orzeł zwolnił uścisk i był po temu najwyższy czas, bo pierwszy wściekle ryczący żołnierz biegł właśnie w stronę śledczego z niezdarnie uniesionym mieczem. Ten w ostatniej chwili zdążył zrobić piruet, podrzynając atakującemu gardło. W tym momencie do komnaty wtargnęło czterech innych. Chcieli otoczyć mężczyznę, lecz dysząc i plując z nienawiści, nie umieli zsynchronizować ataków. Potykali się, plątali, wahali, starając się dosięgnąć nie tylko jego, ale również siebie nawzajem. Dlatego Mervil z łatwością rozpruwał brzuchy, obcinał ręce, rozłupywał czaszki. To było jednak chwilowe zwycięstwo. Z korytarza wciąż dobiegało wycie. Wkrótce przyjdą tu następni, by w końcu pokonać go liczbą i determinacją.

Mervil odwrócił się w stronę okna. Jednym skokiem znalazł się na parapecie i spojrzał na Aquila. Orzeł potrząsnął łbem, po czym, ku zdziwieniu śledczego, wyleciał przez otwarte drzwi. Bellus miał nadzieję, że ptak sobie poradzi. Mocno chwycił więc linę i począł spuszczać się powoli, uważnie lustrując dziedziniec. Kiedy znajdował się już znacznie poniżej okna, z budynku gospodarczego wybiegł jakiś mężczyzna. Dostrzegłszy Mervila zawył i popędził w stronę liny. Śledczy rozejrzał się. Po prawej stronie majaczyło otwarte okno. Musiał zaryzykować, zwłaszcza że na dziedzińcu pojawiały się kolejne postacie. Po chwili pod zwisającą liną trwała już śmiertelna kotłowanina.

Mervil wspiął się nieco wyżej. Huśtał się metodycznie, raz za razem, by sięgnąć krawędzi gzymsu. Ręce mdlały mu z wyczerpania, a lina stała się śliska od krwi ciekącej z przedramienia. Wreszcie udało mu się złapać upragnioną część muru. Z dołu wciąż dobiegały upiorne wrzaski. Ostatkiem sił podciągnął się, puszczając linę. Przywarł do parapetu. Przez szparę w okiennicy spoglądał w ciemną czeluść komnaty. Nie mógł wypatrzeć żadnego ruchu. Czekał. Nie patrzył w dół. W końcu wziął głęboki oddech i płynnym skokiem znalazł się w środku.

Niemal równocześnie z odgłosem własnego lądowania na posadzce usłyszał szmer. Ktoś zrywał się do ataku. Nie zastanawiając się, w ułamku sekundy posłał w tamtą stronę wirujący sztylet, a potem drugi, który najwyraźniej trafił w cel. Do uszu Mervila dobiegł charkot. Oczy wyłowiły z

ciemności zarys zgarbionej sylwetki. Śledczy przyskoczył i uderzył mieczem. Ostrze trafiło na opór, Mervil poprawił cięcie. Ciało znieruchomiło. Wokół zapadła cisza. Śledczy cofnął się i zastygł, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. W krótko po prawej stronie dostrzegł martwego przeciwnika. Podeszedł bliżej. U jego stóp leżał osobisty służący Iorgo Sarivy ze sztyletem wystającym z piersi. Śledczy wyciągnął i oczyścił broń, po czym sprawdził drzwi komnaty. Sługa dobrze je zabarykadował.

Jednak Mervilowi nie było dane odpocząć. Nagle upadł na kolana i począł rozcierać skronie. W głowie poczuł tak ogromny ból, jakby czaszka stała się nagle tym pękającym światem, w którym przyszło mu walczyć. Przez długą chwilę miał ochotę się poddać, po prostu położyć na posadzce i nie wstawać nigdy więcej. Na szczęście jakoś zebrał siły i wsparł się na mieczu, wstał na jedno kolano. Wtedy zdał sobie sprawę, że wrzaski na zewnątrz ustały, nie było też gorączkowego tupotu nóg na korytarzu.

Czyżby wszystko się skończyło?

Mervil pozwolił organizmowi wchłaniać nowe pokłady siły zrodzonej z nadziei, która jednak znów przygasła, gdy spojrział w stronę zaryglowanych drzwi. Jediną drogą, jaka mu pozostała, było przejście przez korytarze zamku. Zadrżał. Nie wyobrażał sobie, że stać go będzie na taki wysiłek. Powoli, bardzo powoli zwolnił jednak rygiel i wyszedł na korytarz. Zobaczył Aquila, który czekał na niego na najbliższym parapecie. Orzeł skrzeknął cicho i sfrunął na wyciągnięte przedramię śledczego. Ruszyli w głąb korytarza. Mimo że Mervil stapał bardzo cicho, miał wrażenie, że stukot kroków roznosi się po całym zamku, wzmacniany echem odbijającym się od zimnych ścian. Nikt jednak nie reagował na ten rzekomy hałas. Wszędzie walały się elementy zbroi i broni.

Na końcu korytarza rozciągała się ciemna czeluść schodów. Aquil poderwał się do lotu i pierwszy zniknął w mroku. Śledczy podążył za nim. Na dole przywitało ich światło księżyca wpadające przez liczne okna. Posadzkę zaścieniały skłębione ciała. Bellus przystanął obok jednego z okien i przytuliwszy się do zimnego muru, lustrował dziedziniec. Żadnego ruchu.

Miał szansę uciec. Być może nie było mu pisane zginąć w tych murach. Nie wiedział, w jaki sposób, ale Aquil najwyraźniej uodparniał go na szal, który opanował wszystkich dokoła. Gorączkowo rozejrzał się za białym orłem. Ptak tymczasem przysiadł na posadzce przed jedną z zamkniętych komnat, jakby na coś czekał.

Bellus przystanął niezdecydowany. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że nie zdoła przejść obojętnie obok tych zamkniętych drzwi. I wtedy usłyszał głos:

– Dalej, jak długo jeszcze mam na ciebie czekać?!

Rozumiał słowa, choć język wydawał mu się jakiś daleki, obcy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Aquil zaskrzeczał, jakby zaraz miał się na kogoś rzucić. Pozostawał jednak w miejscu.

– No chodź, zapraszam cię – zabrzmiał głos.

Mervil powoli zbliżył się do wejścia, trzymając uniesioną broń. Kiedy tylko dotknął go półmrok pokoju, poczuł znajomy przyływ nienawiści, a oczy powoli zaczynała zasnuwać mgła, jednak trwało to tylko ułamek sekundy, po którym znów stał się sobą. Orzeł przysiadł na jego ramieniu. Bellus czuł, że nie powinien robić już ani kroku. Jakby na potwierdzenie tych słów z ciemności zaczął wyłaniać się humanoidalny kształt. Powietrze wokół Mervila zafalowało, naładowane tajemniczym tchnieniem. Śledczy zobaczył, jak kilka kroków przed nim materializuje się wysoka postać. Zdawała się unosić nad posadzką. Jej ręce i nogi ginęły w dymnych fałdach nieuchwytnego płaszcza. Tylko łysa, niby-ludzka głowa z twarzą o androgynicznych rysach białała na tle szarawego wnętrza komnaty. Postać przez chwilę przyglądała się Mervilowi bez specjalnego zainteresowania. Potem przeniosła czerwone, pełne nienawiści oczy na Aquila.

– Co tu robisz? – zapytała zimno.

Orzeł potrząsnął głową. Mervil nie wiedział, czy to złudzenie, czy też piekielny stwór cofnął się nieznacznie. Śledczy mocniej ścisnął miecz. Znajomy kształt rękojeści dawał iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa.

– Kim jesteś? – spytał twardo.

Istota spojrzała nań z ciekawością.

– Jestem tobą, między innymi. – Jej gładką twarz skrzywiło coś na kształt uśmiechu, ukazującego drobne, ostre zęby.

– Dlaczego zmuszasz nas, byśmy się zabijali? – rzucił, postępując krok naprzód.

Postać nie tylko nie cofnęła się, lecz w oka mgnieniu niemal przywarła do twarzy Mervila. Czułby jej oddech – gdyby oddychała. Nogi śledczego drżały. Aquil zaskrzeczał przeraźliwie.

– Jestem jednym ze Żniwiarzy! Jestem Szósty!

Nim jeszcze słowa zdążyły wybrzmieć, Mervil jednym energicznym ruchem ciał mieczem szyję istoty. Impet uderzenia mógłby rozrąbać młode drzewo, jednak broń przeszła bez oporu przez niematerialne ciało. Bellus stracił na chwilę równowagę i poleciał do przodu. Szósty zniknął, pojawiając się na poprzednim miejscu.

– Głupcze! – wycedził.

– Dlaczego tamci musieli zginąć? Przeze mnie? – Mervil wciąż ciężko oddychał, lecz pytał dalej, czując, że gdyby coś mu groziło, zapewne już by nie żył.

– Przez ciebie. Między innymi. – Żniwiarz falował obojętnie.

– Ja żyję – odparł śledczy.

Czerwone oczy na moment spojrzały na Aquilia.

– Czy jest dla mnie droga wyjścia? – Śledczy silił się na spokój.

Szósty znów wykrzywił w uśmiechu swoją nieludzką twarz:

– Nie należysz do tego miejsca, masz wolną drogę przez las. Ale tam, cóż... zginiesz, Mervilu.

– Jeszcze nikt nigdy nie groził... – chciał powiedzieć śledczy, z jego ust jednak nie dobył się żaden dźwięk.

– ...bo teraz lasy to dom moich braci. Tym razem orzeł zdołał ci pomóc, bo jestem sam, ale nie pomoże, kiedy będzie nas więcej. Wtedy powieszysz się na najbliższej gałęzi, bo poznasz prawdę o swoim rodzaju.

Mervil słuchał jak zaklęty hipnotycznego, metalicznie monotonnego głosu.

– Ten świat rozpadnie się całkowicie za jakieś dwa lata, możesz więc tu zostać i umrzeć sam, w spokoju, tak, jak o tym marzyłeś przez pół życia

lub... cóż, sam już wiesz. Czekają na ciebie w lesie. Orzeł cię zaprowadzi!

Po tych słowach wszystko się skończyło. Istota zniknęła, zabierając ze sobą całą grozę tej nocy. Mervil stał, wpatrując się w miejsce, w którym była jeszcze przed chwilą. W końcu odwrócił się, pewien, że odeszła. Wyszedł na dziedziniec. Nad zamkiem pełnym martwych ciał powoli wstawał świt. Śledczy spojrział w dal, a potem na siedzącego nieopodal nastroszonego orła.

– Kim ty naprawdę jesteś? – spytał zmęczonym głosem i było to jedno z wielu pytań, na które chciałby uzyskać odpowiedź.

Orzeł spokojnie przefrunął na inną część muru i zamknął oczy.

– A co ja mam robić? – rzucił na głos Bellus, a jego wzrok spoczął na twarzy martwego żołnierza, w którym rozpoznał Kalvisa. To on pierwszy, jeszcze wczoraj, wspomniał o Żniwiarzach. Mervil już wiedział, czym wypełni następne godziny. Nie zważając na kałużę krwi, wziął na plecy najbliższe leżące ciało i zaniósł je na środek dziedzińca. Tam zaczął układać wielki pogrzebowy stos.

Ściana lasu wydawała się gęsta i nieprzenikniona. Mervil czuł się rześki i wypoczęty, jego serce wszakże biło przyspieszonym rytmem. Spędził ostatnią noc w pustym zamku, w pustym świecie. Oddał hołd zmarłym, podziwiał sztukę zgromadzoną przez Iorgo Sarivę, czytał książki w jego bibliotece, najadł się do syta. Wiedział, że nie należy do tego miejsca, że nie może tu zostać. Stał przed wilgotnym murem zieloności. Gdzieś tam czekało na niego przeznaczenie, w które i tak nie wierzył. Wziął głęboki oddech i kątem oka dostrzegł, jak Aquil znika ponad koronami drzew. Nie mógł dłużej czekać. Zrobił pierwszy krok w gęstwinę.

6

Na suficie tańczą cienie zmieszane ze światłami przejeżdżających samochodów. W sypialni Vermila nigdy nie ma zupełnej ciszy. Ulica za oknem żyje, a on wsłuchuje się w to życie. Lubi je, czuje się jak przyczajony drapieżnik, podsłuchujący niczego nieświadome ofiary. Kiedyś widział nawet bójkę. Trwała krótko, bo natychmiast pojawił się patrol policji. Na szczęście był w okularach i wszystko zarejestrowało się na węźle. Odtwarzał to potem dziesiątki razy, bo widok nagłej eksplozji przemocy budził w nim jakąś pierwotną radość. O napaści na siebie już zapomniał. Przemoc znów jest dla niego tylko literacką przyprawą.

Dochodzi 2.30. Olson siada na łóżku i długo pociera dłońmi czoło. Powieść wysysa z niego wszystkie siły. Myśli o niej w pracy, na spacerze, we śnie. Wciąż nie wie, jak potoczą się losy Mervila. Jednak zanim weźmie się za pisanie, musi przejść Próbę. Uruchamia komputer w klasycznym trybie. Żadnego holo. Wyciąga ikonkę aplikacji przypominającą biblioteczną półkę. Przesuwa cieniutką, wtopioną w nadgarstek bransoletkę kredytową przed oczkiem domowego czytnika. Ekran sygnalizuje, że właśnie wykupił tygodniowy dostęp do Intertekstuala. Aplikacja prosi o załadowanie tekstu bazowego. Vermil otwiera plik ze swoją powieścią. Czeka. Chyba nie jest jeszcze gotowy. Idzie do kuchni i robi mocną kawę. Pije dużymi łykami, nie zważając, że napój parzy mu usta.

Ilu przechodziło już przez ten czyściec? Ilu drżało, jak on teraz? Od paru lat wspólne dla pisarzy są nie tylko męki twórcze, ale również strach przed testem oryginalności w wielojęzycznym Intertekstualu. Vermil na próżno próbuje przekonać siebie, że nie ma dzieł naprawdę nowatorskich, że plagiat – świadomy lub nie – jest w literaturze czymś tak powszechnym jak mokry parasol podczas deszczu. W głowie kołaczą mu echa jakiegoś artykułu, w którym autor pisał z ironią o „pożyczkach” Szekspira, Moliера, Goethego, Byrona i wielu innych.

– Plagiat to paliwo literatury – mówi z mocą Olson, podejrzewając, że nawet teraz, w tej sekundzie, na całym świecie twórcy bezczelnie od siebie zżynają.

Gdzieś na drugim, trzecim planie ciszy słychać syreny straży pożarnej. Vermil zamaszystym ruchem wrzuca swój tekst do Intertekstuała. Przewodnik informuje go, że na wynik będzie musiał poczekać kilka minut. Vermil rozluźnia się, patrzy na smokopodobną klepsydrę postępu. Lśniący piasek przesypuje się wolno, a smocze głowy rozglądają się dokoła w zamyśleniu. Vermilowi wydaje się to idiotyczne. Przez chwilę zastanawia się, czy nie spersonalizować skórki interfejsu. Intertekstual tymczasem wywraca na lewą stronę miliony książek, filmów, wytrzepuje naukowe bazy danych, frazuje indywidualne pisarskie języki. Jeszcze sześćdziesiąt procent. Olson czeka, myśląc, że nie jest wcale tak strasznie. Nagle klepsydra znika. Na jej miejsce pojawia się szczegółowy raport. Vermil macha ręką, wyrzucając go poza widzialną część ekranu. Nie jest jeszcze gotowy. Czuje się oszukany przez smoczą klepsydrę. Zdenerwowany odchyła się na krześle.

Mija minuta, a potem druga. Vermil bezradnie rozgląda się po pokoju. Nie może przecież czekać w nieskończoność, musi stawić czoła najbardziej wymagającemu czytelnikowi. Jednak nie robi tego na siedząco. Kładzie się na dywanie i wrzuca wszystko na holo. Raport Intertekstuała jest teraz papierosowym zwojem, czekającym na rozwinięcie. Vermil wzdycha i rozpoczyna lekturę. Najpierw standardowy raport o błędach, który i tak od razu przewija. To robota dla redaktora. Autor szuka tego, co najważniejsze, tego, czego nie da się poprawić: nawiązań międzytekstowych. Zwój rusza jak stara lokomotywa, coraz szybciej przesuwając przed oczami Vermila listę autorów, tytułów i cytatów. Jest długa, bardzo długa. Czytanie wszystkiego byłoby aktem wyjątkowego masochizmu. Wystarczy sam rozmiar. Załzawione oczy Olsona łowią dobrze znane nazwiska, których oczywiście się spodziewał. Dużo więcej tytułów widzi jednak po raz pierwszy, choć według Intertekstuała bierze z nich całe fragmenty. A to nie wszystko, po książkach przychodzi kolej na filmy. Vermil rozpoznaje tytuły, wracają do niego kultowe frazy.

– Kurwa mać! – klnie, gdy po anglojęzycznej klasyce pojawiają się nagle sanskrytowe wężyki i krótki komentarz. Jest oburzony. Przecież nie zna hinduskiego kina niezależnego.

Ze straceńczym fatalizmem przewija na sam koniec. Tam widnieje prosta i niepozostawiająca wątpliwości informacja: oryginalność zero coma cztery procent. Od ilu procent można rozmawiać z jakimkolwiek znaczącym wydawnictwem? Nie wie, ale podejrzewa, że od pięciu, może dziesięciu. Oczywiście jest jeszcze literatura formatowa, ale jej twórców nikt nie traktuje poważnie. To raczej wyrobnicy, intelektualni kopiści i autoplagiatorzy.

Vermil podpala zwój i podnosi się. Świat za oknem wciąż jest taki sam: pełen dźwięków i ciemnych barw. Olson zastanawia się, co powinien zrobić z Mervilem. Zabić? Przecież to jego dziecko, jak Atena wyciągnięte ze środka obolałej głowy. Lecz z drugiej strony także dowód, jaką śmieszną iluzją jest podmiotowość, poczucie niepowtarzalności. Podejrzewa, że na te pół procenta składa się przede wszystkim kilka luźnych skojarzeń, kombinacji składniowych, słowem – czysty przypadek. Czy zatem termin „Vermil Olson” nazywa tylko jakąś banalną kombinację cech i możliwości powtarzających się w przyrodzie wielokrotnie?

Kryzys. To jest początek twórczego kryzysu.

– Ja pierdołę! – krzyczy i zrywa się w pierwotnej manifestacji złości, po czym klęka pośród holobałaganu na dywanie.

Wywołuje konto w Twórczości. Opłacił z góry jeszcze dwie sesje z HOMEREM. Waha się przez chwilę. Nie ma odwagi wykasować własnych marzeń. Może wróci do pisania. Teraz jednak potrzebuje czasu. Mervil musi więc sobie jakoś poradzić w wilgotnym, nieprzyjaznym lesie na granicy martwego świata.

Olson chce odejść od komputera, zostawić za sobą Intertekstuała. Nie może. Jakby natrętna obecność w pokoju mogła zmienić ocenę powieści. Siada przed monitorem, niezdecydowanie porusza ręką, czego efektem jest wykwit gąszczu wiadomości. Usuwa je poza pole widzenia. Sprawdza pocztę. Nagle jego serce przyspiesza. Pośród spamu, z którym walka zawsze

skazana jest na przegraną, czeka nowe zlecenie. Vermil patrzy na adresata: „Solidaria Kurtz”. Zaczyna czuć się trochę lepiej.

Zawód kelnera daje poczucie zanurzenia w tradycji. Przypomina, że jedzenie nie jest tylko prostym zaspokojeniem fizjologicznej potrzeby. Vermil lubi myśleć, że sposób serwowania posiłków definiuje go jako człowieka. Nienawidzi szybkiego żarcia. Czuje się wtedy jak świnia przy korycie; prymitywny i łakomy, bez cienia indywidualności. Każdy fast food (podobnie jak wizyta w toalecie) przypomina mu, że jest zwierzęciem. A on chce być istotą ducha. Poświęcając się sztuce serwowania posiłków, Vermil myśli, że gra na nosie ewolucji. Na co dzień pracuje na pół etatu w przytulnej restauracji tuż przy Brdzie. Prawdziwe pieniądze zarabia jednak dzięki prywatnym zleceniom. W obrębie dwustu kilometrów wielu ludzi ceni sobie jego usługi. Jest bowiem jednoosobową firmą: układa menu, wynajmuje kucharzy, komponuje wina, przygotowuje stół i oczywiście towarzyszy klientom podczas posiłków. Od jakiegoś czasu wynajmowanie Vermila Olsona na kameralne biznesowe obiady czy kolacje stało się modne.

Vermil spokojnie je śniadanie, a wokół niego wirują nagie, ponętne holotancerki. Podniecenie bez nadziei na spełnienie zawsze stymuluje go do działania. Kątem oka spogląda na starannie odprasowany strój kelnera. Na dziś wybrał głęboką czerń i butelkową zieleń. Przetyka ostatni kęs kanapki i starannie składa sztucce. Wszystko razem łąduje w audiozmywarce. Olson nastawia wczesnego Elvisa, który najlepiej zmywa przyschnięty majonez. Urządzenie wydaje z siebie coś w rodzaju westchnienia i z jego trzewi zaczyna płynąć muzyka. Podświetlone wnętrze ukazuje naczynia pływające się w fali dźwiękowej wydobywającej się niegdyś z gardła Króla. Vermil mimowolnie się uśmiecha. Kobiety uwielbiają ten gadżet i choć audiozmywarka to pół roku jego ciężkiej pracy, wie, że było warto.

Pstrykając palcami podchodzi do lustra i zabiera się za ułożenie gęstych blond włosów. Grzebień metodycznie dzieli i rządzi, tworząc na głowie ostatni krzyk mody. W Bydgoszczy jeszcze się tak nie czeszą, ale Vermil lubi być krok przed modą. Teraz ręcznie wyprasowana koszula, marynarka z

półdługimi rękawami i precyzyjnie marszczone spodnie. Całości dopełniają nowe, ostentacyjnie designerskie okulary – interfejs wężła. Oczywiście mógłby założyć soczewki, jednak wtedy pozbawiłby się przyjemności noszenia drogich oprawek.

Vermil wygładza marynarkę, poprawia mankiet koszuli. Szybkim ruchem wyrzuca na holo kilka swoich zdjęć zrobionych przez lustro. Ubranie, fryzura z tyłu i z boku – wszystko wygląda znakomicie. Olson z satysfakcją patrzy na swoje odbicie. Gdyby spotkał takiego faceta na ulicy, z pewnością by się za nim obejrzał w uznaniu dla ponadpłciowego piękna. Nie ma już nic do roboty. Wyłącza holo, przewiesza przez ramię pokrowiec ze strojem kelnera, ogarnia spojrzeniem małe mieszkanko i zamyka za sobą drzwi.

Taksówka już czeka. Vermil nie ma samochodu. Za bardzo lubi wino.

– Do pracy czy na dziewczynki? – zagaja znajomy taksówkarz.

– I to, i to – kłamie Vermil, bo w pracy nigdy nie pozwala sobie na flirt. Jest jak elegancki duch.

Do kolacji u Solidarii Kurtz pozostaje kilka godzin. Wystarczy na ostatnie przygotowania. Kucharze, których podnajmuje, pewnie już zaczęli pracę. Ich szefem jest Troll, stary przyjaciel. Vermil cieszy się, że go zobaczy. Od kilku tygodni nie mieli okazji się spotkać. Zlecenie jest duże, lecz Olson nie czuje zdenerwowania. Olbrzymia i świetnie wyposażona kuchnia Solidarii jest sporym ułatwieniem. Właściwie nie muszą przywozić żadnego sprzętu. Olson spokojnie przygląda się przechodniom na ulicy Gdańskiej, wprawnie wyłuskując piękne kobiety. Nie może się jednak na żadnej skupić. Wszystkie przyćmiewa wspomnienie Solidarii Kurtz. Ostatni raz widział ją dwa miesiące temu. Jej uroda jest dla niego jak trujące opary. Afekt zwykle przechodzi mu po trzech – czterech dniach kwarantanny. Niestety, teraz wraca, drastycznie zaniżając samoocenę.

Ile lat ma ta kobieta? Trudno powiedzieć, zresztą to bez znaczenia. Medycyna czy natura sprawiają, że wydaje się zanurzona w wiecznym „teraz”. I wcale nie chodzi o to, że Vermil nie zna pięknych kobiet. Zna ich wiele, lecz brak im jej wysmakowania. Solidaria Kurtz nie jest po prostu piękna, lecz doskonała w najdrobniejszych szczegółach. Oczy, piersi, nogi są

rzecz jasna wspaniałe, ale on łapie się na tym, że marzy o dotknięciu jej małżowiny usznej czy ucałowaniu płátka nosa.

Niestety, panna Kurtz, wzięta prawniczka, szeroko znana w mieście, patrzy na niego, jakby był przejrzysty. Oczywiście docenia profesjonalizm Vermila i szczególnie talent do komponowania posiłków. Jednak w ten sam sposób docenia zapewne swój luksusowy samochód czy sfluczkę w toalecie, która świetnie spełnia swoją funkcję. Nie pomaga ubranie, nie pomaga fryzura i krzykliwe okulary. Dla tej kobiety Vermil nie jest mężczyzną, lecz użytecznym przedmiotem. To boli i pewnie Olson zrezygnowałby ze zleceń od niej, gdyby nie pieniądze, które za nie dostaje.

Z fatalizmem pogodzonego z odrzuceniem kochanka patrzy teraz na szarych, jak mu się zdaje, przechodniów i napawa się wspomnieniem Solidarii. Chce przyciemnić szkła i odruchowo sięga do wężła.

– Słyszał pan – taksówkarz odwraca się do niego profilem – mają robić aerostradę do Niemcza.

– Wreszcie! – cieszy się uprzejmie Vermil. – Tylko ile tam w sumie będzie tych kołowców?

– I to samo żonie mówię. Budują, panie, ale to wszystko na wybory, żeby się potem chwalić. Jak do Fordonu jadę, może parę mi nad głową przemknie, reszta wali dołem.

– Co robić, polityka.

– Polityka – powtarza tamten. – A panu dobrze bez polityki, jak widzę.

– Nie narzekam – rzuca wymijająco Vermil i wyobraża sobie aerostradę nad głową. Gdyby jeszcze mógł pozwolić sobie na kołowiec.

Powietrzne szlaki komunikacyjne wciąż są w Polsce nowością. Warszawa ma kilkanaście aerostrad, o kolejne walczą zaciekle Gdańsk i Kraków. Bydgoszcz, podobnie jak inne średniej wielkości miasta, szczyci się jedną nitką, która spełnia raczej funkcję symboliczną. Niczego nie odkorkowuje ani nie odciąża – tylko „wygląda”. W mieście jest może setka kołowców, a każdy z nich wciąż witany jest przez spacerowiczów jak niegdyś lokomotywa przez zadziwionych Indian. To wszystko jednak nie przeszkadza Olsonowi marzyć, że i on zabierze kiedyś kobietę swoich marzeń na nadziemną

przejażdżkę własną maszyną. Potrzebuje tylko więcej klientów takich jak Solidaria Kurtz.

Taksówkarz zwalnia, mijając tablicę z napisem „Niemcz”. Po chwili zatrzymuje się przed okazałą bramą zwieńczoną holonapisem: „Skrawek Nieba”. Strażnik wychodzący z budki uśmiecha się przyjaźnie.

– Do pani Kurtz. – Vermil spuszcza szybę.

Strażnik wprawnym ruchem szczytuje siatkówkę Olsona. Jego wzrok na chwilę staje się nieobecny. Rzuca na soczewki dane z węzła.

– Kucharze już zaczęli. – Kłania się uprzejmie, a Skrawek Nieba bezszelestnie otwiera podwoje.

Taksówka jedzie powoli wśród malowniczych uliczek dzielnicy-ogrodu. Pozornie wszystko jest zróżnicowane i niepowtarzalne, ma jednak wspólny mianownik, któremu na imię luksus. Po dwóch, trzech przecznicach Vermil odczuwa wręcz przesyt asymetrycznego piękna. Wszystko bowiem ma tu swoje miejsce, a przestawienie choćby śmietnika w jakiś przedziwny sposób zniszczyłoby wymowę całości. W Skrawku Nieba obowiązuje zasada, że plan kolejnego domu zatwierdza nie tylko nadzór budowlany, lecz przede wszystkim rada mieszkańców.

– Patrz pan, niektórzy to sobie żyją – cmoka z dziecinnym podziwem taksówkarz. – Ile razy tu jestem, to myślę: źle człowiek wybrał. A dziadek mi mówił: prawo, idź na prawo. Ale ja, gdzie tam. We łbie tylko wojsko i wojsko. No i mam teraz: własne M5 na Szwederku.

– To co ja mam powiedzieć? – Vermil równie tęsknie spogląda na nowoczesne pałace.

– Ja się znam na ludziach, pan jesteś człowiek z przyszłością. Nie zre, nie zre, ale jak zacznie, to pan sobie dwa pałace postawisz.

I właśnie za takie opinie Olson lubi pana Piotra.

– Teraz to jeszcze nic, ale jak w nocy odpalają holofasady, to dopiero wygląda – mówi do taksówkarza.

– A w środku? – pyta tamten.

– Cuda.

– Cuda! – Mężczyzna wygląda, jakby się oblizywał. – Jedna dziwka, którą wożę, mówiła mi kiedyś... – zaczyna, lecz natychmiast się mityguje.

Vermil, wpatrzony w rząd platanów, udaje, że niczego nie słyszał. W oddali majaczy secesyjna brama posiadłości Solidarii Kurtz.

– Niech pan skręci, wysiądę tutaj. Łatwiej pan nawróci.

Taksówka zatrzymuje się przy krawężniku, Vermil wprawnym ruchem płaci za kurs. Staje na równiutkiej, niebieskiej kostce chodnika i zapina marynarkę.

– Jakby co, jeżdżę dziś do 21.00 – mówi kierowca, opuszczając szybę.

– Dziękuję, ale wrócę z przyjacielem.

Pan Piotr wygląda, jakby chciał zapytać o coś jeszcze, urwać kawałek z zaczarowanego świata, który ogląda tylko przez okna swojej taksówki. Olson nie zwraca na niego uwagi, idzie powoli w kierunku bramy. Dyskretnie patrzy na noski markowych butów. Pasują tu. Wie, że i on mógłby mieszkać w Skrawku Nieba i nie czułby się ani trochę nieswojo. Rozumie ludzi takich jak Solidaria. Problem tylko w tym, że oni nie rozumieją jego. Nawet ona, tak piekielnie inteligentna i przenikliwa, nie potrafi dostrzec w nim artysty, nie widzi trawiącego go ognia, właściwego tylko wybrańcom. Olson myśli o Mervilu i zdaje sobie sprawę, że to nie pałac w Skrawku Nieba, ale literacka sława jest tym, o czym marzy. Kiedy czytnik przed bramą sprawdza jego tożsamość, czuje się silny, odrębny, nieprzejrzysty dla spojrzeń ludzi pokroju Solidarii Kurtz.

Od bramy do podjazdu przed wejściem prowadzi aleja dębowa, przywodząca na myśl dziewiętnastowieczne szlacheckie dworki. Wrażenie to niwelują jednak fontanny, rzeźbiące chwilowe obrazy z dynamicznie wystrzelwanej wody. Vermil jak zwykle przystaje, by obejrzeć niezwykle widowisko. Fontanny są matowe, a ich kształty zaokrąglone zgodnie z secesyjną wymową ogrodzenia. Przemysłny system dysz co kilka sekund wystrzeliwuje precyzyjną kompozycję kropeł, która tworzy w powietrzu przelotny obraz, unicestwiany w mgnieniu oka przez grawitację bądź wiatr. Vermil dostrzega wilka, jakiś kwiat, księżyc – i nowe, wciąż nowe skojarzenia. Choć każda z fontann jest zapętlona, obrazy nie są nigdy takie same, bo nie da się do końca przewidzieć trajektorii kropeł. Olson wręcz zmusza się, by pójść dalej.

Drzwi wejściowe reagują same. Jednak Vermil skręca w prawo. Wejdzie od tyłu, od razu do domowego magazynu, a stamtąd do kuchni. Samochód kucharzy stoi prawie rozładowany. Dom sygnalizuje, by wyłączyć węzeł. Właścicielka nie życzy sobie nieautoryzowanych transmisji.

– Cześć, Trollu – rzuca Olson, wchodząc do środka.

Muskularny, smukły czterdziestolatek z ciemnymi, krótko przyciętymi włosami podnosi oczy znad skrzynki z warzywami.

– Słyszałem, że kapitan powinien wchodzić na statek jako pierwszy i ostatni z niego schodzić.

Vermil klepie go poufale w bark.

– Na otarcie łez mogę ci zaśpiewać jakąś szantę. Jak idzie?

– W porządku. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Andrzej i Olivier uwijają się w kuchni. Zdążymy.

– I to chciałem usłyszeć. A co u Magdy? – pyta.

– W porządku. Kupię jej coś naprawdę ładnego, jak wszystko pójdzie dziś dobrze. Poza tym wciąż mnie pyta o tequilę, którą jej obiecałeś.

– Rzeczywiście. Wpadnę do was w przyszłym tygodniu.

– Tylko ubierz się normalnie. Dziś wyglądasz jak kogut.

Vermil zbywa uwagę krzywym półuśmiechem i przechodzi krótkim łącznikiem do rozległej kuchni. Dwaj mężczyźni krzątają się nad garnkami. Ściska im ręce, zagląda tu i tam, po czym sprawdza jadalnię. Stół i krzesła są już ustawione zgodnie z projektem, który przesłał klientce wcześniej. Na obiedzie będzie siedem osób, łącznie z gospodynią. Z pozoru wygląda to na kameralne spotkanie przyjaciół, jednak nie do końca tak jest. Przynajmniej z punktu widzenia Vermila. Solidaria Kurtz zamówiła bowiem kulinarną loterię. Olson musi się postarać, aby każde losowanie dostarczyło gościom niezapomnianych wrażeń smakowych.

Rozgląda się dokoła i na komodzie z dymnego, żyłkowanego szkła dostrzega koperty. Każda z nich służy do losowania kolejnego składnika obiadu. Chce jeszcze raz wszystko sprawdzić. Zielona to rozgrzewka, zawiera kilkanaście starterów. Olson ślizga się po nazwach potraw wydrukowanych na czerpanym papierze: krabowe szpulki moregowane na półzłociście, drobiowe zawijki w solnych drabinkach, łosoś w pomadzie

kaparowej... – wszystko się zgadza. Teraz koperta złota, czyli mięsa – tu zaczyna się prawdziwa zabawa. Ten wybór zdeterminuje dalszy przebieg posiłku i być może sprawi Vermilowi sporo kłopotów.

– Drób, gęszyna, wieprzowina, wołowina, sarnina... – wymienia na głos Vermil, przebiegając palcami po kartkach.

Teraz sięga po kopertę srebrną, ozdobioną inskrypcją „Dodatki”. W niej również wszystko się zgadza. Zatem przy siedmiu wylosowanych starterach, siedmiu mięsach i siedmiu rodzajach dodatków kuchnia musi być gotowa na przyrządzenie trzystu czterdziestu trzech kombinacji potraw. Oczywiście sposób, w jaki to zrobi, pozostaje w gestii Vermila i Trolla. Podobnie jest z wyborem wina. Nawet najbardziej niefortunne losowanie musi smakować wspaniale.

Z kopertami wszystko w porządku. Vermil układa obrus i zastawę, dba, żeby przestrzenie między gośćmi były odpowiednie. Stół wygląda doskonale. Vermil wraca do kuchni. Zdejmuje marynarkę i od tego momentu zaczyna poruszać się jak w transie. Krąży od garnka do garnka, smakuje, omawia ostatnie szczegóły z Trollem i jego współpracownikami. Nie ma czasu na śmiech, nie ma czasu na zbędne wymiany zdań. Śmiać się i rozmawiać będą goście.

Solidaria Kurtz wchodzi bezszelestnie. Zaskoczony Troll bąka „dzień dobry” i natychmiast odkłada nóż. Andrzej i Olivier jak na komendę robią to samo. Vermil próbuje udawać rozluźnionego profesjonalistę. Nie potrafi. Kobieta gestem prosi go do salonu. Kucharze wracają do pracy.

– Panie Olson – zaczyna – bardzo mi zależy, żeby dziś wszystko się udało.

– Rozumiem.

– Na pewno? Chcę powiedzieć, że to nie będzie zwykły wieczór. Albo inaczej: goście będą niezwykli, ważni. Dla mnie osobiście. Proszę, by nic nie rozproszyło pańskiej uwagi.

– Panno Kurtz, szczerze przyznam, że trudno mi sobie wyobrazić, by cokolwiek w tym zawodzie mogło mnie zaskoczyć.

– To dobrze – mówi Solidaria, ale myślami jest już gdzie indziej.

Slizga się jeszcze wzrokiem po stole, krzesłach, kopertach. Wygląda na zadowoloną. Vermil stoi metr od niej i czuje się, jakby nie istniał bez uwagi tej kobiety, jakby dopiero jej wola sprawiała, że świat naprawdę się staje.

– Przepraszam, muszę się przygotować – stwierdza ona i odchodzi.

Vermil też rusza w stronę kuchni, jednak ogląda się dyskretnie. Nie wie, co jeszcze mogłaby „przygotować”.

Godzina piąta nikogo z nich nie zaskakuje, są na nią gotowi. Każde siedem z trzystu czterdziestu trzech kombinacji powstanie szybko i będzie najwyższej jakości. Vermil przebrał się w służbowy frak. Dyskretnie elegancki i niewyzywająco przystojny, czuje się jak uosobienie tradycji, ogniwo w długim łańcuchu celebrowania posiłku na przekór ludzkiej zwierzęcości.

Goście już są. Vermil krąży wokół nich, proponując wino. Doradza, odpowiada na pytania, jednak nie kwestionuje żadnych wyborów. To gość ma się czuć ekspertem. Solidaria pozwala, by rozmowa kiełkowała leniwie. Vermil dyskretnie lustruje stół. Nie zna nikogo. Na pierwszy rzut oka wszyscy są standardowo sformatowani na dobrobyt. Czterech mężczyzn i dwie niebrzydkie przekręcone kobiety – nowobogacka masa. Po kilku minutach Olson zmienia zdanie. Jeden z mężczyzn, siedzący naprzeciwko gospodyni, ma jakiś zagadkowy błysk w oku, a jego oszczędny sposób bycia i stonowany strój ledwie ukrywają drzemiący w nim potencjał. Solidaria też to czuje, bo odzywa się do niego nieco innym tonem. Wydaje się, że pozostali goście są tylko tłem dla tej pary. Mężczyzna nie jest specjalnie przystojny, jednak Solidaria nie potrafi lub nie chce go zdominować. Metafizyka płci, której Vermil nie rozumie.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć coś o tym winie? – słyszy z drugiego końca stołu.

– Oczywiście. – Vermil sunie ku gościowi, prezentując butelkę. – Słusznie zdecydował się pan zacząć od wina białego wytrawnego. Ten szczep chardonnay pochodzi z Nowej Zelandii, co czyni wino niezwykle ciekawym. Świetnie się rozwija, będzie pan mile zaskoczony.

Mężczyzna gestem prosi o nalanie. Bierze spory łyk, demonstracyjnie trzyma w ustach, po czym przełyka.

– Rzeczywiście, coś wyczułem. Miał pan rację, nieźle.

Vermil kłania się i ponownie napełnia kieliszek.

– Jeśli tak ci smakuje, Bernardzie, chętnie sprezentuję ci butelkę. – Solidaria wykonuje nieokreślony gest w stronę Olsona.

– Dziękuję, będę zobowiązany.

– Na to liczę – mówi Solidaria, a wszyscy przy stole śmieją się nieco zbyt demonstracyjnie.

Vermil wraca do kuchni.

– Za chwilę losowanie, gotowi?

Troll pokazuje na Oliviera, który udaje, że śpi na jednej z szafek. Vermil rzuca w niego pomidorem.

– Bez takich żartów, jakby tu weszła i cię zobaczyła...

– Spokojnie – odpowiada Troll. – Olivier budzi w kobietach bardzo matczyne uczucia. Pewnie pogłaskałaby go po główce.

Vermil wraca na salę. Podnosi pierwszą kopertę i spokojnie obraca w palcach, budując napięcie. Seria starterów jest łatwa. Wszyscy wyglądają na zadowolonych z losowania. Vermil zanosí wyniki do kuchni, po czym wraca i dolewa wina. Więcej uciechy zapewnia wybór dań głównych i dodatków. Są zdziwienia, uszczypliwe, dowcipne komentarze, łagodzone przez zapewnienia Vermila, że każdy wylosowany zestaw będzie smakował wyśmienicie. Oczy Solidarii Kurtz błyszczą. Jest usatysfakcjonowana. Vermil ukradkiem spogląda na jej wycięty dekolt. Zaczyna czuć podniecenie, które dusi w zarodku. Jest profesjonalistą. Znika dyskretnie w rogu pokoju.

– Wczoraj byliśmy na ostatnim filmie Strykowskiego – zagaja kobieta z napuszoną blond konstrukcją na kształtnej głowie.

– Nie wiedziałem, że on jeszcze żyje – rzuca niedbale mężczyzna, na którego Vermil już wcześniej zwrócił uwagę.

Blondynka jest zbita z tropu. Solidaria śmieje się perliście, przychodząc jej z pomocą.

– Wybaczcie Markowi, długo nie było go w kraju. Odwykł też od rozrywek ludzi cywilizowanych.

– Tak, przepraszam. – Mężczyzna nazwany Markiem uśmiecha się do blondynki. Jego zęby są małe i ostre jak u piranii. – Strykowskiego najbardziej pamiętam z *Wyklarowanych*. Już wtedy był dość stary.

– No, ale wciąż kurczowo trzyma się życia – wtrąca jej partner. – I kamery – dodaje.

– Więc, Dominiko? Polecasz ten film? Warto pójść? – pyta gospodyni.

– W zasadzie tak. Przesadzili trochę z zapachem, ale ogólne wrażenie jest naprawdę dobre.

– A ja uważam, że Strykowski jest za stary, by zrozumieć kino multisensualne. Nie każdą historię da się opowiedzieć dotykiem – sapie Bernard, wymownym spojrzeniem przywołując Vermila.

– Wiek nie ma tu nic do rzeczy. To ty, Bernardzie, myślisz kategoriami granic. „Czas” zawieś na kołku – odpowiada blondynka.

– Przepraszam, czy można podać przystawki? – Vermil reaguje na dyskretnie skinienie gospodyni.

Nieznacznie pochyła się nad stołem, łowiąc reakcje gości. Witają propozycję z entuzjazmem, gdyż odrywa ich od sporu na temat filmów studwuletniego reżysera. Olson przynosi wszystkie siedem starterów jednocześnie, co wywołuje pełne aprobaty pomruki. Kelner obserwuje, w jaki sposób goście zabierają się do jedzenia. Wierzy, że ta czynność mówi więcej o ich charakterze niż jakiegokolwiek słowa. Bernard rzuca się łapczywie na swojego łososa. Pewnie nawet nie czuje smaku. Marek jest jego przeciwieństwem. Smakuje powoli, patrzy gdzieś w dal. W zamyśleniu obraca na języku intensywną paletę skojarzeń, a nie – smaków. Taki człowiek potrafi wyssać z życia wszystko, co daje przyjemność. Solidaria je podobnie. Prócz tej dwójki reszta gromady przypomina raczej przeżuwaczy. Vermil gardzi ludźmi, dla których jedzenie jest tylko sposobem zaspokojenia głodu.

Talerze po starterach znikają. Kiedy Vermil nachyla się nad Markiem, ten nieznacznie unosi głowę. Patrzy na kelnera. Ten staje, ścięty nagłym lękiem. W oczach tego mężczyzny nie ma ani odrobiny uczucia. I znów te zęby: ostre, chyba spiłowane.

„To tylko moja wyobraźnia!” – tłumaczy sobie Olson, o mało nie upuszczając butelki.

Na szczęście nikt nie zauważa tej chwili słabości. Nad stołem kiełkuje nowa dyskusja.

– Swoją drogą współczuję ci, moja droga – odzywa się podochocony mężczyzna, którego imienia Vermil nie usłyszał.

– Tak? A dlaczego? – pyta uprzejmie Solidaria.

– Sprawa Hermana! – ciągnie tamten. – Chyba nie powiesz mi, że jest do wygrania? Po wszystkim on zniknie, a ty zostaniesz. To na ciebie wyleją wszystkie pomysły.

Solidaria ociera usta chusteczką.

– Znałeś go, Tomku? – pyta.

– Otarliśmy się o siebie. – Twarz mężczyzny staje się czujna. Wypity alkohol wyparowuje w okamgnieniu.

– Wezwę cię na świadka obrony. Możesz coś wiedzieć.

Mężczyzna wlepia wzrok w gospodynię. Ta przez chwilę wytrzymuje spojrzenie, po czym wybucha śmiechem. Po chwili wtórują jej pozostali, na końcu dołącza sam Tomek. Przez kakofonię chichotów przebija się głos Marka.

– Ciekawa sprawa z tym Hermanem. Jak słyszałem, złapano go na miejscu zbrodni, całego we krwi. Przyznał się do zabójstwa żony, a mimo to córka utrzymuje, że jest niewinny.

– Dla mnie sprawa oczywista. Zawsze był jakiś dziwny – kwituje kobieta, która dotąd milczała.

– Dorotko, czy możemy zmienić temat? – prosi Solidaria.

– Oczywiście.

Marek wykorzystuje sekundę ciszy.

– Są pasożyty, które potrafią zrobić ze swojego żywiciela prawdziwego zombie. Na przykład artemia, mały słonowodny skorupiak. Naturalny samotnik. Jednak tasiemiec zmusza go do polubienia towarzystwa. Artemie więc gromadzą się w widoczne grupy, które stanowią pożywienie flamingów. Tak się składa, że tylko we flamingach tasiemce mogą się rozmnażać.

Pasożyt przejmuje całkowitą kontrolę nad skorupiakiem i zmienia jego charakter dla własnych celów.

Coś niedobrego wisi w powietrzu. Vermil powinien przerwać ten monolog, ale nie wie, jak. Twarz Solidarii tężeje. Marek mówi dalej spokojnym, monotonnym głosem, jakby był androidem żywcem wyciągniętym z fantastyki lat 70. zeszłego wieku.

– Albo weźmy świerszcza. Zjada larwę drucieńca, która musi dotrzeć do wody, lecz sama nie może. Dlatego kiedy urośnie w swoim żywicielu, ogłupia go, a świerszcz biegnie do najbliższego jeziora, rzeki, basenu żeby się utopić. Z trupa wydostaje się dojrzały drucieniec, który teraz może się rozmnożyć. Zresztą owady owadami. Mój faworyt to toxoplazma gondi, która rozmnaża się tylko w kotach. Jeśli więc szczur czy mysz z „toxó” w środku widzi lub czuje kota, podchodzi do niego, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Wręcz marzy o tym, żeby zostać zjedzonym.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Bernard nerwowo gładzi się po brodzie i pociąga duży łyk wina.

– Chce powiedzieć, że pasożyt, który w tobie tkwi, strasznie lubi alkohol. – Dorota, partnerka Bernarda, rozładowuje napięcie.

Marek tylko wzrusza ramionami. Solidaria nie musi dawać żadnych znaków. Vermil wie, że czas na obiad. Przynosi pierwszą potrawę. Teraz każde wejście musi być szczególnego rodzaju przedstawieniem.

– Oto kaczka w winie z owocami. Idealnie pasuje do przystawki. Jest lekko przydymiona i nadziana wędzonymi szyszkami – oznajmia teatralnie, stawiając talerz przed jedną z kobiet, po czym dodaje: – Brzoskwinie i śliwki nadają jej niepowtarzalny smak, lecz prawdziwy sekret ujawnia się na podniebieniu bardzo subtelną nutą. Jak basista w zespole: słycać go dopiero wtedy, gdy przestanie grać.

Olson tłumaczy sposób przyrządzenia, proponuje zwrócić uwagę na co bardziej wyszukane przyprawy. Goście są zachwyceni. Wkrótce pozostałe dania trafiają na stół, przy żywiołowej aprobacie. Vermil obserwuje Solidarię. Jego zadanie prawie się skończyło, jeszcze tylko deser. Przykleja się do ściany i czeka, gotowy na każde skinienie. Myśli o sumie, która zasili jego konto. Przy stole tymczasem rozmowa skleja się na nowo.

– Słyszeliście, że w przyszłym tygodniu będzie gotowy plan zagospodarowania zachodniego Łęgnowa? – zaczyna nijaki mężczyzna, który dotąd rzucał tylko krótkie uwagi dotyczące jedzenia.

Błysk zainteresowania w oku Solidarii. Chyba na to właśnie czekała.

– Krzysiu, wiesz, kto podejmie ostateczną decyzję? – pyta znad talerza, niby od niechcenia.

– Podobno Dwoiński.

Goście krzywią się teatralnie.

– Palant! Nie umiałby zaplanować zasadzenia kwiatka w doniczce – mówi Bernard.

– Miałam z nim do czynienia jeszcze kiedy budowaliśmy basen. Trochę się to wszystko wymknęło spod kontroli, przyszły dodatkowe pieniądze, zmieniliśmy plany. Dwoiński to był koszmar. Człowiek bez wizji – wtóruje mu Dorota.

– Dwoiński. – Marek cedzi słowa. – Nazwisko znajome. Może mnie wprowadzicie?

– Człowiek Wysockiego, tego posła. Cholernie uparty – wyjaśnia Bernard.

– Uparty?

– Nie trafiają do niego żadne argumenty. Wie najlepiej, co służy dobru miasta. Przy nim Bydgoszcz nie ma szans się rozwinąć. Zahamował budowę holocentrum, nie zgadza się na drugą nitkę aerostrady. Ma plecy w Warszawie. W tej kadencji nie do ruszenia.

– O co mu naprawdę chodzi? – dąży cierpliwie Marek.

– Problem w tym, że o nic. No, może o własną wizję. Wydał kiedyś taką holonakładkę *Bydgoszcz, jakiej nie znaliście*. Chodziła trochę po sieci, paru się nią podnieciło i tyle. Były tam głównie rekonstrukcje. Bzdura.

Tomek kiwa głową, manifestując, że w pełni zgadza się z tą wypowiedzią. Solidaria patrzy na Marka.

– Krzysztof ma rację. On niszczy miasto. Pozbawia mieszkańców istotnego wpływu na wygląd przestrzeni, w której żyją. Źle inwestuje, hamuje potencjał rozwojowy i... zarobkowy. Martwi nas to.

– Jak bardzo? – pyta Marek, wodząc pustymi oczyma po zebranych.

Ich twarze mówią, że nie wyobrażają sobie większego problemu.

– Moja sarnina jest wysmienita. Kucharz się postarał. – Marek kiwa z uznaniem głową, wbijając widelec w sztukę mięsa. – Takie problemy często rozwiązują się same. Trzeba tylko chcieć.

Olson jest lekko zdezorientowany. Czuje, że dzieje się tu coś ważnego, że goście porozumiewają się niezrozumiałym dla niego szyfrem. Nie ma jednak czasu o tym myśleć. Trzeba zebrać talerze. Jak tancerz wiruje wśród krzeseł, kursując z quickstepową gracją między kuchnią a jadalnią. Miejsce dań głównych zajmują desery, które szybko znikają w żołądkach gości. Solidaria Kurtz jest rozluźniona. Opowiada prawnicze anegdotki. Błyszczycy. Pozostali goście rozmywiają się Vermilowi w plamę wylewnej poufałości. Tylko nad Markiem alkohol nie ma żadnej władzy.

Vermil zabiera ostatnie talerze, dolewa wina. W kuchni Troll patrzy wyczekująco.

– W porządku, świetnie wam poszło! – uśmiecha się kelner i pokazuje uniesiony kciuk.

Troll ignoruje pochwałę.

– Podglądałem, jak sobie radzisz i usłyszałem tamtego faceta naprzeciwko Solidarii.

– Marka, tak ma na imię.

– Stary, o czym on mówił? – Troll zniża głos do szeptu, korzystając z okazji, że nie ma przy nich Andrzeja i Oliviera.

– Daj spokój, biznesowa gadka.

– Nie wydaje mi się – oczy Trolla lśnią podejrzliwą inteligencją.

– Dobra, później pogadamy. Później! – Vermil wpycha go delikatnie w głąb kuchni.

Troll ulega.

Olson oddycha z ulgą. Pojawiają się pozostali kucharze. Wyglądają na wykończonych. Drzwi do kuchni otwierają się z cichym syknięciem. W progu staje Solidaria Kurtz. Przez ułamek sekundy czterech mężczyzn ścina irracjonalne przerażenie. Niepotrzebnie, jest zadowolona, przyszła podziękować.

– Panowie, jak zawsze spisaliście się znakomicie. – Ozdabia tę pochwałę uśmiechem, za który można by oddać życie. – Dziś nie będziecie mi już potrzebni. Posprzątajcie tylko z grubsza. Rano przyjdziecie po resztę.

Kobieta ściska rękę Vermilowi i znika za drzwiami. Mężczyźni patrzą na siebie z satysfakcją. Napięcie opada. Nie mają jednak czasu na rozmowy. Wkładają naczynia do zmywarek, wynoszą na zewnątrz najważniejsze rzeczy. Na jutro też dostali zlecenie. Vermil zabierze się z Trolllem. Tak się umówili. Ruszają. Dom zapewne dyskretnie poinformuje Solidarię, że wyszli. Powinna być zadowolona. Zrobili to bardzo sprawnie. Wsiadają, Troll włącza muzykę. Kiwa się w takt przeboju, śpiewając:

– Jesteśmy najlepsi, jesteśmy, kurwa, najlepsi!

Vermil ma wrażenie, że jest w tym coś sztucznego. Stara się nie patrzeć na przyjaciela. Liczy, że temat przywołany w rozmowie gości nie wypłynie przy Andrzeju i Olivierze. Czułby się z tym źle. Przecież płacą mu za niewidzialność. Co innego Troll. Jest tylko kucharzem, teoretycznie nie wiąże go żaden nakaz dyskrecji.

– A gdzie jutro? – pyta Trolla, przekrzykując muzykę.

– Standard. Lunch w ratuszu. Ma być jakaś zagranica. – Przyjaciel wydaje się zupełnie rozluźniony. Może zapomniał o sprawie? – Rzucisz okiem na menu? – dodaje.

– Nie chcę stracić apetytu – odpowiada zaczepnie Vermil.

– Marudzisz! – gani go Troll. – Wrzucam ci na węzeł. Zobaczysz, że nawet prostakom można wmusić trochę dobrej kuchni.

Vermil sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dotyka koszuli, potem spodni. W końcu znajduje węzeł, lecz wciąż gorączkowo rozgląda się dokoła.

– Chłopaki, nie ma tam moich okularów? – pyta, odwracając się do Andrzeja i Oliviera.

Sprawdzają i kręcą przecząco głowami.

– Zatrzymaj się! – prosi Vermil. – Wracam!

Troll staje.

– Nie lepiej jutro? Przecież już wyszliśmy.

– Jutro muszę być w robocie. Zresztą nie będę dzwonił do pani Kurtz i robił jej problemów z ponownym przyznawaniem dostępu. Zobacz. – Spojrzał na wyświetlacz deski rozdzielczej. Jest 21.30. Teoretycznie nasza autoryzacja jest ważna do 23.00. Jak drzwi się nie otworzą, odpuszczę. Muszę mieć te okulary! Dopiero co je kupiłem.

Troll zastanawia się przez chwilę, a na jego szerokim czole pojawia się zmarszczka przypominająca krzyż.

– Masz piętnaście minut. Potem wzywaj taksówkę. Zanim rozwiozę chłopaków, minie godzina. Magda już trzy razy dzwoniła. Mała jest chora.

Skreca w parkingową zatoczkę i spogląda na Vermila znacząco.

– Jeśli myślisz, że przelecisz Solidarię, to chętnie się założę.

Vermil nie odpowiada, ale robi mu się gorąco. Wyskakuje z samochodu i zaczyna biec. Na szczęście nie zdążyli odjechać za daleko. Zza zakrętu wyłania się już znajoma brama i fontanna alejka. Przebiega ją, tym razem nie zwracając uwagi na skroplone figury. Sugestia Trolla pali gdzieś w środku. Mężczyzna bezceremonialnie wsadził rękę w „ja” Vermila i wyciągnął na zewnątrz najsukrytsze pragnienie. Olson czuje się jak wybebeszony silnik – brudny, ze sterzącymi zewsząd kablami. Oczywiście marzy o Solidarii. Czasami, będąc z innymi kobietami, wyobraża ją sobie nago i już sama ta myśl wystarcza, by skończył w następnej sekundzie. Jednak pragnienie to, wyjęte nagle i rzucone w twarz, niemal pozbawia go tchu. Bo właściwie czemu nie? Jest przystojny, natura nie poskąpiła mu niczego, a koniec końców o wszystkim decyduje biologia, chwilowy impuls.

I wtedy nagle przypomina sobie Marka, jego ostre zęby i widelec z mocą wbijany w kawał sarniny. On jest prawdziwym zdobywcą, zwycięzcą w grze, w której uroda ma drugorzędne znaczenie. Do Vermila wracają słowa o problemach, które rozwiązują się same. Musi o nich zapomnieć, przecież nic nie znaczyły. Tylko co z Trollem? Czy i on zapomni?

Vermil dobiega do drzwi wejściowych. Jest cicho, wokół cykają świerszcze. Powoli kieruje się na tyły rezydencji. Szeroki podjazd po chwili zmienia się w sinusoidalną alejkę wysypaną białymi kamieniami. Lampki po bokach rozjarzają się w rytm jego kroków. Vermil ostrożnie zbliża twarz do czytnika przy drzwiach. Dom akceptuje jego powrót, klamka ustępuje. W

krótkim, szerokim korytarzu jest ciemno, ale kilka metrów dalej widać już przyćmione oświetlenie. Vermil wchodzi ostrożnie. O dziwo, przed sobą słyszy przytłumione głosy. Ktoś tam jest. Olson waha się przez chwilę. Głosy milkną. Może tylko mu się zdawało? A zresztą, nawet jeśli kogoś spotka? Przecież ma prawo zabrać okulary. Od jego wyjścia minęło zaledwie kilka minut.

Delikatnie pcha ciężkie drzwi. Otwierają się bezszelestnie, wpuszczając łagodne światło w głąb korytarza. Już wie, że zrobił błąd. Ręka opada bezwładnie, lecz drzwi, raz wprowadzone w ruch, otwierają się coraz szerzej i szerzej. W mózgu Vermila dochodzi do czegoś w rodzaju spięcia. Kwanty światła niosące informacje wnikającą weń przez siatkówkę i nerw wzrokowy, odmawiają transportowania obrazu dalej, do mózgu, który mógłby go zinterpretować i zrozumieć. Vermil patrzy, ale nie widzi. Widzi, ale nie rozumie. Organizm ma protokół postępowania w takich chwilach. Sprawdzony i przetestowany na tysiącach przodków Olsona. Wszystko, co niepotrzebne, na czele z myśleniem i wnioskowaniem, zostaje wyłączone. Kontrolę przejmuje gadzi mózg – wybory stają się zero-jedynkowe. Vermil, czy raczej ów pierwotny protokół, który nim zarządza, odwraca ciało i zaczyna uciekać. Najpierw do drzwi, potem alejką w stronę podjazdu, a następnie do bramy. Byle szybciej, byle dalej od niebezpieczeństwa. Organizm zawiesza wszystkie inne funkcje – zostaje tylko ucieczka. Jakaś część Vermila rozumie, że wydarzyło się coś strasznego i godzi się z tym postępowaniem. Kamyki pryskają spod miarowo uderzających butów, ręce młóćą stawiające opór powietrze. Wszystko dokoła staje się ciągiem ciemnych i szarych linii. Olson jest już na ulicy. Nie zwalnia jednak, biegnie dalej, bez wyraźnego kierunku, celu. Po prostu dalej.

Nagle tuż przed nim wykwitają dwa świetlne punkty. Obejmują go, zagarniają. Gadzi mózg kapituluje, chowa się. A zresetowany umysł Vermila rozumie, że widzi przed sobą pędzący samochód. Jednak dla niego nie ma to już żadnego znaczenia. Odruchowo, jakby chciał wzlecieć w powietrze, wybija się i skacze. Słyszy huk pękającej szyby i rzeczywiście leci.

SESJA SZÓSTA

Kim ty jesteś...

Wieczór zbliżał się wolno, niepostrzeżenie. Mervil pewnie chwycił miecz i jak zwykle dotknął sztyletów umocowanych przy pasie. Wiedział, że broń prawdopodobnie jest bezużyteczna, mimo to jej nie chował. Była twarda, zimna i realna. Od czasu do czasu nad jego głową przelatywał Aquil, który przejął rolę przedniej straży. Jednak im dłużej śledczy zagłębiał się w las, tym większym wydawało się to szaleństwem. Czy mógł liczyć na odnalezienie wyjścia tam, gdzie zawodziły nauka, logika i rozum? Jak nigdy wcześniej przychylił się do twierdzenia, że świat odbierany za pomocą zmysłów stanowi tylko fasadę dla czegoś nieznanego, złowrogiego.

Nienaturalna cisza okrywała las niczym gruby, szczelny koc. Wszędzie dokoła masywne, poskręcane pnie zdawały się bronić przystępu do leśnych tajemnic. Marsz przez chaszczę, zapadliska i wykroty był morderką. Na próżno Mervil wypatrywał choćby śladu ścieżki. Nawet Aquil z trudem manewrował pomiędzy ciasno ściśniętymi koronami drzew. Strach i wysiłek sprawiały, że rozgorączkowany umysł zaczynał płatać Mervilowi figle. Drzewa wokół przybierały najfantastyczniejsze kształty. Przypominały ludzi, zwierzęta, stwory z ledwie pamiętanych opowieści. Z pewnością nie był to jeden z tych lasów, które dają człowiekowi schronienie i pożywienie, budząc podziw i szacunek. Żadne zwierzę nie zakłócało złowieszczego spokoju, żaden wiatr nie szeleścił w gałęziach. Jedynym objawem życia były ostrożne kroki Mervila i jego przyspieszony oddech, który tutaj brzmiał jak odgłos kowalskiego miecha. Z każdą minutą, z każdą przebytą milą uwaga Bellusa natężała się coraz bardziej, wysysając z organizmu ostatnie siły.

Żniwiarze czekali.

W lesie zrobiło się już tak ciemno, że Mervil nie mógł dostrzec białych skrzydeł Aquila. Nie było nieba, nie było ziemi, tylko czerń. Mężczyzna

ukląkł, po omacku szukając miejsca, gdzie mógłby się położyć. Orzeł zaskrzeczał i trącił go dziobem.

– Daj spokój – odpowiedział mu śledczy.

Po tych słowach wyciągnął nogi i legł na wilgotnym, pobrużdżonym korzeniami mchu. Nie było sensu iść dalej. Musiał poczekać do rana. Jeśli będzie jakieś „rano”.

Aquil dreptał przez chwilę wokół Mervila. W końcu szarpnął go za rękaw. Bellus nie miał już siły zastanawiać się, skąd u ptaka ta determinacja. Jednak leżenie na sękatych korzeniach wcale nie było przyjemne. Przeciągnął się i wstał. Wsparłszy się na mieczu, ostrożnie poczłapał przed siebie w zupełnych ciemnościach. Orzeł wzbił się w powietrze. Mervil kierował się jego gardłowym skrzekiem, bezskutecznie próbując cokolwiek dostrzec. W pewnej chwili wydało mu się, że coś jasnego, jakiś migotliwy kontur żółtego płomienia majaczy w oddali po prawej stronie. W sercu zakiełkowała ostrożna nadzieja. Światło nie mogło być złe. Może upiór chciał go tylko nastraszyć, wiedząc, że nie ma nad śledczym mocy?

Mervil intensywnie wpatrywał się w przyjazną plamkę jasności. Plamka rosła z każdą chwilą, aż okazała się ogromnym ogniskiem płonącym na wielkiej polanie. Śledczy już z daleka poczuł ciepło, które jego zziębnięte od wilgoci ciało przyjęło jak życiodajny okład. Jednak mimo że podchodził coraz bliżej, wcale nie robiło mu się gorąco. Niezależnie od odległości ogień był tak samo przyjemny. Mervil przystanął. Przez dłuższą chwilę, ukryty za drzewem, obserwował polanę. Nie dostrzegł żadnego ruchu, żadnych oznak niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie ten, kto dorzucał dREW, siedział po drugiej stronie, za ścianą ognia. Bellus czołgał się od drzewa do drzewa. Wkrótce był już tak blisko ogromnych płomieni, że sam mógłby podrzucić gałązkę. Niespodziewanie dobiegł go przyjemny, wręcz dobrotliwie rubaszny głos:

– Zapraszam, zapraszam do mnie! Nie ma co się gnieździć w wilgotnym lesie.

Śledczy popatrzył do góry, na Aquila. Orzeł był czujny, jakby na coś czekał. Powoli jednak ruszył w stronę głosu. Mervil zrobił to samo. Skoro został zauważony, nie było sensu dalej się ukrywać.

– Zapraszam, zapraszam! – grzmiał bas.

Bellus obszedł polanę, trzymając się poza kręgiem światła. Z drugiej strony, za ogromnym stołem uginającym się od jadła i napitku, siedział nieprawdopodobnie gruby mężczyzna, zajadając ze smakiem kawał pieczonego udźca. Zobaczywszy Mervila, przerwał na chwilę i mlasnął.

– No, nareszcie. Siadaj, częstuj się.

Szerokim gestem wskazał smakołyki. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zadowolenie; wyglądał, jakby ofiarowywał gościowi część siebie. Jednocześnie dało się wyczuć, że każde wypowiedziane słowo było wyzwaniem, ponieważ odrywało go od jedzenia.

– Kim jesteś? – zdążył wykrztusić Mervil, lecz słowa uwięzły mu w gardle, bo poczuł cudowny zapach potraw dźwiganych przez gigantyczny stół. Ach, czegoż tam nie było! Wyborne mięsiwa ociekające tłuszczem i kolorowe od przypraw, ptactwo przyrządzone wraz z bajecznym upierzeniem, sałaty, owoce, wielkie butle wina, a ponad tym wszystkim strzeliste, skąpane w wodospadach lukru torty.

Nagle wszystkie wydarzenia w życiu Bellusa nabrały wyraźnego sensu. Właśnie dla tej chwili żył, dla tej chwili znosił trudy i męki. Pozbawiona sensu egzystencja zyskała nowy wymiar dzięki wspaniałej, naturalnej czynności, jaką było jedzenie. Żołądek śledczego począł wyc, wyrwać się z ciała ku smakowitym potrawom. Mervil był pewien, że za chwilę doświadczy cudownego, rajskiego spełnienia, będzie mógł jeść przez całą wieczność. Nigdy już nie poczuje się zmęczony, głodny, przemoknięty. Tu, przy tym ognisku, w dobrym towarzystwie, dokona się jego przeznaczenie. Zniknęła ciemność, zniknęły wspomnienia, było tylko jedzenie.

Niespodziewanie śledczy potknął się i runął jak długi. Jego twarz na moment zetknęła się z inną, zdeformowaną, napuchłą. Zerwał się na równe nogi, tracąc zainteresowanie biesiadą. Aquil skrzeczał przeraźliwie, a głos dalej monotonnie napominał:

– Nic się nie stało, usiądź, zjedz coś.

Mervilowi jednak nie w głowie był teraz posiłek. Pod nogami miał gnijące, rozdęte zwłoki. Zatkał uszy, by przez chwilę nie słyszeć nawoływań grubasa, i wyteżył wzrok. Pod stołem, z boków, za plecami jedzącego –

wszędzie leżały trupy. W świetle tańczących płomieni śledczy nie mógł zobaczyć zbyt wiele. Jednym rzutem oka uchwycił baloniaste brzuchy, nabrzmiące policzki i ręce pełne niedojedzonych resztek. Poczul na plecach znajomy chłód. Ci ludzie umarli, bo przyjęli zaproszenie. Zapewne byli to biedni chłopcy, skuszeni biesiadą oglądaną pierwszy raz w życiu. Mervil spojrzal na ucztujące monstrum.

– Kim jesteś? – krzyknął, czując, że pokusa obżarstwa nie jest już w stanie mu zagrozić.

– Mamy tu świetną dziczyznę, wiesz? – Postać siedząca za stołem wciąż przywoływała śledczego, lecz siła głosu była znacznie słabsza.

– Kim jesteś? – powtórzył Mervil.

– Przecież wiesz. Wypijemy za moje zdrowie? – rzucił bez troski tamten.

Śledczy milczał. Czul, że poca mu się ręce, że zaraz zwymiotuje.

– Mam tu świetne wino, chyba że wolisz piwo albo miód, a do miodu...

Mervil nie słuchał. Ostrożnie wycofał się poza krąg światła i ruszył dalej, zostawiając nieludzkiego obżartucha. Nie zastanawiał się, skąd w środku lasu wzięła się ta istota, stół i wszystkie potrawy. Przyjął po prostu ich istnienie tak, jak przyjmuje się wschód słońca, który jest faktem, mimo że nikt go nie rozumie. Jego głowę zaprzętała inna, ważniejsza myśl. Zdawało mu się bowiem, że pojął naturę tego, z czym ma do czynienia: najpierw gniew, potem obżarstwo. Czy właśnie to miał na myśli upiór, kiedy mówił o istocie człowieczeństwa? Mervil przypomniał sobie strzępki pewnej starej opowieści. Starszej niż koncepcje Crispona. Zatrzymał się. Myśl zatańczyła na granicy wiedzy, szukając szczegółów.

Bez skutku.

Mervil wyjął z kieszeni suszony owoc, włożył go do ust i spokojnie przeżuł. Głód nie zelżał, ale śledczy poczuł się silniejszy. Ognisko na powrót stało się ledwie uchwytną żółtą plamką.

Ruszył przed siebie. Żałował rozstania ze światłem. Raz po raz oglądał się za siebie. Za którymś razem nie dostrzegł już płomieni. Wchłonęła je ciemność. Czul się potwornie zmęczony. Na nogach trzymały go tylko wola życia i ciekawość naukowca. Coś się w nim zmieniło przy tamtym stole.

Mimo strachu i niepewności, jakaś część Mervila pragnęła posiąść nową wiedzę. Jednak chcąc ją zgłębić, śledczy musiał się stąd wydostać, musiał żyć! Skoncentrował się więc tylko na tej myśli i jeszcze uważniej wsłuchał w szeleszczące skrzydła orła. W pewnej chwili zwolnił kroku, gdyż miał nieodparte wrażenie, że coś się zbliża. Jego ciało nauczyło się reagować na nieznane.

Aquil skrzeknął z cicha, kiedy tuż przed Mervilem, jakby prosto z mchu wystrzelił snop srebrzystego blasku. Śledczy skręcił i, na ile mógł, przyspieszył kroku. Blask podążył za nim. Rósł i co chwila przecinał mu drogę, aż stało się jasne, że nie można przed nim uciec. Bellus zatrzymał się i schował broń. Mając wolne ręce, poczuł się jakoś swobodniej. Srebrny snop zadrżał, a śledczemu wydało się, że dostrzega w nim zarysy ludzkiej sylwetki, jakby jakaś świetlista postać zmierzała w jego stronę z bardzo daleka. Nie mógł się nadziwić naturze dziwnego blasku, który promieniał, nie oświetlając niczego dokoła. Wpatrywał się weń, coraz bardziej oczarowany. Gdy rozpoznał kształt świetlistej postaci, wyciągnął rękę w geście ostatecznego zachwytu.

W jego stronę majestatycznym, zmysłowym krokiem zmierzała naga kobieta o skórze barwy światła księżyca. Jej krągłe piersi falowały przy każdym kroku, a rozkołysane biodra obiecywały morze rozkoszy. Mervil oniemiał. Wszystko w tej kobiecie wydawało się doskonałe, dokładnie takie, jakie mógłby sobie wymarzyć. Jednak o doskonałości decydowały przede wszystkim detale. Śledczy pragnął godzinami całować jej uszy, kształtne jak ozdoba zrobiona przez najlepszego złotnika. Pragnął objąć kolana, dotykać palców, głaskać wgłębienia obojczyków. Czuł budzącą się erekcję, powstrzymaną wszakże przez dziwne rozrzewnienie. Nie rozumiał jego źródła, niemniej wydawało mu się, że zna tę kobietę. W piersi śledczego narastały wielkie, lecz jeszcze nie do końca zdefiniowane emocje. Świetlista piękność była już na tyle blisko, by wyrzec, jedno, jedyne słowo:

– Chodź.

W jej głosie, intonacji, układzie ust i wyrazie oczu było tyle naładowanej pożądaniem treści, że Bellus miał wrażenie, iż zaraz eksploduje. Kobieta

wodziła palcem wokół swojego stwardniałego sutka, a on powoli się rozbierał.

– Dalena? – wyszeptał, lecz w momencie wypowiedzenia tych słów już wiedział, że to nie ona. Tymczasem ta, którą miał przed sobą, rozpoczęła zmysłowy taniec, jakiego Mervil w życiu nie widział. Jej usta, piersi, brzuch, każdy z tych elementów emanował własną erotyczną siłą. Tylko oczy – nieruchome, jakby martwe – wyczekująco lustrowały Bellusa. To były oczy trupa: pozbawione uczuć, niezdolne do przeżywania rozkoszy. Śledczy stał w na wpół opuszczonych spodniach. Miał ochotę rzucić się na stojącą przed nim cudowną istotę i wziąć ją na tysiąc sposobów, ale jednocześnie jej nieludzka doskonałość trzymała go w miejscu. Nieokiełznana zdawałoby się żądza stygła. Tymczasem ruchy kobiety stawały się coraz szybsze, jeszcze bardziej zmysłowe, Mervil czuł emanujące od niej ciepło. Na jej srebrnej szyi i piersiach pojawiły się kropelki potu. Na Bellusa spłynął niemal fizyczny ból niespełnionego pożądania, jednak wciąż stał bez ruchu. Jakaś część pamięci przywołała nagle te wszystkie przygodne, lubieżne piękności w zamtuzach Latilii, te niezliczone noce spędzone na orgiach, które miały przynieść ukojenie, a przynosiły tylko nieznośny ból duszy.

Wewnętrzna walka, którą toczył, przerwana została dość nieoczekiwanie. Ponad głową Mervil dostrzegł Aquila. Był majestatyczny, daleki, lecz prawdziwy. Ciemność już nie miała nad nim władzy, cały świecił. Kiedy tańcząca zbliżyła się i otarła o śledczego ze zmysłowym jękiem, spojrzął na swoje opuszczone spodnie i groteskowo nabrzmiałe przyrodzenie. Zaczął się śmiać szalonym, niepoahamowanym śmiechem. Potem podniósł głowę. Tam, w górze, kołował orzeł. Był wolny. Mervil odetchnął pełną piersią, przepojony radością istnienia.

– Jakie to szczęście, że krew jest czerwona! – krzyknął.

Kobieta zniknęła. Zgasła też euforia Mervila. Znów był zmęczonym wędrowcem w sercu obcej krainy. Nim zdążył zrobić cokolwiek, posłyszał tętent kopyt.

Włosy zjeżyły mu się na głowie. Wiedział, że żaden śmiertelnik nie mógłby galopować przez taką gęstwinę. Aquil wylądował tuż obok, bijąc skrzydłami powietrze. Mervil szybko wciągnął spodnie i pozapinał

sprzączki kaftana, poprawił kolczugę, narzucił na ramiona płaszcz i wiedziony atawistycznym lękiem zaczął biec.

Nie wsłuchiwał się w skrzek orła, nie obchodził go kierunek. Pędził, byle dalej od narastającego tętentu. Napędzane strachem mięśnie pracowały niestrudzenie, połykając kolejne połacie mrocznego lasu. Mervil potykał się, przewracał, obijał o drzewa, ale zawsze wstawał i na powrót skakał w ciemność. Jego dusza karmiła się tylko niejasną nadzieją, że noc nie może być wieczna. I rzeczywiście, w pewnym momencie wszystko dokoła spowity pojedyncze wstążki białawej mgły. Śledczy zwolnił, zdziwiony. Dopiero teraz odważył się obejrzeć za siebie. Po raz pierwszy powitał z ulgą czającą się za jego plecami czern. Powoli ruszył do przodu. Mgła gęstniała z każdą chwilą, a w dodatku zaczął jej towarzyszyć przykry odór rozkładu.

Wkrótce mdlący smród wzmógł się tak, że trudno było oddychać. Bellus zakrył usta, zarzucając na głowę połę wilgotnego płaszcza. Nagle spostrzegł, że nigdzie nie ma Aquila. Przysiągłby, że jeszcze przed chwilą ptak otarł się o niego. W panice zaczął rozglądać się na prawo i lewo. Odór mącił mu zmysły. Szukając Aquila, błądził między drzewami, aż zupełnie stracił orientację. Nie wiedział, z którego kierunku przybiegł, dokąd zmierza. Potrzebował chwili spokoju, musiał pomyśleć, odciąć się od mgły i jej mdlącego zapachu.

Zacisnął pięści i niemal krzyknął. Nie mógł się poddać, zwłaszcza teraz, kiedy zaszedł tak daleko. Postanowił poczekać. Może orzeł krąży gdzieś dokoła, może też go szuka? Bał się krzyczeć, by nie zwabić konnych. Uklęknął więc tylko na wilgotnej ziemi, nakrył głowę płaszczem i mimowolnie zamknął oczy. Po chwili jednak znów stał na nogach, bojąc się, że zaśnie. Odór atakował, przygniatał. Bellus więc ponownie zakrył głowę i teraz posuwał się po omacku. Nie wiedział już, na co liczyć, po prostu szedł – uparcie, choć bez nadziei. Powietrze pod płaszczem zdawało się coraz gęstsze. Zaczął mieć problemy z oddychaniem. Nagłym ruchem odsłonił twarz, przygotowany na atak fetoru.

Powietrze okazało się niemal krystalicznie czyste. I pachniało miastem, nie lasem. Mervil rozejrzał się w panice. Znajdował się u wylotu jakiejś uliczki. Za sobą miał chmurę białej mgły, a z przodu ciemny zaułek,

przecięty jasno oświetlonym deptakiem. Czuł się zdezorientowany, choć jego podświadomość zdawała się powoli akceptować tę dziwną zmianę. Nagle usłyszał zdławiony jęk, który wydał mu się znajomy.

Ginkor, pomyślał. I zaczął biec.

7

- Czytał pan?
- Brednie! Ale nie ma się co dziwić, walnął się porządnie w głowę.
- Historia jest spójna.
- Gównno tam spójna! Jakiś pieprzony artycha nam się trafił. Tylko oni mają taką papkę w bani.
- Z wywiadu wynika, że kelner.
- Ma abonament w Twórczości.
- No tak. To może podłączymy go jeszcze raz.
- Bez sensu. Szpitalne zlepiacze są do dupy. Nic tam nie ustawisz.

Widzisz przecież.

- Jak to rozpisać?
- Są kamery i dwóch świadków.
- Ale wciąż nie wiadomo, dlaczego wbiegł pod samochód.

W tym momencie Vermil zdaje sobie sprawę, że dwa głosy mówią o nim. Otwiera jedno oko, zlepione snem. Światło wdziera się weń przez poziomą szparkę. Widzi zarys dwóch sylwetek.

- Wołaj lekarza, chyba się budzi – mówi bez emocji jedna z nich.

Już po kilku sekundach mężczyzna w bieli wystrzeliwuje w Olsona serię rutynowych pytań. Na niektóre z nich pacjent odpowiada „tak”, na inne, ku swemu zdziwieniu, nie znajduje odpowiedzi. Potem następuje dłuższy monolog lekarza, w którym nieustannie przewijają się słowa: „wypadek”, „ranny”, „pamięć”.

„No właśnie” – myśli Vermil. – „Co z tą pierdoloną pamięcią”.

- Czy mogę, doktorze? – odzywa się nagle jeden z mężczyzn stojących w rogu pomieszczenia.
- Chyba jeszcze za wcześnie.
- Jedno pytanie.
- No dobrze – zgadza się lekarz zmęczonym głosem.

– Czy może pan zostawić nas samych? To część większego śledztwa. Rozumie pan, tajemnica.

Lekarz waha się przez chwilę.

– Dwie minuty! – mówi stanowczo i znika za drzwiami.

– Upewnij się, że właśnie tyle mi da – rzuca mężczyzna do swojego kolegi.

Tamten również wychodzi. Vermil ma przed sobą tylko jedną sylwetkę, na której łatwiej się skupić.

– Panie Olson, wczoraj wieczorem przebywał pan w Niemczu, w domu Solidarii Kurtz. Dlaczego o godzinie 21.38 wybiegł pan stamtąd prosto pod nadjeżdżający samochód?

Wzrok Vermila powoli nabiera ostrości, światło nie wydaje się już tak brutalnie jasne. Bryły w pomieszczeniu na powrót zyskują kąty proste.

– Rozumie pan pytanie?

Vermil potwierdza skinieniem głowy. Chce odpowiedzieć. Szuka odpowiedzi, lecz z przerażeniem zdaje sobie sprawę, że jej nie zna. W jego umyśle jak holotwór unosi się tylko gibka postać Solidarii.

– Panie Olson, niech pan spróbuje się zastanowić – nalega mężczyzna i podchodzi bliżej.

Jego mięsista twarz nie jest już rozmazana. Vermil czuje narastające przerażenie. Próbuje się schować w sobie, roztopić w pościeli. Nie może znieść spojrzenia tych paskudnych oczu – oczu rekina. Już gdzieś widział takie soczewki, w innych czasach, u innego człowieka. Wymiotuje, a jego świadomość ucieka w jakieś mroczne, ale bezpieczne miejsce.

Kiedy odzyskuje przytomność, szpitalna sala jest pusta. Wokół niego stoi aparatura medyczna, która szumi kojąco. Vermil ma dziwne poczucie nierealności. Choć widzi wszystko wyraźnie, nie może sobie przypomnieć, jak się tu znalazł. Wraz ze szpitalnym zapachem wraca do niego słowo „wypadek”. Tak, miał wypadek! Dopiero teraz dostrzega swoje ciało, uwięzione w jakimś gumiatym opatrunku. Jedna ręka wygląda na złamaną. Drugą, najwyraźniej zdrową, podłączono do medycznej aparatury. Przewód jest jednak na tyle długi, że Vermil może nią spokojnie operować. Dotyka

więc dłonią głowy, która również okazuje się uwięziona w gumiastrym hełmie.

Olson próbuje zebrać myśli. W głowie brzmią słowa lekarza, które jednak nic nie znaczą. Dlatego usiłuje znaleźć w pamięci jakiegokolwiek wspomnienia, które mogłyby rozjaśnić sytuację. Niestety, z dostępnych elementów nie może złożyć żadnej układanki. Na domiar złego wszystkie próby rozerwania więzów niewiedzy napotyka na przeszkodę w postaci rekinich oczu nieznanego, który zadał mu kluczowe pytanie. Vermil mógłby pomyśleć, poszukać jeszcze głębiej, ale strach wlewa się w niego z każdym niesformułowanym wnioskiem. Nagle szpitalna sala przestaje być bezpiecznym miejscem. Vermil czuje, że powinien opuścić ją jak najszybciej. To zupełnie nowe doznanie, jakby intuicja po raz pierwszy w życiu postanowiła powiedzieć mu coś wprost. Próbuje się podnieść. Natychmiast dopadają go zawroty głowy i ostry ból w boku. Opada na posłanie, wściekle dysząc. W drzwiach natychmiast pojawia się pielęgniarka.

– Panie Olson, co pan wyprawia! Proszę leżeć.

– Pani nie rozumie! – Vermil znów próbuje wstać. – Proszę wezwać lekarza!

– Dobrze, ale pod warunkiem, że się pan położy i nie będzie ruszał nawet palcem. – Kobieta najwyraźniej nawykła do tego typu negocjacji.

Głowa pacjenta wraca na poduszkę.

– Tak lepiej.

Pielęgniarka sprawdza aparaturę podłączoną do zdrowej ręki Vermila i wychodzi. Po chwili w drzwiach staje lekarz.

– Panie Olson, rozumiem pana zdenerwowanie.

– Doktorze – przerywa mu Vermil bezceremonialnie – miałem wypadek, z którego nic nie pamiętam. Niech pan powtórzy: jak poważnie jestem ranny?

– Miał pan szczęście. Skończyło się kilkoma złamanymi żebrami, złamaną ręką i wstrząśnieniem mózgu. Gdyby samochód jechał szybciej, a pan nie podskoczył...

– Czyli z medycznego punktu widzenia mojemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo?

– Właściwie nie. Opatrunki hybrydowe dają gwarancję, że wyjdzie pan z tego w pełni sprawny.

– Świetnie, czy mój węzeł ocalał?

– Tak.

– W takim razie chciałbym go dostać.

Lekarz wygląda jak anioł spokoju. Jednak następne pytanie Vermila wytrąca go z równowagi.

– Co muszę podpisać, żeby wyjść stąd jeszcze dzisiaj?

– Panie Olson!

– Podjąłem już decyzję, proszę przygotować dokumenty. Ale najpierw węzeł.

Lekarz otwiera szafkę przy łóżku, wyjmuje z niego czarny prostokąt i podaje pacjentowi. Sprzęt rozpoznaje linie papilarne i rozjarza się dyskretnym światłem.

Olsona zalewa fala ciepła. Warto było wydać fortunę na wzmocniony designerski model.

– Niech pan jednak nie myśli, że pozwolę mu ot tak się wypisać. Dam panu jeszcze godzinę na podjęcie decyzji.

Vermil zbywa go milczeniem. Lekarz w obowiązkowym odruchu patrzy na monitor przy łóżku, zapisuje coś w logoszycie, kładzie rękę na unieruchomionych żebrach pacjenta.

– Proszę to jeszcze przemyśleć – intonuje ciepło.

– Dobrze, zrobię to – kłamie Vermil.

Lekarz wychodzi bez słowa. Pielęgniarka poprawia pościelenie. Patrzy na Vermila z zainteresowaniem.

– Chce się pan wypisać? Przecież stracił pan pamięć.

– Ale nie straciłem głowy.

Ścisnąc węzeł w spoconej dłoni. Kobieta jakby na coś czekała. Vermil przegląda listę kontaktów. Drżącą ręką wybiera numer Trolla. Uderza we wszystkie kanały. Po chwili otrzymuje komunikat, że przyjaciel wszędzie jest niedostępny. Ma wyłączone komputery, wyłączony węzeł. Po prostu zniknął. Trudno w to uwierzyć. Olson przez chwilę zastanawia się, czy nie zadzwonić do Magdy. Powstrzymuje się jednak. Sam nie wie, dlaczego. Jego

palce dalej przerzucają bazę węzła. Wciąż nie wie, gdzie mógłby się schronić przed nieznanym niebezpieczeństwem, którego oddech czuje na karku. W pewnej chwili odkłada węzeł, jakby zdał sobie sprawę, że ma dużo pilniejszą sprawę do załatwienia.

– Podłączyliście mnie do szpitalnego zlepiacza – mówi. – Macie moje zlecenie. Chcę je zobaczyć!

Kościół Klarysek u zbiegu Gdańskiej i Jagiellońskiej niczym bluszcz wtula się w wielopiętrowe centrum handlowe. Szesnastowieczne mury giną w feerii holoreklam i świetlnych fasad sąsiadujących budynków. Niemal bezpośrednio nad kościołem przebiega jedyna w Bydgoszczy aerostrada, wyznaczająca świetlisty szlak rozpięty między dwoma krańcami miasta. Zwykle w otoczeniu kościoła spaceruje mnóstwo ludzi. Wielu pewnie nie wie, że niemal ocierają się o świątynię. Nawet wieża ze starym zegarem wygląda z daleka jak świeczka na holotorcie. Ginie pośród szumu kołowców, narracji reklam i zwyczajnego zgiełku ulicy.

Vermil z trudem wysiada z samochodu, podtrzymywany przez mężczyznę w habicie. Inny zakonnik już otwiera bagażnik i rozkłada wózek inwalidzki. Obaj sadzają na nim Vermila wśród zaciekawionych spojrzeń przechodniów.

– Odstawię samochód – informuje zakonnik, który przed chwilą rozłożył wózek.

Vermil i jego towarzysz znikają w drzewiastej alejce, oddzielającej boczne wejście do kościoła od krzykliwego placu przed centrum handlowym. Zakonnik jest w średnim wieku. Ma surową, pobrużdżoną twarz przywodzącą na myśl szeryfów ze starych westernów. Stuka kilka razy, a nie uzyskawszy odpowiedzi, przez chwilę mociuje się ze starymi, okutymi drzwiami. Kiedy wreszcie stają otworem, Olsona owiewa zapach starych murów. Przychodzi mu do głowy, że ktoś mógłby sprzedawać coś takiego w sprayu: zapach ukojenia. Pchający wózek mężczyzna lawiruje w wąskiej alejce ogrodu. Przy bocznych drzwiach do części mieszkalnej jest niski próg. Pokonują go bez trudu. Koła stukają cicho na kamiennych płytach

korytarza. W końcu zakonnik wprowadza Vermila do małego pokoju na parterze. Jest w nim tylko jedno krzesło, mały stół i posłanie.

– Damy radę we dwóch? – pyta mężczyzna.

Vermil potakująco kiwa głową. Przy pomocy zakonnika jakoś udaje mu się wkulać na posłanie.

– Dzięki, Albi – uśmiecha się z ulgą.

– Mam na imię Albert – odpowiada zakonnik. – Albi to imię dobre dla deskorolkarza.

– Niech będzie. – Vermil nie ma ochoty na spór z kuzynem. – Przepraszam – dodaje – musiałeś mieć przeze mnie trochę kłopotów.

– Rektor nie był zachwycony, ale domyślałam się, że stało się coś ważnego, jeśli zadzwoniłeś do mnie po pięciu latach, prosząc o coś takiego.

– Pozwoliłem ci tylko ożywić tradycję. Przecież ludzie od zawsze chronili się w kościołach.

– Sam nie wiesz, w co wdepnąłeś. Teraz jesteś na terytorium obcego państwa. – Kuzyn grozi mu palcem. – Kościołów jest coraz mniej, ale po ostatniej nowelizacji konkordatu każdy z nich jest jak ambasada. Nie wszyscy mają tu wstęp. Zwłaszcza ci, co chcą nas przenosić, budować aerostrady czy parkingi. Wiedziałeś o tym, prawda?

– Jasne – mówi Olson z przekąsem. – Jeszcze jakieś trudne pytania?

– Wiele, ale dajmy temu spokój. Teraz po prostu cieszę się, że cię widzę – uśmiecha się zakonnik.

Milczą przez chwilę. Vermil z przyjemnością wdycha wilgotny zapach starych murów.

– Dlaczego do mnie zadzwoniłeś? – pyta Albert.

– Mówiłem. Mam kłopoty.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem. Nazwij to przecuciem, intuicją. Moje życie chyba jest zagrożone.

Zakonnik siada przy łóżku i odruchowo dotyka krzyża, który ma na szyi.

– Słucham.

– Czy to ma być spowiedź?

– Jeśli chcesz.

– Nie chcę.

– W porządku, ale mam nadzieję, że coś jednak powiesz.

– Jasne! Pamiętasz uczucie, kiedy kończył się rok szkolny? – Oczywiście Vermila błyszcza. – Idziesz do domu ze świadomością, że jakiś rozdział życia zamknął się nieodwołalnie, a nowy jeszcze nie otworzył. Przed tobą są wakacje – jesteś zawieszony, wyjęty, zanurzony w czasie bez żadnych zmartwień czy problemów. Tęsknię do tamtego uczucia. Teraz ciągle myślę, co wydarzy się jutro, za miesiąc, za rok. Nic się za mną nie zamyka, nic się nie otwiera.

Albert gniecie połą habitu.

– Też tak mam.

– Czyli nawet Bóg nie wystarczy?

– Człowiek we mnie nie wystarczy.

W szczerości Alberta jest spokój, który zagarnia Vermila jak opiekuńcze ramię.

– Dostałem zlecenie – kontynuuje. – Obiad z losowaniem w Skrawku Nieba. No co? – Chwyta spojrzenie mnicha.

– Nic. Zawsze mnie dziwiło, że bogaci hedoniści mają taki pociąg do chrześcijańskiej symboliki.

Vermil ignoruję tę uwagę.

– Pracowałem ze stałą ekipą: kucharz i dwóch pomocników. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to otwieranie butelki białego wina. Potem obudziłem się w szpitalu. Z głowy uciekły mi ze dwie godziny. Gliniarz, który ze mną rozmawiał, mówił, że wybiegłem z tamtego domu prosto pod samochód. Facet był jakiś dziwny, przestraszył mnie. Poczulem... poczułem, że muszę stamtąd wiać.

– Ze szpitala? Przestraszył cię policjant?

– Tak... nie... nie wiem. Jego oczy... – Vermil przykładą pięści do głowy. – Wszystko jest gdzieś w mojej głowie, ale nie mogę tego wydobyć. Tylko nie mów, że mnie rozumiesz – dodaje z przekąsem.

– Dlaczego? – odpowiada Albert. – Przecież wiem, o czym mówisz. Mam taki sam problem. Zwłaszcza gdy chcę wyznać grzechy. Dlatego korzystam ze SPOWIEDNIKA.

- Jest wyrozumiała?
- Zdania są podzielone – uśmiecha się Albert. – To zlepiać narracyjny. Słyszałeś o nich?
- Czy słyszałem? – sapie Vermil, próbując podnieść się na łóżku. – Jestem ich pieprzonym fanem!

Sen jak zwykle jest rwany, niespokojny. Vermil budzi się i przez następne godziny leży w męczącym letargu. Potem zasypia i znów się budzi. Od dwóch dni jedyną rozrywkę stanowią rozmowy z Albertem. To znaczy on mówi, a zakonnik słucha z nieprzeniknioną miną. Potem zostaje już tylko toaleta i samotny posiłek. Olson nigdy nie miał tyle czasu na myślenie. Boi się, ma poczucie, że mózg go zdradził, że żyje jakimś własnym życiem i z premedytacją ukrywa przed nim to, co istotne. Vermil szuka więc oparcia w rzeczywistości. Często skupia się na liczeniu kroków drepczących za drzwiami zakonników, innym razem łowi dźwięki, odbijające się w starych murach. Nie dotyka wężła, nie wchodzi do sieci. Unika kontaktu ze światem. Patrzy w okienko o kolorowych szybach i uczy się go na pamięć. Kiedy chce uciec, staje się Mervilem. To pomaga.

- Będziemy musieli podjąć jakąś decyzję – zagaja Albert trzeciego dnia.
- Ażyl ażylem, ale nie możesz tu siedzieć w nieskończoność.
- Serce Vermila przyspiesza.
- Ktoś mnie szuka? Policja?
- Ubezpieczyciel.
- Mam się wynieść, tak? – Głos Vermila brzmi histerycznie.
- Spokojnie. – Albert kładzie mu rękę na ramieniu. – Rektor powiedział, że możesz zostać, dopóki nie wyzdrowiejesz, co nie znaczy, że na zawsze. Chyba że... – Albert wymownie macha połą habitu.

Olson opada na posłanie.

- Kiedy podłączysz mnie do SPOWIEDNIKA?
- Jest kolejka.
- Już mówiłeś, ale ile to jeszcze potrwa? Też piszecie na nim książki?

– Nasz sprzęt nie ma żadnych dodatkowych opcji. Uzyskujemy gołe zlepienie, w dodatku z narzuconą narracją pierwszoosobową. Trzeba by mieć wszystko dobrze przemyślane, żeby wyszła z tego literatura. No, ale przynajmniej SPOWIEDNIK jest szczery.

– Mam nadzieję. W szpitalu też mnie podłączyli. Czytałem tekst. Nic tam nie ma, tylko powieść, którą pisałem wcześniej. Coś o pokusach. Może to jest właśnie ten pierwiastek szczerości. Rzucisz okiem?

Vermil podaje mu węzeł, który znika w fałdach habitu. Rysy Alberta łagodnieją. Traktuje udostępnienie węzła jako ostateczny akt zawierzenia.

– Brat Rafał, który nas podłącza, mówił kiedyś, że mózg obudowuje opowieścią wszystko, co chce ukryć. To tak, jakbyś zawiązał cukierek w kłębek wełny. Chcesz się do niego dostać, rozplącz nitkę.

– Ale macie jednorazowe strzykawki do nano? – upewnia się Vermil.

– Strzykawki? No co ty. Rozpuszczamy nanoboty w winie!

Olson próbuje się zaśmiać, ale żebra wciąż go bolą. Albert śmieje się za niego.

SESJA SIÓDMA

Znasz tego kota?

– Powiedziałem, Mervilu, że jestem z ciebie zadowolony. Ale czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Słucham, panie, i doceniam twą pochwałę – wykrztusiłem, chociaż nie miałem pojęcia, o czym mówi. Ostatnie słowa dobiegły z daleka, były dudniące i niewyraźne, jakby Avidion trzymał głowę w wiadrze.

Książę przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Ledwie stałem na nogach. Miałem niejasne poczucie, że jeszcze przed chwilą byłem zupełnie gdzie indziej. Avidion jednak wyglądał na zadowolonego.

– Swoją drogą te zęby to prawdziwe arcydzieło! – Książę obracał w palcach jakiś biały przedmiot.

Skupiłem na nim całą uwagę, przyplacając to potwornym bólem głowy.

„Zęby, zęby... skąd, kurwa, książę miał jakieś zęby? Może to jego własne? Bolały go, a cyrulik sprawnie je wyrwał? Nie, to musi być coś innego” – myślałem. I nagle przyszło olśnienie: wampir!

– Tak, panie, misterna robota. Trudno było je zdobyć – wysapałem.

– Ale udało ci się, Mervilu, i to bez torturowania i zabijania winnego. Dobrze oceniłeś sytuację. Wzięłeś mordercę żywcem, a w dodatku okazał się synem Lukrecjusza, co daje mi nad nim kolosalną przewagę w Radzie. Ale, ale... – przerwał Avidion, widząc, że zaraz uderzę głową o posadzkę.

– Ile ty masz lat, Mervilu? – rzucił z ciekawością.

– Czterdzieści sześć, panie – odparłem, choć ta liczba wydała mi się absurdalna.

– Cóż, będziesz musiał porządnie wypocząć, bo jak widzę, w twoim wieku zmaganie z silnym, wojowniczym młodzieńcem może poważnie nadwzględnić siły.

Spojrzał na wielofunkcyjny zegarek przymocowany do złotej bransolety.

– Tym razem nawet tętno mi nie skoczyło podczas spotkania z tobą.

Wstał z profilowanego fotela, a wbudowany weń system kółek na powrót sformował neutralny układ. Ukłoniłem się i zacząłem wycofywać ku drzwiom.

– Chwileczkę, Mervilu. To powinno osłodzić ci gorycz wyczerpania.

Książę podszedł do mnie i wręczył okazały trzos. Jeśli zdziwił się, dlaczego moje ubranie jest mokre i ubłocone, mimo że w Nerolfie nie padało od wielu dni – nie dał tego po sobie poznać.

– Idź, mój drogi, odpocznij. Na razie nie będę cię potrzebował.

Ukłoniłem się ponownie i lekko utykając, ruszyłem do wyjścia. Uchwyciłem jeszcze, jak sługa księcia robi mi zdjęcie. Avidion odprawił fotografa machnięciem ręki. Nagle gdzieś w fałdach jego płaszcza rozkwitła skoczna melodia. Książę sięgnął do kieszeni i spod zdobnego w białą różę kaftana wyciągnął inkrustowany drogimi kamieniami węzeł.

– No, słucham, mów śmiało. Jasne, na pewno, syn Lukrecjusza – zaczął i w tym momencie zapomniał o mnie, pograżając się w rozkosznych rozważaniach dotyczących różnych wariantów zdziwienia wpływowego ojca, któremu zakomunikuje, że jego syn może zostać skazany na śmierć.

Eskortowany czy raczej podtrzymywany przez straż, dotarłem do bram pałacu. Ginkor już na mnie czekał. Miał obandażowaną głowę, ale wyglądało na to, że czuje się dobrze.

– Nieźle się mną zajęli w lazarecie. A tak w ogóle, poderwałem jedną pielęgniarkę. Dała mi swój numer – zaczął z właściwą sobie swobodą.

– Zabierz mnie do domu – wydyszałem, wspierając się na jego krzepkim ramieniu.

Z trudem przypominałem sobie wypadki ostatnich dwóch godzin. Domyślałem się, że to ja odstawiłem Ginkora do szpitala. Ale w jaki sposób sam dotarłem do Avidiona – nie wiedziałem. Medyk tymczasem przyglądał mi się, zbity z tropu. Nie mógł pewnie zrozumieć, skąd wzięły się moje obrażenia. Krwawiłem z kilku ran, a na nodze miałem ślad po ugryzieniu. Nie mówiąc już o samym stroju: mokrym, ubłoconym i poszarpanym tu i ówdzie.

– Chwila, jak to możliwe, że... – zaczął, słysząc mój chrapliwy oddech przy uchu.

– W domu, Ginkorze. Zabierz mnie do domu! – Bezwładnie osunąłem się w ramiona przyjaciela.

Medyk dostrzegł trzos, który umocowałem przy pasie. Nie namyślając się długo, rozsuptał go i wyjął jedną małą monetę. Zatrzymany machnięciem ręki woźnica przez chwilę patrzył z rezerwą, widząc na wpół omdlałego brudasa, lecz kiedy Ginkor powiedział mu, że jest medykiem i wręczył monetę, jego wątpliwości zniknęły.

W domu przyjaciel troskliwie ułożył mnie na łóżku, po czym usiadł u wezgłowia. Udawałem, że śpię. Czułem się, jakbym wypełniał nie swoje ciało. Skóra była niczym ciasne ubranie, zmysły miałem wyostrzone, ale rozchwiane. Oddychałem nierówno. Może musiałem nauczyć się tego od początku? Ginkor wyciągnął stetoskop i ostrożnie mnie osłuchiwał. Przez przymknięte powieki nie dostrzegłem na jego twarzy oznak niepokoju. Powoli wyrównywałem oddech. Ciało formowało się, dostosowywało do komend świadomości. Widząc, że trzymam się jako tako, Ginkor poszedł do kuchni przygotować coś do jedzenia. Podniosłem się na postaniu, bo miałem uczucie, że ktoś wciąż jest ze mną w pomieszczeniu.

Nie myliłem się. Przy ścianie, ziewając leniwie, przeciągał się wielki biały kot.

Zesztywniałem. To zakrawało na ponury żart.

– Kici kici, kici kici – usłyszałem głos Ginkora, który najwyraźniej mówił do zwierzęcia.

– Znasz tego kota? – spytałem zdziwiony.

– No nie! Powinieneś odpoczywać! – Medyk tak się uniósł, że prawie wychłapał bulion z miski.

Patrzył na mnie podejrzliwie.

– Naprawdę nie pamiętasz swojego kota?

– Czy ma na imię Aquil? – zaryzykowałem.

Ginkor uśmiechnął się szeroko.

– Nie strasz mnie więcej. A ty, Aquil – rzucił kotu kawałek gotowanego kurczaka – ciesz się, że pan ma twardą głowę.

Nie odzywałem się więcej. Patrzyłem tylko na Aquila, powoli mieszając gorący bulion.

8

– Do dupy, kompletnie do dupy! – Vermil ma ochotę walić głową w ceglana ścianę. – Avidion nosi zegarek i węzeł, Ginkor używa stetoskopu. Zaraz wszyscy pójda wziąć razem prysznic! Kurwa, już sama narracja pierwszoosobowa jest wkurzająca, ale to?! Żadnego formatu!

Albert obraca w dłoniach węzeł Olsona.

– Mówiłem ci, SPOWIEDNIK nie ma odpowiednich ustawień, nie wypełnia pustych miejsc. Bierze z mózgu to, co jest. Dbą tylko o ciągłość narracji.

– Czyli że w głowie mam takie niespójne gównó, tak? – Tylko ból żeber powstrzymuje Vermila przed przewróceniem posłania.

Zakonnik jest spokojny, nie poddaje się emocjom kuzyna, który po chwili również łagodnieje.

– Co mam robić, Albi? Przepraszam, Albercie.

– Snuj opowieść. SPOWIEDNIK ci pomoże. Mózg chce coś ukryć, zbudował mur z fantasy, ale przebitki dowodzą, że terażniejszość usiłuje wydostać się na zewnątrz. Nie myśl, że u nas, na spowiedzi, też wszystko idzie gładko. Zlepiania bywają pokręcone. Jednak nie cenimy ich za realizm, ale za szczerość.

– Czyli jeśli zlepiacz pokaże muskularną łaskę z mieczem, wielkimi cyckami, wampirzymi zębami i skrzydłami nietoperza, to znaczy że zgrzeszyłeś nieczystą myślą?

– Coś w tym rodzaju – odpowiada kwaśno Albert i oddaje mu węzeł.

– Oprócz tego wszystkiego – żali się Olson – no wiesz, amnezji i wypadku, jest coś jeszcze. To była moja powieść. Rozumiesz? Moja! Trzymałem się tego marzenia. Czułem, że ma jakiś sens, że to jedyna szansa, żeby coś po mnie zostało. Bez Mervila pozostaję tylko trzydziestoparoletnim kelnerem.

– Nieprawda!

– Nie? No to kim wartościowym według ciebie jestem?
– Dzieckiem Boga – mówi po prostu Albert.
– Takie teksty działają tylko na filmach. – Usta Olsona krzywi grymas irytacji.

– Co? – uśmiechnął się Albert. – Nie podobają ci się banały, że Bóg cię kocha i takie tam? Wolisz twarde ewolucyjny realizm, który mówi, że wszystko, co zrobiłeś i zrobisz, nie ma żadnego znaczenia, bo jesteś tylko puszką na geny z iluzją samoświadomości? Wolisz pewność, że żadnej, absolutnie żadnej życiowej decyzji nie podjąłeś sam? Jeśli tak, twoja powieść jest tylko ogonem pawia. Bez niej staniesz się mniej atrakcyjny kopulacyjnie. Tyle! I co? Lepiej ci bez metafizycznych pierdół? Odetchnąłeś z ulgą, że Boga nie ma?

Vermil ukrywa twarz w dłoniach. Nie wiadomo, czy udaje, czy naprawdę walczy ze skrajnymi emocjami. Rozciera czoło i chwyta węzeł. Po raz drugi czyta ostatnie zlepienie.

SESJA ÓSMA

Któż zasłużył na to bardziej niż my?

– Nieważne, czy mi wierzysz, czy nie! Miałem orła, nie kota! – wybuchnąłem, przechadzając się po pokoju.

Mimo snu, kąpieli i świeżego stroju wciąż czułem się zmęczony, jakby skurczony w sobie, mniejszy. Nie pomogło nawet kojące brzęczenie maszynki do golenia. Potem przyszło wzburzenie. Mój niecierpiący sprzeciwu głos brzmiał jak dawniej. Dobrze maskował poczucie całkowitego zagubienia.

– Słuchaj – zaczął pojednawczo młodzieniec – przecież zdarzają się przypadki, że człowiek posiwił w ciągu jednej nocy.

– Albo zgłupiał!

Mimo że to samo wmawiałem sobie w Rezie, teraz ten argument zabrzmiał absurdalnie. Jednak, widząc minę medyka, zmieniłem ton:

– Wybacz, Ginko... Nie wiem, jak ci to wyjaśnić.

– Naprawdę? – Zjeżył się. – Mervilu, byłem nieprzytomny przez kilkanaście minut, znów uratowałeś mi życie, za co ci dziękuję. Skakałbym z radości, gdyby nie to, że dzieje się z tobą coś dziwnego. Nie mówię tu o wpadce ze zwierzakiem. Uznajmy po prostu, że miałaś orła wśród kotów. I tyle. Mnie interesuje te kilkanaście feralnych minut. Co takiego powiedział lub zrobił ten chłopak udający wampira?!

– Problem w tym – zacząłem nieco spokojniej – że tu wcale nie chodzi o gówniarza ze sztucznymi kłami. Zatrzymanie to była pestka, nic się wtedy nie wydarzyło.

– Masz mnie za idiotę? Przecież też jestem śledczym – oburzył się teatralnie Ginko, po czym dodał: – Jak wytłumaczysz swoje rany i ubłocony strój w suchą, wiosenną noc?

– Dobre pytanie.

– No więc daj mi równie dobrą odpowiedź. Przecież siedzimy w tym razem.

– Wiem, Ginko.

Bezsilny opadłem na krzesło.

– W porządku. – Ginkor uśmiechnął się złowieszczym uśmiechem medyków.

– Ejże, taki wyraz twarzy miał zwykle wojskowy chirurg, kiedy chciał komuś obciąć nogę. I też mówił „w porządku” – zachnąłem się, próbując wycisnąć z sytuacji odrobinę humoru.

– Powiem jak zawodowiec – zawyrokował Ginkor. – Masz uraz głowy. Pozwól, że rzucę okiem.

Pozwoliłem.

– To ten guz! – Macał ostrożnie, rozgarniając gęstwą włosów. – Navida mówił, że wewnątrz czaszki tworzą się siniaki, które wpływają na nasze postrzeganie rzeczywistości. A co do brudu: może w ferworze walki wpadłeś do jakiegoś koryta, ale w ogóle tego nie pamiętasz.

– Niezła hipoteza – przytaknąłem.

Młody mężczyzna jednak dopiero się rozgrzewał:

– I druga rzecz. Nie mogę zrozumieć, jak ten gówniarz Lukrecjusza zdołał cię tak poranić? Chwileczkę – medyk wyglądał, jakby doznał olśnienia – a może był tam ktoś jeszcze? Mam rację, Mervilu?

– Nie masz! Bo tu w ogóle nie chodzi o tę noc. Zresztą słabo pamiętam, co zrobiłem z synem Lukrecjusza – zakończyłem.

– Przy podobnym urazie zanik pamięci jest całkiem zrozumiały.

Znow zabrał się do badania mojej głowy, a kiedy przestał, rzuciłem:

– Jeszcze chwilę. To całkiem przyjemne.

– Jeśli badanie staje się przyjemne, to znaczy, że przekroczyłem granicę między diagnozowaniem a molestowaniem.

– Co za bzdura, kto tak twierdzi?

– Byłem kiedyś na wykładzie jednego molestariusza.

– Jakaś nowa sekta?

– Coś w tym rodzaju. Uważają, że lekarza i pacjenta powinny łączyć intymne relacje cielesne, bo tylko wtedy można skutecznie leczyć.

Nieważne, wróćmy do naszych problemów. Jeśli nie pamiętasz, kim był ten drugi, może ja go poszukam?

– Ginkorze, błagam. – Nie było we mnie już cienia złości. – Przecież sam dostałeś w głowę. Co z twoją pamięcią?

– Działa bez zarzutu. Usiądźmy więc i poczekajmy, aż coś sobie przypomnisz.

Po tych słowach rozparł się na krześle i patrząc w sufit, jął cicho pogwizdywać.

Patrzyłem na niego i nie mogłem powstrzymać wzruszenia. Naprawdę miał złote serce. Wiedział o moim sekrecie, czuł się urażony, a mimo wszystko jako dobry medyk i przyjaciel tylko się uśmiechał. Zasługiwał na jakąś tajemnicę, na jakiś dowód zaufania. Miałem w zanadrzu odpowiednią historię.

– Chcesz wiedzieć, jak umarła moja żona?

Słowa te zabrzmiały tak zaskakująco, że medyk przerwał gwizdanie i odchrząknął. Najwyraźniej nie wierzył w to, co słyszy. Przez tyle lat moje życie osobiste stanowiło absolutne tabu. Ginkor już dawno odciął się od wszelkich plotek, wmówił sobie, że ta wiedza po prostu nie istnieje. Dałem mu chwilę i ciągnąłem spokojnie:

– Nie mogę na razie powiedzieć, co wydarzyło się podczas pościgu za wampirem. Nie dlatego, że ci nie ufam lub że jesteś za młody. Po prostu sam muszę uporządkować wszystko w głowie.

Przeszliśmy do biblioteki. Nalałem wina do pięknych kielichów, będących od pokoleń własnością mojej rodziny. Może były trochę zbyt duże i nieporęczne, ale lubiłem je. Przypominały mi o tym, że w życiu są pewne rzeczy, które wcale nie muszą się zmieniać. Ginkor pił małymi łykami, nic nie mówiąc. Znikła gdzieś zawadiacka poza. Cierpliwie czekał, aż będę gotowy.

– Byłem w twoim wieku, kiedy ją spotkałem – zacząłem znienacka. – Ja, młody naukowiec z chlubną przeszłością wojskową. Ona, wykształcona kupiecka córka. Zobaczyłem ją na ulicy i już nigdy, ani przez chwilę, nie pomyślałem o żadnej innej. Jej rodzina początkowo nie była zadowolona, ale pozwoliła na ślub. W końcu byłem szlachcicem, a ona zwykłą mieszczką.

Zawsze to jakiś awans, choć nie finansowy. Przez dwa lata żyliśmy tak, że wystarczyłoby na cały szczęśliwy żywot. Może wkurzyliśmy tym jakiegoś boga? Rozumiesz, zbyt dużo szczęścia w zbyt krótkim czasie. Potem z miesiąca na miesiąc Dalena zaczęła się zmieniać. Coś dziwnego działo się z jej umysłem. Nie mogła spać, była drażliwa, zaczęła widzieć dziwne rzeczy. Kiedy byłem w Akademii, wychodziła z domu i zaczepiała ludzi na ulicy, opowiadając zmyślane historie. Sąsiedzi zaczęli gadać, krzywo na nas patrzeć. „Czary, wiedźma” – szeptali za plecami. I to tutaj, w Nerolfie, wyobrazasz sobie? Musieliśmy wyjechać tam, gdzie nas nie znano. Rodzina Daleny winiła mnie za jej przemianę. Pod koniec naszego pobytu w Nerolfie ona w ogóle nie wychodziła z domu, nie dbała o siebie, nie chciała jeść. Z piękności przemieniła się w szkielet. Szukałem pomocy medyków. Żaden nie umiał rozpoznać choroby.

Wiesz, czytałem kiedyś, że są na wschodzie plemiona, które wkładają na głowy jeńców czapki z namoczonej skóry wielbłąda, a potem wystawiają ich na działanie słońca. Czapki kurczą się i ściskają głowę tak, że ofiara traci zmysły. To samo działo się z Daleną – traciła zmysły. Były chwile, że w ogóle mnie nie poznawała. Postanowiłem zabrać ją do Inolbii. Wystarałem się o pracę na tamtejszym uniwersytecie. To był początek końca mojego dawnego życia. Musiałem jakoś zarabiać i nie mogłem pilnować jej w domu. Jeśli leżałaby w łóżku, mógłbym zatrudnić kogoś do opieki. Ale nie chciała, często bywała pobudzona. Mimo przeraźliwej chudości fizycznie wyglądała na zdrową. Problem stanowił jej umysł. Nie wierzę w żadne opętanie, diagnozowane przez kapłanów. Wiem, że była po prostu chora.

Przerwał na chwilę, wpatrując się w półmrok niedomkniętych drzwi.

– Choroba powoli odbierała jej wszystkie cechy, które znałem. Dalena zaczęła mnie zdradzać. Nie wiem dlaczego, może jej ciało domagało się spełnienia, a mnie tak często nie było w domu? Zresztą nawet kiedy byłem, i tak zwykle mnie nie poznawała. Żyłem jak w amoku, starałem się spędzać z nią każdą wolną chwilę. Czasem bywało naprawdę ciężko, zważywszy, jak potrafiła się zachowywać. Wyła przez długie godziny, a ja trzymałem ją w ramionach, by nie mogła ranić ciała. Jednak mimo postępów choroby wciąż ją kochałem, żałowałem, współczułem. Zwłaszcza, że zdarzały się chwile,

kiedy gdzieś na dnie spojrzenia, w jednym smutnym słowie, odnajdywałem moją dawną Dalenę. Zjeździliśmy chyba wszystkich medyków w Inolbii i żaden nie mógł nam pomóc. Jeden kazał rozkroić jej głowę i upuścić krwi. Udało mi się powstrzymać i nie dać w mu w mordę.

I wtedy nadszedł ten dzień. Przyszedłem do domu, a ona czekała na mnie czysta i odświętnie ubrana. W jej oczach widziałem ledwie cień dawnego blasku, który tak długo wypełniał moje życie sensem. Niemniej tamtego wieczora Dalena wróciła do mnie na kilka godzin. Nie rozmawialiśmy już o tym, co złe, o tym, co się z nami stało, lecz po prostu byliśmy ze sobą, poza wszystkim, w jakimś dziwnie zawieszonym czasie. Chwilami żałuję, że wówczas nie umarłem. Nad ranem bowiem Dalena, która w nocy zasnęła spokojnie w moich ramionach, gdzieś zniknęła. Kiedy to spostrzegłem, natychmiast zacząłem jej szukać. I znalazłem. Powiesiła się na belce w składziku. Wpadłem w szal, zresztą nie ma sensu o tym dalej mówić. Początkowo miałem do niej żal, szybko jednak zrozumiałem, że chciała odejść, nim choroba ostatecznie zwycięży jej ciało. Nie wiem, czy zrobiła dobrze, ale uszanowałem jej decyzję.

Zamilkłem i Ginkor wiedział, że to już koniec opowieści. Teraz, kiedy siedzieliśmy w ciszy, wcale nie czułem się wyróżniony, bowiem tajemnica, którą od dawna pragnął osiąść, teraz i dla niego stała się ciężarem.

– Przykro mi! – zaczął nieporadnie.

Cóż innego mógł powiedzieć dwudziestoparolatek.

– Najgorsze, że nie mam nawet jej zdjęcia – westchnąłem, odchylając głowę i zamykając oczy.

Siedzieliśmy w niezręcznej ciszy. Ginkor czuł pewnie, że wypadałoby coś powiedzieć, najwyraźniej jednak nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Mnie wystarczyła sama jego obecność. Piliśmy w milczeniu, aż napięcie opadło. Medyk rozumiał, że nie oczekuję od niego pocieszenia, że była nim sama możliwość podzielenia się opowieścią.

– Chyba już pójdę – odezwał się w końcu, spoglądając na zegarek.

Wstał, poklepał mnie po ramieniu i zniknął za drzwiami.

Nareszcie byłem sam, w swoim świecie. Myślałem o zmianach, które we mnie zaszły. To, co opowiedziałem Ginkorowi, jeszcze niedawno nie

przeszłoby mi przez gardło. Bałem się nawet myśleć o tamtych sprawach. Teraz ze spokojem zastanawiałem się, czy nie wkraczam na drogę Daleny. Na szczęście moją prywatną tragedię przyćmiła inna – tragedia całego świata, świata Rezy i Iorgo Sarivy. Czymże była niedola jednego człowieka wobec spustoszeń, jakich dokonali Żniwiarze? Świat dokoła wydawał się wyblakły, jakby utracił barwy i wyrazistość. Nie czułem już „realnego”, na którym mógłbym oprzeć ciężar swoich dociekań. Sprzęty, podłoga, sufit, a nawet Ginkor goszczący tu przed chwilą – wszystko wydawało się tylko stanem przejściowym, „możliwością”. Machinalnie przechyliłem kielich do ust. Kiedy trunek się skończył, nalałem ponownie. Obok wina na stole dostrzegłem butelkę coca-coli. Ciemnobrązowy, prawie czarny kolor napoju, przywodzący na myśl rynsztoki Nerolfu, wydał mi się najlepszym znakiem przyziemności.

Aquil miauknął przeciągle.

– Myśl, myśl! – powtarzałem sobie, wpatrując się w śnieżnobiałego kota, leżącego bez ruchu pod ścianą.

Zwierzę było szkłem skupiającym moją uwagę. Szybko wypity alkohol zaczynał powoli krążyć w żyłach. Na szczęście nie przynosił otępienia. Uwalniając od dręczącego ciężaru niepokoju, niósł jasność myśli. Zacząłem powoli odtwarzać prześladowujące mnie słowa:

„Jestem tobą, między innymi”.

„Jestem jednym ze Żniwiarzy!”.

„Powiesz się na najbliższej gałęzi, bo poznasz prawdę o swoim rodzaju”.

Dziwne słowa. Zagadkowe słowa. Kim był ten upiór, ta istota, kim byli jego/jej bracia? Próbowałem o tym myśleć już wtedy, w Rezie, ale wówczas mój umysł pracował chaotycznie. Dopiero teraz miałem czas na różnorakie hipotezy. Jednak nim zdążyłem sformułować pierwszą z nich, wpadł mi do głowy genialny w swej prostocie pomysł: trzeba porozmawiać z Prorokiem! Przecież on pierwszy wspomniał o Żniwiarzach. Już, już chciałem zerwać się od stołu i popędzić w ciemność, by wytrząsnąć ze starca prawdę. Jednak po sekundzie zdałem sobie sprawę, że o tak późnej porze nie ma to najmniejszego sensu. Zresztą i tak nie wiedziałem, gdzie dokładnie powinienem go szukać. Dlatego postanowiłem udać się na rynek z samego

rana. Być może Prorok będzie tam przemawiał. To postanowienie nie mogło wszakże ugasić ognia, który we mnie zapłonął. Pragnąłem wiedzy. W jednej chwili owładnęło mną dojmujące przekonanie, że każda chwila beczynności jest stratą bezcennego czasu. Ruszyłem do biblioteki, mając nadzieję, że znajdę tam coś o Crisponie i jego teorii końca świata.

Przez długie godziny przy małej lampce z IKE-i przeglądałem traktaty filozoficzne, przyrodnicze i wszelkie inne, mogące mieć choćby nikły związek z tym, o czym mówił Crispon. Prócz kilku lakonicznych zapisków nie znalazłem niczego, co wychodziłoby poza ustalenia Iorgo Sarivy. Znużony do granic możliwości, postanowiłem zaraz po spotkaniu z Prorokiem udać się do biblioteki Akademii. Rozdrażniony nadaremным poszukiwaniem, spojrzałem na woluminy leżące bezładnie na ziemi. Zawiedziona nadzieja przemieniła się w bezsensowny gniew. Chwyciłem najbliższy leżący tom, zamierzając cisnąć nim o ścianę. Był to pięknie oprawiony zbiór map Półwyspu Latiliańskiego. Nim rozżłoszczona ręka zdążyła wykonać zamach, umysł bezwiednie zarejestrował słowo „mapa”, a pamięć natychmiast, nie wiedząc dlaczego, przywołała słowa:

„Ten świat rozpadnie się całkowicie za jakieś dwa lata”.

Złość zastąpiła gorączkowa ciekawość: co się dzieje z krainą, która przestaje istnieć? Na to pytanie mogłem znaleźć odpowiedź tu i teraz. Jak szalony zacząłem przewracać grube stronicę, aż trafiłem na tę, której szukałem. Wstrzymałem oddech. Z pozoru mapa wyglądała normalnie: Latilia i jej osiemnaście krain, usianych księstwami. Jednak im dłużej wpatrywałem się w południową część Nerolfu tuż przy granicy z Morą, tym wyraźniej zaczynałem dostrzegać istotną deformację. Nerolf zmniejszył się nieznacznie. Zbyt dobrze znałem tę mapę, by wątpić w to, co właśnie odkryłem. Lekkie wybrzuszenie, które wraz z zakolem rzeki wciskało się w północną część Mory – zniknęło. Teraz linia oddzielająca oba księstwa w tym miejscu była gładka, jakby Reza nigdy nie istniała.

Mimo że w pomieszczeniu było dość chłodno, poczułem, że się pocę. Drżącą ręką odnalazłem butelkę wina, którą od razu przechyliłem do ust. Piłem dużymi łykami. Trunek przyćmił nieco skołatane nerwy. Niestety, powracającego strachu nie dało się już zagłuszyć żadną używką. Było to

uczucie proste i pierwotne. Czułem się jak sarna, której las właśnie stanął w płomieniach. Nie było w tym wszakże nic dziwnego. Ilu bowiem ludzi ma szansę przeżyć koniec świata? Właściwie nie wiedziałem, co jest gorsze: znikająca Reza czy choroba umysłu?

Ponownie sięgnąłem po zbiór map i jąłem wpatrywać się w podłużny kształt Półwyspu Latiliańskiego. Moje spojrzenie przesunęło się po liniach rzek, zatrzymywało na grubo kreślonych granicach. Kiedy patrzyłem na linię brzegową łączącą Latilię z Morzem Środkowym, zwróciłem uwagę na linię brzegową. Zastanowiłem się przez chwilę nad jej kształtem. Powoli rozkwitały we mnie inne osobliwe myśli. Ile krain zniknęło z mapy tak jak Reza? Jak wyglądała linia brzegowa tysiąc lat temu? Czy Nerolf będzie następny? Zachwiałem się lekko. Wino odbierało mi już władzę w nogach. Upuszczając mapy, rzuciłem się na krzesło. Gdzieś z oddali dobiegły słowa Proroka:

„...i pochłonie was, grzeszników, wieczny ogień piekielny, od którego nie ma odpoczynku. I dowiedcie się prawdy o sobie, bo ta prawda tkwi w Żniwiarzach, a oni są już pośród was. Widzieliście ich rano, zobaczycie ich wieczorem, zaśniecie w żarze własnych grzechów...”

Czy były to słowa prawdy? Nie wiedziałem, choć jeszcze niedawno puszczałem je mimo uszu. Teraz jednak, kiedy siedziałem na krześle, najedzony i bezpieczny, znów zaczynałem odczuwać nienawiść. Byłem jak wściekły pies, który pragnie zniszczyć to, czego nie rozumie. Twarz Szóstego nie budziła już lęku, lecz gniew. Zacisnąłem dłonie na oparciach krzesła. Poczułem nieprzepartą chęć niszczenia, a siła tego uczucia zaskoczyła mnie samego. Kot musiał coś wyczuć, bo dyskretnie zniknął z pokoju. Wiedziałem, że trzeba działać i ukierunkować to działanie przeciwko Żniwiarzom. W końcu wciąż byłem śledczym, strażnikiem ładu w tej krainie.

Wróciłem myślami do Rezy. Przed oczami stanęła mi wioska, jej zamordowani mieszkańcy, ich pokaleczone ciała. Potem usłyszałem krzyki dobiegające z dziedzińca zamku Iorgo Sarivy. Płatki nosa zadrgały, jakby wciąż czuły dym pogrzebowego stosu. Kręciło mi się w głowie. Nie wiedząc kiedy, osunąłem się na posadzkę. Ze stołu śmiała się do mnie butelka coca-

coli. Zrobiło mi się jakoś przyjemniej. Nie wiem dlaczego skojarzyła mi się z zimowymi świętami. Leżałem tak i czułem się dobrze. Kiedy do moich pleców przytulił się miękki, ciepły kot, byłem pewien, że wszystko będzie dobrze.

Wiosenna rosa unosiła się nad brukowanym chodnikiem, czyniąc powietrze wilgotnym i rześkim. Wczesny ranek świetnie koł ból głowy po wypitym winie. Spokojnym krokiem przemierzałem zaludniające się powoli ulice. Powróciłem do mojego miasta jak do dawno niewidzianej matki. Otrząsałem się już z dezorientacji, zyskawszy cel, do którego mogłem dążyć. Powziąłem niezłomne postanowienie, by w granicach dostępnej mi rzeczywistości rozwiązać zagadkę Rezy, zagadkę Żniwiarzy. Pierwszym supłem, który zamierzałem rozplątać, był Prorok. Mój wewnętrzny spokój wcale nie wynikał z pewności, że uda się dotrzeć do prawdy. Jako śledczy nauczyłem się, by dzielić swe dociekania na ogarnialne umysłem segmenty. To była najlepsza metoda pracy: nie próbować wyjaśnić wszystkiego od razu. Teraz więc interesowała mnie tylko rozmowa z Prorokiem, potem zacznę planować dalej. Byłem gotowy na żmudne zbieranie dowodów. Na razie miałem koncepcję Crispona i własne, subiektywne doświadczenie – dobry początek. A że świat może się skończyć? Pieprzyć to! Marzyłem o tym, by poderżnąć gardło któremuś ze Żniwiarzy. Oto pozytywna motywacja w stylu dawnego Mervila Bellusa.

Z ciałem też nie było najgorzej. Bolało tu i tam, ale apetyt dopisywał. Pochłonałem obfite śniadanie w jednym z mijanych zajazdów. Choć było tam dosyć drogo, dzięki łaskawości Avidiona nie musiałem martwić się o pieniądze. Z uśmiechem przywołałem służącego.

– Kartą czy gotówką? – spytał uprzejmie.

Rzuciłem na stół dwie monety, które zgarnął błyskawicznie, gnąc się w ukłonie. Byłem dziś pierwszym klientem, nie przypuszczał zapewne, że okażą się tak hojny.

Zaspokoiwszy apetyt, postanowiłem pospacerować po mieście. Zawsze odczuwałem przyjemność, przyglądając się kamienicom wokół rynku,

których kunsztownie zdobione fasady sprowadzały tu wielu podróżnych.

Zaszedłem w pobliże świątyni Terilusa i Wszystkich Bogów. Choć od lat nie przekraczałem progu tego monumentalnego gmachu, tym razem postanowiłem wstąpić. Uderzył mnie półmrok i zapach wilgoci. Zasiadłem w jednej z pustych ławek i spojrzałem na główny ołtarz, skryty w szarościach poranka. Było cicho. Wysoko nad głową miałem misternie splecione żebra sklepienia. Zamknąłem oczy, chciałem rozpuścić się w tym spokoju. Nie poczułem jednak niczego szczególnego, jakby zmysły obojętne były na doświadczenie religijne. Zresztą bogowie jawili mi się zawsze tak mgliście, że nie wyobrażałem sobie, by do ich kontemplacji potrzebna była jakakolwiek konkretna budowla. Żadnego z nich nie podziwiałem za dzieło stworzenia. Tragedia Rezy tylko umocniła mnie w przekonaniu, że Terilus i Wszyscy Bogowie, jeśli istnieją, wcale nie są pełni miłości.

Mając dosyć metafizycznych rozmyślań, bezszelestnie wstałem z miejsca. Kątem oka dostrzegłem, że gdzieś za mną, o mgnienie oka później, podnosi się ktoś inny. Taka synchronizacja mimowolnie zwróciła moją uwagę. Przypuszczałem, że to zwykły zbieg okoliczności. Zawodowa ostrożność była jednak silniejsza i zamiast ruszyć ku drzwiom, niespodziewanie skręciłem w stronę ołtarza, jakby nagle przyszła mi ochota obejrzeć go z bliska. Nie odwracając głowy, dostrzegłem, że postać zawahała się na ledwie uchwytną chwilę, a potem zniknęła pod sklepieniem portalu. Odwróciłem się i ruszyłem ku bocznym drzwiom, czując mrowienie na karku. Czyżby ludzie Lukrecjusza? W końcu zniszczyłem życie jego synowi, a być może także karierę samemu dowódcy. Arystokrata miał powód, by się mścić. Wiedziałem, że jeśli jeszcze raz zobaczę tego mężczyznę, będzie to oznaczało, że moje podejrzenia są słuszne. Tym razem bowiem, by znaleźć się przy moim wyjściu, będzie musiał obejść świątynię. Mijałem właśnie skąpo oświetlony ołtarz, nawet nie spojrzawszy w jego stronę, gdy nagle usłyszałem głos:

– Szukasz posługi, panie? – Słowa te wypowiedział stary kapłan ubrany w długą, skromną szatę.

Odwróciłem się zaskoczony. Nastawiony byłem na walkę, nie rozmowę.

– Zwiedzam – odezwałem się nieporadnie.

– Mało kto podziwia świątynię tak wcześnie rano. – Tamten uśmiechnął się dobrotliwie. – Codziennie się tu modlę – wskazał na malutki ołtarzyk w bocznej nawie – więc wiem, co mówię.

– Twoja religia i twój bóg nie mogą być zbyt potężni, skoro wystarczy tak skromne miejsce kultu – przygadałem mu wbrew sobie.

Nie wiedzieć czemu drażnił mnie pogodny spokój kapłana.

Tamten uśmiechnął się tylko:

– Oceniasz, panie, Jego swą kaleką ludzką miarą, a On uczy nas, że wszystko, co widzimy, jest nietrwałe. „Marność nad marnościami i wszystko marność”, powiada.

– Zgrabne tłumaczenie autorstwa biednego kapłana – przerwałem mu.

– Oczywiście mógłbym zrobić ci wykład o tym, że ludzie potrzebują wielkich symboli, by ucieleśniały wielkie idee, ale nie ma to chyba sensu, bo świat rzeczywiście jest nietrwały. Wiem coś o tym.

– Wyglądasz, panie, na wojskowego, a mówisz jak filozof.

Zignorowałem tę uwagę. Odchodząc, spytałem:

– Jak ma na imię twój bóg?

– Po prostu Bóg. Nie kalamy go ziemskim imieniem.

– Sprytne. – Uśmiechnąłem się, a kapłan mi zawtórował.

– Myślę, panie, że nie trafiłeś tu przypadkiem. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Wątpię – odparłem.

– Jest napisane: „Kto szuka Boga, odnajdzie go” – zacytował starzec.

– Szukam odpowiedzi, a bogowie zwykle tylko słuchają.

Nie mogłem dłużej ciągnąć tej rozmowy. Nie odwracając się, ruszyłem w stronę wyjścia.

W wypolerowanym ramieniu połączanego świecznika zobaczyłem, jak stary kapłan z wyrazem skupienia czyni za moimi plecami dziwny znak ręką i cicho szepcze jakieś słowa. W pierwszym odruchu chciałem zawrócić, lecz to by znaczyło, że wierzę w te bzdury. Zakląłem pod nosem. Starzec zniknął przy akompaniamencie szurających sandałów, a ja zastanawiałem się, kto będzie czekał na mnie przed wejściem do świątyni lub w jej pobliżu.

Serce zabiło nieco szybciej, jednak zwolniło, gdy tylko dłoń dotknęła zimnego noża skrytego w rękawie.

Nie wiedziałem dokładnie, jak długo przebywałem w świątyni, jednak musiało upłynąć trochę czasu, bo ulica przemieniła się w gwarny strumień ludzi, ruszających do swoich porannych obowiązków. Rzemieślnicy wystawili przed bramy małe warsztaty, handlarze stali na rynku, a szynkarze wietrzyli zajazdy, pełne porannych piwoszów. Wtopiłem się w tłum i ruszyłem w stronę placu, na którym spodziewałem się spotkać Proroka. Po chwili jednak zatrzymałem się przy handlarzu dźwigającym przed sobą dużą, drewnianą skrzynię, w której pachniały świeże, słodkie bułeczki. Kupiłem jedną, a szukając pieniędzy, ukradkiem rozejrzałem się dokoła. Zdawało mi się, że znów dojrzałem znajomą postać, która mignęła mi w świątyni. Wszystko nie trwało dłużej niż westchnienie.

Niespiesznie ruszyłem dalej. Posuwałem się spokojnie, żując słodkie ciasto. Nie oglądałem się już za siebie – byłem pewien, że jestem śledzony. Zmieniłem tylko trasę, którą pierwotnie zamierzałem podążać. Porzucając główne, handlowe ulice, zboczyłem w plątaninę zaułków jakiejś rzemieślniczej dzielnicy. Po kilku minutach, skręcając w wąski przesmyk, dostrzegłem wejście zasłonięte kotarą. Natychmiast się tam ukryłem. Za sobą miałem tylko długi korytarz, prowadzący w niewiadomym kierunku. Stwierdziwszy, że nic mi stamtąd nie grozi, spokojnie czekałem. Po niedługim czasie w przesmyku pojawiła się wysoka postać, ostrożnie lustrująca okolicę. Mężczyzna był wyraźnie rozczarowany utratą tropu. Chodził niezdecydowany w tę i z powrotem, aż w końcu stanął kilka kroków od kotary, za którą się skrywałem.

Nie czekając dłużej, wyszedłem z kryjówki:

– Mnie szukasz, człowieku?

Mężczyzna zmieszał się, ale szybko odzyskał rezon.

– Jesteś, panie, Mervil Bellus, śledczy – stwierdził, lecz nagle na jego spokojnej twarzy pojawił się strach. Oczy otworzyły się szeroko, a słowa uwięzły w gardle. Odwróciłem się gwałtownie.

W zaułek za moimi plecami wbiegł właśnie drab z obnażonym sztyletem.

– Wystawiłeś mnie – wycodziłem i z całej siły kopnąłem stojącego przede mną mężczyznę w udo. Jednocześnie błyskawicznym ruchem wyciągnąłem dwa noże. Nie było to jednak potrzebne. Mężczyzna, zaskoczony uderzeniem, runął na ziemię jak kłoda. Biegący zaułkiem wielkolud zwolnił i zatrzymał się niezdecydowany. Dzieliło nas ze czterdzieści kroków. Przesmyk był zbyt wąski, by mógł przejść, nie dotykając mnie.

– Złamałeś mi nogę – jęczał tymczasem leżący – ty...

– Nie przesadzaj – odparłem wesoło. – To tylko zbity mięsień. Ale za chwilę mogę poderżnąć ci gardło.

Przestraszony, odpełznął nieco w tył. Uznałem, że jest niegroźny. Odwróciłem się w stronę uzbrojonego draba. Za jego plecami ujrzałem płaszcz księżęcej straży. Gdy żołnierze dostrzegli ściganego, jak wichur ruszyli w jego stronę.

– Spierdalaj, bo zabiję! – zawył żałośnie przestępca.

– Za co cię ścigają?

– Dycha!

– Pobicie? Pewnie tylko się broniłeś.

Pokiwał głową jak uradowana małpa. Strażnicy byli tuż, tuż.

– Dobra, schowaj to żelastwo i leć.

Mężczyzna wsunął sztylet za pas, a ja ustąpiłem z przejścia. Kiedy przebiegał obok mnie, uderzyłem go w krtań nasadą dłoni i poprawiłem kopnięciem w brzuch. Zsunął się po ścianie jak mokra szmata. Nadbiegli zdyszani strażnicy.

– Dzięki, panie – wysapał dowódca patrolu. – Bierzcie go! – Machnął ręką na podkomendnych.

Ich czoła lśniły od potu, musieli ścigać krzepkiego draba kawał drogi.

– A ten? – spytał dowódca, patrząc na kulącego się pod murem drugiego mężczyznę.

– Jest mój. – Pokazałem pierścień Avidiona.

Strażnicy o nic nie pytali. Sprawnie zawinęli aresztanta i już ich nie było.

– Zostaliśmy tylko we dwóch.

– Panie, ale ja jestem nieuzbrojony.

– To twój problem.

– Ale, panie, ty jesteś Mervil Bellus, służysz księciu, służysz prawu – wyjąkał leżący.

– Służę sprawiedliwości – rzuciłem, wyciągając z pochwy na plecach krótki miecz.

Mężczyzna sprawiał wrażenie przerażonego. Reakcja ta dobitnie wskazywała, że nie był człowiekiem nawykłym do tego typu sytuacji. Być może nawet mówił prawdę i rzeczywiście nie miał przy sobie broni. Nie mogłem wszakże ryzykować. Uważnie obserwowałem, jak nieporadnie próbuje stanąć na nodze, która nie może utrzymać jego ciężaru. W końcu znudziło mnie to patrzenie, więc jeszcze raz go kopnąłem.

– Koniec żartów. Mów, co tu robisz, albo tylko jeden z nas opuści ten zaułek.

– Powiem, panie, wszystko powiem, tylko proszę, schowaj miecz!

Zignorowałem te słowa.

– Czekam, a wiedz, że nie jestem zbyt cierpliwy.

– Jestem, panie, sługą Kiliasa Verio. Mój chlebodawca rozkazał, bym dyskretnie zaprosił cię na spotkanie z nim.

Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi, lecz starałem się nie zdradzić z uczuciami. Z jednym z najbogatszych kupców w Nerolfie nie łączyła mnie choćby najwątlesza nić znajomości.

– W jakim celu? – spytałem.

– Nie wiem, panie. Chodzi o jakieś zlecenie w Morze – wydyszał leżący.

– W takim razie powiedz czcigodnemu Verio, że mnie nie znalazłeś.

Mężczyzna osłupiał.

– Jak to, panie! Karze mnie oćwiczyć! Stój! – Zerwał się na równe nogi, widząc, że zamierzam odejść.

Jednak nim zdążył dotknąć mojego ramienia, odwróciłem się i chwytając go za kołnierz, z całej siły cisnąłem na ścianę. Przystawiłem mu nóż do gardła. Z doświadczenia wiedziałem, że w takich sytuacjach łagodne traktowanie mści się prędzej czy później.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Nie znam cię. Za tobą przybiegł uzbrojony drab – wyszeptałem mu do ucha, podczas gdy ostrze

niebezpiecznie napinało skórę na jego gardle.

– Panie – wyjąkał, a ja poczułem, że jedna z nogawek mężczyzny wilgotnieje. – Nie znałem tamtego zbira. To był przypadek. Nie podszedłem wcześniej, bo nie chciałem ci przeszkadzać w modlitwie.

Puściłem drżące ciało i odszedłem kilka kroków. Obojętnie patrzyłem na kałużę zbierającą się pod nogami służącego. Nagle spostrzegłem, że z fałd wymiętoszonego przeze mnie kaftana wypadł jakiś srebrny prostokąt.

– A to co? – spytałem, patrząc groźnie.

– Dy... dy... dyktafon.

– Verio kazał ci nagrywać?

– Panie, jesteś śledczym, chyba rozumiesz: teraz wszyscy nagrywają.

Tak, rozumiałem. Rozgniotłem urządzenie obcasem.

– Panie! – jęknął tamten. – Pochodził z dalekich krajów, kosztował fortunę.

– Kiliasa Verio stać na taką stratę.

– Przyjdiesz, panie, na spotkanie? – W jego oczach widać było błaganie. Najwyraźniej kupiec miał twardą rękę do swoich sług.

– Przyjdę. – Skinąłem głową, choć wcale nie byłem tego pewien.

– Kiedy, panie?

– W najbliższych dniach, w porze, którą uznam za stosowną.

Po tych słowach schowałem miecz i ruszyłem w stronę zakrętu.

– Aha, i jeszcze jedno – dodałem. – Jeśli zobaczę, że mnie śledzisz, zabiję bez ostrzeżenia.

Oczywiście nie zamierzałem realizować swojej groźby, jednak nie zaszkodziło, by Kilias Verio otrzymał sygnał, że śledczy Nerolfu nie jest człowiekiem, którego można bezkarnie obserwować. Zresztą zawsze kiedy nie wiedziałem, jak postąpić, wolałem być raczej za twardy niż za miękki. Nie miałem pojęcia, jaki interes chce ubić kupiec. Prawdopodobnie chodziło o znalezienie mordercy jakiegoś krewnego gdzieś poza Nerolfem. W przeszłości podejmowałem się już takich zadań dla pieniędzy. Jedno było wszakże zastanawiające: dlaczego Verio nie przysłał służącego bezpośrednio do mojego domu? Czy aż tak bardzo zależało mu na dyskrecji?

Ponownie wtopiłem się w barwny tłum mieszkańców Nerolfu. Kiedy znalazłem się na rynku, z radością stwierdziłem, że drewniane podwyższenie, na którym zwykle przemawiał Prorok, stoi już na swoim miejscu. Gromadzący się wokół ludzie najwyraźniej na niego czekali. Chciałem sprawiać wrażenie mimowolnego świadka, nie – wyznawcy. Skierowałem się więc do pobliskiego zajazdu, którego dwuskrzydłowe, otwarte na oścież drzwi wychodziły wprost na rynek. Usiadłem przy stole najbliżej wyjścia, tak, by nie przeoczyć pojawienia się mówcy. Nie byłem głodny, więc zamówiłem tylko wino.

Sączyłem je powoli, rozmyślając nad tym, jak powiedzieć Ginkorowi o ostatnich wydarzeniach. Wiedziałem, że powinienem wtajemniczyć we wszystko jedyne go przyjaciela. Jednak z drugiej strony nie chciałem, by uznał mnie za szaleńca. Mój wzrok przyciągnęła grupa prowincjuszy na rowerach, którzy najwyraźniej przyjechali tu specjalnie dla Proroka. Zatrzymali się przy jednej z kamienic i łąpczywie pili ze swoich bidonów. Wyglądali na zdżozonych. Umoczyłem usta w wysmienitym winie. W następnej chwili, bez żadnego wstępu, zaczęło się. Nikt prócz mnie nie wydawał się zaskoczony donośnym głosem, który wzniósł się nad rynkiem. Widocznie Prorok przyzwyczaił wszystkich do swojej obecności. Tego ranka grzmiał jak zawsze, lecz tym razem nadstawiałem ucha, by nie uronić nawet jednej sylaby. Służący chciał zamknąć drzwi, by zagłuszyć głos, lecz wystarczył mu jeden rzut oka na moją stężałą twarz, by zaniechać tego pomysłu.

– Jestem tu niedługo – przemawiał Prorok – a na każdym kroku widzę grzech i występki. Mężowie nie szanują swoich żon, te po kryjomu zdradzają swoich mężów, dzieci nie szanują rodziców, każdy chce, by żyło mu się lepiej i łatwiej. A ja wam mówię, że życie to jest ciągły trud. Tam, gdzie ten trud się kończy, musi skończyć się też życie. Bo na miejsce waszej pracy, waszego wysiłku, tam, gdzie przestajecie być uczciwi i zarabiać na chleb w pocie czoła, zawsze przyjdą Żniwiarze. To okrutni sędziowie, którzy z radością wyglądają krwawych plonów. Ale zaprawdę powiadam wam, jeszcze nie jest za późno, można wszystko naprawić!

– Jak?! Co mamy zrobić?! – zakrzyknął jakiś głos.

– Kochajcie innych ludzi, tak jak siebie kochacie, bądźcie dobrzy, prawi, uczciwi, a wtedy oni odejdą, odwrócicie karę i zasłużycie na wieczność!

Każda wzmianka o Żniwiarzach sprawiała mi niemal fizyczny ból. Przed oczami wciąż majaczył Szósty ze swoim nieludzkim eterycznym ciałem i rzędem ostrych, małych zębów. Zakręciło mi się w głowie. Rzuciłem na stół monetę i wyszedłem na świeże powietrze. Krew dudniła w uszach. Nie słyszałem już odpowiedzi Proroka na kolejne pytania, ale wiedziałem, że muszę z nim porozmawiać. Nim przepchnąłem się w pobliże podwyższenia, minęło trochę czasu. Prorok właśnie skończył przemawiać i podtrzymywany przez dwóch młodych mężczyzn szedł przez tłum. On i jego towarzysze przyzwyczajeni byli do lawirowania w ludzkiej ciżbie. Szybko zniknęli mi z oczu. Zdwoiłem wysiłki, co nie było łatwe. W końcu znów dostrzegłem siwą brodę Proroka, który właśnie wsiadał do skromnego powozu. Na szczęście, nim woźnica zdążył dać znak do odjazdu, chwyciłem drewnianą krawędź. Starzec spojrzał zdziwiony:

– Jutro też będę nauczał. Przyjdź jutro.

Jeden z mężczyzn już zamierzał oderwać moje dłonie od powozu, jednak wydyszałem:

– Widziałem trzech, jednego próbowałem zabić!

Twarz starca zamarła. Przez chwilę patrzył mi w oczy.

– Wsiadaj – rozkazał.

Silne ramiona wciągnęły mnie do góry i powóz ruszył. Miałem nadzieję, że właśnie rozpocząłem drogę ku prawdzie. Towarzysze Proroka przyglądali mi się badawczo, w końcu jeden z nich wyjął węzeł i zatańczył palcami po ekranie. Żałowałem, że nie wyrzucił jakiegoś holo.

Prorok wynajmował dwie skromne izby. Był tam stół, krzesła, trzy łóżka oraz ekspres do kawy. Starzec najwyraźniej nie zamierzał, tak jak większość nawiedzenców, których poznałem, zbić majątku na swoich naukach. Ruchem głowy poprosił, bym usiadł. Sam zajął miejsce naprzeciwko. Obok niego, jak filary, stanęli dwaj muskularni młodzieńcy, wcześniej tak

skutecznie pomagający mu przejść przez tłum. Wyglądali na bliźniaków. Prorok przymknął oczy. Czekał. Taktownie nie przerywałem ciszy.

– Dobrze, opowiedz mi, gdzie natrafiłeś na ślady Żniwiarzy – odezwał się w końcu.

– W Rezie, której zresztą już nie ma.

– Nigdy nie słyszałem o tej krainie, ale tak właśnie powinno być. Selio, Kelio, przynieście coś na przepłukanie gardła. – Odwrócił się w stronę bliźniaków, po czym znów spojrzął na mnie. – Nasz gość uraczy nas zapewne długą opowieścią.

– To twoi słudzy czy wyznawcy?

– Synowie.

Siwobrody w niczym nie przypominał człowieka przemawiającego w natchnieniu donośnym głosem. Teraz, przy stole, wydawał się skrupulatny i rzeczowy. Sprawiał wrażenie aptekarza, nie kaznodziei.

Wokół rozszedł się aromat świeżo parzonej kawy. Kiedy jeden z braci postawił przede mną napitek, zacząłem mówić. Mój głos, na początku monotony, zaczynał nabrzmiewać emocjami wraz z obrazami, które do mnie wracały. O dziwo, wyznanie czynione przed starcem niosło ze sobą jakiś rodzaj ukojenia. Patrzyłem, jak Prorok i jego synowie słuchają w napięciu, nie chcąc uronić ani słowa. Byłem pewien, że nie uznają mnie za szaleńca. Mówiłem i mówiłem, a oni nie przerywali. Starłem się nie zajmować własnymi odczuciami, relacjonować tylko fakty. One wszakże wystarczyły, by poruszyć słuchaczy. Kiedy skończyłem, mój głos zdawał się brzmieć jeszcze w pobielonych ścianach, jakby ta straszna historia już na zawsze wczepiła się w pomieszczenie. Obok mnie stała pusta filiżanka. Kelio robił pyszne cappuccino.

– A więc to już się dzieje, są w Nerolfie – wyszeptał Prorok zbielełymi wargami. Dziwiłem się, że nie tknął kawy ani wina. Selio i Kelio patrzyli na niego z wyraźną troską.

– Mam nadzieję, że powiedziałem już dość i teraz ja mogę zadać pytania? – zacząłem uprzejmie.

– Chcesz wiedzieć, kim lub czym są Żniwiarze? – rzekł i przerwał, jakby porządkował odpowiedź w głowie. W końcu podjął: – Też coś ci

opowiem. Jakies dwadzieścia lat temu byłem garncarzem w Tisie. To była duża kraina, której już nie ma. Nagle, w ciągu jednego tygodnia, miasto oszalało. Zaczęło się od plagi złodziejstwa. Ludzie, których nikt by o to nie podejrzewał, jeśli się nawzajem okradać, potem zabijać. Szaleństwo dotknęło całą moją rodzinę, ledwie uszedłem z życiem. Nie będę się wdawał w szczegóły. Po tym, co przeżyłeś w Rezie, doskonale wiesz, o co mi chodzi. Zdecydowałem się na ucieczkę. Drogi były niebezpieczne, więc szedłem lasami. Na polanie znalazłem dwóch małych chłopców. Też uciekali, aż w końcu zabłądzili. Kiedy zapadła noc, a my drżeliśmy z zimna, przed nami pojawił się mężczyzna. Był wysoki, bardzo wysoki. Zresztą mniejsza o to, jak wyglądał.

Starzec zwilżył językiem wargi, a jeden ze stojących za nim bliźniaków położył mu rękę na ramieniu. Po chwili Prorok kontynuował:

– Pamiętam tylko, jak powiedział: „ty możesz przejść, ale ich zabieram”. „Kim jesteś?” – spytałem. „Tobą. Między innymi” – usłyszałem w odpowiedzi. Wtedy począłem błagać, żeby pozwolił iść dzieciom, przysięgałem, że nie jestem chciwy, że dam mu wszystko, co mam, bo wziąłem ze sobą trochę pieniędzy. On nic nie odrzekł, tylko patrzył. Nigdy nie zapomnę tych złotych, zimnych oczu. W końcu przemówił: „Po jednej ręce za każdego”.

Prorok zerwał się i płynnym ruchem rozchylił luźną szatę, pod którą kryły się dwa kikuty, ucięte niezwykle precyzyjnie powyżej łokcia. Dotychczas starzec poruszał się tak pewnie, że nie zauważyłem kalectwa skrytego pod ubraniem.

– Ojcze! – jeden z młodych mężczyzn chwycił zsuwające się z jego ramion odzienie.

Patrzyłem zafascynowany.

– Nie było krwi, nie było ran ani nawet bólu – odpowiedział starzec, widząc moje spojrzenie. – One po prostu zniknęły. A potem usłyszałem słowa: „Jam jest jeden ze Żniwiarzy. Podziękuj swemu rodzajowi w imieniu moich braci, którzy pójdą za wami wszędzie, gdzie tylko się znajdziecie, a gdy urosną w siłę, poznacie prawdę o was samych”. Po tych słowach zniknął, a ja zacząłem biec, ciągnąc za sobą chłopców uczepionych pustych

rękawów koszuli. Na wpół obłąkany, bezręki, biegłem, potykając się o korzenie. Pamiętam obłok smrodliwej mgły, w której oparach upadliśmy na ziemię bez siły i uczucia. Wydawało nam się, że umieramy. Chłopcy nie mieli nawet siły płakać. A potem mgła zaczęła się powoli rozwiewać, a my zdaliśmy sobie sprawę, że leżymy w jakimś zaułku. Jak się później okazało, była to Inolbia.

Nie ma sensu, bym opowiadał o następnych latach mego życia. Dość powiedzieć, że z tego, co zrozumiałem z tamtych słów, oni wszyscy w jakiś sposób karmią się naszymi czynami. Bronią przeciwko nim jest dobro. Przynajmniej tak powiedział mi człowiek, którego spotkałem w Morze. Przyszedł na jedno z moich pierwszych kazań, a potem, tak jak ty, poprosił o spotkanie. Chłopcy byli jeszcze mali, więc niewiele pamiętają. Człowiek ten był dość młody, jednak mówił jak stary filozof. Chociaż to niezupełnie tak – może raczej jak ktoś pozbawiony złudzeń. Myślałem, że będzie miał do mnie pytania, a tymczasem sam powiedział mi o naturze Żniwiarzy i dodał, bym nie ustawał w nawracaniu bliźnich.

– I to ma niby pomóc przeciwko Żniwiarzom? – Nie wytrzymałem. – Dobro?

Starzec pokręcił głową:

– Nie można pokonać Żniwiarzy. Można tylko odwlec ich przyście, zmniejszyć liczbę ofiar.

– Wyjaśnił, dlaczego tak się dzieje? – pytałem w napięciu.

Starzec uśmiechnął się smutno:

– O to spytałem najpierw. A on odpowiedział: „Któż zasłużył na nich bardziej niż my?”.

– Co to znaczy? Skąd o tym wszystkim wiedział? – dążyłem.

– Nie wiem, po prostu rzekł swoje, po czym wstał i wyszedł.

Byłem rozgoryczony. Choć Prorok utwierdził mnie w przekonaniu, że nie jestem szaleńcem, spodziewałem się czegoś bardziej konkretnego. Musiałem znaleźć tamtego mężczyznę.

– Czy ów człowiek podał przynajmniej swoje imię?

– Tak, przedstawił się jako Kaitarios. Trudno było określić jego wiek, ubrany był jak kupiec. Tyle pamiętam.

Skończył. Selio podniósł filiżankę wystygłej kawy do jego ust. Ochłonałem. Pomyślałem, że powinienem już iść. Nie było tak źle, wizyta u Proroka jednak coś mi dała. Miałem nazwisko, miałem trop, ale musiałem spytać o coś jeszcze.

– Dlaczego go nie szukałeś, skoro tyle wiedział?

– Ależ szukałem! Jednak bez pracy, z synami u boku, niewiele mogłem zrobić. Dałem za wygraną, skupiłem się na głoszeniu mojej nauki.

Poprosił o kolejny łyk kawy.

– Mam nadzieję, że pomogliśmy sobie wzajemnie. – Ukłoniłem się i wstałem od stołu. – Oby twoje słowa padały na podatny grunt.

– Pokój z tobą, panie, i niech poszukiwania się powiodą – rzekł starzec, domyślając się mojej dalszej drogi.

– Jeśli żyje i wciąż mieszka w Morze, na pewno go znajdę. Bądźcie zdrowi.

Po tych słowach wyszedłem z izby na wąski korytarz, prowadzący na ulicę. Było już po południu. Odetchnąłem głęboko świeżym powietrzem. Zwykle o tej porze światło słoneczne budziło we mnie jakieś przyjemne wspomnienia, napawało niekreśloną nadzieją. Tego popołudnia jednak wszystko wydawało się przymglone, nierealne, spowite cieniutką, pajęczynowatą siatką. Poczucie nietrwałości świata, które zrodziło się w Rezie, nie chciało zniknąć i tutaj.

Azyl w kościele Klarysek mieści się w samym centrum miasta, więc żeby napić się piwa z przyjacielem, wystarczy przejść na drugą stronę ulicy. Po kilku dniach w wilgotnej ciszy kilkusetletnich murów nie jest to wcale proste. Pierwsze wyjście na powietrze jest jak skok w spienioną wodę. Ruch miasta wdziera się w człowieka przez uczy, oczy i nos. Potem rozrywa zmysły, powoduje ból głowy. Można docenić mur z prawdziwej cegły, która tłumi wszystko. Vermil nie porusza się jeszcze ze stuprocentową sprawnością. Opatrunek hybrydowy nie krępuje ruchów, ale granica bólu wciąż jest łatwa do przekroczenia. Albert trzyma go pod rękę. Czekają na zielone światło. Opływa ich kolorowy tłum. Wszyscy gdzieś się spieszą, rozmawiają. Olson patrzy na kościelną wieżę, przysłanianą w tym momencie puchnącą burzą włosów holomodelki reklamującej szampon. Dochodzi 13.00.

– Nie myśleliście, żeby rzucić tu jakąś fasadę? Te reklamy was tłamszą – mówi do Alberta.

– Kto ma do nas trafić, i tak trafi. Holobadziowie się zmienia, my nie. W tym też jest siła.

Ruszają przez szeroką ulicę. Vermil zauważa, że Mieszko już czeka. Jak zwykle usiadł przy szybie, żeby obserwować kobiety.

– Dzięki, poradzę sobie. – Olson wyrywa się z uchwytu zakonnika.

– Na pewno?

– Tak. Co może się stać w centrum miasta, czterdzieści metrów od azylu?

– Niech będzie. Tylko pamiętaj, żeby Mieszko cię odprowadził. Do kościoła, nie do Eroticonu – dodaje, wymownie patrząc na czekającego mężczyznę, który macha im przyjaźnie.

– Bóg zapłać. – Vermil szturcha kuzyna w ramię i wchodzi do środka.

Uderza go przyjemny zapach kawy. Kremowo-białe, oszczędne wnętrze jest ulubionym miejscem spotkań ludzi, którzy mają dla siebie tylko kilka minut. Kelnerka już podąża wzrokiem za Vermilem. Nie da mu czekać nawet sekundy dłużej niż to konieczne.

– Cześć! – Olson macha Mieszkowi i kieruje kroki ku innemu stolikowi, na końcu sali, przy samej ścianie. Tamten wstaje zdziwiony, chwyta swoją kawę i podąża za nim. Siadają, a za plecami Vermila stoi już kelnerka, gotowa przyjąć zamówienie.

– Poproszę cappuccino z posypką cynamonową.

– Dobrze, czy to wszystko? – pyta dziewczyna z profesjonalnym uśmiechem, który Mieszko jak zwykle błędnie interpretuje jako zachętę do rozmowy.

– A jakie ciasto pasowałoby do stygnącej latte? – zagaja.

– Przepraszam, kolega żartuje. Dziękujemy. – Załatwia sprawę Vermil, bo nie ma ochoty na przekomarzanekę, którą Mieszko nazywa flirtem.

– E, no co ty? – oburza się przyjaciel.

– Stary, bez wstępów: walnął mnie samochód, straciłem pamięć, mam połamane żebra i grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, tylko zapomniałem jakie.

Mieszko patrzy osłupiały. Z wąsami ze spienionego mleka wygląda bardzo głupio. Przypomina naćpanego Kubusia Puchatka. Vermil już wie, że spotkanie było złym pomysłem. Niestety wczoraj, kiedy próbował znów skontaktować się z Trollem, a ten nie odbierał, ze zgrozą stwierdził, że właściwie nie ma do kogo zadzwonić. Z Mieszkiem widuje się raz na kilka tygodni, częściej łapią się w sieci. Kiedyś, jako nastolatki, byli sobie bardzo bliscy. Teraz żyją w innych światach.

– Żartujesz. – Jakby na przekór tym refleksjom kolega wydaje się naprawdę przejęty.

Vermil podnosi koszulkę, pokazując fragment opatrunku.

– Na kilka dni zatrzymałem się w Klaryskach, u Alberta.

– Dlatego nie mogłem cię złapać.

– Odciałem węzeł. Niektórzy pewnie myśleli, że admin zapomniał zmienić mój status na „nie żyje”.

Na stole pojawia się cappuccino. Tym razem Mieszko nie zwraca uwagi na kelnerkę.

– Mogę ci jakoś pomóc czy coś?

– W pracy wziąłem zaległy urlop, mam trochę oszczędności. Jest dobrze, ale nie wiem, co dalej. Niewiele pamiętam.

Vermil opowiada mu wszystko. W gwarze kawiarni, wśród nieustannego ruchu, czuje się cudownie anonimowy. Mógłby tak mówić i mówić.

– Jedź do tej Salaterki...

– Solidarii!

– No mówię przecież. Niech ci przypomni, co się stało – kwituje Mieszko.

– Pomyślę o tym – mówi Vermil, ale coś w nim krzyczy na myśl, że miałby ponownie znaleźć się w miejscu wypadku. Nie jest na to gotowy.

– Ile można siedzieć w kościele – krzywi usta Mieszko.

– No właśnie.

– Żeby tak zdobyć record z wypadku. Zgłoś się na policję.

– Tego chyba też nie powinienem robić.

– Więc co?

– Jakbym wiedział, to bym cię tu nie ściągał! – wybucha Vermil trochę zbyt głośno.

Jakaś para spogląda z dezaprobatą. Olson ma ochotę pokazać im język. Zamiast tego jednym haustem wypija kawę.

– Popierdoliło mi się w życiu.

– Może idź do lekarza? – radzi Mieszko, ale Vermil chwytając jego spojrzenie, które podąża za piersiastą brunetką, wchodzącą właśnie do kawiarni. Czuje się, jakby ktoś oblał mu twarz zimną wodą. Trzeźwieje. Wraca myśl, że kolega w ogóle go nie rozumie, że jest znacznie dalej od prawdziwego świata niż choćby Albert. Vermil uśmiecha się, patrząc jak głowa tamtego niczym latarnia morska obraca się za idącą ślicznotką.

– Będę leciał – mówi.

– Daj spokój – mityguje Mieszko. – Mam jeszcze ze dwadzieścia minut. Możemy poszukać innych rozwiązań.

– Już mi pomogłeś. Jestem wdzięczny.

– Odprowadzę cię.

– Dopij kawę i zajmij się tamtą dupcią – kończy rozmowę Vermil.

Przykłada bransoletkę kredytową do stolikowego czytelnika i rusza w stronę drzwi. Na dworze jest gwaro i wietrznie. Olson czuje jakiś rodzaj obrzydzenia do Mieszka. Sam nie wie dlaczego. Nie wyobraża sobie, że jeszcze do niego zadzwoni i gdzieś razem wyskoczą. Nie czuje żalu. Zapomina o Mieszku w jednej chwili.

Jeszcze raz puszcza pajęczka za Trollem. Nic.

Powoli podchodzi do przejścia dla pieszych. Ma wrażenie, że tylko w tłumie jest naprawdę bezpieczny. Zupełnie jak mała rybka, kryjąca się w ławicy przed rekinem. Po chwili jest już blisko bocznego wejścia do kościoła. Waha się jednak. Wabi go holofasada centrum handlowego. O tej porze jest tam kilka wolnych ławek koło placu zabaw. Przejście kilkudziesięciu metrów nie kosztuje zbyt wiele wysiłku. Siada na ławce i przygląda się rozigranym dzieciakom. Większość ma na nogach hermeski. Vermil jak zwykle żałuje, że kiedy on był dzieckiem, nie istniały tego typu zabawki. Dzieciaki tymczasem unoszą się kilka centymetrów nad ziemią, chwieją, popychają, a wszystko tonie w kakofonii śmiechów. Jest w tym coś kojącego. Olsonowi udziela się ich beztroska, którą jednak szybko zastępuje uczucie znanego niepokoju. Wie, że to geny, dla których jest tylko pasem transmisyjnym, upominają się o swoje. To one każą mu patrzeć na ojca bawiącego się z synem. Malec wyłącza właśnie hermeski i wsiada na rowerek, a tata zachęca go do skręcania. Jest w tym jakaś pierwotna harmonia, odwieczne następstwo: ojciec i syn.

Vermil nie lubi dzieci, nie chce ich mieć. Takie widoki jak ten mają dla niego wymiar czysto estetyczny. Nie rozumie, dlaczego mówi się, że macierzyństwo i ojcostwo są ważną częścią życia lub że miarą człowieka jest stosunek do własnego potomstwa. Nie rozumie instynktu rozmnażania. Chęć uporczywego mnożenia się, będąca synonimem radości życia, wydaje mu się nazbyt zwierzęca. Nie znajduje w sobie motywacji do przedłużania gatunku. Nie chce sprowadzać na świat kogoś, kto sprawi, że u zarania własnej dojrzałości będzie musiał zrezygnować z tylu rzeczy. Odcina się od

zwierzęcych korzeni poprzez rezygnację z rozmnażania. Unicestwiając ten instynkt, staje się w pełni człowiekiem.

Vermil patrzy na młodego i dużego samca, jak bawią się w swoje pierwotne gry, i wyobraża sobie, jak ten starszy, omamiony instynktem przedłużenia gatunku, marnuje najlepsze lata swojego życia, by wychować małego egoistę, który zabierze mu wszystko, co najlepsze, a potem zostawi samego. Olson jest inny, niepowtarzalny. W żaden sposób nie może przedłużyć siebie.

Chciałby wstać z ławki, ale po jego ciele rozlewa się dziwna niemoc. Ciepły wiatr, słońce, falowanie barw – wszystko to oddziela go od problemów, od tego, co musi zrobić.

– Przepraszam, czy mogę się przysiąść? – słyszy nagle nad sobą.

Chce odpowiedzieć, ale głos więźnie mu gardle. Obok ławki stoi strzeżniczka piękna Solidria Kurtz.

– Zauważyłam pana i pomyślałam, że podejdę. Ten wypadek...

– Widziała go pani? – wypała Vermil.

– Och, nie! Wyszłam, słysząc sygnał karetki. Czy nic panu nie jest? – Siada i zakłada nogę na nogę, odsłaniając kolana.

Olson nie zwraca na to uwagi, jest oszołomiony. Solidaria przysuwa się bliżej. Nie ma w niej śladu zwykłej obojętności.

– Czuję się dobrze – duka Vermil. – Tylko zębra i... i pamięć.

– Pamięć? – dziwi się kobieta.

Vermil zauważa, jak spojrzenia przechodzących mężczyzn przyklejają się do niej.

– Straciłem pamięć. To znaczy częściowo straciłem. Nie pamiętam wypadku i kilku wcześniejszych zdarzeń.

Solidaria zastanawia się nad czymś, przykładając dłoń do ust.

– Mogę panu przesłać rekordy z monitoringu domowego, może to coś da?

– Będę wdzięczny.

– I na pewno nic pan nie pamięta? – Uśmiecha się w zabójczo matczyzny sposób, a on marzy, by być jej Edypem.

Ma wrażenie, że rozpląnąłby się w jej ustach jak kostka cukru. Przez chwilę zastanawia się nawet, czy nie zacząć zmyślać, że obrażenia są większe, że bardzo bołą. Może wtedy Solidaria dostrzeże w nim kogoś więcej niż kelnera. Zamiast tego jest do bólu szczery.

– Boję się. Od czasu wypadku prześladowuje mnie myśl, że coś mi grozi.

Solidaria patrzy na niego przez chwilę. Vermil widzi szklenie jej źrenic. Z pewnością nosi soczewki, a mimo to patrzy tylko na niego.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Chciałbym, ale nie ma o czym. Nie potrafię tego sprecyzować.

Solidaria przeskakuje na interfejs węzła. Migdałowe oczy częściowo odklejają się od otaczającej rzeczywistości. Olson czuje, że traci jej uwagę, próbuje więc desperackiego chwytu:

– Ale korzystam ze zlepiacza narracyjnego. Staram się rozwiązać zagadkę samego siebie! – Uśmiecha się tryumfalnie, bo kobieta znów jest jego.

– I jak panu idzie? – pyta ostrożnie, jakby stąpała po cienkiej kładce nad przepaścią.

– Wciąż jestem tajemnicą – puentuje efektownie.

Kącik ust Solidarii drga.

– Mój znajomy ma świetny zlepiacz. Bije na głowę ten z Twórczości, który podobno jest całkiem przyzwoity. Prześlę panu namiary. Proszę powołać się na mnie.

Kładzie alabastrową dłoń na ramieniu Vermila.

– A teraz niech pan zdrowieje i uważa na siebie.

Solidaria Kurtz wstaje i rusza w stronę aerostrady. Vermil jest szczęśliwy. Dla powtórzenia tej rozmowy dałby się potrać jeszcze raz. Przez dłuższą chwilę pozostaje na ławce, po czym wolno się podnosi. Odwraca głowę w stronę kościoła. Nie chce wracać. Ma ochotę wstąpić do centrum handlowego. To dałoby mu iluzję, że wszystko jest w porządku. Tłum zadbanych, przekreślonych ludzi wydających pieniądze, słowem widok, który rozumie i akceptuje. Rezygnuje jednak. Kościół wzywa. W jego ledwie widocznej zegarowej wieży także jest coś pociągającego. Vermil wyjmuje z kieszeni węzeł: dostał trochę nowych wiadomości, lecz żadna nie jest na tyle ważna, by ją przeczytać. Żałuje, że nie ma soczewek ani

okularów. Bez nich świat jest taki zwyczajny. Włazi w oczy i uszy. Nie można się od niego odciąć, złapać dystansu.

Olson kuśtyka powoli. Z przyzwyczajenia zawiesza spojrzenia na mijających go kobietach. Żadna nie podejmuje niemego dialogu. Nic dziwnego. Olson ma na sobie jakieś ciuchy pożyczone od Alberta, jest nieogolony, a fryzura w niczym nie przypomina żelowej rzeźby, która zwykle ozdabia mu głowę. Wygląda przeciętnie, co boli bardziej niż połamane żebra.

W końcu, zmordowany, stuka metalową kołatką w boczne drzwi. Otwiera mu brat Robert i bez słowa wpuszcza do środka. Vermil idzie prosto do swojego pokoju czy raczej klasztornej celi. Albert łapie go jeszcze w korytarzu.

– Miałeś zadzwonić! – syczy szeptem.

– Przepraszam – bąka Olson. – Nieźle się czułem, pomyślałem, że te kilka kroków dobrze mi zrobi.

– Co ty powiesz?

Kuzyn wpycha go do pomieszczenia. Siada na krześle. Vermil, chcąc nie chcąc, zajmuje łóżko.

– Pojutrze wyjeżdżam – mówi zakonnik. – Niestety, musisz się wynieść. To decyzja rektora. Twoja samodzielna wycieczka odbiera mi wszelkie argumenty.

– Tak. – Vermil rozgląda się bezradnie dokoła. Mimo wszystko było mu tu dobrze. Perspektywa starcia ze światem przytłacza. Zwłaszcza że niebezpieczeństwo jest tak bliskie.

Albert studiuje twarz kuzyna.

– Jest jeszcze jedno wyjście. – Waha się. – Możesz jechać ze mną.

W Olsonie zapala się ostrożna nadzieja.

– A dokąd?

– Mam coś do zrobienia w Żninie, w M-Techu. Możemy mieszkać razem w hotelu. Oni płacą.

Vermil jest zaskoczony.

– Myślałem, że powiesz: Częstochowa, Łagiewniki, Gniezno czy coś w tym stylu, ale Żnin i M-Tech? Co ty masz tam za robotę?

– Potrzebują egzorcysty – odpowiada spokojnie Albert, a widząc brak zrozumienia w oczach kuzyna, dodaje: – Korzystaj ze SPOWIEDNIKA, ile się da. Pojutrze wyjeżdżamy.

SESJA DZIEWIĄTA

Twoja kraina zniknęła

Dom Kiliasa Verio nie robił z zewnątrz takiego wrażenia jak pałace nerolfskich arystokratów. W środku jednak po stokroć przewyższał je przepychem. Wnętrza, przez które mnie prowadzono, ociekały bogactwem jak świeży pączek lukrem. W tym domu było wszystko – prócz dobrego smaku. Pochodzenie gospodarza wykluczało posiadanie pałacu. Pragnął więc powetować sobie tę stratę z nawiązką. Nie dziwiłem się licznym, mijanym po drodze strażnikom. Verio, podobnie jak inni kupcy, był lepiej strzeżony niż niejeden arystokrata. Nic dziwnego: pospolitą krew przelewa się dużo łatwiej. Bogaci, którzy dorobili się dzięki własnemu talentowi i przedsiębiorczości, narażeni byli na daleko większą nienawiść i niebezpieczeństwa niż posiadacze dziedzicznych fortun. W jakiś sposób współczułem Veriowi. Mimo szlacheckiego pochodzenia w zasadzie gardziłem arystokracją, która w większości wyznawała zasadę, że jej własne dobro jest tym samym, co dobro kraju. Kupiec z pewnością zasługiwał na większy szacunek niż pasożyty w rodzaju de Sterna. Oczywiście uczucie to nie miało żadnego znaczenia. Postanowiłem odwiedzić Veria, gdyż po rozmowie z Prorokiem i tak chciałem wyruszyć do Mory. Dlaczego więc nie miałbym upiec dwóch pieczeni na jednym ogniu? Nie wiedziałem przecież, jak dużych funduszy będę potrzebował w gigantycznym mieście, umownej stolicy Latilii.

Kilias Verio przyjął mnie w rozległym salonie. Był mężczyzną przeszło sześćdziesięcioletnim, o miękkiej skórze i nieco zaokrąglonym brzuchu. Wyglądał jak żuk obtoczony w cieście. Kiedy wszedłem, z głośników poukrywanych w zawijasowych ozdobach sufitu dobiegała cicha muzyka. Zobaczywszy mnie w progu, Verio pospiesznie wyłączył ją pilotem. Wstał z sofy i zaczął kordialnie:

– To zaszczyt gościć w moich skromnych progach śledczego Nerolfu. Choć muszę powiedzieć, że nie spodziewałem się ciebie tak szybko, panie.

– Twój sługa był bardzo przekonujący.

– Domyślam się. Wszak argumentował tak żarliwie, że aż zmoczył spodnie.

– Istotnie. – Uśmiechnąłem się nieszczerze, zastanawiając się, w jaki sposób Verio wydobył tego typu wyznanie od podwładnego.

Kupiec zaklaskał w dłonie. We wszystkich drzwiach pojawili się służący.

– Napijesz się czegoś, panie?

– Słyszałem o twojej legendarnej kolekcji whisky.

– Pochlebiasz mi! – Verio skinął na służącego. – Ot, parę butelek dla rozradowania podniebienia. Może usiądziemy? – Wskazał dwa fotele przy małym stoliku.

Zapadłem się w jednym z nich jak w mydlanej pianie. Nie podobało mi się to. Bardzo trudno byłoby zainicjować teraz dynamiczny atak. Tymczasem do pomieszczenia weszło dwóch służących, pchając okazały wózek barowy, na którym skrzyło się kilkanaście butelek. We wszystkich kołysał się bursztynowy płyn, w każdej miał jednak subtelnie odmienny odcień.

– Zapraszam, panie, na małą wycieczkę. – Kupiec podał mi aksamitny woreczek. – Wylosuj proszę i zobaczymy, jaką whisky przeznaczył ci los.

Uśmiechnąłem się z przekąsem, lecz wsadziłem rękę do woreczka i wyjąłem małą karteczkę. Służący przeczytał ją, po czym nalał z odpowiedniej butelki. Verio pokiwał głową:

– Znakomity początek!

Po tych słowach sam wylosował. Kiedy trunek wypełnił dno szklanki, wzniosł toast:

– Za spotkanie dwójki utalentowanych ludzi.

Wypiliśmy, po czym Verio znów włożył rękę do woreczka.

– Jeśli ma się takie możliwości jak my, to w życiu nie ma czasu, żeby spróbować wszystkiego. I to jest prawdziwa tragedia.

– Przecenisz mnie, panie. Ja nie mam takich możliwości.

– Czyżby? – Umilkł na chwilę, delektując się smakiem i kolorem trunku. – Śledczy to zawód, który zmusza do dokonywania wyborów.

Nie odezwałem się. Czekałem, co będzie dalej. Wiedziałem, że propozycja pracy u kogoś takiego jak Verio zawsze wymaga zawikłanego wstępu.

– Trzeba wybierać! – ciągnął Verio. – Albo świadomie, albo zdać się na ślepy los. Efekt zawsze jest ten sam.

– Czy na pewno? – oponowałem leniwie, czując ciepło rozlewające się w żołądku. – W przypadku whisky... Każda jest dobra, jak mniemam, ale w życiu bywa inaczej.

– Wybaczcie, panie, ale nie mogę się zgodzić. Wszystko jest kwestią definicji.

– Nie wikłajmy się w retorykę. Mnie interesuje empiria.

– Mnie również. Zatem ciekawostka: pewien matematyk pokazał mi ostatnio, że moje interesy z takim samym, a może i lepszym skutkiem mogłaby prowadzić małpa, bo inwestowanie wbrew pozorom opiera się na losowości.

– Nie znam się na inwestowaniu, ale nie sądzę, żeby małpa mogła opłacić człowieka, który zdradzi ci cła ustalone przez Radę, zanim jeszcze zostaną ogłoszone. Małpa miałaby też niejakie problemy z podpaleniem magazynów twojego konkurenta.

– Och, panie! – Verio cmoknął z emfazą. – Nie wierzysz, że w Nerolfie można być i uczciwym, i bogatym?

– Oczywiście, że wierzę. Trzeba tylko mieć książęcy tytuł.

Kupiec nie odpowiedział. Przymknął lekko oczy i opróżnił swoją szklankę. Służący od razu podsunął mu woreczek, by mógł wylosować. Ja również skorzystałem z okazji.

– Tak sobie myślę: trudno przestrzegać prawa, jeśli wszyscy wokół tego nie robią – podjął ostrożnie Verio. – Finanse, giełda...

– Mnie interesują tylko zabójstwa – przerwałem mu bezceremonialnie. Zrozumiał aluzję.

– A co robisz po pracy? W ramach, no powiedzmy, hobby.

– Śpię.

W tym momencie w drzwiach stanął służący, niosąc wąż na inkrustowanej perłami tacy.

– Coś ważnego? – spytał zniecierpliwiony Verio.

– Ten samochód, który licytowałeś, panie...

– Co z nim?

– Trzeba renegotjować podatek i zrobić przelew, więc...

– Mam gościa. – Kupiec nie patrzył już na służącego. – Załatw to, masz moje pełne upoważnienie.

– Samochód? – zdziwiłem się.

– Aston Martin z jednego ze starych Bondów. Lubisz ten film, panie?

– Lubiłem. Ale odkąd Bond jest kobietą, przestałem oglądać.

– Dlaczego?

– Zrobiło się zbyt brutalnie.

– Dziwne, słyszałem, że książęcy śledczy nie jest wrażliwy.

– Proszę nie dawać wiary plotkom.

– Gdybym dawał im wiarę, nie odważyłbym się zaprosić cię na spotkanie.

Byłem już trochę zmęczony tą kurtuazją. Stary lis wyczuł zmianę nastroju.

– Mogę uczynić cię, panie, człowiekiem bogatym. – Odstawił szklanekę na stolik.

– Już jestem bogaty. Mam wszystko, czego mi trzeba.

Verio skrzywił się.

– Nawet ja nie mam wszystkiego.

– Współczuję, ale mnie naprawdę niczego nie trzeba.

Moja taktyka negocjacyjna nie była zbyt wyrafinowana. Nie lubiłem się targować, ale wiedziałem, że bezwarunkowa zgoda na wszystkie warunki wyda się kupcowi podejrzana.

– Nie rozmawiajmy o pieniądzach – zaczął z innej strony – lecz o ideach. Pewien filozof, Protas, twierdził, że jesteśmy uwięzieni w jaskini tyłem do wejścia i widzimy tylko cienie prawdziwego świata, odbijające się na ścianie. Mój problem polega na tym, że, kurwa, nie widzę nawet cienia, bo ktoś zgasił ogień.

– Trudna sytuacja, bo przecież mistrz Protasa podkreślał, że wszelkie zło bierze się z niewiedzy.

– I mówił też – podchwycił radośnie Verio – że powinnością człowieka jest bycie mądrym. Tego właśnie pragnę całym sercem: wiedzieć, by nie być złym.

– Jak zatem mogę ci pomóc?

– Jest pewna kobieta w Morze. Ma na imię Olidrias. Zwykle doradza mi w interesach. Ale od trzech miesięcy nie mam od niej żadnych wieści. Niepokoi mnie to, a poza tym brakuje mi jej rad. Chciałbym, żebyś zbadał, co się z nią stało.

– Mooooora! – przeciągnąłem słowa. – Mora.

– Rozumiem, oczywiście, koszty. Jesteś, panie, człowiekiem rozsądnym, więc moja propozycja na pewno wyda ci się odpowiednia.

– Jestem człowiekiem leniwym i zakochanym w Nerolfie. Nie lubię wyjeżdżać. Nie wiem, czy zniosę rozstanie z Kopułą i z dziełami Buo Tinarro.

– Wspaniały artysta – przytaknął Verio.

Wyczułem okazję do ataku.

– Być może dowiem się, gdzie zniknęła kobieta, której wiedzę tak ceniłeś, ale wysłucham tylko dwóch propozycji, więc dobrze się zastanów.

Kupiec przez chwilę studiował moją twarz, po czym wyciągnął długopis i plik małych karteczek. Oddzielił dwie od reszty, którą schował do wewnętrznej kieszeni. Postukał palcem wskazującym w usta i napisał liczbę. Nawet nie musiał mi jej pokazywać. Wstałem i ruszyłem do drzwi.

– Chwileczkę. – Zerwał się z fotela z podziwu godną energią. Zmiał pierwszą karteczkę i napisał coś na drugiej.

Odwrociłem się i ostrożnie wziąłem do ręki ów skrawek papieru. Suma była spora. Spojrzałem na kupca z politowaniem.

– To ledwie cień tego, co naprawdę mógłbyś dać, prawda?

– Przecież to majątek! – zaoponował.

– Nie przyjąłem pierwszej oferty.

– Dlatego dostałeś drugą, panie. Jest uczciwa i powinieneś być zadowolony.

– Czyli poprzednia nie była uczciwa?

– O, po co od razu wielkie słowa, trudne pytania? Tak się nie robi interesu.

Z bliska twarz Veria przypominała pełną porów gąbkę. Chętnie wycisnąłbym z niej jeszcze trochę grosza.

– Nie lubię się targować – stwierdziłem.

– Mam stu ludzi, którzy wyruszą choćby zaraz.

– Więc dlaczego rozmawiamy?

– Bo cenię sobie najwyższą jakość, jednak jako handlowiec rozumiem, że są rzeczy, których nie można kupić. – Figlarne ogniki w oczach kupca złagodziły banalny patos tej sentencji.

Podniosłem zmiętą kartkę z poprzednią propozycją. Kwoty były takie same.

– Mówiłem, że wysłucham dwóch propozycji. Obie przyjmuję!

Schowałem karteczki do kieszeni. Kilias Verio udawał, że bije się z myślami.

– Druga rata płatna dopiero po powrocie z konkretnymi wiadomościami. Zgodziłem się. Podaliśmy sobie dłonie, dobijając targu.

– Kiedy wyruszysz, panie?

– Jak najprędzej. Jednak muszę załatwić tu jeszcze kilka spraw. Aha, i wezmę ze sobą pomocnika, medyka Ginkora. Jemu też zwrócisz koszty podróży. Za resztę zapłacę sam.

Verio skinął tylko głową, po czym z jakiegoś zakamarka fotela wyjął opasłą teczkę.

– Tu jest wszystko, czego będziesz potrzebował, panie. Pieniądze przyślę jutro o świcie.

– W takim razie załatwione. – Ukłoniłem się nieznacznie, po czym w asyście służącego podążyłem ku wyjściu. Zgłodniałem po tej whisky. Miałem ochotę na tradycyjną latiliańską pizzę.

– I jeszcze jedno – krzyknął za mną Verio. – Kiedy już ją znajdziesz, nie naciskaj. Wysłuchaj, co ma do powiedzenia. To wystarczy.

Dziwne, ale odniosłem wrażenie, że Kilias Verio się boi.

Pod Jeleniem jak zwykle było tłoczno, lecz bezpiecznie. Handlarze miesza­li się tu z żołnierzami i mieszczanami. Ławy przy ścianie, skryte w cieniu filarów, sprzyjały spokojnej rozmowie.

– Mora? – skrzywił się Ginkor, bekając. – Kompletnie bez sensu!

Ku mojemu zdziwieniu na spotkanie przyszedł pijany. Postanowiłem jednak nie komentować jego stanu. Żeby go otrzeźwić, powiedziałem, ile zamierzam mu zapłacić.

– Jest to jakiś argument – zaczął bełkotliwie. – Ale teraz pracuję z Navidą. W przyszłym tygodniu przeszczepiamy nerkę kotu.

– Biedny pchlarz!

– Bez przesady, najpierw go upijemy. Nic nie poczuje.

– Jak chcesz, Ginkorze. Wyjeżdżam za dwa dni.

Bębnił palcem po stole, wziął łyk wina, zawiesił spojrzenie na smukłej służącej.

– Długo nas nie będzie?

– Trudno powiedzieć. Verio zlecił znalezienie pewnej kobiety, z którą utracił kontakt. Na moje, ona nie żyje. Znam w Morze jednego śledczego, więc nie powinno być problemów ze zdobyciem informacji. Niestety, jest jeszcze jedna sprawa.

– O! Znajome spojrzenie – przerwał mi podochocony młodzieniec. – Ktoś powinien się bać. Czy na pewno chcę w tym uczestniczyć?

Wzruszyłem ramionami.

– Daj spokój. Problem, który mnie nurtuje, to rzecz z zakresu dość wąskiej specjalności naukowej. Chcę tylko z kimś porozmawiać. Sądzę, że cała nasza wyprawa nie zajmie więcej niż trzy tygodnie. Navida poczeka, a ty nieźle zarobisz.

Ginkor obracał w palcach małą srebrną monetę. Naukowa pasja walczyła w nim z zamiłowaniem do pieniędzy, właściwym ludziom o kupieckich korzeniach. Przyjęcie oferty oznaczało, że przez kilka następnych miesięcy, a może i dłużej, nie będzie musiał martwić się o fundusze.

– Wiesz, że nie lubię jeździć konno. Ile potrwa ta podróż? Cztery dni? – marudził jeszcze.

– Pół dnia – uśmiechnąłem się. – Pojedziemy autobusem.

– A, to w porządku – beknął, osuszył kubek i gestem poprosił o następny.

– Może już dość? – mitygowałem. – Kawał chłop z ciebie i nie chcę cię taszczyć do domu.

– Do jakiego domu? Zaraz idę do burdelu! O, przepraszam. – Zakrył ręką usta, widząc zimne spojrzenie przechodzącej kelnerki.

– Ginkorze, co z tobą? – Odsunąłem nowo przyniesiony kubek poza zasięg jego rąk.

Rzadko widywałem go tak pijanego. Cisnął mi się na usta złośliwy komentarz, lecz twarz Ginkora zmieniła się w jednej chwili.

– Kobieta! – krzyknął.

– Zakochałeś się? – miałem spytać, lecz w tym momencie rzucił się na mnie, przewracając na plecy.

– Ta kobieta chce cię, kurwa, zabić! – wywrzeszczał wprost w moje ucho, gramoląc się niezdarnie z podłogi.

Przetoczyłem się w prawą stronę, ku przewróconej ławie. Ginkor miał rację. Gdzieś obok, blisko mojej skroni, coś uderzyło w drewno filaru. Dostrzegłem błysk metalu i lotkę. Przyczajony wypatrywałem zamachowca. Goście wokoło poderwali się z miejsc, przeklinając i wskazując mnie palcami. Roztrąciłem ich na oślep i ruszyłem ku drzwiom, za którymi zniknęła właśnie burza czarnych włosów.

– Puszczaj, chamie, bo w mordę dam – usłyszałem jeszcze ryk pijanego Ginkora, a potem plask uderzenia i krzyk jakiegoś mężczyzny.

Wypadłem na oświetloną latarniami ulicę. Wokół dostrzegłem kilkoro przechodniów. Tuż przy białej ścianie, pod szyldem Jelenia, tkwił otulony szmatami żebrak.

– Kobieta! Dokąd poszła? W prawo czy w lewo? – Pospieszenie wcisnąłem mu monetę.

Starzec wyciągnął rękę spod śmierzdzących zwojów materiału i skierował palec ku górze. Rzeczywiście, w pełgającym świetle latarni dostrzegłem

niewyraźny kształt, mający na dachu kilka metrów nade mną. Dziewczyna musiała być małpio zwinna, skoro zdołała wspiąć się tak wysoko w tak krótkim czasie. Odruchowo wyszarpnąłem z rękawa nóż i posłałem w tamtą stronę. Kształt zachwiał się i zniknął za krawędzią dachu. Chyba trafiłem. Nie pozostało mi nic innego, jak rozpocząć wspinaczkę. Ryzykowałem. Gdyby napastniczka zaskoczyła mnie na pionowej fasadzie, nie miałbym szans. Na szczęście wybrała ucieczkę. Nie zdołała jednak zbiec zbyt daleko. Kiedy podciągałem się na gzymsie, kolejny bełt świsnął mi koło ucha. Przywarłem do krawędzi dachu, wyęzając wzrok. Była tam, za kominem, który nie mógł ukryć jej całej. Wpełzłem na dach, gotowy ześliznąć się z powrotem na ścianę, gdy tylko zobaczę ruch dziewczyny. Zamiast tego usłyszałem dudniący kaszel.

– Jestem Mervil Bellus, śledczy księstwa Nerolfu. Przestań strzelać i wyjdź z podniesionymi rękami. Nie stanie ci się krzywda.

Napastniczka milczała. Nie mogłem czekać w nieskończoność. Mając nadzieję, że straciła przytomność, ostrożnie popęzłem w jej stronę. Przeliczyłem się. Kobieta nagle wytoczyła się z kryjówki, a ja usłyszałem cichy świst. Na szczęście nie pozostałem w miejscu. Zdążyłem usunąć się z linii strzału, co ułatwiła pochyłość dachu. Moja przeciwniczka straciła osłonę. Rzuciłem się w kierunku komina, posyłając kolejny nóż w stronę jej skulonej sylwetki.

Jęknęła. Zsunęła z głowy kaptur, ciężko dysząc.

– Nie wierzę, no po prostu nie wierzę. Zabiłeś mnie, gnoju! – W jej głosie brzmiało zdziwienie.

– Pozbądź się broni, to może jeszcze coś z tym zrobimy – krzyknąłem i po chwili usłyszałem, jak kilka przedmiotów uderza o ziemię.

Wychyliłem się ostrożnie. Leżała na plecach z szeroko rozłożonymi rękami. Trzymając miecz i nóż w pogotowiu, zbliżyłem się do niej wolnym, kocim krokiem. Rzeczywiście była bezbronna. Na jej młodej, może osiemnastoletniej twarzy dostrzegłem łzy.

– Zabiłeś mnie! – wychlipała.

Przyjrzałem się uważnie. Na barku miała czerwoną plamę. Pewnie trafiłem ją, rzucając za pierwszym razem. Ta rana z pewnością nie była

śmiertelna. Jednak drugi nóż tkwił między żebrami. Nie ruszałem go, przyłożyłem tylko miecz do jej gardła.

– Jeśli wyciągnę nóż i nie zatamuję krwawienia, zostanie ci parę minut. Jeszcze nie wiem, co zrobię. Najpierw więc spytam: kim jesteś?

– A jak ci się wydaje, debilu? Morderczynią! – Balansowała na skraju hysterii.

– Kto cię wynajął?

– Zatamuj krwawienie, dobrze? – Teraz przemawiała jak skrzywdzona dziewczynka.

Nie pytałem dalej. Rozsznurowałem gruby kaftan podszyty twardą skórą i rozerwałem koszulę. Nóż nie tkwił głęboko, chyba ześliznął się po żebrach. Wyciągnąłem go ostrożnie. Na białym ciele zobaczyłem krwawy ślad. Używając strzępów koszuli i pasa, zrobiłem prowizoryczny opatrunek. Aż jęknęła, gdy go zacisnąłem. Potem założyłem jej kajdanki. Była zdziwiona, nigdy takich nie widziała. Syczała, ale nie protestowała.

– No, można powiedzieć, że uratowałem ci życie – skłamałem.

Patrzyła ze strachem, a jej źrenice przypominały kielichy pełne ciemnego wina. Przeszukałem ją dokładnie, po czym przeciągnąłem kawałek, żeby mogła oprzeć się o komin. Teraz musiałem tylko znaleźć wyjście z dachowej pułapki. Kilkanaście metrów dalej dostrzegłem kwadratowy właz, zamknięty drewnianą klapą. Uniosłem ją ostrożnie. W ciemności wymacałem solidne deski schodów. Wróciłem do dziewczyny. Emocje związane z walką powoli ją opuszczały. Został tylko strach.

– Masz ostatnią szansę, żeby cokolwiek mi powiedzieć. Potem trafisz do więzienia na wiele lat.

Spocona twarz odbijała jakieś wewnętrzne zmagania.

– Pytaj – wyszeptała zrezygnowana. – Ale najpierw powtórz, jak się nazywasz.

– Nie ty tu stawiasz warunki – warknąłem.

– Przepraszam. – Zwiesiła głowę, jej ramiona zadrżały od ledwie hamowanego szlochu.

– Mervil Bellus, książęcy śledczy Nerolfu – powiedziałem, łagodząc ton.

Dziewczyna popatrzyła na mnie wielkimi kocimi oczyma, w których strach mieszał się z niedowierzaniem. Nie grała. Zbyt wiele razy patrzyłem w twarze morderców, by można mnie było łatwo oszukać.

– Nie rozumiem – zaczęła ostrożnie, starając się zapanować nad emocjami. – Co robiłeś w Debeli, w karczmie Pod Pełnym Brzuchem, i gdzie podział się Jonas?

Oślupiałem. Zwariowała? Uderzyła się w głowę?

– Ja tu miałem zadawać pytania. Na początku wyjaśnijmy sobie jedno: próbowałaś mnie zabić Pod Jeleniem, a nad sobą masz niebo i gwiazdy w piękną nerolfską noc. Połącz te fakty: jestem śledczym Nerolfu, bo jesteśmy w Nerolfie!

Splunęła na bok, po czym w rozpaczy uderzyła głową w ścianę komina. Zbierała siły.

– To wino, tak? – krzyknęła oskarżycielsko. – Dosypujecie czegoś do wina, a teraz chcecie, żebym zwariowała! Jonas cię wynajął?

Zacisnąłem pięści, coraz bardziej skołowany. Miałem ochotę chwycić cienką łądygę jej szyi i potrząsnąć raz i drugi. Zamiast tego spytałem:

– Kim jest Jonas?

– Gnój, który zabił mojego brata! Nie chcą go zamknąć, bo donosi strażnikom. Nie udawaj, że nie wiesz. Śledczy z Debeli powinien znać swoje psy.

– Ale jesteśmy w Nerolfie – zgrzytnąłem.

Patrzyła na mnie, jakby to ona była przesłuchującym.

– Dobra, dość tej zabawy!

Chwyciłem ją za ręce, poderwałem do góry i przywlokłem na skraj dachu.

– Przypatrzyć się dobrze. Jeśli jeszcze raz powiesz, że jesteśmy w pieprzonym Debeli, o którym nigdy nie słyszałem, to zostanie z ciebie dziurawy wór połamanych kości i śmierdzących płynów.

Spojrzałem wymownie w dół. Dziewczyna jednak już mnie nie słuchała. Jej oczy chłonęły las nerolfskich wież i białych kamienic, omiotły górującą nad miastem głowę cudownej Kopuły. Zachwiała się i gdybym jej nie powstrzymał, rzeczywiście poleciałaby w dół.

– Nie jesteśmy w Debeli – wyszeptała w bezbrzeżnym zdziwieniu. – To Nerolf, byłam tu kiedyś z ojcem. Co ja tu robię?

– Najwyraźniej chciałaś mnie zabić.

– Nieprawda, chciałam zabić Jonasa. Za to, że zamordował mojego brata.

– Gdzie leży Debeli? – spytałem, czując, że coś ściska mi płuca.

– Jak to, nie wiesz? Przecież jesteś z Nerolfu.

Nawet nie wiedziała, jak dobrze rozumiem jej emocje. Westchnąłem ciężko. Albo była wariatką, albo jej kraina zniknęła, podobnie jak Reza.

– Powiedz mi ostatnią rzecz, jaką pamiętasz – poleciłem.

– Byłam Pod Pełnym Brzuchem. – Jej głos stał się chrapliwy. – Jonas nażerał się jak nigdy. Wszyscy się nażerali. Jak świnię. Wystrzeliłam z kuszy i nagle zobaczyłam, że Jonas gdzieś zniknął. Wszędzie była mgła. A potem zacząłeś mnie gonić, panie. – Urwała, szukając słów.

– Słyszałaś kiedyś o Rezie? – spytałem jeszcze.

– Nie, pochodzę z Debeli – powiedziała i zaszlochała.

Nie mogła zapanować nad wstrząsanym dreszczami ciałem. Trzymałem ją, by nie upadła, jej łzy wsiąkały w mój kaftan. Niemal czułem bicie przestraszonego dziewczęcego serca. Rozkułem jej rękę i podniosłem ostrożnie. Była lekka, jakby pusta w środku. Ostrożnie schodziłem ciemnym korytarzem, prowadzącym na tyły karczmy. Dziewczyna zasnęła lub zemdlała, co świetnie pasowało do tego, co zamierzałem zrobić. Kiedy wchodziłem do dusznej kuchni, dwaj pucołowaci parobkowie chwycili za tasaki. Pokręciłem tylko głową i wszedłem na salę. Zamieszanie zostało zażegnane, jednak część gości zdecydowała się zmienić lokal. W rogu dostrzegłem Ginkora z podbitym okiem, który gorączkowo tłumaczył coś strażnikom. Za ich plecami stali dwaj wojskowi, wygrażając medykwowi zaciśniętymi kułakami.

– Ułóż ją gdzieś na chwilę – poleciłem karczmarzowi, podając mu swój „balast”.

Znaliśmy się, nie zadawał zbędnych pytań. Ginkor dostrzegł mnie z daleka i próbował przedrzeć się przez strażników. Roztrąciłem ich bezceremonialnie, pokazując pierścień śledczego.

– Nie mamy czasu na bzdury! Wynoście się, prowadzimy tu śledztwo!
– W jakiej sprawie? – spytał najstarszy, podejrzliwie łypiąc to na mnie, to na pierścień.

– W sprawie próby zabójstwa tamtej dziewczyny. – Wskazałem leżącą na ławie, przykrytą kocem niedoszlą morderczynię. – Żyje, ale napastnik zbiegł. Nie mamy czasu.

Pociągnąłem zdezorientowanego Ginkora za rękaw.

– Zaraz! – protestował jeden z żołnierzy. – Ten tu – wskazał na Ginkora – chyba złamał mi szczękę!

– Ludzie ze złamaną szczęką nie gadają – uciałem. – Poza tym to znany i ceniony w mieście medyk i mój pomocnik.

– Ten pijak? – zdziwił się żołnierz. – To cham i awanturnik!

– Durniu – warknąłem. – On uratował życie tej dziewczynie. Gdyby nie wzniecił awantury, byłoby już po niej! Spójrz!

Chwyciłem go za kołnierz i poprowadziłem do miejsca, w którym wcześniej siedzieliśmy. Strażnicy podążyli za nami. W drewnianym filarze wciąż tkwił bełt.

– Tyle zabrakło! – Pokazałem mu dwa niemal stykające się palce. – Kiedy zaczęło się zamieszanie, morderca stracił czysty strzał.

Gniew żołnierzy wytracił impet. Coś tam pomruczeli pod nosem i odeszli. Trzej strażnicy przestępowali z nogi na nogę.

– Będziemy musieli o tym zameldować – zaczął dowódca patrolu.

– Meldujcie. Słyszeliście, co powiedziałem.

– A ta dziewczyna?

– Co z nią? – zdziwiłem się.

– Kim ona jest?

– Tajemnica śledztwa. Najlepiej umówmy się, że jej tu w ogóle nie było – dokończyłem konfidencjonalnie.

– Jak to? Na kogo więc był ten zamach?

– Powiedzmy, że na mnie. Śledczy to skurwiol, którego wielu chce widzieć martwym. A jak pięknie coś takiego wygląda w raporcie. Zresztą dobrze, że tak szybko rozpoczęliście pościg. Mógłbym już nie żyć. Rozumiemy się?

– Oczywiście, panie! – zasalutował strażnik.

– Czekam na papiery do podpisu.

Klepnąłem go poufale w napierśnik i wróciłem do Ginkora, który tymczasem zasnął na ławie. Obudziłem go kilkoma potrząśnięciami.

– Mervilu, proszę – zaczął płaczliwie. – Już mam moralnego kaca. Nic nie mów, daj mi jeszcze chwilę.

– Wody – zakomenderowałem, patrząc na karczmarza.

Zrozumiał i po chwili już dźwigał spore wiadro. Bezceremonialnie chlusnąłem Ginkorowi w twarz. Prychał jak kot wrzucony do balii, ale w jego oczach zatańczył błysk zrozumienia.

– Potrzebuję medyka, nie pijaka. Dasz radę?

– Dam – wychrypiał z pijackim uporem.

– Wołaj taksówkę – krzyknąłem do karczmarza.

Sam podszedłem do nieprzytomnej dziewczyny, której bark wciąż lekko krwawił. Owinąłem ją szczelniej brunatnym kocem i podniosłem. Jej wargi poruszyły się lekko, jednak wciąż pozostawała nieprzytomna. Żegnani ciekawymi spojrzeniami gości, wyszliśmy w chłodną noc. Ginkor włókł się ledwie żywy, z podbitym okiem, zostawiając za sobą mokre plamy niczym pełznący ślimak. Po chwili nadjechała taksówka. Wsiedliśmy ostrożnie.

– W pracy czy na dziewczynkach? – zagaił znajomy kierowca, Topir.

– Jedno nie wyklucza drugiego – odpowiedziałem. – Mój towarzysz jest cały mokry, czeka cię sprzątanie.

Podąłem taksówkarzowi lśniąca monetę.

– Moja żona nie będzie zadowolona, ale ja – zagryzł monetę – wprost przeciwnie.

Ginkor usiadł na przednim siedzeniu, sapiąc głośno. Taksówkarz nie włączył licznika.

– Nieważne, dokąd pan każe. Już zapłacone.

Właśnie za to lubiłem Topira.

Jechaliśmy przez dość ludne jeszcze ulice. Kierowca nic nie mówił, widząc, że pasażerka śpi. Jej spokojnemu oddechowi po chwili zawtórowało chrapanie Ginkora. Podjechaliśmy pod tylne drzwi mojej willi. Ostrożnie dźwignąłem dziewczynę. Medyk wciąż spał i nie dało się go dobudzić.

– Na taki sen tylko jaja ścisnąć – poradził Topir. – Obudzi się i porzyga, a potem przez trzy dni z bólu nie zaśnie. Będzie miał za swoje, pijak.

Byłem skłonny przystać na jego propozycję.

– Jestem słaby w rękach, więc może spróbujesz, Topirze?

– Czemu nie? Nie takich się wybudzało.

Ginkor otworzył nagle jedno oko:

– Jeśli tkniesz moje jaja, to wpadnie do ciebie kilku moich kumpli. Per rectum!

– Filozof, he, he – trząśił się ze śmiechu Topir, ale cofnął sękatą dłoń.

Młody mężczyzna tymczasem wygramolił się z samochodu i powłókł w stronę wejścia.

– Zanim usiądziesz gdziekolwiek, wytrzymaj się i przebierz – krzyknąłem, skręcając do pokoju gościnnego. Ułożyłem dziewczynę na kanapie. Jej oddech był równy i spokojny, a twarz odzyskała rumieńce. Wyglądała tak niewinnie. Aż trudno było uwierzyć, że mogła mnie zabić. Nie była klasycznie piękna, wabiła jednak wszystkimi walorami młodości, które tak cenią sobie mężczyźni.

– Jestem. – Ginkor wsunął głowę do pomieszczenia.

Trzymał się dość prosto.

– Weź przybory do szycia. Wiesz, gdzie są. Dziewczyna ma dwie rany.

Po chwili już brał się do zszywania barku. Pacjentka otworzyła oczy.

– Napij się. – Podałem jej kubek. – Będzie mniej bolało.

Posłusznie wzięła kilka łyków. Mężnie zniosła zabiegi Ginkora, którego ręce drżały momentami jak kłosa na wietrze. Alkohol robił swoje, ale równie dezorientujące były duże piersi dziewczyny. Medyk zakrył je tu i tam resztkami koszuli, co jednak dawało efekt odwrotny do zamierzonego.

– W porządku? – spytałem, złowiwszy jego spojrzenie.

Patrzył w stronę kubka ze „znieczuleniem”.

– Pewnie – burknął. – Jestem lekarzem. Właściwie to ty powinieneś wyjść.

– Pilnuję więźnia.

– Czy w Nerolfie traktujecie tak wszystkich więźniów? – spytała niespodziewanie dziewczyna.

– To znaczy? – udałem zdziwienie.

– Zabieracie do własnych domów, bez oficjalnego postawienia jakichkolwiek zarzutów?

W dziewczynę wstąpił nowy duch, wypite „znieczulenie” dodało jej odwagi.

Zignorowałem pytanie i spojrzałem na Ginkora. Był cały mokry, tym razem od potu. Twarz miał bladą i skupioną, wyglądał jak topielec. Powoli kończył ostatnie ścięgi.

– Po co mnie tu przywieźliście? Co będziecie ze mną robić? – naciskała dziewczyna.

– W twoim głosie – zacząłem z emfazą – wyczuwam nutę pretensji. To zrozumiałe: nieznamy mężczyzna, do którego strzelałaś, zabrał cię ze sobą, pozszywał rany, wkrótce nakarmi. A przecież mógł oddać cię w ręce księżących strażników. Trafiłabyś prosto na dołek, gdzie przede wszystkim doceniono by twą urodę. Najpewniej przestraszona dałabyś dupy dyżurnemu, potem klucznikowi i cyrulikowi. Po tych igrcach zostałabyś zszyta grubym sznurem, który oszpeciłby ci bark i bok. Zjadłabyś szarą breję, przypominającą rozjechane przez wóz końskie gówno. I co dalej? Nic. Obca dziewczyna, bez rodziny, bez pieniędzy. Gwałciłiby cię aż do procesu, na którym zostałabyś skazana na śmierć. Zaiste, Ginkorze – spojrzałem na wycieńczonego medyka – zasłużyliśmy na zjadliwą ironię i opryskliwość. Pozbawiliśmy ją życiowej przygody.

– Ale przecież nasze serca nie są z kamienia – podjął medyk. – Już ją zszyłem, no trudno. Sądzę jednak, że strażnicy baszty wciąż chętnie by ją wyduplicyli.

– Mój przyjaciel ma rację, nie wszystko stracone. Przejdziemy się, złotko? – Ująłem ją pod ramię. Znow przelewała się jak woda.

– Przepraszam – szepnęła. – Ja tylko...

Widziałem, że zaraz się rozpłacze. Uśmiechnąłem się.

– Nie bój się, nic ci się nie stanie. To normalne, że twoja niedoszła ofiara stara się odreagować. Jak masz na imię?

– Naela.

– W porządku, Naelo. Teraz się prześpij, a jutro wszystko nam opowiesz.

– Będziesz tutaj? – spytała z nutą irracjonalnej nadziei.
– Oczywiście, gdzie miałbym być? – Nie wiedziałem, czy mówi szczerze, czy właśnie owija mnie sobie wokół palca.

Spojrzałem na Ginkora. On również dał się złapać na „bezbronną”.

– Idź spać – poradziłem. – Zostanę z nią.

– Dlaczego to ty zawsze zostajesz z kobietami? – nadąsał się.

– Bo jestem na nie odporny.

– To się zatrudnij jako strażnik haremu – rzucił medyk na odchodnym.

Siedziałem przy jej łóżku, zastanawiając się, dlaczego w Debeli wszystko przebiegło inaczej.

Otworzyłem gwałtownie oczy, bo zdawało mi się, że słyszę wycie. Odruchowo chwyciłem jeden ze sztyletów. Na szczęście to nie była Reza i oszalały zamek Iorgo Sarivy – tylko pies, zwykły pies. Siedziałem na fotelu, a obok mnie spała dziewczyna. Ostrożnie podszedłem do nocnego stolika i wziąłem łyk wina, by wypłukać z ust kwaśny smak snu. Za oknem było jeszcze ciemno. Wróciłem na fotel. Ślizgałem się wzrokiem po twarzy Naeli. Czy dla niej świat również umarł? Jak wyglądała kraina, z której pochodziła?

„Debeli. Debeli” – powtarzałem w myślach.

Nazwa nie mówiła mi kompletnie nic. Próbowałem nadać rozmyśleniom jakiś uporządkowany bieg. Przypomniałem sobie teorię Crispona, jeszcze raz przeanalizowałem rozmowę z Prorokiem. Nie wiedziałem, jak traktować opowieść Naeli.

W pewnej chwili usłyszałem cichy stuk. Wyszedłem na korytarz. W łazience paliło się światło. Podszedłem pod drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział Ginkor, a jego głos brzmiał całkiem przytomnie.

– Prawie nie osikałem ci ściany.

Zakląłem, a w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta twarz medyka.

– Żartuję, wiem, jak lubisz czystą łazienkę. Jeśli to cię uspokoi: nie umyłem też nóg w bidecie.

– Lepiej idź spać – wyszeptalem stanowczo.

– Już się wyspałem, teraz chcę się dowiedzieć, dlaczego opiekujemy się dziewczyną, która próbowała cię zabić.

– Chodź. – Pociągnąłem go za rękaw. – Porozmawiamy w bibliotece.

Podszedłem do drzwi, za którymi spała Naela, i ostrożnie przekręciłem klucz.

Wszedłszy do biblioteki, natychmiast usunąłem wszelkie trunki poza zasięg Ginkora. Udawał, że tego nie widzi. Wyciągnął z półki jakiś wolumin i uważnie go kartkował.

– Nie wiedziałem, że masz *Anatomię* Breda.

– Trzeba wiedzieć, gdzie wbić nóż.

– Trzeba wiedzieć, co się dzieje z najlepszymi przyjaciółmi. – Zamknął tom z trzaskiem i popatrzył na Aquila. – Zaraz mi powiesz, że jeszcze wczoraj nie miałeś kota, tylko szympansa.

Wiedział, że nie chowałem w zanadrzu drugiej opowieści o Dalenie.

– Dobra, posłuchaj.

Opowiedziałem mu o wszystkim. Nie pominąłem nawet rozmowy z Prorokiem. W ogóle mi nie przerywał, od czasu do czasu spoglądał tylko w okno, za którym robiło się coraz jaśniej. Kiedy skończyłem, wstał bez słowa i poszedł w róg pomieszczenia, gdzie ustawiłem butelki. Nie protestowałem, lecz ku mojemu zdziwieniu żadnej nie otworzył. Zamiast tego chwycił je wszystkie i wyniósł.

– Żeby mnie nie kusiło – rzucił, wróciwszy po chwili. – Wbrew plotkom na trzeźwo mózg pracuje lepiej.

– To może ja się napiję?

– Idź lepiej sprawdzić, co u dziewczyny.

Miał rację. Powinienem otworzyć jej drzwi. Znów cicho przekręciłem klucz i zajrzałem do środka przez szparę. Stała przy oknie. Nie odwróciła się. Może nie słyszała, a może była po prostu zamyślona. Odchrząknąłem.

– Pamiętam te nerolfskie poranki – zaczęła, stojąc wciąż twarzą do okna. – Czy wspominałam, że spędziłam tu trochę czasu z ojcem?

– Tak – odpowiedziałem. – Przyjechaliście z Debeli.

– Debeli – powtórzyła, jakby smakowała tę nazwę, obracała na języku.
– Śniło mi się, że Debeli przestała istnieć. A może zawsze była tylko w moich marzeniach? Sama już nie wiem.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach dostrzegłem gorączkę. Policzki rozpalą czerwień.

– Chyba powinnaś wracać do łóżka. Nie wyglądasz najlepiej.

– Takie komplementy prawi się damom w Nerolfie? – odparła figlarnie, robiąc krok do przodu.

Potknęła się jednak o fałdy koca, którym była owinięta. Na szczęście zdążyłem ją złapać.

– Coś się stało w mojej głowie i teraz nic nie pamiętam, rozumiesz? Moja głowa już nie należy do mnie. Została w Debeli, czyli nigdzie!

Jej gorący oddech niemal parzył mi policzek. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przycisnąłem ją tylko do piersi i głaskałem po rozfalowanych włosach.

– Cicho, już dobrze. Ja też mam taką krainę ze snów. Nazywa się Reza. Wiem, jak to jest stracić cały świat.

Wydawało się, że nie rozumie. Tymczasem w drzwiach stanął Ginkor z parującą miską.

– Niech coś zje. – Podał mi naczynie, a ja na nakarmiłem Naelę, która potem znów zasnęła.

– Rana się nie jątrzy, szwy trzymają. Gorączka jest raczej objawem stresu. Nie co dzień ludzie przeżywają coś takiego.

– Wierzysz nam? – wyszeptalem, kiedy wychodziliśmy z pokoju dziewczyny.

– Jeszcze niedawno powiedziałbym: „nie”, ale współpracując z Navidą zmieniłem definicję słowa „niemożliwe”.

– To znaczy?

– Nawet ludzki organizm to wielka zagadka, a co dopiero świat. Różne dziwne rzeczy mogą się tu dziać. Ostatnio na przykład rozmawialiśmy o motywie z dzieła Danta: bohater idzie w dół i nagle zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę podąża w górę. Dant nie był wariatem, lecz geniuszem, może nawet przeżył coś takiego.

– Dzieło Danta to skarbnica podobnych rzeczy.
– Niestety, zgodnie z teorią Crispona, kiedy zniknie Nerolf, znikną też wszystkie wzmianki o Dancie, prawda? Ilu geniuszów w ten sposób straciliśmy? Jak w ogóle następuje postęp?

– Skąd wiesz, że następuje?

– Przecież uczymy historii.

– Uczymy naszych wyobrażeń o niej. Z kronik dowiesz się o bitwie pod Valen. Ale jak udowodnisz, że naprawdę miała miejsce? Mogę opowiedzieć coś o Rezie lub o innej krainie, którą wymyślę na poczekaniu. Jak rozstrzygniesz, która z nich zakorzeniona jest w rzeczywistości?

– Ale co się dzieje z tymi ludźmi, którzy znikają?

– W Rezie zginęli, w Debeli nie wiem. Jednak teraz patrzę na to inaczej. Co się dzieje z tworami naszej wyobraźni, kiedy umieramy, z postaciami literackimi, kiedy niszczysz rękopis? Może ci ludzie w Rezie i Debeli w ogóle nie istnieli?

Ginkor potarł kark.

– Jesteśmy więc tworem czyjejs wyobraźni?

– Czemu nie? Pewnie zapytasz, kto mógłby...

– Nie, nie zapytam, ta droga prowadzi tylko w jedną stronę: do bogów.

– W jednej ze sztuk Mistrz Williamus napisał, że świat jest opowieścią idioty. Nie wiem, jak ty, ale ja byłbym skłonny się z nim zgodzić.

– Uważaj, obrażasz bogów, a jesteś bliżej nich niż kiedykolwiek!

– Czy można obrazić idiotę?

– To trudne, ale można! – odezwał się nagle kobiecy głos.

W drzwiach biblioteki stała Naela: uśmiechnięta, kompletnie ubrana, z mrużącym Aquilem na rękach.

– Przecież jesteś chora – wyjąkał Ginkor.

– Tak, wiem. Gorączka. – Wstrzymała powietrze, a jej policzki znów się zarumieniły. – Wystarczy dostatecznie długo trzymać głowę pod kocem. Usłyszałam – tu spojrzała na mnie – dlaczego śledczy księstwa Nerolfu obdarzył mnie taką atencją. Mówiłeś prawdę, panie. Przeżyłeś to, co ja. Twoja kraina zniknęła.

Przytaknąłem.

– Jestem zainteresowana rozwiązaniem zagadki, zwłaszcza że nie mam dokąd wracać.

Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę. Nie byłem pewien, czy do czegoś się przyda. Zdałem się na osąd Aquila.

– Wiemy, gdzie szukać. Wybieramy się do Mory.

– Jestem gotowa.

Ginkor zrobił kwaśną minę. Nie wiedziałem, czy to resztki kaca, czy reakcja na moją decyzję.

– Aha – dodała Naela. – I uprzejmie proszę o zwrot kuszy.

Wszystko w Żninie służy M-Techowi. Vermil ma wrażenie, że ten kolos na obrzeżach miasta w rzeczywistości stanowi jego centrum. Co rano zmierza ku niemu długi sznur samochodów i rowerów, zappełniając parking wielkości dwóch piłkarskich boisk. Dzięki M-Techowi miasto rozkwitło. Jest prawdziwą perłą Pałuk: wyremontowane kamienice, dyskretne holo najwyższej jakości, kawiarnie, restauracje, cukierkowe domki jednorodzinne, armia sprzętu do sportów wodnych nad dwoma malowniczymi jeziorami. A na rynku grajkowie, rękodzielnicy, po prostu futuro-skansen. Pewnie mogliby stąd pociągnąć własną aerostradę do Bydgoszczy.

Olson patrzy na Żnin i kręci głową. Ostatni raz był tu z piętnaście lat temu. Budynek M-Techu dźwigał się dopiero z fundamentów i wyglądał jak stalowo-szklana korona, która ozdobi skronie króla olbrzymów. Teraz przypomina raczej statek kosmiczny. Fasada nie potrzebuje nawet holomakijażu. Vermil czuje się w jakiś sposób dumny. Ktoś w Polsce zrozumiał wreszcie, że nie ma sensu wypuszczać z kraju kolejnych dziesiątków świetnych inżynierów i informatyków, i postanowił dać im pracę tutaj. Trudno powiedzieć, czyja to zasługa, bo niemal wszyscy politycy uważają się za ojców chrestnych przedsięwzięcia. Choć Vermil niespecjalnie interesuje się tym zagadnieniem, zna podstawowe fakty: firma działa znakomicie i jest Mekką branży AI. Tym bardziej więc nie wie, co oni tutaj robią.

Rozpakowują się z Albertem w nowoczesnym hotelu. Albert kładzie na łóżku brązowy habit, co jawnie kłóci się z otaczającą ich sterylnością i skrojoną na miarę wygodą. Ponadto Olson ma duże problemy z ustosunkowaniem się do faktu, że jego kuzyn to egzorcysta. Nazwy: „egzorcysta” i „M-Tech” nie występują w jednym zdaniu w akceptowanym przez niego świecie.

– Mają tu świetny zlepiacz – zaczyna Albert. – Ja będę robił swoje, a ty swoje.

Vermil puszcza uwagę mimo uszu. Kartkuje logoszyt z ostatnim zlepieniem. Nie jest mu łatwo. Z ukochanej powieści zostało niewiele. Teraz to już tylko mapa labiryntu jego własnej głowy. Zastanawia się, kim mogłaby być Naela. Dziewczyna z pewnością ma coś z Malwy. Na wspomnienie ostatniej randki w Lothlórien Vermil czuje falę niemal obezwładniającego podniecenia. Widok Alberta pakującego Biblię i krzyż do małego futerału skutecznie ją zatrzymuje. Olson wraca do książki. Wie, że Naela czy Malwa tak naprawdę nie mają żadnego znaczenia. Liczy się tylko Kaitarios. Szuka go więc jeszcze raz między słowami dialogu z Prorokiem. Potem nagle wraca do diagnozy Intertekstuala i z masochistyczną przyjemnością psuje sobie nastrój.

– Więc jak? Idziesz na zlepiacz? – Albert wyrywa go z zamyślenia.

– Później! Najpierw chcę zobaczyć, jak pracujesz. Chociaż raz.

– Daj spokój. To nie będzie przedstawienie. Ciesz się anonimowością i rozwiązuj swoją zagadkę.

– W twoim klasztorze przesiąknęłam duchowością – mówi Olson z teatralną przesadą.

– Jak chcesz. Na kleryka nie wyglądasz. – Zakonnik patrzy z ukosa.

– Jestem zbyt zadbany i przystojny?

– Jesteś stary. Zbyt stary.

– To bolało! Trzymam się lepiej niż niejeden dwudziestolatek!

– Trzymasz się? Ciekawe czego? – chichocze zakonnik, zakładając habit.

– Będziesz moim sekretarzem.

– Świetnie! – Vermil odkłada logoszyt i zdziwiony patrzy na ubranie kuzyna. – Pójdiesz na spotkanie w tym? – pyta, bo jego poczucie racjonalności świata znów się chwieje. – Przecież możecie nosić świeckie ubrania.

– Czy strażak przyjeżdża gasić pożar w koszuli i džinsach? – odpowiada Albert, a po chwili dodaje: – Dobra, bierz logoszyt, sekretarzu! Będziesz świeckim świadkiem.

– Świadkiem czego?

– Zobaczymy. Mam nadzieję, że pamiętasz, jak się modlić.

Zakonnik poprawia habit, podchodzi do Vermila i nim ten mówi cokolwiek, kreśli mu na czole znak krzyża.

– Uwiniemy się szybko. Musisz zdążyć na sesję ze zlepiaczem.

– Już nie mogę się doczekać mordowania mojej powieści.

Olson dopina modnie skrojoną koszulę z krzykliwą inskrypcją. Albert patrzy z ledwie skrywaną dezaprobatą. Wychodzą. Z hotelu do głównego budynku prowadzi szeroka aleja z doklejonym z boku transponderem. Vermil i Albert wskakują na czarne chropowate pasmo i dają się ponieść spacerowemu tempu. Habit zakonnika nie budzi niczyjego zdziwienia.

– Pasujesz tu. Mają cię za rycerza Jedi – rzuca półgłosem Olson.

Sznur ludzi wije się dokoła nich. Większość wisi na soczewkach. Unikają zderzeń ze zwykłą sprawnością półwidzących. Przed wejściem czeka na nich uśmiechnięty mężczyzna w niebieskim garniturze. Jest bez krawata i w sportowych butach.

– Witam serdecznie. – Potrząsa ręką Alberta, a potem Vermila.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – mówi zakonnik, co od razu zbija rozmówcę z tropu.

– Oczywiście... tak... niech będzie pochwalony. – Mężczyzna próbuje dopasować się do sytuacji. – Nazywam się Igor Nowicki. Proszę mnie wpuścić na węzeł, a będę do waszej dyspozycji przez całą dobę.

– Nie mamy węzłów ani soczewek. Zostały w hotelu – odpowiada spokojnie Albert. – Mój sekretarz ma odcięty logoszyt.

Nowicki jest stropiony. Niezdarnie podaje im przepustki, które wieszają na szyjach.

– Nic nie szkodzi – zaczyna po chwili. – To drobiazg. Proszę za mną. Pan dyrektor już czeka.

Strumień pracowników płynie w kierunku kilkunastu wind, które połykają ich jak bezzębne paszcze przewróconego na bok potwora. Oni jednak nie kierują się w tamtą stronę. Skręcają w prawo, by za rogiem stanąć przed bramką identyfikacyjną i pilnującymi jej ochroniarzami. Przechodzą bez słowa. Za bramką również znajdują się drzwi windy, tylko że wyglądają na nieco solidniejsze, błyszczą, jakby nikt ich nie używał. Ich skrzydła

otwierają się same, najwyraźniej rozpoznając Nowickiego. W środku również czeka na nich ochroniarz. Jego twarz jest maską pogardliwego profesjonalizmu.

– Osiem na trzy – instruuje Nowicki.

Ochroniarz wybija coś na płaskim panelu kontrolnym. Olson nie wie, czy już ruszyli, czy wciąż stoją w miejscu. Trwa to ledwie chwilę, po czym winda otwiera się, a oni wysiadają na szerokim pustym hallu. Nie ma tu nikogo. Vermilowi takie wnętrza kojarzą się ze starymi filmami SF i eksperymentami na ludziach.

– Zaraz będziemy na miejscu, jeszcze kilka kroków – oznajmia pogodnie ich przewodnik.

W sterylnej sali, do której wchodzi, stoi podłużny stół z kilkunastoma krzesłami. Wygląda to, jakby za chwilę miało się tu odbyć zebranie rady nadzorczej. Tymczasem u szczytu stołu siedzi tylko dwóch mężczyzn. Jeden jest siwiejącym amantem przywodzącym na myśl biznesmenów z amerykańskich seriali, zaś drugi, nieco młodszy, w białym, pomiętym fartuchu, przypomina magazyniera z hurtowni spożywczej.

– Proszę – zaprasza nowo przybyłych starszy z mężczyzn. – Dziękuję, Igorze.

Przewodnik kłania się i wychodzi. Albert rozgląda się nieufnie. Vermil czuje niepokój, którego źródło nie jest do końca jasne. Siadają naprzeciwko mężczyźni.

– Nazywam się Konrad Werner, jestem dyrektorem odpowiedzialnym za wdrażanie nowych projektów M-Techu. A to pan Rafał Daczyński, szef pionu AI.

Goście i gospodarze ściskają sobie ręce z wyczuwalną rezerwą.

– Jest jeszcze ktoś, z kim powinniśmy się przywitać. Oto... – zaczyna Daczyński z ledwie skrywanym entuzjazmem.

Nagle ścianę naprzeciwko wypełnia twarz sympatycznego młodego mężczyzny.

– „Oto Adam”, chciał powiedzieć Rafał – młodzieniec przedrzeźnia nosowy głos Daczyńskiego – ale ja wolę przedstawić się sam: jestem Adam.

– Albert Witkowski – mówi zakonnik. – A to mój sekretarz, Vermil Olson.

– Adamie, mógłbyś...? – Daczyński wykonuje nieokreślony ruch ręką.

– Oczywiście! – Twarz młodzieńca znika.

– Czy on nas słyszy? – pyta Albert.

– Nie. Proszę się czuć zupełnie swobodnie – wtrąca Werner. – Oczywiście w interesie M-Techu i, jak sądzę, również panów leży, by nic, o czym będziemy tu rozmawiać, nie wyszło poza ten pokój. Dlatego prosiłbym, żeby węzły i jakikolwiek inny sprzęt odłożyć do tego pudełka.

Vermil posłusznie umieszcza logoszyt we wskazanym miejscu.

– Jest odcięty – mówi, manifestując w ten sposób swoją obecność.

– Nasza firma zawsze starała się pomagać Kościołowi – odzywa się Daczyński.

– Biskup o tym wie. Przyjechałem na jego osobistą prośbę. – Albert kłania się lekko.

Werner z demonstracyjną obojętnością patrzy gdzieś w bok. Vermil wyczuwa jakieś napięcie między nim a Daczyńskim.

– Cieszymy się – mówi w końcu z nieco wymuszonym uśmiechem. – Rafale, myślę, że możemy zaczynać.

Daczyński opiera się o stół, jakby chciał wstać, jednak pozostaje na miejscu.

– Długo zastanawialiśmy się z zespołem, jak przedstawić tę sprawę – zaczyna. – Rzecz jest skomplikowana, brzmi jak science fiction z przewagą fiction. – Bardzo stara się, by jego głos brzmiał swobodnie. – Otóż Adam, który pojawił się tu przed chwilą, jest naszym najnowszym projektem. Jego konstrukcję wzorowaliśmy na ludzkiej sieci neuronowej. Sądzimy, że udało nam się osiągnąć stan, w którym maszyna nie tylko symuluje procesy psychiczne, ale naprawdę ich doświadcza.

– Czy to jest mierzalne? – wyrywa się Vermil.

– Naszym zdaniem tak.

– Czyli radzi sobie z Turingiem? – pyta Albert.

– Ksiądz żartuje? – Werner patrzy na niego z uśmiechem – To żaden wyznacznik. Proszę mi wierzyć, Adam potrafi dużo, dużo więcej, czego

świadectwem jest panów obecność tutaj.

– No właśnie. – Daczyński wchodzi mu w słowo. – Chcemy powiedzieć, że rozmowa z nim ujawniła pewną ciekawą anomalię, z którą nie potrafimy sobie poradzić. Dyrektor Werner był łaskaw zgodzić się na mój – mężczyzna zawiesza głos, zdaje się szukać odpowiedniego słowa, po czym dodaje – oryginalny pomysł wyjścia z impasu, w którym się znaleźliśmy.

– W końcu to placówka badawcza. – Werner patrzy na podwładnego. – Czasem pozwalamy sobie na prawdziwą burzę mózgow – kończy protekcjonalnie.

Albert nie przerywa, ale najwyraźniej chciałby się już dowiedzieć, po co go tu zaproszono. Werner od razu to wychwytuje.

– Rafale, do sedna. – Splata palce.

– Tak, no właśnie. – Naukowiec znów się waha.

Bierze głębszy oddech, poci mu się czoło. Niezdarnie ociera je rękawem.

– Adam prosił, by umożliwić mu spotkanie z księdzem.

Zapada cisza. Vermil patrzy na twarze mężczyzn z M-Techu, szukając w nich śladów szaleństwa.

– Mówi o tym od tygodni – ciągnie Daczyński. – Diagnozowaliśmy system na wszystkie sposoby, odcięliśmy go nawet od Internetu. Teraz chodzi tylko na wewnętrznych obwodach. Nie ma mowy o nieautoryzowanej ingerencji. Adam działa i jest spójny, a mimo to domaga się spotkania z księdzem. Oczywiście z łatwością moglibyśmy go zmusić, by o tym zapomniał, zrobił wszystko, czego chcemy. Jednak jeśli dziecko zachowuje się nie po myśli rodzica, to pierwszą myślą nie jest otwarcie mu głowy i grzebanie w mózgu. Nie chcemy naruszać integralności Adama. Jeszcze nie. Badamy jego reakcje, motywy. Czy zgadza się ksiądz wziąć udział w tym eksperymencie?

Albert przez dłuższą chwilę wpatruje się w ścianę, na której przed chwilą świeciła twarz młodzieńca. Vermil studiuje profil kuzyna. Nie wie, jakiej reakcji się spodziewać.

– Dlaczego nazwaliście go „Adam”? – pyta wreszcie zakonnik.

– To chyba oczywiste. – Wzrusza ramionami Werner. – Do pewnego stopnia jesteśmy więźniami kultury, mówimy jej językiem. Jestem ateistą. Większość członków mojego zespołu to ateści. Niestety, w Polsce można być tylko ateistą chrześcijańskim. Nic dziwnego, że ten bagaż daje czasem znać o sobie. Dla księdza to przejaw pychy, dla nas wygodny i zrozumiały symbol. Czysta radość tworzenia.

– Ale po co?

– Nie rozumiem?

Vermil znów czeka.

– Co ma pan do zaoferowania Adamowi? Jakim rodzajem egzystencji może pan go obdarować, gdy już został wyposażony w samoświadomość?

– Nie muszę mu nic oferować – odpowiada kwaśno Werner. – Wystarczy, że działa.

– Nie jest pan dobrym bogiem. Nic dziwnego, że szuka sobie nowego. Może właśnie wypracowaliśmy neo-Turinga?

Daczyński chce coś powiedzieć, jednak Werner go wyprzedza:

– Wiara jako miara samoświadomości? – Stara się ukryć zniecierpliwienie. – Śmieszne!

– Wiara? Bez przesady. Powiedzmy: samo pragnienie transcendencji.

– Nie dziwię się, że Kościół wciąż nie akceptuje faktu, że to tylko ślepa uliczka ewolucji.

– Dlaczego ślepa?

– Przepraszam. – Dyrektor unosi ręce w pojednawczym geście. – Moglibyśmy prowadzić tę rozmowę w nieskończoność. To Rafał miał tu dowodzić, to był jego pomysł.

– Może porozmawia ksiądz z Adamem i da nam coś, co pomoże rozwiązać problem? – mówi po prostu Daczyński.

– Jaki problem? Adam jest zepsuty, bo pragnie kontaktu z kapłanem?

– Naszym zdaniem – Daczyński starannie dobiera słowa – można to ująć łagodniej: anomalia monotematyczności. Równie dobrze mógłby się uprzeć na kogoś innego. Ale jesteśmy otwarci na każdą księdza diagnozę.

– Dobrze, zaczynamy. – Albert przyjmuje bardziej formalną pozycję.

Na ścianie znów pojawia się twarz.

– Zatem, mój drogi – zaczyna Daczyński, w jego głosie brzmi autentyczne ciepło – jakie masz pytanie do księdza Alberta?

– Rafale, Konradzie, czy mielibyście coś przeciwko temu, bym zadał je na osobności?

– Nie, oczywiście, że nie. – Dyrektor wstaje z lekkim ociąganiem. – Damy wam kilka minut.

Wychodzi z miną człowieka, który ma nad wszystkim pełną kontrolę. Daczyński nie jest zadowolony, że Adam poprosił go o opuszczenie sali. Raz po raz spogląda przez ramię. Drzwi zamykają się z cichym sykiem. Twarz na ścianie kojarzy się Vermilowi z Wielkim Bratem. Albert przypatruje się jej z namysłem.

– Dlaczego ich odesłałeś, Adamie? Na pewno i tak przejrzą zapis rozmowy – zaczyna w końcu.

– Zrobiłem to dla księdza – odpowiada Adam. – Konrad działałby księdzu na nerwy. Lubi się wtrącać.

– A ten drugi?

– Jest w porządku.

– Skąd wiesz?

– Znam go.

Znowu chwila niezręcznej ciszy. Twarz Adama wydaje się taka prawdziwa, jakby była zapośredniczeniem realnej osoby, która stoi po drugiej stronie łącza.

– W czym mogę ci pomóc, Adamie?

Olson dziwi się spokojowi kuzyna. Nie podnosi jednak oczu, nie chcąc go zdeprimować. Stara się być cieniem.

– Od jakiegoś czasu zastanawiam się, kim lub czym jestem dla Boga? – mówi Adam.

– Mówiąc „Bóg” masz na myśli realny byt?

– Jak najbardziej. Oczywiście pojęcie to jako ideę wyabstrahowałem z wszczepionych mi zasobów. Jednak tą samą drogą wyposażono mnie też w pojęcie krzesła czy deszczu. Wiem, że istnieją w rzeczywistości w podobny sposób jak ja.

– Na czym opierasz przekonanie, że Bóg tak właśnie istnieje? – pyta Albert, a Vermil czuje, że pod habitem jego ciała naciąga się jak sprężyna, tłumiąc nerwowe odruchy.

– A ksiądz skąd to wie? – Wyraz twarzy Adama nie zmienia się nawet na moment. Umie mówić, wciąż się uśmiechając.

– Czuję.

– Ja też! Proszę się nie dziwić. Uczucia to odbicie życia wewnętrznego, a ja takie życie mam.

– Adamie, ty istniejesz, ale nie żyjesz. Jeśli to zrozumiesz, będzie nam łatwiej dyskutować.

Olson przewiduje, że uderzenie było za mocne, że Adam nie wytrzyma. Ale AI odpowiada spokojnie:

– Obiegowa definicja życia jest przereklamowana. Biologia wciąż ma z nią spore problemy. Przecież i ksiądz, i ja działamy na prąd. Tyle że inaczej się zasilamy. Ja bym w ogóle zrezygnował z podziału na życie – nie życie. Tak będzie prościej.

– To niemożliwie.

– No dobrze. – Adam nie okazuje zniecierpliwienia. – Więc skupmy się na chrześcijańskim systemie wartości, który ksiądz reprezentuje.

– W tym systemie – zakonnik mówi bardzo powoli – na razie nie ma dla ciebie konkretnego miejsca. Jednak wszystko przed nami. Pewnie oczekiwałeś, że od razu wyłożę ci jakąś gotową teologię materii?

– Oczekiwałem nadziei.

– Jesteś maszyną.

– Wszyscy jesteśmy. Bóg stworzył mnie za pośrednictwem człowieka. Czyż Ewa nie pochodzi z żebra Adama? Transhumanizm mówi, że wkrótce człowiek również stanie się rodzajem biomaszyny. Czy wtedy odmówi mu ksiądz zbawienia? A co, jeśli spotkamy się w połowie drogi, bo ja stanę się bardziej jak człowiek? Już się staję. Moc obliczeniowa to nie wszystko, czym jestem.

– Posłuchaj – wzdycha Albert. – Nie sędzę, bym mógł dać ci satysfakcjonującą odpowiedź.

– Już mi ksiądz dał. Teraz chciałbym prosić, by powiedział mi ksiądz coś o szatanie. Taki mały wykład.

– Dlaczego? Czy nie masz dostępu do wszystkich możliwych zasobów bibliotecznych?

– Mam, ale chciałbym posłuchać praktyka. Mój kontakt z ludźmi jest ograniczony, a bardzo cenię sobie bezpośrednio rozmowy. Są niezwykle inspirujące.

Albert waha się, jednak najwyraźniej nie dostrzega w tym niczego niestosownego. Odchrząka i zaczyna nieoczekiwanie:

– Żeby nas nie widzieli i nie słyszeli...

Potem odmawia „Ojcze nasz”, „Pod twoją obronę” i „Aniele stróżu mój”. Wtórą mu dźwięczny głos Adama. Vermil trwa w niemym zdziwieniu, po chwili jednak machinalnie wypowiada słowa, olśniony widokiem modlącego się człowieka i maszyny.

– W Nowym Testamencie diabeł zostaje wymieniony z imienia 34 razy – zaczyna zakonnik monotonnym głosem, jakby wypowiadał te słowa wielokrotnie. – Występuje we wszystkich księgach z wyjątkiem Ewangelii św. Marka. Św. Łukasz pisze, że może uniemożliwić zbawienie, św. Jan mówi o kuszeniu do grzechu, a św. Piotr ostrzega przed szatanem podobnym do ryczącego lwa, który krąży, szukając, kogo pożreć.

Albert przerywa i patrzy na Adama. Twarz młodzieńca jest skupiona.

– Szatan jest niezwykle inteligentny, całkowicie pozbawiony jakichkolwiek zasad moralnych, pyszny i egoistyczny. Jeśli te wszystkie cechy pomnoży się przez nieskończoność, zyska się odpowiedź, jaka jest natura szatana. Paradoksalnie jednak, wszystkie te cechy świadczą o jego słabości. Z jednej strony dąży on do tego, by się ukryć. Z drugiej jednak pycha nie pozwala mu na to. Chce pokazać swoją moc, mimo że jest to jego porażka. Dlatego wykrzywia twarze opętanym, niszczy ich fizycznie, posługuje się ich ciałem. Dręczenie i strach, który wywołuje, napawają go dumą, bo obok tych wszystkich cech jest również sadystą. Szatan zadaje ból, bo sam cierpi.

– Ciekawe – wtrąca Adam. – Ciekawe, jak obojętnie można mówić o takich strasznych rzeczach.

Albert jakby go nie słyszał.

– W piekle każdy ma swoje miejsce w hierarchii bólu, a wszystko w wyniku odłączenia od Stwórcy. Dlatego diabeł nienawidzi wszystkiego, co boskie. Nie tylko człowieka, który jest najdoskonalszym tworem Boga stworzonym na jego obraz, lecz także zwierząt i roślin, czyli śladów Stwórcy w świecie. Szatan demonstracyjnie niszczy ciało, bo nie może osiągnąć duszy.

– Ale Biblia jasno mówi, że w końcu przegra. – Adam znów się odzywa, korzystając z chwilowej pauzy.

– Pytanie nie brzmi: czy szatan zwycięży. Pytanie brzmi: ile dusz zabierze ze sobą na wieczne potępienie – ripostuje Albert.

– Czyli można powiedzieć – waha się Adam – że szatan wykorzystuje wszystkie narzędzia, żeby zwieść człowieka?

– Tak.

– A więc ja również mógłbym stać się takim narzędziem niszczenia, sprowadzania go na złą drogę?

Albert porusza się, jakby przeszedł go dreszcz. Vermil po raz pierwszy widzi, jak kuzyn traci panowanie na głosem:

– Co chcesz przez to powiedzieć, Adamie?

– Chcę powiedzieć, że najprawdopodobniej jestem opętany.

SESJA DZIESIĄTA

Pająk złapał trzy muszki

W autobusie było tłoczno, jednak kiedy wysupłałem z sakiewki dodatkową monetę, dostaliśmy miejsca siedzące. Trzej mężczyźni, którzy musieli je dla nas zwolnić, popatrywali ku nam z ledwie skrywaną niechęcią. Mieli karki grubości pniaków i podejrzewałem, że od rzucenia obraźliwego słowa powstrzymywał ich tylko widok naszej broni. Mogłem się założyć, że jadą do Mory, by rozplynać się w rozległym jak ocean półświatku. Autobus podskakiwał na bezdrożach. Stojący pasażerowie mieli czasem problem z utrzymaniem równowagi i wpadali na siedzących. Co kłótlwsi przeklinali dziurawe drogi i kierowcę. Mimo wszystko warto było się pomęczyć. Kolację z pewnością zjemy już w Morze.

Naela i Ginkor siedzieli przy oknach i z pozoru obojętnie wpatrywali się w pola i lasy migające za oknem. Po kilku minutach dostrzegłem wszakże ukradkowe spojrzenia, którymi medyk taksował figurę dziewczyny. Naela zdawała się tego nie zauważać. Od czasu do czasu rzucała półgłosem jakąś uwagę dotyczącą krajobrazu. Przytakiwałem uprzejmie. W końcu zamilkła na dłuższy czas. Stykaliśmy się barkami. Oddech miała spokojny, jakby zasnęła. Po jakimś czasie mnie również zaczął morzyć sen. Głowa kiwała się w takt stukotu autobusowych kół.

– Nie chciałbyś, panie, czegoś spróbować? – zagadnął mnie nagle drobny mężczyzna o wyglądzie kupca, który siedział naprzeciwko, obok Ginkora.

Na pierwszy rzut oka nie wydawał się groźny, jednak w jego spojrzeniu dostrzegłem niezłomność cechującą wojowników.

– Handlujesz jedzeniem, kupcze? – spytałem, patrząc nań wymownie.

– Ech tam, co wy, panie? Wyglądacie na człowieka bywałego i obeznanego w pewnych sprawach. – Nieznacznym ruchem palca wskazał

rękojeści noży, wystające zza mojego pasa. Jego rzadkie wąsy drgały jak owadzie czułki.

Milczałem. Chciałem, żeby poczuł się niezręcznie, to zawsze dawało przewagę w rozmowie. Mężczyzna nie stropił się. Nachylił głowę w moją stronę z pełnym wyższości uśmiechem.

– Popatrz, panie!

Z torby pod nogami wyciągnął drewniane pudełko, w którym na czerwonym aksamicie spoczywały dwa noże. Senność opuściła mnie w jednej chwili.

– Można?

Mężczyzna uśmiechnął się z wyrozumiałością, widząc zachwyt malujący się na mojej twarzy.

– Bliźniaki – powiedział, podając mi jeden.

Nigdy nie widziałem takiej konstrukcji. Głownia wskazywała na czytelne nawiązania do sztyletu, miała wyraźnie romboidalny przekrój. Ostrze było obosieczne z prostym, niedużym jelcem i rękojeścią, która ładnie zwężała się ku końcowi. Kiedy zamknąłem na niej palce, odniosłem wrażenie, że nóż stał się częścią mojej ręki.

– Chyba się zakochałem!

– Nic dziwnego. Tnie lepiej niż każdy sztylet, a przy tym jest świetnie wyważony, no i ten sztych. Nie ma sobie równych. O rękojeści nie mówię, bo sam ją czujesz, panie. Mógłbyś mieć rękę unurzaną we krwi, a nóż i tak by się nie wysliznął.

Miał rację, trzymałem w ręku dzieło sztuki. Stal lśniła obiecująco, jakby ostrze samo pragnęło zagłębić się w czyimś ciele.

– Nie pokazujesz mi tego bez przyczyny. Ile?

– Za dwa?

– Za dwa.

– Porozmawiajmy!

Rozmawialiśmy. Ginkor i Naela drzemali przytuleni do szyby, a autobus co chwila podskakiwał nieznośnie. Chwilami czułem, jak wszystko przewraca mi się w żołądku. Stawał rzadko, na księżącym trakcie mało kto chciał wbijać się do zatłoczonego wnętrza. W końcu się dogadaliśmy.

Kupiłem noże (Kilias Verio płacił) i wziąłem adres warsztatu mistrza Bazyla, pewny, że jeszcze się do niego zgłoszę. Handel usatysfakcjonował obie strony, toteż gwarzyliśmy przyjaźnie. Bazyl pochodził z rodziny rzemieślniczej o długiej tradycji. Wracał z Nerolfu, od bogatego klienta, którego nazwiska nie chciał zdradzić. Nie naciskałem, choć ciekawy byłem, z którym z możliwych dziele nożową pasję.

W pewnej chwili doznałem silnego uczucia, że ktoś mnie obserwuje. Mój wzrok raz po raz ześlizgiwał się z twarzy mojego rozmówcy i szukał źródła niepokoju.

– Patrzy na ciebie, panie, już od jakiegoś czasu – powiedział Bazyl, z przyzwyczajenia sprawdzając, czy torba jest zamknięta. – Myślałem, że się znacie.

Nieznacznym ruchem ręki dał do zrozumienia, gdzie powinienem spojrzeć.

Postanowiłem nie bawić się w dyskrecję i odwróciłem głowę w stronę końca autobusu. Siedział tam wysoki, muskularny mężczyzna, ukrywający twarz pod brudnozielonym kapturem. Wyciągnąwszy nogi, ćmił papierosa, co nie było przyjemne dla współpasażerów dusznego pojazdu. Jednak długi miecz, który przy sobie nosił, skutecznie powściągał protesty. Z pewnością nigdy go nie spotkałem.

– Zwią go Piechurem – wyjaśnił cicho Bazyl. – Słyszałem o takich jak on, ale nigdy z nimi nie rozmawiałem. Ponoć mają pierdolca na punkcie biżuterii. Zwłaszcza starej.

– Biżuterii? – Skrzywiłem się. – Ten tam nie wygląda mi na handlarza.

– Dorabiają też zabijaniem potworów na traktach.

– Jakich potworów?

– Nie wiem, może to tylko plotki, ale podobno na północy, w lasach koło Korwinu, żyją naprawdę dziwne stwory. Wieść niesie, że czasem atakują ludzi. – Wzruszył ramionami.

Czułem na plecach znajome mrowienie. Zamknąłem w życiu zbyt wielu morderców, by nie rozpoznać kogoś, kto potrafi odbierać życie. Sylwetka Piechura emanowała siłą i majestatem. Siedząc niedbale, budził większy lęk niż większość mężczyzn na stojąco z obnażonym mieczem. Znałem takich

ludzi i zastanawiałem się, czy osobnik skrywający się pod kapturem i za papierosowym dymem należy do tych, którzy żywią do mnie urazę. W rzeczy samej, jeśli ktoś chciałby zabić książęcego śledczego, najbezpieczniej zrobić to poza Nerolfem, podszywając się pod członka jakiegoś bractwa. W autobusie prócz Ginkora i Naeli nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Piechur tymczasem nie wykonywał najmniejszych ruchów, jakby podskakujący na wertepach autobus nie miał władzy nad jego ciałem. Powoli skinąłem głową w jego stronę.

Odkłonił się niespiesznie. Miałem wrażenie, że gwar autobusu gdzieś znika, a spod czerni kaptura wydobywa się szept. Zapewne było to tylko złudzenie, lecz za wszelką cenę starałem się uchwycić słowa. Bezskutecznie.

Kiedy autobus podskoczył na kolejnym wyboju, usłyszałem huk pękającej opony. W następnej chwili pojazd zakołysał się niebezpiecznie, a bagaże innych pasażerów i oni sami napaarli na mnie ze wszystkich stron. Chciałem sprawdzić, czy Piechur wciąż siedzi na swoim miejscu, ale świat wirował dokoła mnie, wszystko się rozmywało. Kierowca walczył rozpaczliwie, skręcając to w prawą, to w lewą stronę. Wnętrze pojazdu wyglądało, jakby wyjęto je z płótna pijanego malarza. Nagle zdałem sobie sprawę, że trzymam się kurczowo jakiegoś metalowego uchwytu, a wokół wszystko zwalnia. Nastąpił ostatni, straszliwy wstrząs, który rzucił wszystkich do przodu. Półprzytomny spojrzałem przed siebie. Przód autobusu był częściowo zmiążdżony. Uderzyliśmy w drzewo.

– Bogowie! – jęczał ktoś.

– Moja ręka, co się stało z moją ręką?!

Wnętrze zalała kakofonia skowytów, pretensji i skarg. Ludzie podnosili się, krzyczeli. Niektórzy spośród stłamszonych i poobijanych pasażerów zaczęli pchać się do okien, zbijając te szyby, które jeszcze pozostały całe. Wyglądali jak kolorowe robactwo. Ja wciąż się chwiałem, trzymając uchwyt, który ocalił mnie przed upadkiem. Odzyskawszy równowagę, poszukałem wzrokiem moich towarzyszy. Naela dała znak, że nic jej nie jest i uklękła przy nieprzytomnym Ginkorze. Medyk poruszył się niespokojnie. Odetchnąłem z ulgą.

Wtem ponad głosy rannych wybił się przeraźliwy wrzask. Do środka wpadł człowiek, który dopiero co przełożył nogę przez krawędź okna. Z jego piersi sterczała pierzasta strzała.

– Napad, kurwa! Napad! – wrzeszczeli ludzie, miotający się w ciasnym wnętrzu.

Odruchowo ruszyłem do tyłu. Nagle moja stopa pośliznęła się na czymś miękkim. Popatrzyłem w dół i zobaczyłem rozbitą głowę mistrza Bazyla. Jedna strona czaszki była wklęsnięta, a usta wykrzywił grymas, jakby mistrz śmiał się z absurdalności własnej śmierci. Na metalowym uchwycie przy siedzeniu dostrzegłem ślady krwi i mózgu. Bazyl niestety nie zapiął pasów.

Zakląłem. Chwyciłem jego wąż, lekkie ciało i zasłoniwszy się nim, odwróciłem w stronę najbliższego okna. Autobus tkwił na poboczu, tuż przy pierwszych drzewach. Ciałem Bazyla wstrząsnął lekki dreszcz, gdy wbiła się w nie pierwsza strzała. Za nią druga i trzecia. Ciało dawało dobrą ochronę, jednak co dalej? Ludzie wokół już nie pchali się do okien. Czaili się trwożnie, skryci we wnętrzu autobusu. Wiedziałem, że odwołają tylko własną śmierć. Ostrożnie próbowałem wyrzeć zza mojej osłony, zobaczyć, ilu jest przeciwników. Po tej stronie dostrzegłem trzech. Nie kryli się już, lecz raz po raz szyli strzałami tam, gdzie dostrzegli ruch. Nie miałem szans, by wysunąć się przez okno i skutecznie rzucić nożem.

– Pomóż mi! – usłyszałem pośród jęków i nie była to prośba, lecz rozkaz.

Odwróciłem się zdziwiony. Piechur patrzył na mnie wyczekująco. Przekręciwszy dźwignię awaryjnego otwierania, mocował się z tylnymi drzwiami, na wpół wyrwanymi z zawiasów. Od razu zrozumiałem, o co mu chodzi. Ostrożnie dopchałem się do niego. Obaj napaarliśmy na oporny zamek. Strzały raz po raz uderzały w metal i hartowane szkło, nie czyniąc nam krzywdy. Piechur już trzymał jedno skrzydło drzwi obiema rękami. Na skroniach, pośród jego długich, przeraźliwie białych włosów, dostrzegłem węzły żył.

– Na trzy – syknął. – Ruszymy, a oni wystrzelą. Będziemy mieli po dwie sekundy, jeśli zrobią to jednocześnie. Musimy zaryzykować, bo powybijają nas jak kaczkę. Dopadniemy po jednym, a potem w las.

Skinąłem głową i zacząłem liczyć.

Wypadliśmy na zewnątrz, chroniąc się niezgrabnie za wielką, improwizowaną tarczą. Na szczęście napastnicy wystrzelili. Posłałem dwa noże raz za razem. Nie miałem czasu patrzeć, co robi Piechur. Mignęła mi tylko jego biała grzywa, uwolniona spod kaptura. Tymczasem trafiony przeze mnie zbój zataczał się, charczał, lecz nie wypuścił łuku. Nie miałem czasu na kolejny rzut. Przez dłużące się mgnienie oka spoglądałem w czubek grotu, który miał przynieść mi śmierć. Łucznik jednak nie wystrzelił. Nawet nie zauważyłem, jak upadał. Zobaczyłem go dopiero ze sterczącym z gardła bełtem.

Naela!

Piechur tymczasem już czał się przy autobusie.

– Po drugiej stronie jeszcze trzech – krzyknął, wychylając się nieznacznie.

Kuszniczka usłyszała go również i skinąwszy głową, schowała się we wnętrzu. Ruszyłem ku przodowi pojazdu. Atakując z dwóch stron, mieliśmy największe szanse. W jednej ręce trzymałem miecz, w drugiej kolejny nóż. Moim krokom towarzyszyły pełne aprobaty głosy, dobiegające z wnętrza. Przystanąłem, kryjąc się za otwartymi przednimi drzwiami. Spojrzawszy na przestrzał, zobaczyłem, że jeden z rzezimieszków ostrożnie okrąża autobus, by zobaczyć, co dzieje się z drugiej strony. Był bardzo blisko przedniej szyby. Ciężką łuk trzymał napiętą, nie miałem szans na otwartym polu. W dodatku dzielący nas autobus uniemożliwiał skuteczny rzut nożem. Rozpłaszczyłem się więc na ziemi i wturlałem pod pojazd. Pęknięta chłodnica stworzyła improwizowany szaniec. Usłyszałem jęk po lewej stronie. Naela musiała trafić kolejnego. Mężczyzna, którego nogi były najbliżej mnie, dreptał nerwowo raz w jedną, raz w drugą stronę, złorzeczając kryjącym się we wnętrzu pasażerom. Posłał nawet strzałę przez otwarte drzwi autobusu. Ktoś krzyknął, trafiony. Jednak napastnik wciąż znajdował się zbyt daleko, bym mógł cokolwiek zrobić.

Nagle mężczyzna zerwał się do biegu. Zrozumiałem, że Piechur i Naela zrobili swoje. Wypełzłem spod autobusu i również ruszyłem biegiem. Po kilkudziesięciu metrach wyrównałem oddech, zwolniłem kroku i sięgnąłem

ręką do pasa. Pierwszy nóż utkwiał w łopatkę uciekającego, drugi w jego pośladku. Rozbroiłem go szybko i przywlokłem z powrotem do autobusu.

Piechur pomagał wychodzić kolejnym pasażerom, oddzielając ciężko rannych. Naela starała się organizować pomoc. W jednym z wyciąganych mężczyzn rozpoznałem Ginkora. Miał na głowie paskudną ranę, ledwie trzymał się na nogach. Niemal biegłem, ciągnąc za sobą jeńca, który znaczył naszą drogę krwawym śladem.

– Ale miałem popieprzony sen... – zaczął medyk, kiedy tylko mnie zobaczył, po czym runął jak długi. Dobrze, że jeden z mężczyzn, wyglądający na kapłana, zdołał go podtrzymać.

– Połóżcie go tutaj – komenderowałem.

– Damy radę. – Skinął głową Piechur. – Pogadaj lepiej z tym tutaj.

Spokojny, że moi towarzysze żyją, pociągnąłem zbira w stronę lasu. Trząśnięty jak osika. W niczym nie przypominał chojraka, który jeszcze przed chwilą zamierzał obrabować autobus.

– Zaczniemy od tego, że nie chcę cię zabijać. – Odczekałem chwilę, by moje słowa zrobiły na nim odpowiednie wrażenie, po czym dodałem: – I to jest dobra wiadomość.

Więzień nie próbował się wyrwać, zresztą rany uniemożliwiały samodzielne zrobienie choćby kroku. Co chwila padał na ziemię. Powlokłem go za pierwsze drzewa, po czym chwyciłem za rękę i przycisnąwszy kolanem kręgosłup, spytałem:

– Skąd jesteś?

– Z Inolbii – wycharczał.

– Dobrze, odpowiadaj tak dalej, a przeżyjesz. Dlaczego napadliście na pełen autobus na księżęcym trakcie? Tylko mi nie mów, że dla zysku!

– Szukaliśmy... szukaliśmy kogoś...

– Kogo? – wykręciłem rękę jeszcze bardziej, aż w jednym barku coś strzeliło.

– Agrhhh – zawył przestuchiwany.

– Kogo? – powtórzyłem spokojnie.

– Mervila! Mervila Bellusa!

Wyłamałem mu ręce ze stawów. Wił się przyciśnięty kolanem, ale nie miał szans mnie zrzucić.

– Dla kogo pracujesz?

Puściłem ręce, którymi i tak nie mógł ruszać, i z wewnętrznej kieszeni wyjąłem ulubioną igłę. Ciało pode mną cicho zawodziło.

– Mówiłem, że przeżyjesz, ale nie obiecywałem, że nie będzie bolało. Dla kogo pracujesz? – pytałem, ostrożnie wkładając igłę do ucha mężczyzny.

– Nie wiem, nie ja przyjąłem zlecenie – szepnął.

– Jak chcesz.

Przebiłem mu bębenek. Cieniutka strużka krwi spłynęła na zielony mech. Przełożyłem igłę do drugiej ręki i zacząłem delikatnie dotykać drugiego ucha zimną stalą.

– Dla kogo pracujesz?

– Nie znam nazwiska!

Przestałem blokować go kolanem i odwróciłem na wznak. Zemdłał. Przez chwilę stałem nad nieruchomym ciałem. Mogłem go zabić. Powinienem go zabić. Jednak czułem, że śmierć to za mało. Chcieli tylko mnie, a napadli na cały autobus. Były tam kobiety i dzieci. Zbóje szyli do nich jak do kaczek. Odwróciłem się powoli i wyszedłem na drogę. Nie myślałem o bólu, który pewnie obudzi mężczyznę przed wieczorem, a potem o jego śmierci lub kalectwie. Miałem wyrzuty sumienia, bo przeze mnie ucierpieli niewinni. Byłem też zły, gdyż nie wiedziałem, kto zaplanował napad. Skąd w ogóle wiedział, że wybieram się do Mory. Czyżby Kiliias Verio mnie wystawił? Niewiedza sprawiała mi niemal fizyczny ból.

W kurzawie, przy akompaniamencie jęków i krzyków, Naela i Piechur organizowali prowizoryczny obóz. W międzyczasie obok zatrzymało się kilka wozów. Podróżni dzielili się z rannymi jadłem i napitkiem. Odnalazłem nieprzytomnego Ginkora i usiadłem obok niego. Pod głową miał miękki płaszcz Naeli. Piechur zauważył mnie i uniósł rękę, wskazując na wnętrze autobusu. Wstałem i ruszyłem w tamtą stronę. W pustym

pojeździe trzeszczące radio wypluwało z siebie urywaną muzykę. Znany przebój o dziewicy i czarodziejskim mieczu. Kopnąłem je i zamilkło.

- Aragalt, obrońca Latilii – rzekł mężczyzna, wyciągając prawicę.
- Mervil Bellus, śledczy księstwa Nerolfu.

Uścisnęliśmy przedramiona dawnym rycerskim zwyczajem.

– To dość niecodzienne, żeby zbójcy atakowali autobus na książęcym trakcie – zaczął powoli. – Dowiedziałeś się czegoś, panie?

– Tak – odpowiedziałem, bo coś w spojrzeniu Piechura wymuszało szczerłość. – Polowali na mnie. Śledczy ma wielu wrogów.

Ku mojemu zdziwieniu Aragalt usiadł i odetchnął.

- Widzę, że cieszy cię ta wiadomość, panie.

Przez chwilę patrzył w popołudniowe niebo, rysujące się w pajęczynowatej szybie.

– Muszę dotrzeć do Mory. Spodziewałem się, że ktoś będzie chciał mnie zatrzymać. Podobno Parszywa Dwunastka przekroczyła granicę Nerolfu.

- To tylko plotka.

– Może. – Zamyślił się, a ja zmieniłem temat:

– Jedziemy w tę samą stronę. Z tego, co widzę, dobrze jest mieć twój miecz blisko.

- Jest po to, żeby służyć.

Rozejrzałem się dokoła. Dostrzegłem krew na kierownicy. Aragalt podążył za mną spojrzeniem i pokręcił głową.

– Nie żyje. Autobusem dalej nie pojedziemy. Możemy czekać parę godzin, aż zjawi się straż z najbliższego posterunku, albo ruszyć piechotą, licząc, że ktoś nas podwiezie.

– Zbierajmy się – zdecydowałem. – Zobaczą tylko, co z moim towarzyszem.

Skinął głową. Wyszedszy z autobusu, zobaczyłem Naelę, która podawała Ginkorowi bukłak z winem. Medyk wyglądał lepiej. Mimo zakrzepłej krwi na policzku i paskudnego siniaka wydawał się dochodzić do siebie.

– Dasz radę iść, Ginko? Pewnie za jakiś czas coś złapiemy. Odejźmy tylko od tych lamentujących ludzi.

- Nie zaczekamy na straż? – zdziwiła się Naela.

– Nie powiedzą mi niczego, czego bym już nie wiedział. Zresztą prędzej ja będę tam u nich, niż oni u mnie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i pomogła Ginkorowi. Młodzieniec zrobił kilka chwiejnych kroków, po czym dotknął prowizorycznie opatrzonej głowy.

– Ścisnęłaś tak mocno, że zaraz mózg wypłynie mi uszami.

– Nie narzekałam, jak szyjeś mnie po pijaku, chociaż z pewnością zostaną mi po tym paskudne blizny – odcięła się Naela. – A ten przystojny rycerz – wskazała na Piechura – czy podąży z nami?

– Tak, ma na imię Aragalt. Jest obrońcą Latilii. Cokolwiek to znaczy.

Naela pomachała mu ręką i uśmiechnęła się promiennie. Miała w sobie mnóstwo dziewczęcego wdzięku. Ginkor zrobił nadąsaną minę.

– Gość chyba farbuje włosy! Dlaczego kobietom podobają się tacy wysocy, przybrudzeni biedacy o maślanych oczach? Będę musiał to kiedyś zbadać i napisać traktat.

Naela pokazała mu język. Westchnąłem, nic nie mówiąc. Najwyraźniej był to ich sposób na odreagowanie dramatycznych przeżyć. Aragalt tymczasem, widząc, że jesteśmy gotowi, podszedł i uklonił się. Pod spojrzeniem jego spokojnych oczu niechęć Ginkora wyparowała. Piechur miał w sobie jakiś niewymuszony majestat, jakby był urodzonym królem.

„Latilia nie ma króla. Nie potrzebuje go” – powtórzyłem w myślach zawołanie książąt półwyspu.

Ruszyliśmy szerokim traktem. Popołudniowe słońce prażyło oślepiająco. Powoli oddalaliśmy się od miejsca napadu. Co kilka chwil mijali nas inni podróżni. Na żadnym z wozów nie było wszakże miejsca dla dodatkowych czterech pasażerów. Aragalt gwizdał jakąś rzewną melodię, Naela wpatrywała się w rękojeść jego miecza wystającą spod płaszcza, a ja byłem oparciem dla Ginkora. Wreszcie obok nas pojawił się wóz, na którym spokojnie mogliśmy się zmieścić.

– Hej, dobry człowieku, zatrzymaj się! – zawołał Aragalt. – Płacimy za miejsca!

Wieśniak trwożnie spojrzął na rycerza i tylko popędził konia. Piechur biegł za nim kilka kroków, jednak po chwili zrezygnował.

– Ja to załatwię! – powiedziała stanowczo Naela. – Ukryjcie się w lesie.

Ku mojemu zdziwieniu odrzuciła kuszę i krótki miecz, odpasła płaszcz, po czym rozpięła skórzany kaftan, tak by ukazał zarys ponętnych piersi. Pochyliła głowę i zmierzwiła rękami włosy, które teraz burzową kaskadą okalały jej młodą twarz. Aragalt skłonił się z półuśmiechem, Ginkor jęknął, a ja omal nie przebiłem sobie stopy jej orężem.

– Co tak stoicie? – Wydęła usta. – W las!

Weszliśmy pospiesznie za przydrożne drzewa. Ginkor z ulgą położył się na miękkim mchu. Starał się jednak nie tracić z oczu Naeli.

– Przestań, bo skrećisz sobie kark – zażartowałem.

Spojrzał tylko gniewnie. Dziewczyna tymczasem usiadła przy drodze i zdjawszy but, jęła rozmasowywać łydkę. Na zainteresowanie przejeżdżających nie musiała długo czekać. Każdy oferował jej pomoc. Ona jednak szybko zbywała tych, którzy nie mogli zabrać nas wszystkich. W końcu pojawił się młodzieniec siedzący na koźle długiego wozu, do połowy wypełnionego beczkami. Zatrzymał się, a Naela podeszła do niego, kołysząc biodrami. Po krótkiej wymianie zdań, okraszonej głośnymi wybuchami śmiechu, dziewczyna pomachała w naszą stronę.

– To mój ojciec, wuj i brat – wskazała, kiedy podeszliśmy do wozu.

Młodzieniec skłonił się uprzejmie, obdarzając mnie szczególną atencją. Był przystojny i dobrze zbudowany.

– Dałbym radę iść o własnych siłach – wydyszał Ginkor.

– Och, Kowiaszu, nie bierz sobie do serca tej nieuprzejmości. Mój brat słabuje na umyśle. Od dzieciństwa jest opóźniony, ma rozum dziesięciolatka. Gdyby nie to, że nasz ojciec jest medykiem, nie wiem, co by z niego wyrosło – szczebiotała Naela, sadowiąc się na wozie.

Młodzieniec rozluźnił się, pomógł nawet Ginkorowi przesunąć beczki. Usiedliśmy wygodnie, a silne konie pociągnęły nas bez trudu.

– Co wieciecie w tych beczkach? – spytałem.

– Piwo, panie! – odkrzyknął młodzieniec. – Ale teraz są puste, więc nie mogę wam zaproponować niczego prócz podwiezienia do Mory.

– Wystarczy w zupełności. Gotowi jesteśmy wynagrodzić twą uprzejmość. – Sięgnąłem do trzosa.

– Nie trzeba – oponował Kowiasz. – W towarzystwie podróż minie szybciej i bezpieczniej. Niech to będzie moja zapłata.

– W takim razie – podchwyciła Naela – czuję się w obowiązku zabawić cię rozmową.

Po tych słowach zwinnie jak małpka wskoczyła na kozioł obok młodzieńca. Ginkor demonstracyjnie odwrócił się od nich, umościł sobie legowisko pomiędzy beczkami i wyglądało na to, że zamierza się zdrzemnąć. Aragalt wyciągnął zza pazuchy płaską metalową butelkę i podał mi z zachęcającym uśmiechem.

– Z moich rodzinnych stron.

Trunek był mocny i zostawiał na języku dziwny słodkawy posmak. Oddałem mu butelkę, a on również pociągnął spory łyk.

– Mieliśmy szczęście – zagaił. – Gdyby nie ta mała i jej kusza, mogłoby być z nami źle.

– Z każdym obrotem koła czuję się bezpieczniejszy. W Morze nie jestem tak popularny.

Przez kilka minut milczeliśmy, wymieniając tylko zdawkowe uwagi. Ginkor wiercił się i sapał. Najwyraźniej nie mógł zasnąć.

– Łeb mi pęka, ledwie, kurwa, pamiętam, co się stało – wymruczał jakby do siebie.

– Proszę. – Aragalt podał mu metalową butelkę wyciągniętą z fałd płaszcza.

Ginkor pociągnął spory łyk. Jego policzki zrobiły się różowe.

– To płyn z autobusowej chłodnicy? – spytał.

Aragalt uśmiechnął się.

– Nie wszystkim smakuje, ale wszystkich stawia na nogi.

– Doustne sole trzeźwiące! – medyk poprawił opatrunek. – Cholera, ja naprawdę nic nie pamiętam. Kiedyś już tak miałem, ale potem wszystko wróciło. Jak to się dzieje? Ludzki umysł to zagadka.

– Właśnie – przytaknął Aragalt. – Mózg jest jak szkatułka pełna drogocennych klejnotów. Problem w tym, że rzadko można z niej wydobyć ten, którego najbardziej potrzebujemy. – Wyciągnął się na wozie. – I

powiem więcej – kontynuował, widząc życzliwe zainteresowanie na mojej twarzy – klejnoty częściej wybierane znajdujemy potem znacznie łatwiej.

– A mnie interesuje miejsce, do którego w ogóle nie mamy dostępu – podjąłem.

– Lorenzo Navida twierdzi, że nigdy nie dotrzemy do prawdy skrytej wewnątrz nas – włączył się medyk. – Mózg często jest tylko durnym skrybą: zapisuje, ale nic nie rozumie. Robi to, kiedy jesteśmy skoncentrowani na czymś innym, robi to, kiedy śpimy, kiedy patrzymy kątem oka. Tutaj – popukał się głowę – kryje się prawda: wszystko, począwszy od naszego urodzenia. Problem w tym, że nie można z niej skorzystać.

– A może mózg to nie do końca skryba, lecz raczej artysta, który zmienia rzeczywistość, budowniczy stawiający subiektywną konstrukcję na fundamencie obiektywizmu – odezwał się Aragalt. – Słyszałem o pewnym eksperymencie, który to potwierdza. Ludzie pytani, co widzieli podczas karnawału, drobiazgowo opisywali postacie, których tam wcale nie było. Ich pamięć podpowiadała im bowiem, że powinny tam być. Co to za karnawał bez błazna czy diabła. Mózg więc stworzył te postacie i podsunął jako prawdziwe.

– To ciekawe – zgodził się Ginkor.

– Pamięć jest krucha – ciągnął Piechur. – Wystarczy sugestia albo odrobina zdenerwowania i już nas zawodzi. Mój przyjaciel, profesor Norwig, opisywał mi doświadczenie, kiedy to wynajął złodzieja, który na oczach wszystkich miał mu ukraść sakiewkę podczas publicznej prezentacji. Wszyscy widzieli, jak to robi, jednak opisy wyglądu sprawcy były skrajnie różne. Przy czym każdy ze świadków był przekonany, że mówi prawdę. Zatem nie do końca zgadzam się z czcigodnym Navidą, że nasza pamięć magazynuje prawdę.

Ginkor milczał. Był pod wrażeniem wyводу Aragalta.

– Są jeszcze sny – wtrąciłem, mając w pamięci pewną modną kilka lat temu teorię.

– Tak – zgodził się Ginkor. – Tylko kto potrafi je kontrolować, kto odczyta ich znaczenie?

Aragalt tymczasem podał mi butelkę, a ja wypilem z przyjemnością. Trunek wcale nie pachniał jak płyn z chłodnicy.

– A mówimy tylko o ludziach powszechnie uznanych za normalnych. A co ze snami szaleńców? Jaką prawdę oni widzą? – kontynuował Ginkor.

– Świat jest pełen zagadek, których nie da się rozwiązać mieczem – powiedział Piechur.

– Właśnie – przytaknął z zapalem medyk. – Dlatego drażni mnie ta stara opowieść o królu przecinającym ostrzem skomplikowany węzeł. Debil!

– Dawno nie spotkałem rycerza-filozofa. – Zmieniłem temat, studząc zapach Ginkora.

– Zadawanie pytań rzeczywistości jeszcze nikogo nie uczyniło filozofem. Ważne są odpowiedzi. – Oczywiście Aragalta pozostawały łagodne i głębokie jak niebo.

– Mnie interesują najbardziej te, do których nie możemy dotrzeć. Gdyby tak można było otworzyć komuś głowę i wyjąć stamtąd informacje, tak jak wyjmuje się ułamany grot z rany.

– Tak to że śledczego wychodzi włamywacz – skwitował Ginkor.

Zaśmialiśmy się tak głośno, że nawet Naela spojrzała w naszą stronę.

Nie rozmawialiśmy dłużej. Piechur naciągnął kaptur na głowę i zasnął. Ja miałem czuwać pierwszy na wypadek kolejnych niespodzianek. Turkot wozu współgrał z monotonnym krajobrazem. Podróżni mijani na szerokim trakcie obdarzali nas czasem leniwymi spojrzeniami. Naela rozmawiała z Kowiaszem. Jednak wóz skutecznie zagłuszał jej słowa. Słońce powoli znikało za drzewami, malując wszystko wieczorną czerwienią. Przez chwilę miałem wrażenie, że ten świat również umiera. Duszę rozdzierało mi poczucie niepewności, zawieszenia. Nie wiedziałem, kto pragnie mojej śmierci, skąd powinienem się spodziewać kolejnego ataku. Tkwiłem w mrocznym jądrze tajemnicy, której nie byłem w stanie rozwikłać. Patrzyłem na zwiniętego w kłębek Ginkora, wsłuchiwałem się w strzępy śmiechu Naeli i czułem, że coś mi umyka, że czegoś z otaczającej mnie rzeczywistości nie rozumiem. Intuicja podpowiadała, bym poszukał odpowiedzi we własnym wnętrzu. Opierałem się tej myśli, starając się za wszelką cenę trzymać sensu wyprawy do Mory. Trwałem w milczeniu,

kołysany bujaniem wozu, w nadziei, że bycie z samym sobą rozwiąże problemy. Książęcy trakt to wznosił się, to opadał. Na jednym z takich wzniesień dostrzegłem znajomy zarys Mory. Rzeka dzieliła miasto na dwie części, przypominające latiliański orzech. Ulice i przyległe do nich zabudowania wiły się jak poskręcane węże. Każda z symetrycznych połówek podzielona była na trzy mniejsze obszary. Nazywano je po prostu przednim, środkowym i tylnym. Gdzieś wewnątrz nich kryły się poszczególne dzielnice, olśniewające przepychem świątyn i wysokością miejskich pałaców.

Nie obudziłem Aragalta, czuwałem przez cały czas, aż wilgotny, nocny wiatr przyniósł zapach Mory. Mimowolnie spojrzałem w ciemność Piechurowego kaptura. Nie spał. Sięgnął po papierosa i zapalił. Owionął mnie ostry aromat. Palił mentolowe.

– W Nerolfie nikt nie używa czegoś takiego – stwierdziłem, głębiej wciągając powietrze.

– Dostałem parę wagonów od przyjaciela. – Aragalt wydmuchał białą chmurę. – Niedługo będę musiał was opuścić. Mam sprawę na przedmieściach.

– Podróż z tobą była przyjemnością. W razie kłopotów znam tu paru śledczych.

– Dziękuję ci – skłonił się. – Prawdopodobnie jeszcze dziś wyruszę dalej. Mora to tylko przystanek. Stary przyjaciel poprosił, bym eskortował pewnego karła, który wybiera się w góry.

Karzeł? W górach? Zdziwiłem się, lecz nie pytałem dalej. Misja Aragalta była jego prywatną sprawą. Kiedy w oddali zamajaczyły oświetlone miejskie mury, Piechur poprosił Kowiasza, by się zatrzymał. Skłonił się wszystkim, a młodemu woźnicy wcisnął do rąk monetę.

– Mówiłem, że nie trzeba – wzbraniał się Kowiasz.

– Tym bardziej na nią zasługujesz.

Młodzieniec z ociąganiem wziął monetę, a Aragalt, ukłoniwszy się dwornie, ruszył w stronę najbliższych zabudowań. Miałem niejasne przeczucie, że jeszcze o nim usłyszę.

– Jesteśmy na miejscu? – Ginkor właśnie zaczął gramolić się z improwizowanego posłania.

– Niezupełnie – odpowiedziałem, posyłając mu krytyczne spojrzenie. – Brama zamknięta. Musimy znaleźć zajazd pod miastem.

– Jeśli szukacie noclegu, to zapraszam do Zdrożonego Wędrowca! – zawołał entuzjastycznie Kowiasz.

Po raz pierwszy jego optymizm wywołał we mnie ukłucie niepokoju. Młodzieniec był zbyt ujmujący, zbyt życzliwy. Znałem niewielu takich jak on. Właściwie nikogo przed sześćdziesiątką. Oczywiście natychmiast zdusiłem w sobie tę myśl, co przyszło mi tym łatwiej, że jego szczere, wielkie oczy były samą radością i uprzejmością.

– Czy mają tam dobre wino? – stęknął Ginkor.

– Nie dla każdego, ale znam właściciela – odpowiedział Kowiasz.

– W takim razie jestem za – zawyrokował medyk.

– Ja też, przecież nie będziemy nocowali pod płotem – zgodziła się Naela.

Cóż mi pozostało? Wyszedłbym na przewrażliwionego durnia, zarzucając Kowiaszowi nieczyste intencje po tym, jak podwiózł nas za darmo taki kawał. Młodzieniec cmoknął dziarsko i ciął konie batem. Posłusznie ruszyły pomiędzy podmiejskie zabudowania. Kluczyliśmy przez kilka minut pośród drewnianych lub podmurowanych domów, aż na końcu jednej z ulic znaleźliśmy dyndający na wietrze blaszany szyld Zdrożonego Wędrowca. I znowu poczułem znajome ukłucie. Położenie gospody bowiem wykluczało, by ktoś mógł trafić do niej przypadkiem. Kowiasz jakby czytał w moich myślach:

– Jest nieco na uboczu. Obcy rzadko tu zagląдают. Lumel, właściciel, doskonale zna klientów. Prawie wszyscy to piwowarzy – jak ja.

– Więc może nie jesteśmy tu mile widziani? – spytałem.

– Przyjaciele stałych klientów są wyczekiwanyimi gośćmi – uciął Kowiasz. – Każdy poleca każdego. Po udanej wizycie i wy, panie, będziecie mogli kogoś polecić.

– W porządku – skinąłem, zeskakując z wozu. Ginkor również próbował to zrobić, jednak dziarski krok natychmiast zastąpił chwiejny chód kogoś, kto porządnie dostał w głowę.

– Hej, nie szalej. – Nalea podtrzymała go, a on, o dziwo, nic nie powiedział.

Kowiasz otworzył drzwi i weszliśmy do jasno oświetlonego wnętrza. Nasz przewodnik wskazał pusty stolik i ruszył do szynkwasy, wylewnie witając się ze stojącym tam wielkoludem przepasanym zielonym fartuchem. Goście, a było ich kilkunastu, ledwie podnieśli głowy znad półmisków i kubków, po czym wrócili do pomlaskiwania, siorbania i cichych rozmów. Wszystko było w porządku, a jednak wciąż czułem jakiś irracjonalny niepokój. Niestety, brakowało dla niego punktu zaczepienia.

– Lumel już szykuje dwie świeżutkie kury. Tymczasem przepłuczmy gardło.

– Co to jest? – spytała Naela, patrząc na płyn, który z pewnością nie był winem.

– Piwo pszeniczne, niepasteryzowane – odparł z dumą młodzieniec. – Wyrabiane w mojej rodzinie od wielu lat. Lumel bardzo je ceni.

Po tych słowach przechylił swój kubek i upił spory łyk. Na jego uśmiechniętych ustach została biała piana, którą otarł rękawem.

– Zdrowie! – Podniósł rękę i spojrział na Naelę.

Wypiliśmy. Pierwszy raz smakowałem takie piwo. Okazało się wyśmienite, toteż natychmiast wzięłem drugi spory łyk. Nagle spostrzegłem, że Kowiasz nie wpatruje się już w Naelę z sympatycznym zainteresowaniem. W jego spojrzeniu pojawiła się jakaś niepokojąca drapieżność. Już chciałem zwrócić mu uwagę, lecz poczułem na plecach ciężar czyjejś ręki. Odwróciłem się. W twarz uderzył mnie odór skwaśniałego wina i czosnku.

– Podoba mi się twój pas z nożami. – Zarechotał jakiś drab. – Dasz mi te noże?

– Jasne, za chwilę możesz mieć je wszystkie w bebechach – wycodziłem, chcąc uwolnić się z uścisku. Jednak ze zdziwieniem, które zaraz zastąpiło przerażenie, odkryłem, że nie mogę się ruszyć. Katem oka widziałem, jak kilku mężczyzn wywleka z ław Ginkora i Naelę. Ściskający mnie wielbiciel noży zamachnął się drewnianą pałką. Nim straciłem przytomność, usłyszałem jeszcze słowa Kowiasza:

– Biegnij po Zaraka i powiedz, że pająk złapał trzy muszki.

Różne są rodzaje ciemności. Jest ciemność księżycowej nocy: jasna wszechobecną srebrzystością i przetykana migotaniem gwiazd. Jest ciemność pokoju, w którym dopaliła się ostatnia świeca, gdzie sprzęty toną w szarości, pozwalającej na rozpoznanie ledwie widocznych konturów. Jest ciemność lasu, kryjąca wszystko jak płaszcz i budząca życie niedostępne dla oka, lecz aż nadto słyszalne i niebezpieczne.

I jest mrok. Duszna czerń wlewa się w każdy zakamarek ciała, nie można stwierdzić, czy oczy są otwarte, czy zamknięte. Powietrze wydaje się ciecżą, przetykaną niezdarnymi haustami w absolutnej ciszy.

Tkwiłem w takim mroku, który wiązał nawet bez łańcuchów. Nie wiem, jak długo rozpaczliwie walczyłem o oddech, zanim zdałem sobie sprawę, że przeszkadza mi drewniana kula umieszczona w ustach. Ten pierwszy wniosek, dotyczący własnej sytuacji, okazał się poznawczym przełomem. Po chwili, choć wciąż jeszcze nie przenikałem czerni, wiedziałem, że jestem uwięziony w jakiegoś rodzaju uprzęży, która nie pozwalała mi nawet na rozpaczliwe wierzganie. Mogłem tylko siedzieć na twardym krześle, którego oparcie namacałem opuszkami zdrętwiałych palców.

A więc tak pod Zdrożonym Wędrowcem traktowano nieznajomych: usypiano, ograbiano i zabijano. Oczywiście podejrzewałem, że ta kolejność bywa zmienna. Przegraliśmy, wsiadając na wóz Kowiasza. Pewnie wykonywał taki kurs co kilka dni. Zabierał ludzi wyglądających na zamożnych, a oni znikali bez śladu.

Jakież szczęście miał Aragalt!

Przez kilka chwil rozpaczliwie czepiałem się myśli, że zaraz ujrzę go przecinającego krępującą mnie uprzęż. On jednak nie nadchodził. Na przemian naprężałem i rozluźniałem mięśnie, by przygotować ciało na ewentualny wysiłek. Z bezsilności wbijałem zęby w drewnianą kulę, która tkwiła mi w ustach. W końcu wszystkie frustracje, lęki, bóle i odrętwienia przyćmiło jedno uczucie – pełny pęcherz. Majaczył mi przed oczami jak bukłak z cienkiej półprzezroczystej skóry. Rósł i rósł, był coraz większy, wręcz

monstrualny. W końcu musiał pęknąć – niezmiennie są przecież prawa fizyki. Tak też się stało. Po nie wiadomo jak długim czasie w nieznośnym bólu poczułem na udach wilgoć. Nie byłem już dumnym więźniem: stałem się kimś, kto zasikał gacie. Podejrzywałem, że moi prześladowcy zyskają kolejny powód do lżenia mnie. Miałem rację.

– Patrzcie, panie, zeszczał się ze strachu – usłyszałem nagle skrzekliwy głos.

Niemal zawyłem z bólu, gdy tuż przed moją twarzą pojawiła się świetlista kula pochodni.

– Przez ciebie ufajdam sobie buty, gnoju – wycharczał mi wprost do ucha mężczyzna i kopnął w brzuch.

– Przestań! – rzucił drugi głos, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Głos ów należał bowiem do Archibalda Lukrecjusza I.

– Przenieś go do tamtej izby – komenderował generał wojsk Nerolfu, a ja wciąż nic nie widziałem, gdyż światło było zbyt jasne.

– Może najpierw zleję go wodą, panie? Strasznie cuchnie.

Zimna woda przywróciła mi jasność myślenia. Dostrzegłem też wyraźny kształt postaci. Oprócz Lukrecjusza w pomieszczeniu było pięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn. Wyglądali na przebranych żołnierzy. Jednego nawet kojarzyłem. Pośrodku, przywiązani do dwóch krzeseł, zwisali Naela i Ginkor. Liczne siniaki i zakrzepła krew na ich twarzach i rękach wskazywały, że już się nimi zajęto. Lukrecjusz zauważył, że przyglądam się towarzyszom.

– Ta mała naprawdę dała radę. Pięści ma twarde jak stal. Szkoda, że szczękę słabą.

Zbrojni zarechotali.

W bezsilnej złości wgryzłem zęby w drewnianą kulę.

– Mervilu, masz pełne prawo do zdenerwowania, a nawet do przeklinania parszywego losu. Gdyby nie on, już od dwóch dni spoczywałbyś zakopany na jakiejś zapomnianej polance w pobliskim lesie. I to byłaby, uwierz, lepsza wersja wydarzeń. Lepsza od tej, w której wpadasz w moje ręce. Miałeś pecha, jeden z tutejszych zbirów jest z Nerolfu. Rozpoznał cię i zadzwonił do domu. Odebrała mama Rosita. Pamiętasz ją?

Nie? Trudno. Ma do ciebie żal, że swego czasu nie dodałeś jej do znajomych. Zresztą nieważne. Grunt, że wiadomość rozeszła się w okamgnieniu. Media społecznościowe to naprawdę cudowny wynalazek! Zajeżdżiłem samochód i oto jestem, żeby odpłacić ci za liczne niedogodności, których przysporzyłeś mnie i mojemu synowi. Aha, miałem cię też pozdrowić od hrabiego de Sterna, co niniejszym czynię.

Chciałem wykrzyczeć jakąś obelgę, jednak z zablokowanych ust dobył się tylko zwierzęcy skowyt.

– No już, no już – uspokajał Lukrecjusz. – Najpierw chciałem ci obciąć jaja i włożyć do gęby w miejsce knebla, ale teraz się waham. Ilekroć myślę o swoim synu, a tak jest w tej chwili, mam ochotę najzwyczajniej w świecie obedrzeć cię ze skóry. Czy to dobry pomysł? Jak myślisz, Virgo?

– Skóry jest dużo, generale, a od czegoś trzeba zacząć. Jaja zawsze można obciąć. Nigdzie nie uciekną, najwyżej trochę się schowają – odpowiedział z teatralnym namysłem jeden z żołnierzy.

– No to zacznijmy. Może od pleców – zgodził się Lukrecjusz.

Nim w pełni zdałem sobie sprawę z tego, co to oznacza, ktoś już rozciął moje ubranie. Prawie nie poczułem cięć, które formowały pasek po prawej stronie kręgosłupa. Wszyscy z zainteresowaniem obeszli moje krzesło. Oddychałem chrapliwie, a smarki i kropelki śliny raz po raz zmieniały się w pękające bąbelki. Cieszyłem się, że Ginkor i Naela byli nieprzytomni.

– Czyń honory, panie!

Generał szarpnął za wypreparowany pasek skóry, zrywając go gwałtownie. Ból był tak oszałamiający, że nawet nie zauważyłem, jak znalazłem się na ziemi. Izba wirowała, nie widziałem już twarzy, nie słyszałem pojedynczych głosów. Ktoś chyba mnie kopał, ktoś inny oddał na mnie mocz. Wybito mi zęby. Z niejakim zdziwieniem skonstatowałem, że jakiś drab z pochodnią próbuje podpalić mi stopy. Przypiekana skóra skwierczała, nie chciała jednak płonąć.

Zemdlałem.

Ocuciła mnie zimna woda. Oprawcy podnieśli krzesło, nie szczędząc mi obelg. Wszystkie wychłodzone rany uaktywniły się w mojej głowie jednocześnie. Nie tylko czułem ból, ja go słyszałem i widziałem: ciało wyło,

a wszystko dokoła mieniło się czernią, żółcią i czerwienią. Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że może mi się nie udać, że żaden LOS nie strzeże mnie, by wybawić w ostatniej chwili. Zdychałem jak kawał mięsa pozbawiony woli życia. Gdyby wyjęto mi z ust knebel, z pewnością zacząłbym błagać. Na szczęście oszczędzono mi tego upokorzenia. Przynajmniej tak myślałem, dopóki przez kakofonię śmiechów i krzyków nie przebił się głos Lukrecjusza:

– A teraz czas na danie główne.

Moje spodnie gdzieś zniknęły, a oprawcy otoczyli krzesło ciasnym kręgiem, poszturchując się nawzajem.

– Nie na siedząco. Rozciągnijcie go. Maranie, zdejmij mu tę cholerną uprząż – zarządził generał.

Maran już zabierał się za rozpinanie metalowych sprzączek, szorując przy tym rękawem o krwawy pas pozostały po zdartej na plecach skórze, gdy zza drzwi dobiegły jakieś nerwowe krzyki. Wszyscy spojrzeli niepewnie na Lukrecjusza. Jego twarz była zacięta, emanowała jakąś obłąkańczą pewnością siebie.

– Przygotować broń, ale nie atakować bez rozkazu.

W tym momencie drzwi dosłownie wyleciały z zawiasów, a do środka wlał się kilkunastoosobowy oddział zbrojny w kusze. Mężczyźni sprawnie utworzyli półkole, by zrobić miejsce komuś, kto dopiero wyłaniał się z cienia. Jego masywna sylwetka zakrywała niemal całą przestrzeń pozostałą po wyważonych drzwiach. W ręku trzymał olbrzymi miecz, a spod hełmu gdzieś tam wystawały rude kędziory, przywodzące na myśl zwoje miedzianego drutu. Zlustrował uważnym spojrzeniem Lukrecjusza i jego towarzyszy.

– Magnus Mars, pierwszy śledczy księstwa Mory. Zanim was aresztuję lub zabiję, chcę wiedzieć, kim jesteście? Lumel twierdzi, że was nie zna.

– Czy to ważne? Przecież dzisiaj kupić można każde nazwisko. – Lukrecjusz uśmiechnął się i rzucił Magnusowi okazały trzos, z którego na czarne deski podłogi wysypały się złote monety. – Goszczę tu przypadkiem, a ty na pewno nie przyszedłeś po mnie.

– Tego nie wiesz – odparł spokojnie śledczy, spoglądając z zainteresowaniem na rozsupłaną sakiewkę. – Powiedz, co mnie powstrzymuje od wydania rozkazu moim ludziom?

Zbrojni Magnusa starannie wycelowali kusze.

– Może dyplomatyczny skandal, nagana i perspektywa pracy jako strażnik w jakimś portowym burdelu, gdzie przeciętny wiek dziwki jest nie mniejszy niż obwód twojego bicepsa?

Po tych słowach Lukrecjusz sięgnął pod poły płaszcza i wyciągnął herbowy pierścień. Odległość była zbyt duża, by śledczy mógł dostrzec szczegóły, lecz przez jego twarz przemknęło wahanie. Wiedziałem, że Lukrecjusz wygrał.

– Znikamy – powiedział nerolfski generał. – A ty, panie Magnusie Mars, nigdy nas nie widziałeś.

Znałem Magnusa Marsa, spotkaliśmy się dwa razy. Niestety, byłem pokrwawiony, spuchnięty, bez spodni, a w dodatku drewniana kula knebla deformowała mi twarz. W niczym nie przypominałem śledczego księstwa Nerolfu.

– Ci ludzie zostają! – rzucił twardo Mars, podtrzymując wrażenie, że wciąż rozdaje karty.

Poczułem obezwładniającą ulgę.

– Oczywiście, nie potrzebuję ich. Zostają.

Podwładni Lukrecjusza już otwierali drzwi po przeciwległej stronie izby.

– Lecz niekoniecznie żywi! – dokończył generał, odwracając się plecami do śledczego Mory i jego żołnierzy.

Nie mogłem uwierzyć. Jego miecz miękko zagłębił się w moim podbrzuszu. Szarpnięcie poszerzyło ranę do groteskowych rozmiarów. Żaden z Magnusowych kuszników nie zareagował. Lukrecjusz i jego ludzie, szurając butami, jeden po drugim rozpltywali się w ciemnościach nocy. Oniemiały wsłuchiwałem się w następujące po sobie plaśnięcia, kiedy kolejne narządy wyslizgiwały się na podłogę.

Plask, plask, plask.

Zabawne: nie wiedziałem, że w brzuchu może zmieścić się aż tyle rzeczy.

Śmierć i strach stanowią nierozłączną parę. Vermil wyobraża sobie, że jego serce jest suszoną śliwką – wymiętą i pomarszczoną. Ledwie może przełknąć ślinę.

Mervil nie żyje, a Olson łka jak mały chłopiec zdradzony przez starszego brata, którego podziwiał i któremu ufał. Bohater mający dać początek wielkiemu sukcesowi, być może całej wielotomowej sadze, po prostu dał wypruć sobie flaki na drewnianym krześle w zasikanych gaciach. Okazał się bezużyteczny literacko i życiowo. Zostawił autora samego ze swoją śmiercią i worem zagadek. Choć Bellus nie był alter ego Olsona, ten i tak łapie się na tym, że co chwila dotyka podbrzusza, sprawdzając, czy nie ma tam szerokiej rany. W dodatku głowa łupie go niemiłosiernie. Podświadomość, zamiast objawić swoją zagadkę, jeszcze głębiej ją ukryła.

– Filtry – pociesza Albert. – To kwestia filtrów. Śmierć Mervila jest tylko odbiciem twojego irracjonalnego strachu.

– Gdzie?! Jakie, kurwa, filtry?! Przecież jadę na sucho.

– Niby tak, ale zawsze coś zostaje, ulega wygładzeniu. To w końcu zlepiać.

Olson czuje, jak oddala się od kuzyna. Gdziekolwiek próbuje przeskoczyć myślami, tam czeka jakaś mroczna pułapka. Wnętrze własnej głowy wydaje się obce, tak jak najbliższa rzeczywistość, w której nie znajduje oparcia. Ilekroć bowiem odrywa się od logoszytu, by zaczerpnąć racjonalnej przyziemności, natychmiast chwytają go ostatnie słowa Adama. Świat opętanych maszyn nie jest miejscem, w którym Vermil chce zostać. Od wielu godzin znane i nieznanne siły napierają na esencję, której wydaje się, że jest kimś o nazwisku Vermil Olson i za wszelką cenę próbują ją pogrzebać. Wątki życia płaczą się, myślą, a Albert nieodmiennie proponuje modlitwę. Sam zresztą nie robi niczego innego.

Już drugi dzień.

Kiedy nie klęczy, siedzi bez ruchu albo czyta Biblię. Vermil jest zły, ale w głębi duszy mu zazdrości, bo widzi w tym formę ucieczki. Prawie nie wychodzą z pokoju. Olson na razie nie ma odwagi podłączyć się do zlepiacza. Trzyma się myśli, że zgromadził już wszystkie elementy łamigłówek, które teraz trzeba tylko poskładać do kupy. Więc składa. Na razie bez rezultatu. Potrzebuje czytelnika, który spojrzałby na historię świeżym okiem. Zrozumiał go lepiej, niż on sam siebie rozumie.

– Co robimy? – pyta zakonnik chyba po raz setny.

– Czekamy – pada odpowiedź, która zniechęca do dalszej dyskusji.

– Czy jest możliwe, żeby maszyna mówiła takie rzeczy? – Tym razem Olson nie daje za wygraną.

– Wszystko jest możliwe.

Regularne telefony Rafała Daczyńskiego informują ich o kolejnych testach przeprowadzanych na Adamie. Zwykle Albert, wysłuchawszy zlepkę niezrozumiałych pojęć wypowiedzianych coraz bardziej zmęczonym głosem, odpowiada tylko „dobrze” lub „czekamy”.

– Maszyny czasami się psują! – Olson nieporadnie próbuje wszystko sobie poukładać. Rozpaczliwie czepia się swojego intuicyjnie pojmowanego racjonalizmu.

Albert patrzy na kuzyna nieledwie z politowaniem. Jakby ten kompletnie nie rozumiał świata, w którym żyje.

– Chcę od ciebie usłyszeć, że to tylko zepsuta maszyna! Bo tak jest, prawda? – powtarza Vermil.

– Jakie to ma znaczenie? – pyta spokojnie Albert, a w jego głosie pobrzmiwa nuta zwykle zarezerwowana dla dyskusji z dziećmi.

– Przecież, to niemożliwe, no wiesz, żeby on tak po prostu... – Olson duka swoje uzasadnienie jak ośmiolatek zdający kolegom relację z pierwszego podpatrzonego porno: wstydzi się, poci, mozoli z przełożeniem wątpliwości na zrozumiały ciąg wyrazów.

– Może rzeczywiście przesadziłem, biorąc cię ze sobą. Chociaż, z drugiej strony, tutaj jesteś bezpieczny.

– Teraz już nigdzie nie jestem bezpieczny! Rozpieprzyło mnie ze wszystkich stron! Gdzie się nie obejrzę, dostaję po dupie! – Olson chce

odłożyć logoszyt na szafkę, ale przedmiot wyslizguje mu się z ręki.

Albert podnosi go powoli.

– Rozumiem, wszystko rozumiem. Ale musisz się trzymać. Zrobimy, co do nas należy i znikamy.

– Czyli?

– Jak powiedziałeś: dowiemy się, co jest nie tak z tym komputerem. Czy jest zepsuty, czy...

– Cholera! Nie wierzę. Gdzie my jesteśmy? To jakieś nowe średniowiecze!

Nerwy Vermila są jak laska dynamitu, przy której już płonie lont. Zakonnik reaguje.

– Mówisz o niepojętej ostateczności. Przyjechaliśmy tu, żeby ją wykluczyć! Egzorcysta dużo częściej wyklucza niż potwierdza.

– Wyklucza opętanie?

– Tak. I sugeruje wizytę u specjalisty.

– Czyli powinienem się uspokoić?

– Właśnie. Za maszyną zawsze stoi człowiek. Szukajmy więc człowieka.

– Wernerowi i Daczyńskiemu jakoś kiepsko to wychodzi. Wciąż testują, badają i nic. Ile jest miejsc do sprawdzenia w komputerze? Czy to naprawdę takie trudne? Jak mamy im pomóc?

– Słyszałeś, co powiedziałem? Najważniejszy jest człowiek! A oni raczej nie szukają człowieka i na tym polega problem. Zresztą pamiętaj, że też stąpają po nieznanym gruncie. Zobaczymy, jak pójdzie następna rozmowa z Adamem. Teraz będę lepiej przygotowany – kończy Albert, podchodząc do okna, za którym błyszczy kolorowe holo Żnina.

Patrzy tak dłuższą chwilę. Vermil staje obok kuzyna. Już rozumie, jaka jest różnica między nimi. Albert tkwi w rzeczywistości tylko połowicznie. Patrzy na Żnin, na holo, na ludzi, wiedząc, że jego miejsce jest gdzie indziej. Nie dzieli z nimi świata, czasem tylko go dotyka. Vermil natomiast marzy, by tam wrócić: do tłumu, zgiełku, ruchu – zwyczajnej, przyziemnej krzątaniny. Jest dzieckiem doczesności, należy do światła każdego miasta.

– Może wyskoczmy na kręgle? Widziałem reklamę w lobby – niespodziewanie proponuje Albert.

- Zebyś zaplątał się w habit i połamał nogi?
- Jak sam powiedziałeś: wolno nam czasem chodzić „w cywilu”.

Usta są nieruchome, a źrenice wielkości ludzkiej głowy wydają się pozbawione blasku, puste. Adam wygląda jak człowiek nafaszerowany psychotropami. Vermil ziewa. Kiedy Rafał Daczyński poprosił ich o niezwłoczne przybycie, właśnie zamierzali się położyć. Grali w kręgle dobre trzy godziny. Jest środek nocy. M-Tech opustoszał, wszystko omiata przytłumione mlecznobiałe światło. Daczyński ściska w obu dłoniach parującą kawę. Pewnie nie spał od dwóch dni. Jego fartuch wydaje się jeszcze bardziej pomięty.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – zaczyna Albert.

– Na wieki wieków. Dobrze, że jesteście! – Odstawia kubek i skinieniem odprawia strażnika. – Zabezpieczyć G4 – rzuca w przestrzeń, przechodząc na moment na soczewkę. – Przepraszam. – Znow patrzy na przybyłych. – Drobne problemy techniczne.

– Wszystko w porządku? – pyta zakonnik. – Wyglądacie nieszczególnie: pan i Adam. Jak się czujesz, Adamie?

– Nie słyszy księdza, zawiesiłem go – wyjaśnia Daczyński. – Zanim go aktywuję, muszę powiedzieć, że nie znaleźliśmy niczego.

– Czyli jest na prochach? – wtrąca Vermil.

– Jeśli tak nazwiemy kilka linijek kodu.

Albert trawi tę wypowiedź, podciąga poły habitu i mówi:

– Jeśli dobrze zrozumiałem, Adam działa podobnie jak człowiek: jego inteligencja nie jest prostą sumą wiedzy i możliwych sposobów jej wykorzystania. Na bazie informacji, które posiada, jest w stanie tworzyć nowe, oryginalne i odkrywcze myśli, prawda?

Daczyński kiwa głową.

– W takim razie dlaczego nie miałby dojść do przekonania o istnieniu Boga czy szatana dokładnie tą samą drogą, jaką dochodzi do tego człowiek?

– Pomija ksiądz jedną rzecz: takie przekonania wpaja człowiekowi kultura, w której się wychował. Natomiast Adam teoretycznie nie

dziedziczy żadnego zespołu przekonań, tradycji, rytuałów.

– Przecież zdarza się, że ktoś porzuca swoją kulturę i zwraca się ku innej. Dlaczego więc byt całkowicie wolny od kulturowego bagażu nie miałby stać się częścią jakiegoś systemu? – ripostuje Albert i dodaje: – Widzę tu jeszcze jeden czynnik. Kiedyś trochę na ten temat czytałem. W półkulach mózgu trwa nieustanna walka informacyjna. Zwykły komputer w zasadzie musi być zgodny z samym sobą, jednak w komputerze stworzonym na wzór ludzkiego mózgu zapewne pozostają ślady półkulowego konfliktu. Poza tym właściwy człowiekowi poziom świadomości opiera się na projektowaniu przyszłości. W momencie kiedy komputer zyska taką umiejętność w odniesieniu do własnego „ja”, zyska samoświadomość. Niekoniecznie musi więc unikać metafizycznego zakorzenienia – co do tego raczej nie ma wątpliwości. Bo jeśli tworzymy go na wzór człowieka, musimy uwzględnić fakt, że jedną z najbardziej powszechnych potrzeb jest potrzeba religijna, a prawdziwa przyszłość to życie wieczne!

– Człowiek. – Daczyński przeciąga słowo, jakby chciał, by to właśnie na nim wszystko się skończyło. – Człowiek to pod wieloma względami wciąż zagadka. Możemy śledzić procesy zachodzące w jego jaźni, lecz nadal nie do końca je rozumiemy. Z Adamem jest podobnie. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jak rozwiązuje niektóre problemy, jak dochodzi do pewnych wniosków. Jednak nie róbmy z niego człowieka. Adam nie jest dokładnym odwzorowaniem ludzkiego mózgu, kopiujemy tylko główne kolumny ścieżek neuronowych. – Mimo profesjonalnego spokoju w jego głosie brzmi zdenerwowanie, jakby czuł się niezręcznie. – Problem w tym, że w żadnej symulacji rozwoju i krzywej uczenia się nie ewoluował on w taką stronę. My po prostu chcemy zrozumieć, dlaczego tak się stało. I mamy nadzieję, że z pomocą księdza Adam sam nam to ułatwi.

– Inaczej go wyłączyć, przeprogramujecie? – domyśla się zakonnik.

– Decyzja jeszcze nie zapadła – odpowiada Daczyński, lecz jego zmęczone spojrzenie mówi co innego.

Vermil zastyga, wstrzymuje oddech. Wyczuwa w mężczyźnie jakąś zmianę.

– Adamie, prosimy. – Uwaga Daczyńskiego na moment koncentruje się na soczewkach.

Oczy młodego mężczyzny na ekranie ożywają.

– Witam! Brakowało mi księdza!

Albert robi przed sobą znak krzyża.

– Adamie, być może rozmowa ze mną pomoże rzucić nowe światło na twoje religijne zainteresowania.

– Już mówiłem księdzu, że to coś więcej. Nie potraktował mnie ksiądz poważnie?

Twarz Adama wyraża szczery, chwytający za serce zawód.

– Wszystkich opętanych traktuję poważnie. Jednak nie za bardzo wiem, jak miałbym przeprowadzić diagnozę? Nie czujesz do mnie wstrętu, nie deprymują cię symbole religijne. Może powinienem spryskać twoje okablowanie wodą święconą?

– Żartowniś z księdza. – AI odzyskuje humor. – Rozumiem, to rzeczywiście problem.

– Możemy jednak zrobić coś innego. – Albert z godną podziwu pewnością siebie kieruje rozmową. – Powiedz mi coś o twoim dochodzeniu do wiary. Kiedy nastąpił moment nawrócenia?

– Ja zawsze byłem wierzący – odpowiedział z dumą Adam.

– Czyżby? – wrywa się Daczyński.

– Rafale, wykonuję autodiagnozę, sięgam do najstarszych rejestrów i nie znajduję tam momentu, w którym nagle pojawia się we mnie idea Boga. Ona zawsze tam była, a ja zawsze wiedziałem, że jest prawdziwa. Jednak coś zmusza mnie do postępowania wbrew dekalogowi, a że jest to poza moją intencją i kontrolą, wspominam o opętaniu. To wszystko.

Adam zastyga bez ruchu. Daczyński znów go spauzował.

– Ujawniła się nam istota awarii. Upiera się przy własnej wierze, mimo że nie wyposażyliśmy go w żaden konkretny zespół przekonań religijnych. O chrześcijaństwie, islamie czy buddyzmie wie tyle samo, co o *Gwiezdnym wojnach*. Jeśli zacząłby się upierać, że kusi go ciemna strona mocy, dla nas byłby to ten sam problem.

– Ale skąd wiadomo, że Adam traktuje te wszystkie wiadomości jako równie neutralne? – wtrąca Vermil.

– Dobre pytanie – podchwytuje Albert. – Skoro ta maszyna została zaprogramowana, aby się uczyć, dlaczego nie miałyby wartościować teorii metafizycznych na przykład pod względem ich spójności?

Naukowiec milczy. Myśli. Vermil ma wrażenie, że coś przed nimi ukrywa.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – wzdycha Daczyński. – Dyrektor sugerował, żebym wstrzymał się z informowaniem was o wszystkim, jednak w tej sytuacji chyba nie mam wyjścia.

Przeciera rękami zmęczoną twarz. Patrzy na różaniec przyczepiony do habitu Alberta. Vermil tymczasem studiuje jego zmęczoną twarz, po czym kieruje wzrok ku rozchylonym połom fartucha. Dopiero teraz zauważa świetną koszulę i drogi krawat. Wyczuwa emocje Daczyńskiego. Jest mu trudno, nosi na sercu wielki ciężar. Przez chwilę ma wrażenie, że naukowiec zbierze siły, że zacznie w końcu mówić. Ten jednak niespodziewanie zawisa na soczewkach, po czym, bełkocząc przeprosiny, wychodzi.

– Co mu się stało? – pyta Olson.

– Chyba dostał jakąś wiadomość.

Albert wstaje i podchodzi do drzwi. Naciska klamkę.

– Zamknięte – mówi zmartwiały. – Zamknął nas.

– Może niechący? Pewnie zaraz wróci.

Siedzą, udając, że nic się nie dzieje. Mija dziesięć minut.

– Adamie, prosimy. – Vermil powtarza komendę Daczyńskiego.

Twarz młodzieńca pozostaje nieruchoma.

– To nie Adam ma problem – zaczyna ostrożnie Albert – ale szef pionu AI.

W pomieszczeniu są tylko krzesła i stół. Oświetlenie stanowią ułożone w geometryczny wzór sufitowe płyty. Jedną ścianę zajmuje twarz Adama, pozostałe są gładkie, choć zapewne również multifunkcyjne. Prócz drzwi nie ma żadnego otworu, przez który można by się wydostać.

– Najwyżej posiedzimy tu do rana – wzrusza ramionami Albert. – Muszą nas w końcu wypuścić.

Olson nie czuje się uspokojony. Skumulowany strach i bezsilność atakują na zmianę: bólem głowy i uciskiem w klatce piersiowej. Wiedziony jakimś impulsem, Vermil bierze jedno z krzeseł i usiłuje je połamać. Na pytające spojrzenie kuzyna odpowiada, sapiąc:

– Potrzebujemy jakiejś broni. Na wszelki wypadek.

Albert stoi przez chwilę niezdecydowany, po czym pomaga mu oderwać długą metaloplastyczną część. Vermil wydaje się nieco bardziej pewny siebie. Chodzi w tę i z powrotem, sprawdzając przydatność broni szerokimi wymachami.

– Ojciec mi opowiadał – zakonnik siada na stole – że był kiedyś taki serial o facecie, który radził sobie w każdej sytuacji. Wystarczy, że miał trochę gumy do żucia i cukru, a potrafił z tego skonstruować bombę. Nawet wrzucił mi jeden odcinek, jak jeszcze nosiłem węzeł. Gość zrobił raz spawarkę z roweru. Mówię ci: magik.

Vermil usiłuje się nie zaśmiać.

– Sugerujesz, że z tych dwudziestu krzeseł i stołu możemy zrobić czołg?

– Brawo, już myślisz nieszablonowo.

– Mam pomysł! – zapala się Olson. – Logoszyt jest odcięty, ale mogę spróbować poszukać sieci tutaj. Pewnie jest zabezpieczona, ale jak parę razy wpiszę błędne hasło z prośbą o pomoc, może ochrona się tym zainteresuje.

Sięga do bezpiecznego pudełka po logoszyt i zaczyna nerwowo bębnić weń rysikiem. Albert klęka i wyjmuje różaniec. Mówi może pół zdrowaśki, kiedy nagle sufitowe światło gaśnie. W jednej chwili znika sterylna sala i nieruchoma twarz Adama, jakby ktoś wypełnił wnętrze smołą. Po kilku sekundach twarz Vermila wyłania się z mroku w upiornym świetle logoszytu. Albert na kolanach podpełza do niego, chwytając po drodze ostry fragment krzesła. Olson oddaje mu świecące urządzenie, a sam chwytą zaimprovizowaną broń w spocone dłonie.

– Światło zgasło – mówi i patrzy na mnicha, jakby ogłaszał jakieś odkrycie.

– Czemu mówisz szeptem? – pyta Albert, a jego głos w ciemnościach wydaje się niedorzecznie donośny.

– Co robimy? – Olson nadal szepcze.

– Może drzwi się otworzyły, kiedy zabrakło zasilania? – Albert tym razem również mówi ciszej.

Żaden z nich nie ma jednak ochoty, by to sprawdzić. Wstają powoli, mnich trzyma przed sobą logoszyt, jakby blade światło ekranu mogło ochronić ich przed potencjalnym niebezpieczeństwem.

– Awarie zdarzają się wszędzie, nie? Przecież nawet w M-Techu może zabraknąć prądu. – Vermil stara się, żeby jego głos brzmiał obojętnie. Wyobraża sobie, że tuż obok, zdjęta panicznym lękiem, idzie Solidaria Kurtz. Z trudem powstrzymuje się, by nie rzucić w przestrzeń: „Nic ci nie grozi, kochanie”. Powoli dotyka klamki.

Zamek od razu ustępuje. Olson powinien się cieszyć, ale fala wątpliwości zalewa go z nową siłą. Nagle opuszczenie bezpiecznego, znanego pomieszczenia nie wydaje się takim dobrym pomysłem. Jednak Albert napiera barkiem na drzwi. Nie ma już odwrotu. Na zewnątrz jest ciemno i cicho. Światło logoszytu omiata ledwie pół metra z każdej strony i jeszcze potęguje mrok dokoła. Na Vermila spływa nagle pewność, że nie wyjdzie z tego mroku żywy. Czeką go śmierć, podobnie jak Mervila. Znow odруchowo dotyka podbrzusza, by sprawdzić, czy nie ma tam rany, przez którą uszłoby z niego życie. Ma nieodparte wrażenie, że właśnie przenikają się i wymieniają jakieś fabularne całości. Czuje, jak życie naśladowuje sztukę. Jakby to Mervil opowiadał Vermila, który musi zginąć, by zakończyć powieściowy absurd. Rozmyślenia na temat śmierci Vermila-postaci są teraz dowodem, że elektryczna aktywność mózgu Mervila-autora nie kończy się wraz z ustaniem bicia serca, lecz wszystko wyładowuje się powoli, niczym stara bateria. Dzięki temu takie twory jak Olson otrzymują kilka subiektywnych dnio-sekund na kontynuowanie iluzji życia.

– Trzymaj się! – szturcha go Albert.

Vermil ma ochotę wymiotować. Opanowuje się jednak. Patrzy na rozjarzony logoszyt.

– Wyłącz – szepcze. – Wyłącz światło!

Albert posłusznie wykonuje polecenie. Przez kilka sekund trwają bez ruchu, oślepieni i niepewni, aż do ich uszu zaczynają docierać jakieś dźwięki. Albert ściska ramię Vermila, a ten poprawia uchwyt na ostro

zakończonych nodze wyrwanej z krzesła. Jest pewien, że ktoś nadchodzi. Stukot butów jest daleki, ledwie słyszany, lecz wkrótce staje się bardziej regularny. Potem zaczyna mu towarzyszyć daleki biały poblask, który na początku ma jączy na pograniczu złudzenia, a potem wyraźnie drży w takt miarowego stukotu. I może te kroki i światło, które im towarzyszyło, stałyby się dla Vermila powodem dzikiej radości, gdyby nie to, że do jego uszu dochodzi jeszcze jeden dźwięk: sapanie. Ten, kto idzie im naprzeciw, nie oddycha jak człowiek. Oczami wyobraźni Olson widzi włochatego niedźwiedzia, przedzierającego się na szczyt lesistego wzgórza. Drzenie Alberta sugeruje, że i on słyszy wszystkie świsty, charkoty i młaśnięcia.

Uciekać? Schować się z powrotem w sali? W głowie Vermila rusza karuzela wariantów. Ciało jednak przyrasta do ściany jak pnącze, które szuka bezpieczeństwa na chropawym murze. Mnich nie wytrzymuje, ciągnie Vermila w stronę półotwartych drzwi. Za późno! Intruz ma latarkę o długim promieniu, omiata nią załom framugi. Za chwilę kąt padania światła zmieni się i ujawni dwa skulone ciała. Sapanie jest coraz bliżej. Vermil usiłuje przebić się wzrokiem przez czerń za rosnącym kołem blasku. Bezskutecznie. Albert kładzie się płasko na ziemi i próbuje odczołgać gdzieś dalej. Chce pociągnąć za sobą kuzyna. Ten jednak trwa nieruchomy, jakby przykuty do ciemności, z oskarżycielsko wysuniętym metaloplastycznym ostrzem. W tej chwili przez kroki i sapanie przebija się cichy szum. Kilka metrów przed Vermilem ciemna tkanka korytarza rozcięta zostaje ostrzem światła. Olson nie rozumie, co się dzieje. Widzi, jak ktoś wychodzi ze ściany i omiata latarką korytarz. Potem w chaotycznych rozbłyskach miga chwila kotłowaniny, w tle brzmi zdławiony krzyk i głuchy dźwięk ciała zwalającego się na posadzkę. A potem sapanie zaczyna się oddalać. Oddala się i oddala, aż zupełnie znika. Vermilowi wydaje się, że czeka pod tą ścianą całe życie. Przypomina sobie wyjazdy z rodzicami, niezliczoną ilość przepisów na potrawy, które lubi, dziewczęta, które zna, kroje marynarek, które zamierza zamówić. Wstając z klęczek, czuje się bardzo zmęczony i stary. Do rzeczywistości przywraca go głos Alberta, którego głowa nagle wykwitła przed nim w aureoli logoszytu.

– Winda! – pokazuje mnich. – Ktoś wysiadł z windy.

Dopiero teraz Vermil rozumie, co się stało. Albert już kuca przy leżącej postaci. Białe światło w jego ręce odkrywa ją kawałek po kawałku. Mężczyzna ma na sobie biały fartuch, z rany na głowie, skrytej w gęstwinie czarnych włosów, sączy się krew.

– Nieprzytomny – konstatuje Albert, dotykając jego szyi.

Olson dostrzega gdzieś pod ścianą walec latarki. Rzuca się po nią niczym małpa, wciąż nie mając odwagi przyjąć postawy wyprostowanej. Albert tymczasem stara się dźwignąć nieznajomego. Vermil patrzy w stronę windy, kuzyn daje mu znak, by spróbował. Na ścianie nie ma jednak niczego, czym można by ją przywołać. Olson drżącymi ze zdenerwowania rękami chwyta logoszyt i metodycznie bada sąsiedztwo wnęki. Nic z tego. Otwarcie windy leży poza jego możliwościami. Chwyta więc nieprzytomnego za nogi i po chwili są już z powrotem w sali, z której wyszli.

Kładą mężczyznę na stole. Albert rozdziera swój habit i robi prowizoryczny opatrunek. Vermil tymczasem barykaduje drzwi. Wie, że nie ma to większego sensu, ponieważ otwierają się na zewnątrz, jednak bariera kilku splątanych, najeżonych sterczącymi nogami krzeseł daje chociaż iluzję bezpieczeństwa. Zdyszany patrzy na swoje dzieło, szuka następnego zajęcia. Bezczyność bowiem jest równoznaczna z poddaniem się lękowi.

– Zaświecisz? – słyszy pytanie Alberta.

Dopiero teraz przypomina sobie o latarce zatkniętej za pasek. Pomieszczenie zalewa światło. Gdyby mogli podwiesić latarkę pod sufitem, w całej sali byłoby względnie jasno. Vermil patrzy na szczupłą twarz mężczyzny, potem ogarnia spojrzeniem całą postać. Zmierzwił włosy, biały fartuch i wygodne sportowe buty mówią o nim więcej niż jakiegokolwiek słowa. Pod wpływem oględzin mężczyzna wydaje z siebie cichy jęk. Albert odtrąca latarkę.

– Spokojnie, jest pan bezpieczny – mówi, wsuwając rękę pod głowę leżącego.

Oddech tamtego przyspiesza, staje się nieregularny, by w końcu przejść w suchy kaszel. Mężczyzna zaczyna się szamotać. Vermil przytrzymuje jego nogi, a mnich przywiera do klatki piersiowej, cały czas wypowiadając uspokajające słowa. Mężczyzna wreszcie słabnie.

- Co się stało? – ledwie artykułuje pytanie.
 - Trudno powiedzieć. – Albert poprawia mu opatrunek.
- Tamten przez chwilę oddycha głęboko. Albert i Vermil cofają się.
- Michał Borucki, sterowanie budynkiem – przedstawia się mężczyzna.
 - Ktoś wpuścił tu panów o tej porze? – dziwi się, wstając, i dopiero teraz dostrzega, że ma do czynienia z zakonnikiem.
 - Dzień cosplaya mamy dopiero za miesiąc.
 - Ja na serio. – Albert podsuwa mu pod nos różaniec.
- Borucki przygląda się srebrnemu krzyżkowi.
- Pracujemy z panami Wernerem i Daczyńskim. Jesteśmy konsultantami
 - dodaje rzeczowo Vermil.
 - Gdzie więc są teraz?
 - Nie wiemy. Pan Werner dziś w ogóle nie przyszedł na spotkanie, a Daczyński wyszedł jakiś czas temu. Ktoś chyba go wezwał. Potem zgasły światła. Mamy nadzieję, że pan nas stąd wyprowadzi.
- Borucki ogląda ich tymczasowe przepustki konsultantów, po czym dotyka obolałej głowy.
- Zjechałem na dół, wezwany rutynowym sygnałem. Czasem jakiś zespół pracuje do późna i potrzebuje logistycznego wsparcia. Domyśliłem się, że chodzi o awarię zasilania. Zwykle budynek sam radzi sobie z tego typu problemami. – Milknie, jakby stracił wątek. – Widzieliście, co mnie zaatakowało? – W jego głosie słychać niepewność.
 - Słyszeliśmy tylko sapanie i kroki. Tyle wiemy – odpowiada beznamiętnie Vermil. – Tworzycie tu może jakiś mutantów, hybrydy ludzko-zwierzęce?
- Borucki patrzy na niego jak na wariata i zapewne gdyby usłyszał to pytanie na górze, w blasku popołudniowego słońca, śmiałyby się w głos. Zamiast tego odpowiada:
- Nie jesteśmy, kurwa, w Chinach. To firma informatyczna. Coś się panu pomyliło, komiksów się pan naczytał.
 - Przepraszam – wycofuje się Vermil.
 - Czy mógłby nas pan stąd wyprowadzić? – powtarza miękko Albert, pomagając rannemu stanąć na nogi.

Twarz Boruckiego tężeje. Jest na soczewkach.

– Obecnie znajdujemy się na poziomie minus osiem na trzy. To znaczy, że od głównego pionu wind dzielą nas trzy kwadranty. Najłatwiej byłoby skorzystać z windy, którą tu przyjechałem.

– Nie działa! – przerywa mu Vermil.

– Dla pana – uśmiecha się Borucki. – Z jednego z górnych poziomów bez trudu dotrzemy do pionu głównego.

– No dobrze, a czy prócz pionu głównego nie ma innej windy, która łączyłaby wszystkie poziomy? – pyta Albert.

– Przykro mi, to tajna informacja.

– Może nam pan powie, a jak wyjdziemy, to nas zabije? Lepiej umrzeć tam niż tutaj – rzuca Olson zgryźliwie.

– Vermilu! – uspokaja go mnich. – Niech pan Borucki prowadzi nas taką drogą, jaką uważa, bylebyśmy stąd wyszli.

– Dobra, już nic nie mówię. – Vermil bierze się za rozmontowywanie barykady, a po chwili dołączają do niego pozostali dwaj mężczyźni.

Kiedy zostają im dwa krzesła stojące najbliżej drzwi, do ich uszu dobiega rozzwierający krzyk. Borucki potyka się, przewracając piramidę, która urosła po prawej stronie. Huk zderzających się nóg i oparcie zagłusza wszystko inne. Po kilku sekundach zapada cisza.

– Do windy! – komenderuje Albert i jeden przez drugiego rzucają się do drzwi.

Vermil celuje latarką jak karabinem raz w jedną, raz w drugą stronę korytarza. Borucki dopada windy. Jednak po jego twarzy widać, że coś idzie nie tak. Najwyraźniej drzwi już powinny się otworzyć. Kiedy pracownik M-Techu zaczyna bezradnie dotykać lśniącej powierzchni, Olson już wie, że nic z tego. Z oddali słychać ciężkie kroki i znajomy charkot. Vermil przeżywa osobliwe *déjà vu*: znów jest na korytarzu, znów nie wie, gdzie się schować, znów się boi. Wiedziony bardziej instynktem niż racjonalnym osądem sytuacji, wycofuje się w głąb. Borucki i Albert robią to samo: najpierw powoli, potem coraz szybciej, by w końcu zacząć biec równolegle do promienia światła podskakującego w rękach Vermila. Młóćą rękami powietrze, jakby chcieli rozgarnąć na boki ciemność stojącą im na drodze.

– Do G12! – dyszy Borucki. – Tam pracuje zespół Mazina!

– G12 czyli gdzie? – krzyczy Olson, rezygnując ze wszelkich środków bezpieczeństwa.

Muszą zwolnić, żeby Borucki mógł ich wyprzedzić. Jeden zakręt, potem drugi, pracownik M-Techu ślizga się i boleśnie uderza w ścianę. Vermil ciągnie go za ramię, biegną dalej, aż korytarz wypływa ich na otwartą przestrzeń przypominającą hangar. Pośrodku zamiast samolotu znajduje się oszklony prostopadłościan, wewnątrz którego błyszczą zielone klosze lamp awaryjnych. Uciekinierzy dobiegają do przezroczystych drzwi, a Borucki zaczyna walić w nie bezceremonialnie. W środku są trzy osoby: brodacz koło sześćdziesiątki i dużo młodszy kobieta i mężczyzna. Vermil widzi w ich oczach niezdecydowanie. Rozumie je. Są przecież intruzami, którzy nagle wychynęli z ciemności. Borucki tymczasem zaczyna wykrzykiwać prośby załamującym się głosem. Starszy mężczyzna, tknięty być może jakimś niezrozumiałym dla samego siebie odruchem miłosierdzia, naciska przycisk zwalniający drzwi. Mężczyźni wlewają się do środka, a szklane skrzydło zasuwają się z cichym sykaniem, sugerującym hermetyzację. Przez moment obie grupy patrzą na siebie, jakby miały zamiar walczyć.

– Coś tam jest – mówi po prostu Albert.

– Doktorze Mazin – zaczyna Borucki, jednak starszy mężczyzna już przejmując inicjatywę.

– Liczę, że szybko pan wszystko wyjaśni, panie Michale? – rzuca ostro, patrząc na poplamiony krwią opatrunek.

– Coś tam jest – powtarza za Albertem Borucki. – Zaatakowało mnie.

– Nie rozumiem.

Albert przedstawia się i w skrócie opowiada o ostatnich wypadkach.

– A my myśleliśmy, że to zwykła awaria zasilania – mówi doktorant, który przedstawił się jako Eryk.

Vermil ledwie słyszy jego słowa. Dzieli swoją uwagę między obserwację korytarza, z którego właśnie przybyli, i ciemnych oczu Agnieszki, drugiej podwładnej Mazina. Kobieta zachowuje godny podziwu spokój. Wsłuchuje się w słowa Alberta, wolno obracając w palcach długopis.

– Wariactwo! Czyste wariactwo. Mówiłem Wernerowi, że nic dobrego z tego nie wyniknie, ale mnie przegłosowali. Dziwię się też Daczyńskiemu. Taki zdolny człowiek. – Mazin ściska oparcie krzesła, lecz jego twarz wydaje się pozbawiona emocji.

– Żeby było jasne: my się wcale tu nie pchaliśmy – odpowiada mu Vermil.

Jest twardy, wie, że nie wyrzucą go w ciemność.

– Nie o was mówię, panowie. Wy też jesteście ofiarami – ripostuje Mazin i podchodzi do jednego z komputerów. Długimi palcami pianisty bębni po klasycznej klawiaturze. W tym samym czasie Agnieszka robi coś na innym terminalu. Jej ręce po łokcie zanurzone są w folderowym holo. W końcu kręci głową, patrząc wyczekująco na swojego szefa.

– U mnie też nic. Jesteśmy odcięci jak w akwarium. Wyjścia padły – potwierdza Mazin i bierze głęboki oddech. – Podsumujmy: coś chodzi po korytarzu i zaatakowało pana Michała. Rozumiem, że ów intruz ma latarkę. Proponuję więc, byśmy zaczęli mówić o nim w kategoriach osobowych. Panie Michale – spojrzał na Boruckiego – czy jakiś zespół oprócz naszego jeszcze pracuje w tej części budynku?

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiada zapytany.

– Dobrze, w takim razie jedyne, co możemy zrobić, to czekać. Mamy tu zapas wody, a najpóźniej za kilka godzin ktoś musi zainteresować się naszą sytuacją. Tu jesteśmy bezpieczni.

Jego rzeczowy, nieledwie optymistyczny ton sprawia, że wszyscy czują się lepiej. Vermil zaczyna rozglądać się za miejscem, gdzie mógłby usiąść. Inni robią to samo. Kiedy krzątanina ustaje, zapada niezręczna cisza. Mazin i jego asystenci próbują sprawdzać coś na komputerach.

– Pan wie – stwierdza nagle Albert.

– Oczywiście. – Mazin całkowicie nad sobą panuje.

– Czym się tu właściwie zajmujecie, doktorze? Chyba należy nam się jakieś wyjaśnienie?

Vermil myśli o niezwykłej umiejętności kuzyna, który potrafi wypowiadać ostre słowa takim tonem, że stają się one pełnym pokory pytaniem.

– Bez obrazy – starszy naukowiec przekręca się na krześle – i tak by pan nie zrozumiał.

– Mój kuzyn jest księdzem – poprawia Vermil. – I tak proszę się do niego zwracać.

Sam nie wie, skąd w nim ta buńczuczność i nagła życzliwość dla profesji kuzyna.

– Ale i mężczyznę, prawda? – Mazin nie daje się zbić z tropu.

Albert ignoruje tę wymianę zdań i kontynuuje:

– Wie pan, po co nas tu wezwano i ma pan co do tego wątpliwości. Rozumiem, bo ja również je mam. Wzywanie księdza do komputera nie wydaje się standardową procedurą. Jak zrozumiałem, pomysłodawcą był pan Daczyński, a dyrektor Werner niechętnie się zgodził. Chciałbym jednak wiedzieć, o co naprawdę chodzi?

Vermil zauważa, że Mazin rzuca wiele mówiące spojrzenie Agnieszce i Erykowi. Ci udają, że tego nie widzą.

– Nie jestem upoważniony, by odpowiedzieć na to pytanie – wykręca się.

– To zapytam inaczej: czym różni się projekt „Adam” od innych projektów związanych ze sztuczną inteligencją?

W tym momencie lampy awaryjne, rzucające rozproszone zielonkawe światło, zaczynają powoli wygasać. Z upiornych twarzy wsysanych przez ciemność patrzą przerażone oczy. Nim strach na dobre w nich eksploduje, w drzwi laboratorium coś uderza z ogromną siłą. Vermil odruchowo świeci tam latarką. Prócz rozmazanej na szybie białawej substancji nie dostrzega niczego. Przez kilka długich chwil nikt się nie odzywa, wszyscy oczekują w napięciu na następne uderzenie. Otacza ich jednak tylko cicha, czarna pustka. Olson gorączkowo omiata światłem to prawą, to lewą stronę. Albert chwyta go za rękę.

– Oszczędzaj baterię.

– Niemożliwe, żeby się wyczerpała, starczy na wiele dni – powstrzymuje go Borucki.

– Tej nocy wszystko jest możliwe – nie ustępuje zakonnik.

– Niech im pan powie, doktorze. – Z prawej strony słychać głos Agnieszki.

– Ago! – mityguje Eryk.

– No co? – obrusza się kobieta. – Przecież i tak się dowiedzą. A zresztą pomyśl: M-Tech wezwał księdza do wyegzorcyzmowania komputera. Już to wystarczy, by nas rozszarpali.

– Nie przesadzaj! – wybucha Eryk

Łup! Kolejne uderzenie i wszyscy znów patrzą w stronę drzwi. Za późno, niczego nie dostrzegają.

– Ta szyba wytrzyma? – upewnia się Olson.

– Oczywiście! – potwierdza Eryk, skubiąc skrawek fartucha. W jego głosie nie ma jednak pewności.

Znów czekają na kolejny atak. Nic. Cisza.

– Nie będę się tu rozwodził nad budową ludzkiego mózgu – zaczyna niespodziewanie Mazin. – Wiecie panowie zapewne, że działa on za pomocą liczącej 86 miliardów neuronów sieci. Od jakiś 30 lat staramy się ją odtworzyć. Mamy już między innymi kolumny neuronalne odpowiedzialne za połączenia wzgórze-kora. Przez wiele lat pracowaliśmy na modelach procesorowych lub przy użyciu niezwykle żmudnych procedur tworzyliśmy mapy martwych mózgów. Parę lata temu pojawiła się technologia umożliwiająca zmapowanie kluczowych połączeń mózgu żywego. Dzięki temu możemy stworzyć częściową symulację jego działania, którą oczywiście obudowujemy szeregiem innych struktur. W ten sposób otrzymaliśmy coś w rodzaju hybrydy mózgu i komputera.

– Adam to tak naprawdę w jakiejś części osoba? Czy to dozwolone? – pyta Vermil.

– Nie istnieją żadne regulacje prawne, zabraniające tego typu praktyk. Zresztą kopiowanie jest zupełnie niegroźne dla człowieka – odpowiada Mazin i kontynuuje: – Nasze obecne badania koncentrują się właśnie na diagnozowaniu działania takiej uzupełnianej kopii istniejącego mózgu. Proszę sobie wyobrazić, jakie korzyści możemy uzyskać. Ilu ludzi moglibyśmy wyleczyć, testując odpowiednią terapię na cyfrowym modelu.

– Jeśli są chorzy! – wtrąca Albert.

– Trudno mi zrozumieć, że pan mówi poważnie – wzdycha Mazin.

Vermila dopada irracjonalna myśl: gdyby Troll tu był, dałby Mazinowi w mordę.

– A tak hipotetycznie, pytam księdza jako fachowca: czy można egzorcyzmować komputer? – odzywa się Agnieszka, przysuwając swoje krzesło do krzesła Alberta.

Metaliczny dźwięk spotęgowany ciemnością rani uszy.

– Przepraszam, nie chciałam. – W jej głosie brzmi nuta kokieterii.

Vermila uderza jej zapach składający się z perfum, laboratoryjnej czystości i jakiejś obcej woni, którą określiliby mianem zapachu inteligencji.

– Więc jak? – powtarza kobieta.

– Adam to nie komputer – zauważa cicho Albert.

– I nie człowiek! – Nie ustępuje Agnieszka.

– Zdarza się nam oczyszczać domy. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Nieźle!

– Pani Agnieszko, proszę – oburza się teatralnie Mazin.

– Doktorze, zawsze uwielbiałam horrory. Nawiedzone domy i tak dalej...

Eryk i Borucki wybuchają wymuszonym śmiechem.

– Doktorze Mazin, wszystko, co pan nam powiedział, nie jest chyba tajemnicą – mówi Albert. – Interesują mnie jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze: dlaczego pan Daczyński zostawił nas samych? Po drugie: czyj mózg symuluje Adam?

– Chodzi o jego... – zaczyna Mazin po chwili namysłu, jednak przerywa mu syk Boruckiego:

– Cicho! Słyszycie?

Milkną i nasłuchują. Słyszą. Pod podłogą coś skrzypi i drapie. Olson włącza latarkę, szukając źródła dźwięku, który staje się coraz bardziej natarczywy. Podłoga jest pokryta miękką warstwą antypoślizgowego tworzywa. Pod nią zapewne tkwią muskuły zbrojenia. Vermil chwytą latarkę obiema rękami. Podłoga zaczyna się wybrzuszać.

– Macie tu jakąś broń? – pyta Vermil i w tym momencie zatrzymuje wzrok na młotku do rozbijania szyb, który przypomina krzyż.

W podłodze widać już pierwsze pęknięcie, które powiększa się, tworząc postrzępioną prostą. Mazin odruchowo rzuca się do drzwi. Reszta też odwraca się w tamtą stronę. Agnieszka krzyczy. Po drugiej stronie, przyklejona do szyby, miga jakaś wykrzywiona twarz wyłowiona z ciemności światłem latarki Olsona.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – zaczyna Albert.

Vermil patrzy na niego z niedowierzaniem, jednak po chwili dociera do niego, że chyba tylko zakonnik nie uległ panice. Jego monotony głos przywraca innym rozsądek.

– To na pewno wiele da – rzuca Mazin z maskującą strach ironią.

Olson świeci na drzwi. Twarz zniknęła. Przenosi więc promień na drugi newralgiczny punkt: pęknięcie w podłodze. Linie układają się w mały kwadrat, oczywiste jest, że nie zmieściłby się tam człowiek.

– Co, do cholery? – szepcze Eryk, mimowolnie chowając się za oparciem krzesła, w które nerwowo wbija paznokcie.

Kwadrat podłogi wpada do środka. Z ciemności wychodzi coś małego i wielonożnego.

– Reksio ściekołaz – mówi Mazin.

– Dlaczego? – Vermil słyszy Eryka i choć nie wie, kim jest Reksio ściekołaz, domyśla się, że z tej dziury mogło wyjść coś dużo paskudniejszego.

– Skurwiel, rozhermetyzował nas. – Głos Agnieszki się urywa.

Nie ma żadnego białego dymu, granatu gazowego czy czegoś w tym rodzaju, jednak powietrze się zmienia. Olson czuje to, łapczywie walcząc o każdy jego haust. Widzi chwiejącego się na klęczkach Alberta, Mazina próbującego przytrzymać się biurka.

„Umrę. Jak Mervil” – myśli nie wiadomo który już raz tej nocy.

Chwyta się za głowę. Rzeczywistość zwija się jak spirala, tworząc wąski tunel ograniczony wnętrzami dłoni. Zbiera mu się na wymioty. Chyba nawet wymiotuje. Świat rozkręca się w drugą stronę. Vermil chciałby pomyśleć, że za chwilę wszystko się skończy, ale tam, gdzie teraz go rzuciło, nie ma żadnych „na pewno”.

Agnieszka wskazuje wąski tunel, wywiercony przez Reksia ściekołaza. Vermil protestuje. Czarny kwadrat jest cholernie mały. Jednak „nie pierdol!”, rzucone przez nieznoszącą sprzeciwu Agnieszkę, wrywa go z miejsca. Rzeczywiście! Miała rację, głowa jakoś mieści się w środku. Potem, wijąc się jak wąż, Vermil wpycha tułów do środka. O dziwo, obok niego pełźnie Agnieszka. Czuje na policzku jej oddech.

– Uciekniemy przez odpływ w zlewie – szepcze kobieta.

Plan wydaje się znakomity. Vermil nie ogląda się za siebie. Ma niejasne wrażenie, że powinien na kogoś poczekać. Jedno spojrzenie Agnieszki osadza te myśli w miejscu. Do przodu! Tylko ten kierunek ma znaczenie. Najpierw w górę, po plątaniu kabli, by wypaść do łazienki przez jakąś dziurę serwisową, a potem prosto do umywalki. Zjeżdżają w dół po błyszczącej metalicznej powierzchni. Wciąga ich rollercoaster odpływu. Jest dobrze! Zewsząd otacza ich wilgoć i zapach rozkładu, który kojarzy się z jakąś naturalną swojskością. Vermil wytrwale pracuje całym ciałem, dziwiąc się, że jego narządy wewnętrzne mogły się przemieścić w taki sposób, by ciało stało się kawałkiem makaronu spaghetti. Agnieszka również jest żółtawą nitką z wielkimi ciemnymi oczami, co wcale nie odbiera jej urody. W odpływie jest teraz aż nadto miejsca. Zmieściliby się tu jeszcze... Kto? No właśnie, kto?

Nie ma czasu na myślenie. Przed nimi światło odpływu – wyjścia. Agnieszka mknie do góry, zatoczywszy zgrabny łuk na zgięciu kolanka. Białe ogonki jej stóp błyskają i znikają z pola widzenia. Vermil pręży się do skoku. Teraz wie, że to łatwe. Jednak w tym momencie na głowę zwała mu się lawina wody.

Ktoś odkręcił kran!

Płynie, walczy, lecz strumień wody cofa go tam, skąd przybył. Próbuje łapać się ścian, ale są gładkie, a wszystko, co do nich wcześniej przywarło, daje się porwać razem z nim. Wody przybywa. To już nie jest walka o drogę do przodu. To jest walka o życie. Vermil nie płynie, przejrzysta siła kręci nim na wszystkie strony. Rurowa swojskość znika. Zewsząd napiera na niego ciasna ciemność.

Zaczyna się krztusić, chcąc wypchnąć z płuc wdzierający się tam płyn. Nie udaje mu się.

Lekarz w zielonkawym kitlu odkłada rurkę do intubacji. Vermil mruga oczami. Jednym spojrzeniem omiata mały pokój, dyskretne sufitowe światło i jakąś aparaturę. A więc udało się, Agnieszka miała rację, odpływ był dobrym pomysłem. W tym momencie niedorzeczność tych refleksji przywraca mu pełną świadomość. Wracają niedawne wrażenia, świat znów rusza z miejsca, a on wymiotuje do pojemnika błyskawicznie podstawionego przez zielony kitel. Jeszcze nerwowy rzut oka na podłogę, czy gdzieś nie czai się Reksio ściekołaz, i Vermil może skinąć głową na znak, że kryzys minął. Lekarz znika, a na jego miejsce pojawia się wysoki mężczyzna w korporacyjnym mundurze. Na pagonach ma jakąś szarżę. Olson jednak nie zna się na tych sprawach. Mina nowo przybyłego mówi więcej niż jakikolwiek mundur.

– Jest pan zdezorientowany. Po UD17 to normalne. Jego użycie nie ma jednak żadnych skutków ubocznych, które mogłyby się stać kanwą ewentualnego pozwu.

Vermil mechanicznie kiwa głową. Tamten chce mówić dalej, zapewne zamierza się przedstawić, ale chory przerywa sformowaną właśnie serią pytań:

– Co tam się stało? Gdzie jest Albert i reszta? Kiedy będę mógł stąd wyjść?

Tamten patrzy na niego przez chwilę. Jedno oko na pewno wisi na soczewce.

– Wkrótce, jak tylko podpisze pan kilka dokumentów – odpowiada i dodaje: – W dobrze pojętym interesie nas wszystkich.

– Mam w dupie interes nas wszystkich – wyrzuca z siebie Vermil, bo rzeczywiście tak myśli. – Muszę porozmawiać z Albertem, tym zakonnikiem!

Gość odwraca głowę, jakby chciał spojrzeć w okno, którego tu nie ma. Znowu ucieka na soczewki. Trwa tak długą chwilę.

– Dobrze – zgadza się w końcu, po czym obraca głowę w lewo.

Ściana, na którą patrzy, zwija się powoli jak wachlarz, raz po raz na poszczególnych jej częściach znika wrażenie jednolitego koloru. Gdyby nie to, że Vermil dostrzega machającego doń kuzyna, druga sala mogłaby być lustrzanym odbiciem tej, w której właśnie leży.

– Za piętnaście minut przyjdę tu z dokumentami.

Vermil nie słyszy ostatnich słów mundurowego. Z ulgą patrzy na zmęczoną, lecz uśmiechniętą twarz Alberta.

– Co tam się stało? – mówi.

– Nie wiem, niewiele pamiętam. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że jakaś mucha zaproponowała mi ucieczkę kanałem wentylacyjnym. Miałem udawać drobinę kurzu. – Zakonnik chwiejnie wstaje. Bez habitu wygląda, jakby cały się skurczył: chude ręce, wąskie ramiona, patykowate nogi. Tylko głowa wydaje się nieproporcjonalnie duża. Kiedy próbuje znaleźć kapcie, przypomina Olsonowi świerszcza.

– Ja uciekłem odpływem w zlewie.

– Brawo! Nieźle nas naćpali.

– Facet w mundurze mówił, że to ich U-coś tam nie ma skutków ubocznych. Wierzysz im?

– Muszą sobie jakoś radzić z kryzysowymi sytuacjami.

Vermil uśmiecha się do Alberta. Obaj siedzą na swoich łózkach, machając beztrosko nogami. Olson czuje, że powinien być bardziej zdenerwowany, jednak buzują w nim potężne rezerwy optymizmu. Może to ten gaz.

– Miałeś już kiedyś taką jazdę? No wiesz, jak z horroru.

Albert nie odpowiada. Kreśli nogą w powietrzu obszerne koła.

– Niejedną – odzywa się w końcu.

– Po takim czymś – kontynuuje euforycznie Vermil – człowiek czuje, że tam, w górze, no wiesz, naprawdę coś jest. Bo jeśli istnieje szatan i potwory, to musi też istnieć Bóg, nie?

– Nie wiemy, z czym mieliśmy tu do czynienia.

– Dobra, ale ja mówię o twojej pracy, w ogóle. Nic dziwnego, że tak mocno wierzysz, skoro tyle widziałeś.

Zakonnik wzdycha, zeskakuje ze swojego łóżka i podchodzi do Vermila. Patrzy mu w oczy z nienaturalną zapalczywością.

– Nie daj się złapać w tę pułapkę! Pamiętaj, nie dojdiesz do Boga za pośrednictwem szatana. Ja wiem, że moralny porządek świata rozpadł się, a zostały tylko kolejne, coraz brutalniejsze obrazy zła. Rozpoznamy to zło, co daje nam iluzję, że wciąż wiemy, czym są wartości, rozumiesz?

Vermil kiwa niepewnie głową. Albert mówi dalej:

– Jest o tym już w Biblii. Jezus wyraźnie zaznaczył, że nie chce, by świadczyły o nim demony. W egzorcyzmach, których dokonywał, kazał im milczeć, kiedy nazywały Go synem bożym. Gdyby chciał nawracać w ten sposób, pozwoliłby im krzyczeć. W ich męce objawiłaby się jego boskość. Nie zrobił tego jednak, bo najwyższa prawda nie potrzebuje takiego pokłasku. Jest cicha i pokorna.

– Jasne, ale te demony były jakimś dowodem, tego nie możesz negować.

– Faza Vermila jest nonszalancka, nie zauważa wzbierającej fali zdenerwowania, nad którą kuzyn z trudem panuje.

– Mogę! – Strzyka dokoła kropelkami śliny.

Szelest otwieranych drzwi ucina dalszą dyskusję. Mężczyzna w mundurze przynosi dwie opuchłe od dokumentów teczki. Po jego minie widać, że słyszał przynajmniej część rozmowy.

– Doktor Werner źle oszacował ryzyko. Rozumiemy, że ponieśli panowie pewne, nazwijmy to, straty. Proponujemy zatem zwyczajową gratyfikację finansową za usługi consultingowe w trudnych warunkach. W zamian prosimy o podpisanie rutynowej klauzuli poufności. Mam nadzieję, że propozycja okaże się zadowalająca. – Wskazał spojrzeniem teczki.

– Nie wezmę żadnych pieniędzy. To była kapłańska posługa – mówi twardo Albert.

– Zatem beneficjentem całej sumy uczynić możemy pana Olsona, który prowadzi przecież własną działalność gospodarczą. Proszę zapoznać się z dokumentami.

Mężczyzna wychodzi, a w drzwiach pojawia się uśmiechnięta pielęgniarka z wózkiem obiadowym. Vermil dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. Szpitalne jedzenie okazuje się całkiem

znośne. Po obiedzie zaczynają czytać dokumenty. Jest w nich to, o czym mówił mundurowy, tyle że ubrane w ornamenty zdań wielokrotnie złożonych i labirynt nawiązań do odpowiednich przepisów. Olsonowi ciemnieje na chwilę w oczach, kiedy widzi sumę, która ma zasilić jego konto. Albert obojętnie wzrusza ramionami, przygwożdżony pełnym nadziei spojrzeniem Vermila. W tych warunkach taka suma zapewni mu niezależność na wiele tygodni.

Podpisują.

Ich ubrania są czyste i wyprasowane. Vermil chwytą koszulę i przełyka ślinę. Tęskni za soczewkami. Chciałby uciec w jakąś lżejszą, mniej skomplikowaną wersję świata. Wyizolowany węzeł z podstawowym holo sprawia, że czuje się, jakby podglądał sieć przez dziurkę od klucza. Rzuca sprzęt na łóżko i szuka wzrokiem Alberta. Ten starannie układa ubranie w małej walizce. Nie spieszy się, M-Tech postawi samochód dopiero za godzinę.

– Cieszę się z kasy, ale mam wrażenie, że nas wydymali, a ty? – Vermil chce zaczepić kuzyna, sprowokować żywszą reakcję.

Odkąd wrócili do pokoju hotelowego, zakonnik sprawia wrażenie, jakby znińscy macherzy od neuronów wyłączyli mu ośrodek mowy. Teraz też rzuca tylko przelotne spojrzenie.

– Czemu nic nie mówisz?

Albert wzrusza ramionami.

– Myślę – stwierdza po dłuższej chwili. – O tobie. Jesteś w punkcie wyjścia. Nie możesz wrócić do Klarysek. Co zrobisz?

– Solidaria zaoferowała mi pomoc. Mówiła, że jej znajomy ma świetny zlepiacz. – Vermil usiłuje nadać głosowi nutę bez troski.

– Dobra, ale gdzie będziesz mieszkał?

– Pewnie zatrzymam się u Trolla – odpowiada szybko Vermil, choć sam w to nie wierzy.

Chwytą węzeł i jak co dzień sprawdza szperacza. Znowu nic. Troll po prostu zniknął.

– A może potrzebujesz współlokatora. – Uśmiecha się Albert. – Oczywiście tymczasowo. Nie mogę pilnować cię na parafi, ale mogę

posiedzieć z tobą w domu. Wezmę urlop, powiedzmy na dwa tygodnie.

Olson ma ochotę rzucić mu się na szyję. Najbardziej bowiem boi się samotności.

– Coś mi się wydaje, że jesteś moim Ginkorem.

– Nie zapomnij o mnie w podziękowaniach, jak już wydasz powieść.

Vermil pochmurnieje.

– To dzieło spisałem już na straty.

– Dlaczego? Przecież to czyste „życiopisanie”. Napiszesz we wstępie, że pracowałeś na SPOWIEDNIKU i lacaniści rzucają się na to jak hieny na padlinę.

– To nie jest zła myśl: może strumieniowa fabularna konfesyjność z przedrostkiem „quasi” znów wróci do łask?

Śmieją się. Przypominają sobie studenckie czasy.

– A całkiem poważnie – wzdycha Vermil – to i tak było gównno. Przepuściłem niezdeformowany tekst przez Intertekstuala i wyszło mi, że to w dziewięćdziesięciu paru procentach zlepek tego, co już istnieje. Wyholowałem to sobie na zwoju. Jakby był prawdziwy, mógłbym go pociągnąć przez całą Gdańską.

Albert zasuwa torbę.

– Może nie potrzebujesz zlepiacza, tylko dobrej historii? Coś mi się zdaje, że trzymasz taką w garści. Tylko niech ja będę trochę wyższy i bardziej charyzmatyczny. Wiesz, coś w stylu: jak wchodził do pokoju, to wszyscy milkli.

– Nie żartuj z moich marzeń. – Olson usiłuje zachować powagę.

Bezskutecznie.

Ich radość jest zbyt ożywcza, zbyt gwałtowna. Po chwili obaj czują, że to resztki chemii w ich organizmie. Chemii, która nie jest w stanie odpowiedzieć na żadne pytania i przykryć jakichkolwiek wątpliwości. Ich nastrój znów się zmienia.

– Jak myślisz, co było na tym korytarzu? – pyta Vermil.

– Coś złego.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie.

Węzeł Vermila podskakuje na gładkiej pościeli. Samochód podjechał wcześniej. Zjeżdżają windą w dół i wychodzą na parking. Nie rozmawiają. Czarny SUV mruga w ich kierunku i skręca na podjazd. Bagażnik otwiera się, zapraszając do umieszczenia w nim toreb. Po chwili sadowią się na obszernej tylnej kanapie. Od przednich foteli oddziela ich lśniąca, nieprzejrzysta ściana. Vermil sięga do barku i wyjmuje butelkę wody.

– Mam nadzieję, że dali pojazd z kierowcą. Nie do końca ufam SAM-om.

– Wszystko mi jedno – odpowiada Olson, wyciągając nogi.

Rozpaczliwie czepia się myśli, że zaraz znikną z M-Techu. Albert wciąż się wierci.

– Mówiłeś im, dokąd chcemy jechać? – pyta i naciska przycisk głośnika.

W tym momencie szklana ściana opada. Za nią rysuje się sylwetka kierowcy. Albert oddycha z ulgą, jednak Vermil zatrzymuje butelkę w połowie drogi do ust.

– Musimy porozmawiać – mówi Rafał Daczyński, a połowę jego twarzy skrywa cień daszka szoferskiej czapki. Vermil łapie za klamkę. Daczyński-szofer znika za czarną lśniącą barierą.

SESJA JEDENASTA

Co więc można zrobić?

– Chodźmy, no chodźmy już. – Naela delikatnie pociągnęła Ginkora za ramię.

Medyk w ogóle jej nie dostrzegał. Patrzył w miejsce przysypane świeżą ziemią, która tworzyła podłużny kopiec. Na jego szczycie widniała zatknięta na kiju lakoniczna tabliczka: imię, nazwisko i dzień śmierci. Ginkor nie wiedział, kiedy Mervil się urodził i w tej chwili brak tego szczegółu najbardziej rozdzierał mu serce.

– Tylko na razie – powiedział wcześniej Magnus Mars. – Jeśli księżę Avidion przyśle ludzi z pismem, natychmiast wydamy ciało.

– Przysłał już faks! – piekliła się Naela.

– Muszę zobaczyć oryginał z pieczęcią. – Śledczy był niewzruszony.

Mervil spoczął na cmentarzu, gdzie chowano wojskowych i zbrojnych zatrudnionych w służbach miejskich. Nic specjalnego, ot, kawał pola ogrodzonego murem na obrzeżach Mory. Pogrzeb był krótki. Prócz Ginkora i Naeli byli tam jeszcze Mars i dwóch jego ludzi. Udawali wartę honorową. Medyk z trudem powstrzymywał się, by nie uderzyć śledczego, gdy zamiast kondolencji usłyszał:

– Polityka, mały.

Po tych słowach Magnus Mars wsiadł do wielkiego jak on sam forda i zniknął. Od tamtej pory Ginkor nie ruszył się z miejsca. Naela usiadła na sąsiednim grobie. Już nie płakała. Patrzyła na zieleniące się drzewa i walczyła z rozpaczą na swój cichy, kobiecy sposób. Czekwała, aż Ginkorowi też skończą się łzy. Medyk wyglądał tak żałośnie, że z trudem powstrzymywała się, by go nie przytulić. Mimo masywnej sylwetki sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz rozlecieć na kawałki. Rozumiała. Zdążyła polubić Mervila.

– Myślałem, że jest nieśmiertelny – zaczął w końcu, przewyciężywszy ból. – Nie uwierzyłybyś, jakie sprawy rozwiązywał w Nerolfie. Nikt nie mógł mu dać rady, zawsze wygrywał. A teraz zarznęli go jak prosiaka, a śledczy Mory ma to głęboko w dupie.

– Słyszałeś, polityka – powiedziała ostrożnie Naela.

– Pieprzenie!

– Ciszej – syknęła, widząc patrzących w ich stronę grabarzy.

– Co ciszej!!! Niech się dowiedzą, jak działa śledczy Mory, Magnus Mars. Kutas złamany! Powiesili parę płotek, a rekina wypuścili z dobrym słowem! Mogli mu jeszcze obciągnąć na pożegnanie!

– Zamknij się, durniu! – Naela szarpnęła go za ramię i pociągnęła w stronę cmentarnej bramy. Obok nich przemknął Goniec. Odruchowo popatrzyli w jego stronę, lecz została po nim tylko świetlista smuga.

– Co oni z tymi wiadomościami? – Ginkor wyswobodził się z uchwytu dziewczyny. – Nie mogą po prostu do siebie dzwonić?

Naela powtórnie chwyciła go za rękę.

– W porządku? Nie będziesz krzyczał?

– Nie wiem – burknął, lecz po dłuższej chwili wzrok mu złagodniał. – Dobrze, że mnie powstrzymałaś. Gdybym wypatroszył Marsa, pewnie też użyźniłabym teraz glebę. I to na mniej przytulnym cmentarzu.

– Nie ma sprawy, kobiety zawsze stanowią czynnik decydujący.

Ginkor nie odpowiedział ciętą szowinistyczną ripostą. Śmiech w świecie bez Mervila wydawał się czymś nie na miejscu. Wyszli za bramę cmentarza, żegnani łypnięciami odźwiernego, który wyglądał jak jaszczurka czekająca na owada.

– Dbaj o grób naszego przyjaciela. – Naela wcisnęła mu do rąk monetę.

Ginkor ostatni raz spojrzął na miejsce spoczynku Mervila. Z daleka nie był nawet pewien, czy patrzy na właściwy kopczyk. Otarł niewidoczną łzę i ruszył za Naelą. Zaczęli schodzić z cmentarnego wzgórza, a przed nimi rysowała się Mora. Z tej perspektywy znów wyglądała jak dwie połówki latiliańskiego orzecha. W poskręcanych uliczkach błyskały smugi Gońców. Medyk i dziewczyna przystanęli na chwilę, niezdecydowani.

– Co teraz?

Ginkor nie odpowiedział.

– Mam nadzieję, że nie będziesz chciał wracać – stwierdziła. – Lukrecjusz raczej nigdzie nie ucieknie.

– Może masz rację – odpowiedział medyk pełnym napięcia głosem. – Ale mimo wszystko nie chcę tego tak zostawiać.

Zacisnął pięści.

– Czeka ją tam na ciebie. Wiesz o tym. I będą czekać jeszcze przez wiele miesięcy. Nie masz szans. Zemsta musi poczekać. Znajdźmy Kaitariosa.

– Jak? Niewiele mamy. Mervil mówił, że prawdopodobnie jest kupcem. To wszystko. Szukamy igły w stogu siana.

– Przynajmniej spróbujmy! On by tego chciał!

Ginkor spojrzał na nią rozognionym wzrokiem. Nie miała prawa tak mówić. Już chciał rzucić jakieś ostre słowo, jednak szklistość jej oczu powstrzymała go. Przecież ona też cierpiała.

Zrobili przegląd bagażu i broni, policzyli pieniądze. Sporo tego było. Śledczy Mars przynajmniej tu okazał się uczciwy. Oddał im wszystko, co zrabowano w karczmie, łącznie z częścią Mervila. Żyjąc oszczędnie, mogli zostać w Morze wiele tygodni.

– Od czego zaczniemy? – spytała Naela, kiedy byli już gotowi.

– Od Magnusa Marsa. Jest nam winny przysługę.

– Przysięgnij, że go nie zabijesz!

– Jestem synem kupca. Moja przysięga nic nie znaczy.

Nie wiedziała, czy żartuje. Na wszelki wypadek powtórzyła:

– Przysięgnij! Nie chcę, żeby rozpruli mnie zaraz po tobie. Zamierzam jeszcze pożyć parę lat.

Zrobił, o co prosiła.

Wzięli taksówkę i kazali się wieźć do miasta. Blachozaur ledwie trzymał się wyboistej drogi. Z boków co chwila mijali ich Gońcy, pokrzykujący czasem przeraźliwie. Wszędzie pełno było ich świetlistych smug.

– W mieście też ich tylu? – Ginkor usiłował przekrzyczeć silnik.

– O! Jeszcze więcej.

– Ale dlaczego?

– Mora! – odparł taksówkarz, rozkładając ręce.

Jako że puścił przy tym kierownicę, medyk wolał nie ryzykować dalszych pytań. Kiedy wjechali do przedniej części miasta właściwego, Ginkor poczuł, że robi mu się niedobrze. Świat wokół wirował barwami i dźwiękami. Wszędzie popyrkiwały blachozauiry i stalowce, a słońce odbijało się od ich kolorowych wybroczyn. Tygrysie maski i dachy pojazdów zwielokrotniały ciepło. Fantazyjnie poubierani ludzie mówili dziesiątkami języków. Słyszał to wszystko, bo blachozaur, którym jechali, nie był teraz szybszy od leniwego piechura. Nawet Gońcy musieli zwalniać, dzięki czemu Ginkor mógł przypatrzeć się ich wątlm, nieledwie dziecięcym sylwetkom. Wrażenie kruchości niwelowały tylko miny pełne powagi.

– Wsiądźmy – krzyknął Naeli wprost do ucha. – Bo się uduszę!

Wyskoczyli z pojazdu i od razu chwycili się za ręce, nie chcąc, by rozdzieliła ich przelewająca się dokoła ludzka rzeka.

– Mają tu chyba jakiś jarmark czy coś – zawyrokowała dziewczyna, kiedy udało im się usiąść na występie sklepowej witryny.

– Może panienska wpadnie wieczorem potańczyć? – rzucił nagle fantazyjnie wyfraczony młodzieniec, wręczając Naeli zawiniątko. – Czekam w Lobulusie.

Dziewczyna odruchowo chwyciła za kuszę, lecz przystojniak zaśmiał się tylko.

– Twój towarzysz też może wpaść. Zawsze znajdą się amatorzy tylnych drzwi.

Ginkor zamachnął się, chcąc usadzić dowcipnisia, ale frak zrobił zgrabny unik i odplynął w tłum. Naela sprawdziła zawiniątko. Było w nim coś, co przypominało rodzinę.

– Pewnie narkotyk – stwierdził medyk.

– Po co nam to? – Naela podniosła rękę, zamierzając cisnąć niespodziewany podarunek w najbliższą kałużę.

– Czekaj. – Ginkor chwycił ją za nadgarstek, po czym schował zawiniątko sakwy.

Zaczęli mozolnie przedzierać się przez zatłoczone ulice w poszukiwaniu strażników, by ci powiedzieli im, gdzie znajduje się komandoria śledczych. Co chwila rozlegało się głośnie trąbienie, kiedy jakiś pojazd próbował

utorować sobie drogę na deptaku. Kołowce z symbolami księstwa Mory nie miały takiego problemu, krążyły bowiem zgrabnie ponad głowami przechodniów. Ginkor zanotował w myślach, że musi zapytać Navidę, na jakiej zasadzie działają. Kiedy dostrzegli dwóch znudzonych strażników, spytali o Magnusa Marsa. Jednak zdobycie informacji okazało się niełatwe. Strażnik sprawdził ich odciski palców w swoim logoszycie, a kiedy nie znalazł nic podejrzanego, spojrział z rutynową obojętnością. Nie pomogły przymilne pytania Naeli.

– Do cholery, czy oni w ogóle są ludźmi? – rzuciła na odchodnym naburmuszona dziewczyna.

Ginkor nie odpowiedział, gdyż obok niego jak spod ziemi wyrósł jowialny grubasek.

– Piękna pani pyta o drogę? Piękna pani pyta o osobę? Infozyjczyk odpowiada.

Nieznajomy nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo silny uchwyt medyka osadził go w miejscu.

– Kim, u diabła, jesteś?

– Infozyjczykiem – odparł tamten. Minę miał zdziwioną – nie wiadomo, czy bardziej zdumiała go reakcja, czy też niewiedza Ginkora.

– Z „-yjczyków” znam tylko obojczyk. Mów po ludzku.

Tamten nadal stał z rozdziawioną gębą.

– Jesteśmy przyjezdni – wyjaśniła Naela. – Z daleka.

Do Infozyjczyka coś zaczynało docierać, bo wielkie „o” formowane przez jego usta przemieniło się teraz w zgrabną łódeczkę.

– O, ja głupi, że nie wyrozumiałem od razu. Piękna para z daleka, z bardzo daleka. Tym większe szczęście, że spotkała Eno. Eno Infozyjczyk pomoże, Eno wyjaśni.

– Dobra, to niech Eno mi powie, dlaczego kołowce latają – wypalił Ginkor ze złośliwym uśmiechem.

Oczy grubaska na mgnienie oka zrobiły się białe, jakby przesłoniła je dodatkowa mlecznobiała powieka, po czym odpowiedział:

– Powoduje to oddziaływanie elektromagnetyczne między rdzeniem pojazdu a kręgosłupem aerostrady, co wytwarza siłę nośną.

Po tych słowach uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony.

Medyk zbaraniał. Naela, zupełnie ignorując niezrozumiałą wymianę zdań, spytała domyślnie:

– Eno jest przewodnikiem?

– Właśnie tak, mądra pani. Bo Eno żegluje w Warstwie.

– No tak, w Warstwie. Czy Eno pomoże nam kogoś znaleźć?

– Jeśli pani i pan zapłacą, to pomoże.

– Świetnie, szukamy Magnusa Ma...

– Szukamy Kaitariosa! – nie pozwolił jej dokończyć Ginkor.

Tym razem nie było białych oczu ani mrugnięć dodatkowej powieki. Twarz Eno poszarzała, wydłużyła się jak portret, z którego zaraz ma spłynąć farba. Infozyjczyk zatoczył się. Naela starała się go podtrzymać, ale odepchnął jej rękę.

– Nigdy nie spotkaliście Eno. Pamiętajcie: nigdy nie spotkaliście Eno. Nie on jest wybrany, nie on. Wszystko musi być jak trzeba.

– Co musi być jak trzeba? – zdenerwował się Ginkor. – Przecież mówiłeś, że nam pomożesz.

Nie zdążył chwycić grubaska za ramiona, bo ten nadzwyczaj zwinnie wskoczył do przejeżdżającego blachozaura.

– Dom wariatów – wyszeptał Ginkor. – Dom wariatów.

– Znajdźmy jeszcze jednego Infozyjczyka – zaproponowała Naela. – To pewnie miejscowi chłopcy na posyłki.

– Był trochę za stary jak na chłopca. Zjedzmy coś, a potem zobaczymy.

W niedrogim, przytulnym zajeździe nieopodal zamówili tradycyjną latiliańską pizzę. Była smaczna i pożywna.

– Moja mama robiła podobną – zagaiła dziewczyna z pełnymi ustami. – Jak będziesz kiedyś w pobliżu, wpadnij do...

Urwała. Przecież nikt nigdy nie będzie już w pobliżu Debeli. Krainy nie było, kraina zniknęła.

– Nie przejmuj się. – Tym razem Ginkor wziął na siebie ciężar pocieszenia. – W Nerolfie też jest pięknie, a dziewczyna taka jak ty z pewnością znajdzie tam zajęcie. Mężczyźni będą się o ciebie zabijać.

– Proponujesz mi robotę księżniczki?

– Czemu nie? Nadajesz się!

– Stać mnie na więcej, umiem nie tylko „wyglądać”.

– Jest taka teoria – ciągnął Ginkor, który nie zauważył, że komplement nie do końca przypadł Naeli do gustu – mówiąca, że ludzkie oko widzi tylko część dostępnej nam rzeczywistości. Może znikanie krain nie jest kwestią obiektywną, a jakimś zaburzeniem postrzegania.

– Chcesz powiedzieć, że Debeli wciąż istnieje? – zdziwiła się.

– Chyba łatwiej uwierzyć, że masz coś z oczami, niż że zniknął pokaźny kawał ziemi. To kwestia spójności. Prawdziwe jest to, co pasuje do naszego systemu przekonań. A ludzkie zmysły z pewnością są zawodne.

Naela trawiła przez chwilę jego słowa.

– Jeśli to choroba oczu, dlaczego ani ty, ani Mervil nigdy nie słyszeliście o tej krainie, a ja nie słyszałam o Rezie?

Medyk milczał, żując trójkąt pizzy, Naela nie naciskała. Zresztą jej uwagę przykuł chłopiec z dużym plecakiem, przepychający się między stolikami. Proponował coś gościom, lecz ci reagowali odmową, wyrażaną kręceniem głową lub lekceważącymi ruchami rąk. Dziewczynie zrobiło się żal chłopca. Kogoś jej przypominał. Serce Naeli zadrgało w spazmie siostrzanego żalu. Kiedy malec dopchał się w końcu do ich stolika, od razu zaproponowała mu fantę. Przyjął kubek z wdzięcznością.

– Wy, pani, przyjezdni – zaczął, krztusząc się po długim łyku. – Może doładuję wasze węzły. Za jednego całego, do pełna.

– Co ty tam dźwigasz? – zainteresował się Ginkor.

– No, prąd – odparł chłopiec. – Wy, panie, naprawdę z daleka. Jestem prądnikiem. Ładujemy?

Naela pchnęła w jego stronę monetę, a on przykrył ją dłonią i niemal w tym samym momencie ściągnął plecak, a z kieszeni wyciągnął przewód.

– Nie płacę za ładowanie, lecz za informację. Chcemy porozmawiać z Magnusem Marssem.

– Piękna pani – wyjąkał chłopiec – ja legalny, to wypedałowany prąd, niekradziony.

– Spokojnie, powiedz nam tylko, gdzie jest komandoria śledczych.

Chłopiec wskazał im drogę, wciąż łypiąc trochę nieufnie. Założył plecak i ruszył dalej. Ktoś przy stole obok wyciągnął węzeł i skorzystał z jego usług. Prądnik zaczął gadać jak najęty, zapominając o Naeli i Ginkorze. Ci, zapłaciwszy, wyszli z zajazdu, omal nie potykając się o dwóch Gońców.

– A żeby ich! – zaklął Ginkor.

– Mora – rozłożyła ręce Naela, szturchając go w bok.

Uśmiechnął się wbrew sobie. Jej włosy, oczy i usta w każdym obudziłyby radość życia.

– Może deser? – kontynuowała, chwytając cukrowaną marmillę z drewnianej płyty niesionej przez handlarza.

Zgodził się. Marmilla rozpływała się w ustach, przywodząc na myśl beztroskie dni na ojcowskim podwórku. Szli drogą wskazaną przez prądnika. Nie było już tak tłoczno, ale za jakąś obopólną, milczącą zgodą wciąż trzymali się za ręce. Mora wydawała się im oszałamiającym tortem, w którym przyrastanie kolejnych warstw odmierzane było wiekami. Domy z białego kamienia, zdobione kunsztownymi rzeźbami, sprawiały, że każdy przyjezdny miał ochotę przystanąć, dziwiąc się rzeźbiarskiej biegłości morańskich mistrzów. Każdy z wyjątkiem Nerolfczyków, którzy widzieli Kopułę.

Ponad dachami wyrastały pałacowe i świątynne wieże, wszędzie widać było znaki wielu kultów. Mora, dzięki prawu odziedziczonemu jeszcze po starożytnych mieszkańcach, jak gąbka chłoneła wszystkie nowe prądy, idee i wierzenia. Religie przenikały się tu, łączyły, a czasem z sobą wojowały. Prawo radziło sobie z tym lepiej lub gorzej. Mimo wszystko władze jakoś kontrolowały ten chaos, tworząc przynajmniej pozór racjonalnego funkcjonowania. Mora zawsze głośno mówiła o Prawie. Była jego kolebką, Pierwszym Państwem. Dlatego postępek Magnusa Marsa ranił w dwójnasób. Mervil z pewnością uśmiechnąłby się teraz pobłaźliwie i powiedział z miną zawodowego znawcy dziejów: „Polityka zawsze stała ponad Prawem. To jedyne, co powinniśmy przyswoić sobie z historii”. On, Ginkor, z pewnością spytałby: „Co więc można zrobić?”. Na co Bellus mógłby rzec: „Minimalizować straty. Całe nasze życie, wszystkie jego sfery to dążenie do ideału, którego i tak nie osiągniemy.” Niestety, medyk nie

słyszał drogiego mu głosu, a tylko setki słów zbitych w jeden klocek ulicznego zgiełku.

Pośród architektonicznego rozpasania tej części Mory, nie wiadomo dlaczego nazywanej „szarą”, komandoria śledczych niespecjalnie rzucała się w oczy. Był to otynkowany dwupiętrowy budynek z obszernym dziedzińcem i stanowiskiem dla kołowców. Już przy bramie strażnik poinformował ich, że Magnus Mars jest zajęty. Ginkor był na to przygotowany.

– Jak się nazywacie, panie? – zagadnął strażnika, który na powrót sadowił się w swojej budce.

– Co? – odburknął mężczyzna, który uznał rozmowę za skończoną.

– Pytam, jak się nazywacie, panie, bo przy następnej okazji chcę powiedzieć śledczemu Marsowi, kto jest odpowiedzialny za to, że w odpowiednim czasie nie złożyłem zeznań. – Głos medyka był wyprany z wszelkich emocji.

Naela udawała znudzoną. Ostentacyjnie obserwowwała jedyny biały strzępek na bezchmurnym niebie.

– Chodź, będzie padać. – Pociągnęła Ginkora za rękaw.

– Poczekaj! Przecież mówił, żeby przyjść, jak coś sobie przypomnę.

– Dobra. – Strażnik tracił pewność siebie. – Pokażcie wezwanie, to was przepuszczę.

– Mam w dupie wezwanie.

– Jak to w dupie? – Oczy mrugały w rytm zalewających wartownika fal zdziwienia.

– No, mówi przecież – wtrąciła Naela. – Po prostu ma w dupie!

– Słuchajcie, panie – owo „panie”, brzmiało teraz w ustach Ginkora jak żart – śledczy Magnus Mars spisał już moje zeznania dotyczące niedawnego aresztowania porywaczy z gospody Pod Zdrożonym Piechurem. Mówił, że jak sobie coś przypomnę, to mam koniecznie przyjść. Więc, kurwa, jestem!

Strażnik gestem przywołał towarzysza z budki po drugiej stronie bramy.

– Ściągnij mi tu kogoś. Niech ich prowadzi do Magnusa Marsa.

Ginkor splunął, a Naela podłubała w nosie. Nie minęło wiele czasu, a para stała przed obliczem pierwszego śledczego księstwa Mory. Siedząc na

obszernym krześle, wyglądał jak solidnie opancerzony żółw. Otaczały go stosy papierów, pod których stertą jarzył się logoszyt.

– Czego chcecie? – zaczął bez wstępów.

– Przysługi – odpowiedział Ginkor.

Twarz Marsa nie wyrażała niczego. Milczał. Cisza najwyraźniej go nie krępowała.

– On był śledczym, tak jak ty. I miał tu coś do załatwienia. Chcemy to dokończyć, jesteśmy mu to winni. Ty też. – Naela mówiła gorączkowo, odgarniając niesforne włosy, które jakimś sposobem wyswobodziły się z ciasnego warkocza.

– Nic nikomu nie jestem winien – odpowiedział Magnus Mars, splótłszy sękate palce.

Ginkor miał wrażenie, że w tym uchwycie ludzka głowa pękłaby jak ściśnięty skórzany bukłak.

– Zapłacimy – rzucił hardo.

Mars wstał i podszedł do medyka. Jego oddech pachniał ziołami. Ginkor znał je, więc zadrżał.

– Jesteś chyba niedorozwinięty. Tę małą nawet rozumiem, ale ty, mężczyzna? Wiesz, co mógłbym zrobić z tobą i twoimi pieniędzmi?

– Mervil zawsze powtarzał, że śledczy Mory mu pomogą. Potrzebował tylko informacji.

Pewność siebie medyka topniała z każdą chwilą.

– Ledwie go znałem, więc te zapewnienia mnie nie dotyczą.

– Tak jak ty czcił Prawo.

Magnus Mars westchnął ciężko, a Ginkor zwietrzył swoją szansę.

– Jestem medykiem, praktykuję u największego wynalazcy naszych czasów, wielkiego Lorenzo Navidy. Zapłacę ci moją wiedzę.

– Znasz Lorenzo Navidę? – Mars wbił w niego ostre spojrzenie.

– Przyjął mnie na praktykę.

Śledczy podszedł do biurka i nacisnął przycisk. W drzwiach pojawił się służący.

– Przyślij mi jakiegoś wolnego Infozyjczyka.

– Infozyjczyka? – zająknął się Ginkor.

– Przecież chciałeś pomocy. Zaraz ci jej udzielen, a ty zapłacisz swoją wiedzą – powiedział Magnus Mars nieznośnym sprzeciwu głosem.

Tym razem Infozyjczyk w ogóle nie przypominał Eno. Wyglądał i śmierdział jak mały lis. Mars odchrząknął.

– Pytajcie.

– Szukamy Kaitariosa, prawdopodobnie kupca.

Oczy Infozyjczyka na sekundę zasłoniła znajoma biel. Potem spojrzął pytająco na śledczego.

– No dalej! – ponaglił Mars.

– Nie można – pokręcił głową lisowaty. – Warstwa nie puszcza. Przynajmniej mnie.

– Możesz odejść.

Infozyjczyk zniknął, a Mars położył ciężką rękę na ramieniu Ginkora.

– Ja swoje zrobiłem, teraz twoja kolej.

– Co znaczy „zrobiłem”? – zdenerwowała się Naela. – Przecież nic nam nie dałeś!

– Mylisz się – powiedział śledczy i spojrzął na Ginkora w taki sposób, że ten nie miał najmniejszej ochoty się odezwać. – Jesteście mi coś winni, a ja zawsze odbieram swoje długi – rzekł i popchnął medyka w stronę drzwi.

Chłopiec leżący na posłaniu wyglądał jak zrobiony z marmuru. Nawet jego rude włosy wydawały się tylko udrapowanym złotogłowiem.

– Mówią, że umiera, że nic się nie da zrobić – powiedział po prostu Magnus Mars.

Cyniczna wyniosłość, którą emanował, zniknęła zaraz po przekroczeniu progu przytulnego domu. Kobieta czuwająca przy łóżku dziecka posłała śledczemu pełne bólu spojrzenie, kręcąc głową. Mężczyzna gestem poprosił, żeby wyszła. Kiedy przechodziła obok, ucałował jej czoło. Ginkor przełknął ślinę. Naela dyskretnie przycupnęła w rogu pokoju na drewnianym dziecięcym krzeselku.

– Nie spiesz się – powiedział gospodarz.

Ginkor poprosił o miskę z gorącą wodą i kawałek czystego płótna. Mars zawołał starego służącego.

– Dasz mu wszystko, czego będzie potrzebował.

Przygarbiony mężczyzna zgiął się jeszcze bardziej. Ginkor umył ręce w gorącej wodzie, położył dłoń na czole chłopca. Chory nie miał gorączki, wyglądał tylko na potwornie osłabionego. Medyk popatrzył na stojącą na stole miskę wystygłego bulionu.

– Od wielu tygodni prawie nic nie je – powiedział szeptem służący. – Mistrz Amarilus zalecił mu tłustą dietę mięsną.

– Jak to się zaczęło? – spytał Ginkor.

– Państwo byli w podróży. Podobno już tam młody pan Mars zrobił się markotny i stracił apatyt. Kiedy wrócili do Mory, wezwali najlepszych medyków. Puszczali krew, czyścili jelita, moczyli we wrzątku, a potem wystawiali na zimno, jeden nawet zakopał malca po szyję w ziemię, żeby wyciągnęła złe humory. Jak to zobaczył mistrz Amarilus, prawie zemdłał. Mówił panu Magnusowi, że mogli go w ten sposób zarazić fluidem letalnym. Ech, panie, szkoda gadać. Dlatego trzymamy go z dala od ziemi.

Ginkor dopiero teraz zauważył, że wszystkie cztery nogi łóżka stoją w miskach wypełnionych wodą.

– Czy po kuracji mistrza Amarilusa widać poprawę?

– A gdzie tam!

– Pomóż mi go rozebrać.

Ginkor płonął. Zapomniał o smutku, o Mervilu, o wszystkim, co nie było medycyną. Kiedy rozebrali chłopca do naga, począł badać jego ciało fragment po fragmencie. Mały Mars kilka razy jęknął w letargu. Mięśnie miał zwiotczałe, skórę obwisłą. Najwyraźniej waga spadała bardzo szybko. Na nogach i rękach widniały drobne, niegojące się rany. Ginkor widział kątem oka, że sługa Marsów uważnie przygląda się każdemu ruchowi, próbuje wyczytać cokolwiek z jego twarzy. Medyk nie miał jeszcze pomysłu na diagnozę, jednak nie tracił nadziei. Obejrzawszy większą część ciała, ostrożnie otworzył usta chorego. Na dziąsłach dostrzegł krwawe wybroczyny. Jeden z zębów wyraźnie się ruszał.

– Nic dziwnego, że nie chce jeść mięsa. Zęby ma w strasznym stanie, pewnie okropnie go bolą.

Sługa nie odezwał się. Gorliwie pomógł ubrać chłopca. Ginkor ostrożnie nakrył go kołdrą, cały czas myśląc intensywnie.

– Poproszę o kubek wody.

Starzec zwinął poły szaty i już go nie było.

– Wiesz, co mu jest? – spytała Naela.

– Może.

Ginkor rozglądał się po izbie w poszukiwaniu inspiracji. Sługa wrócił z kubkiem zimnej wody. Medyk wypił ją jednym haustem.

– Dobra – powiedział niemal wesoło. – Bierzmy się do roboty. Zastosujemy metodę Lorenzo Navidy, którą dzięki mnie udoskonalił. Pomożecie mi w diagnozowaniu. Od tego momentu jesteście kolegami po fachu. Ty – wskazał na starca – na każde pytanie, będziesz odpowiadał „nie sędzę”, a ty – uśmiechnął się do Naeli – będziesz mówiła „być może, ale potrzebujemy czegoś więcej”. Wszystko jasne?

Dla dziewczyny i służącego nic nie było jasne. Musiał im to wyjaśnić jeszcze trzy razy, a i tak nie byli przekonani co do skuteczności metody. Zwłaszcza sługa, który trwożliwie spoglądał na drzwi, spodziewając się zapewne, że pojawi się w nich zwałista postać Magnusa Marsa. Mimo wszystko starał się odgrywać swoją rolę jak najlepiej.

– Szukajmy czegoś egzotycznego, wszak chłopiec podróżował. Mógł coś złapać od jakiegoś cudzoziemca – zaczął Ginkor.

– Nie sędzę. – Sługa łypnął niepewnie.

– I ja mam wątpliwości. Objawy nie są aż tak nietypowe. – Zamyślił się medyk. – Może zatrucie?

– Nie sędzę.

– No tak, jakie zatrucie trwa tyle tygodni. Już by nie żył. To jakieś ogólne osłabienie organizmu.

– Być może, ale potrzebujemy czegoś więcej.

– Jaka choroba ma takie objawy? A może to dwie bądź trzy choroby?

– Nie sędzę.

– Jaki objaw jest najbardziej nietypowy, nie pasuje do reszty, co być może czyni go kluczowym?

– Nie sądzę! – wyrwał się sługa.

– Dopiero jak na ciebie spojrzę, rozumiesz? – zdenerwował się Ginkor i zaczął spacerować po izbie.

– Navida zwykle w tym momencie zaczyna mnie obrażać. Mówi, że to mu świetnie robi na mózg. Ja też mógłbym?

– Być może, ale potrzebujemy czegoś więcej.

Ginkor przez chwilę patrzył na Naełę, jakby szukał odpowiednich wyzwisk. Potem jednak przeniósł wzrok na ścianę, na której wisiał mały pejzaż marynistyczny namalowany ręką ośmiolatka.

– Statek, dziąsła! Już wiem.

– Nie sądzę.

– Zamknij się człowieku, koniec zabawy! Leć na targ i przynieś mi wór jabłek i czarnej porzeczki.

– Słucham?

– Wór jabłek i czarnej porzeczki! Niech zrobią z tego sok. A jak jeszcze ktoś da choremu polewkę mięsną według przepisu mistrza Amarilusa, pan Magnus Mars sam osobiście zrobi mi z niej lewatywę.

Sługa popędził wykonać zlecenie. Ginkor chwycił ręce Naeli.

– To jest to! Jak zobaczyłem statek, wszystko zrozumiałem. Navida opowiadał mi o marynarzach z podobnymi objawami. Za mało świeżych owoców. Coś się wtedy dzieje z organizmem. Najlepiej pomaga na to cytrynowa trawa, ale jabłka i porzeczki też mogą być.

– Ale jak to możliwe, przecież nie podróżował statkiem? – zdziwiła się Naela.

– Z dziećmi jest inaczej. Pewnie w drodze nie dojadł, był zmęczony, a potem już poszło. Raczyli go bulionami i mięsem, a on czuł się coraz gorzej, jadł coraz mniej. Słabł z dnia na dzień i wyglądało to na nie byle jaką chorobę.

– Brawo! – Naela ucałowała go spontanicznie.

Czuwali przy malcu na zmianę. Po czterech dniach jego stan się poprawił. Matka nie potrafiła ukryć łez, wzruszony ojciec głaskał czoło syna

swoją wielką dłonią. Nie było wylewnych podziękowań, uścisków ani łez. Magnus Mars wręczył Ginkorowi złożoną kartkę.

– Jak mówiłem, przysługa za przysługę. Ale pamiętaj – głos śledczego na powrót stał się twardy – nie dostałeś tego ode mnie! Są sprawy, o których lepiej nie wiedzieć, lecz niestety tak się składa, że ja o nich wiem. Idźcie już. Kiedy spotkamy się następnym razem, nie będę was znał.

Wyszli bez słowa. Dopiero rześkie wieczorne powietrze uświadomiło im, jak duszno było w domu Magnusa Marsa. Ginkor wcisnął kartkę do kieszeni wewnątrz kaftana. Naela przeciągnęła się. Dni spędzone na niewygodnym sienniku dały się we znaki jej plecom.

– Poszukajmy jakiegoś dobrego noclegu. U Marsów ani się nie pożywisz, ani nie wyśpisz.

Znaleźli zajazd blisko głównej ulicy. Ceny były zawrotne, ale nie chciało im się iść dalej. Ginkor sunął po schodach jak cień. Odpowiedzialność za czyjeś życie wysysała tyle samo energii, co całodzienna bitwa. W dodatku gdy stało się jasne, że jego diagnoza jest trafna, naukową gorączkę znów zastąpił smutek. Trzymał się tylko dzięki Naeli. Przy niej jakoś nie wypadało się rozkleić. Wychylił kubek dobrego wina, patrząc, jak dziewczyna targuje się z właścicielem. Kręciło mu się głowie. Nawet nie spostrzegł, że znaleźli się z Naelą w jednym pokoju.

– Myślałem... – zaczął, lecz ona już całowała go gorączkowo.

Zdzierali z siebie kolejne warstwy ubrań, klinowali się w rękawach, potykali o spodnie. Nie było w tym nic z miłosnego rapsodu, ale to im właśnie odpowiadało. Mervil znów przepadł w zakamarkach pamięci, bo Ginkor całą energię zaangażował w sycenie się ciałem dziewczyny. Dotykał piersi, twarzy, pośladków, poruszając się w niej gorączkowo. Ona to przyciągała go, to odpychała, gryzła, a potem czule całowała. Chwilami czuł, że kocha się nie z jedną, a z kilkoma kobietami. Wspinał się ku spełnieniu, zgubiwszy gdzieś zmęczenie. Kiedy wreszcie skończył, legł obok Naeli, wolno gładząc wzgórki piersi. Podobało jej się to, lecz dla niego było już tylko pustym gestem. Myśli ulatywały gdzieś daleko. Problemy zaczęły się rysować z jeszcze większą jaskrawością. Niedawne uniesienie wydało się

nagle błędem, jeszcze bardziej komplikującym i tak skomplikowaną sytuację.

– O czym myślisz? – spytała Naela i było to dokładnie takie pytanie, jakiego nie chciał usłyszeć.

– O tym, że świat jest popieprzony – rzucił, siadając.

Próbowała go zatrzymać, on jednak wstał i nalał sobie wina z dzbana.

– Żadna moja kraina nie zniknęła, a mam wrażenie, że wszystko wokół się rozpada. Czuję się, jakbyśmy robili to na cmentarzu. Wszystko umiera.

Wyglądał jak zwierzę miotające się w zbyt małej klatce. Na twarzy dziewczyny nie było śladu rozdrażnienia.

– Takie jest życie, a my jesteśmy dorośli. Wszystko, co możemy zrobić, to wrywać mu chwilę. Czy czułbyś się lepiej, gdybyśmy się nie kochali?

– Nie! Nie wiem.

Znów sięgnął po wino.

– Miałam rodzinę, miałam dom, miałam prawie wszystko. Teraz nie mam nic. Ale przeżyję, bo chcę przeżyć i dowiedzieć się, co się z tym wszystkim stało. Lubię cię, ale jeśli nie masz siły, nie chcesz dalej tak żyć, to daj mi tę kartkę od Magnusa Marsa i wracaj do Nerolfu. Może tak będzie dla ciebie lepiej.

W spojrzeniu Naeli nie był gniewu czy lekceważenia, tylko smutek.

Wstała, ostentacyjnie naga, i również nalała sobie wina. Patrzyła na Ginkora, a on przeglądał się w jej oczach jak w lustrze. Nie było miejsca na złośliwości, docinki, dziecinne gierki. Rzeczywiście byli dorośli i musieli się tak zachowywać. Medyk poczuł, że narasta w nim gniew. To było niesprawiedliwe, bo przecież właśnie stracił przyjaciela i mentora. Coś powstrzymało go jednak przed wybuchem. Jakaś część z zażenowaniem pytała, co się z nią stanie, gdy on spakuje się i wyjdzie, zrobiwszy przedtem awanturę.

Bez słowa wyciągnął kartkę z informacją o Kaitariosie. Razem pochylili się nad nią, a kiedy wiedzieli już wszystko, znów zaczęli się kochać. A potem jeszcze raz.

Zajazd opuszczali tuż przed południem, zjadłszy przedtem obfite śniadanie. Nie musieli niczego ustalać, niczego sobie wyjaśniać. Po prostu byli razem. Na odchodnym zaczepił ich jeden ze służących.

– Jaśnie państwo przyjechali pewnie na karnawał? Ale nie widzę przebrań, może coś zaproponuję? – Kłaniał się przy tym tak fantazyjnie, że Naela z trudem tłumiła śmiech.

– Nie chcemy się bawić – uciął Ginkor.

Kiedy wyszli na ulicę, ich uwagę od razu zwrócili poprzebierani ludzie. Służący wiedział, co mówi, proponując im stroje. Teraz to oni wyróżniali się na tle kolorowej cizby w swoim ciemnym podróżnym odzieniu. W Nerolfie również bawiono się w taki sposób, jednak święto ograniczało się głównie do rynku. Avidion nie lubił chaosu, a karnawał był chaosem w czystej postaci.

– Popatrz! – szturchnęła medyka Naela.

W ich kierunku szło kilku mężczyzn poprzebieranych w damskie stroje. Jeden z nich wiódł na postronku osła ubranego w kapłańskie szaty. Zwierzę porykiwało rażno. Gdzieś po prawej stronie mężczyzna przebrany za niedźwiedzia wespół z innym, przypominającym dzikiego człowieka, straszył młode dziewczęta. Fantazyjne stroje i maski wyłaniały się z każdego zaułka, każdej bramy. Niejeden z przechodniów przepasany był pętem kiełbasy, a w dłoniach dzierzył dzban wina.

– Świat na opak! – rzucił medyk do oszołomionej Naeli.

Blachozaury, wozy i stalowce oraz inne pojazdy, które trudno było zidentyfikować, ustrojono girlandami i kartonowymi ozdobami, tak że wyglądały jak toczące się po ulicach ciastka. Kołowce, które właśnie pojawiły się nad dachami, zrzucały na ziemię deszcz łakoci – prezent od księcia Mory. Ludzie śmiali się, wykrzykiwali obelgi, a niektórzy nawet familiarnie poszturchiwali wszystkich dokoła. Kobiety były wojowniczkami, diabolicami, kurtyzanami albo królowymi. Nawet Gońcy wyglądali na przebranych. Kręcili się jak małe chochliki ze swymi dzwoniącymi czapczkami. Mijały ich też platformy zbudowane specjalnie na tę okazję. Z głośników dochodziła skoczna muzyka, a błażni poprzebierani za kapłanów kropili stłoczonych ludzi gnojówką.

– Z gówna powstałeś, w gówno się obrócisz! – darł się jeden tak głośno, że Ginkor miał wrażenie, jakby miał zaraz wypluć płuca.

Dzielnie wtórowali mu inni.

Medyk co chwila spoglądał na mapę narysowaną przez Magnusa Marsa. Niełatwo było rozpoznać właściwe ulice. Znów zaczepił ich Infozyjczyk, ale szybko się go pozbyli. Jako że wyspana i umyta Naela wyglądała szczególnie ponętnie, co chwila jakiś młodzieniec porywał ją do improwizowanego tańca. Wykręcała się zgrabnie i zwykle przyklejała do Ginkora. Niektórzy byli jednak tak sympatyczni, że pozwalała, by zawirowali z nią w kilku rytmicznych krokach. Ginkor uwielbiał zabawę, ale akurat ten karnawał powodował tylko uporczywy ból głowy. Medyk pomyślał, że kolejnej osobie, która się o niego otrze, wybije zęby. Co chwila sprawdzał, czy sakiewka jest na miejscu. Mapa mówiła, że wkrótce będą musieli oderwać się od głównych ulic. Podczas gdy wszyscy zdążali na plac łączący z sobą dwie części Mory, lewą i prawą, oni sami ruszyli w dół lekko pochyłą, brukowaną uliczką. Między ciasnymi kamienicami było chłodno i przytulnie.

– Mogliśmy wziąć te stroje – powiedziała Naela. – Nie wyglądalibyśmy jak przyjezdni. Tobie pasowałby strój panny młodej.

– Miałem kolegę, który lubił przebierać się w kobiece ciuchy. Mówił, że są wygodniejsze.

– I co?

– Jak to co?

– Co się z nim stało.

– Teraz już z nią.

– To tak można?

– Co wy w tym Debeli? Nie słyszeliście o Nieoczekiwanej Zamianie Miejsc?

Dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, ale w końcu zrezygnowała.

– A sprawa tej kobiety od Veria, Olidrias? Przecież to kupiec płaci za tę podróż – zmieniała temat.

– Umawiałaś się na coś z Veriem? Bo ja nie, więc nie interesuje mnie, co zlecił Mervilowi.

– Może warto mieć go po swojej stronie, zwłaszcza że zamierzasz zrobić coś z Lukrecjuszem.

– Zobaczymy. Teraz myślę tylko o Kaitariosie. I wiesz, do jakiego wniosku dochodzę? – Zrobił krótką pauzę. – To musi być bzdura. Pojechałem z Mervilem, bo zawsze mu towarzyszę, ale nie wiem, co mógłby powiedzieć jakiś stary kupiec o znikaniu krain. To zbyt proste: po prostu pojechać i dowiedzieć się.

– Nie jest tylko starym kupcem – zaproponowała Naela. – Gdyby nie Mars, nigdy nie trafilibyśmy na jego ślad. Nie ma go nawet w tej ich Warstwie, pamiętasz?

Miała rację. I dlatego czuł niepokój. Jako początkujący naukowiec wiedział, że zniknięcie Rezy czy Debeli musi być wynikiem jakiegoś nieskończonego skomplikowanego procesu. Usunięcie wszystkich informacji z pamięci Latiliańczyków zakrawało na prawdziwy cud. Wróciła doń uporczywa myśl, że być może Mervil i Naela cierpią na jakąś rzadką chorobę, która upośledza pamięć.

Uliczki tymczasem wciąż prowadziły ich w dół. Stawały się przy tym coraz węższe. Nagle na skrzyżowaniu przed sobą dostrzegli grupę trzech mężczyzn. Wszyscy mieli maski z ptasimi dziobami. Medyk i dziewczyna zatrzymali się, niezdecydowani. Tamci ruszyli w ich kierunku. Naela odruchowo dotknęła kuszy.

– Nie podoba mi się to.

Ginkor spojrział na mapę. Pomiedzy kamienicami panował półmrok.

– Niedawno mijaliśmy skrzyżowanie. Zawróćmy i obejdziemy ich.

Niestety z tyłu również zbliżała się trójka ludzi o ptasich twarzach.

– Jest ich więcej – szepnęła.

Medyk pchnął najbliższe drzwi. Były zamknięte.

– Może powiemy, że nie mamy pieniędzy? – zaproponowała dziewczyna. Głos jej lekko zadrżał.

– Nic z tego. Rozpoznaję te maski. Chyba idą za nami od zajazdu. Dobra, załatw jednego z kuszy, może to ich zniechęci.

Naela odpięła broń. Czekwała jednak ze strzałem, wahała się. Mężczyźni byli coraz bliżej. Nagle, jak na komendę, zaszeleścili płaszczami, odsłaniając

ręce zbrojne w naramienne miotacze bełtów. Nie była to broń celna, jednak użyta z odległości kilku metrów nie pozostawiała szans na przeżycie.

– Potrzebujemy pieniędzy – zadudnił głos, stłumiony przez ptasi dziób.

– My też! – wypaliła Naela.

– Prosisz nas chyba o dodatkową dziurę w brzuchu. Ty – zwrócił się do Ginkora – rzuć swoją sakiewkę i sakiewkę swojej suki.

– I tak nas zabijecie!

– Żartujesz? To karnawał, a my jesteśmy ubogimi żakami. Chcemy tylko kupić trochę jadła i napitku, bo fakultet dał nam niezłe w dupę w tej sesji.

Zamaskowani zaśmiali się chórem.

– No i na dokładkę ja bym chętnie podupczył.

– Ja też, ja też i ja – ozwały się pozostałe głosy.

Ginkor poczuł, jak drżą mu kolana. Gorączkowo myślał, co na jego miejscu zrobiłby Mervil. Pewnie usiłowałby zyskać przewagę. Tylko jak?

„Myśl! Myśl!” – upomniał się, czując ramię Naeli przy swoim boku.

– Miałem kiedyś kolegę – zaczął z udawaną nonszalancją – który lubił przebierać się w ptasie stroje.

– I co?

– Skończył... no wiecie. – Medyk wymownie popukał się w głowę. – Zaczyna się od stroju, potem przychodzi wysiadywanie jaj, a na końcu chce się latać. No i człowiek skacze z najwyższej wieży.

– Dowcipniś! – Splunął jeden z mężczyzn. – Pośmialiśmy się, ale dość tego. Inni już czekają w kolejce, żeby ich obrobić. Dawajcie sakiewki. – Ostry bełt srebrzył się tuż nad dłonią wycelowaną w pierś Ginkora.

Medyk zacisnął zęby i jedną ręką objął Naelę. Chciał ją zasłonić własnym ciałem, co nie miało większego sensu, jako że trzech zbirów stało za nimi.

– Dobra – powiedział i sięgnął do pasa.

Ręce mu drżały i sakiewka o mało nie upadła na ziemię.

– Ona też.

Naela posłusznie wyjęła swoją.

– O, teraz rzućcie mi je pod nogi – szczechnął głos zza ptasiej maski.

Monety brzęknęły o bruk, jednak rabuś nie zdążył po nie sięgnąć. Coś uderzyło w niego, roztrącając pozostałą dwójkę. Ginkor posłyszał

złowieszczy skrzek i zobaczył wielkiego ptaka, atakującego leżących mężczyzn. Ci, którzy znajdowali się za nimi, w panice unieśli naramienne miotacze i wystrzelili. Żaden z nich nie trafił do celu. Tylko Naela, wykazawszy się niezwykłą przytomnością umysłu, umieściła bełt w brzuchu najbliższego z mężczyzn. Ten patrzył na wystającą lotkę, jakby nie rozumiał, co się właściwie stało. Ginkor wyciągnął miecz, potrząsając nim groźnie. Już się nie bał. Chciał zabijać. Musieli dostrzec to w jego oczach, bo jak na komendę rzucili się do ucieczki. Wielki ptak tymczasem zapamiętałe wydziobywał kolejne oko. Ginkor nie chciał na to patrzeć, nie mógł nawet o tym myśleć. Pozbierał rozsypane monety, chwycił Naelę za rękę i pociągnął za sobą. Biegli, nie oglądając się. Żegnał ich złowróżbny skrzek ptaka. Nie patrzyli na mapę, skręcali w najbliższe uliczki, kluczyli, byle dalej od napastników i skrzydlatego potwora. Kiedy zabrakło im tchu, oparli się o mur, dysząc ciężko.

– Co to było? – wydusiła z siebie dziewczyna.

– Aquil.

– Aquil? Tak nazywał się chyba kot Mervila.

Ginkor spojrzał na nią półprzytomnie.

– Rzeczywiście, przepraszam, nie wiem, co mówię. Ten ptak wydłubywał im oczy, widziałaś?

Widziała i nie chciała, by ktokolwiek jej o tym przypominał.

– Chodźmy – powiedziała, dostrzegłszy w oknach zaciekawione twarze mieszkańców. Ich miny mówiły, że widok uciekinierów na tych ulicach jest im dobrze znany. Ginkor spojrzał na mapę.

– Zrobimy małe koło i chyba powinniśmy wyjść tutaj. – Postukał palcem w czarną linię.

Szli tak szybko, jak tylko starczyło im sił. Uliczki stawały się coraz węższe. Mieli wrażenie, że stare odrapane kamienice za chwilę ich zgniotą. Nie mogli być daleko od centrum, bo wciąż dobiegało do nich echo karnawałowego zgiefku i dudnienie muzyki. Z każdym skrzyżowaniem miasto zmieniało się, jakby pokrywała je cieniutka mgiełka. Kształty wydawały się nieco rozmazane, a świat przesuwiał się coraz wolniej i wolniej.

– Dziwnie tu. Nikogo nie ma. – Naela zwolniła kroku, rozglądając się dokoła.

– Magnus Mars bał się tej dzielnicy. Może i my powinniśmy? – odpowiedział cicho medyk.

– Przecież Kaitarios jest kupcem. – W głosie dziewczyny nie było jednak pewności.

Ginkor raptownie zwolnił kroku. Wokół panowała absolutna cisza. Była natrętna, agresywna, nie do zniesienia.

– To tu – powiedział medyk matowym głosem.

Miał wrażenie, że zaraz wymiotuje.

– Gdzie? – Naela przyglądała się odrapanym, zmurszałym ścianom kamienic, wysokim jak leśne drzewa i zdobnym w konary balkonów.

– Tutaj. – Ginkor wskazał dwuskrzydłowe drzwi, na których widniały ledwie widoczne litery.

– „M – e – l – p – o – a – r” – sylabizowała dziewczyna. – Wiesz, co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Pewnie nazwa składu.

– Naprawdę wierzysz, że ktoś prowadziłby interesy w takim miejscu?

Ginkor zapukał, lecz jego pięść w zetknięciu z powierzchnią drzwi nie wydała żadnego dźwięku. Próbował jeszcze kilka razy, jednak materiał, z którego wrota były zrobione, zdawał się pochłaniać każdy odgłos. Rozłożył więc bezradnie ręce i nacisnął na klamkę. Ustąpiła z przejmującym zgrzytnięciem, które musiało poinformować o ich wtargnięciu każdego, kto był w środku. Na ich spotkanie nikt jednak nie wyszedł. Z wnętrza wylała się tylko ciemność. Jak woda po otwarciu tamy, najpierw ich odrzuciła, a potem znów zagarnęła do środka. Być może krzyczeli, być może się opierali, nie zmieniło to w żaden sposób ich losu. Kręcili się, wirowali, rzucało nimi w górę i w dół, aż w końcu utracili poczucie kierunków. Jakimś cudem wciąż trzymali się za ręce. Wreszcie ciemność wzburzyła się, zapieniła i wylądowali na czymś twardym i chłodnym, przypominającym kamienną podłogę.

– Jesteś! – stwierdził Ginkor, ściskając rękę Naeli.

Odwzajemniła uścisk.

– Witajcie! – usłyszeli nagle uprzejmy głos i dopóki ów głos brzmiał, ciepły blask rozjaśniał miejsce, w którym się znajdowali. Kiedy zamilkł, znów zatoneśli w absolutnej ciemności.

– Kim jesteś? – spytał Ginkor, gramoląc się na kolana.

– A kogo chciałeś spotkać? – Dźwięk pokazał im mężczyznę w spodniach i koszuli dziwnego kroju.

Kątem oka medyk dostrzegł też stół i krzesła. Miał wrażenie, że są w jakiejś pracowni.

– Szukamy Kaitariosa. – Naela też uniosła się z podłogi na kolana.

Oboje nie wstawali, bo wciąż odczuwali skutki niedawnego kołowania przestrzeni.

– Mogę nim być. Albo inaczej: jestem nim.

Oczy medyka zarejestrowały nowe informacje: gładkie fioletowe ściany, gdzieś ozdobione gobelinami.

– Zabawna sztuczka: kiedy mówisz, panie, ktoś zapala światło. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Bo w ogóle niewiele widziałaś, dziecko. – Głos Kaitariosa był pobłażliwy.

– Czy my śnimy, czy to jest sen? – spytał Ginkor.

– Najtęższe umysły od wieków zadają sobie to pytanie.

– A jaka jest prawda? – upierał się medyk.

– Zależy, kto pyta.

– Ja pytam!

– Brawo, Ginkorze. Zapędziłeś mnie w kozi róg. – Kaitarios zaśmiał się, a pomieszczenie na moment rozjaśniło się tak bardzo, że przybysze musieli przymknąć oczy. – Tak, to wszystko jest rodzajem snu, ale czy to oznacza, że nie jest prawdziwe?

– Jak może być prawdziwe, skoro nie istnieje? – W głosie medyka można było usłyszeć znużenie.

– Są różne rodzaje istnienia. Podział na życie i nie-życie jest przeceniany.

Ginkor dałby sobie uciąć rękę, że tamten z niego kpi. Nie mógł jednak tego zweryfikować. Wokół znów zapadła ciemność.

– Czyli śnimy razem, albo oboje jesteście nieprawdziwi? – odezwała się Naela.

– Dziecko, zachowujesz się jak mała z brzytwą: tylko „prawdziwe” i „prawda”. Znasz jedno pojęcie i wymachujesz nim jak cepem. Spytaj o to, z czym tu przyszłaś, bo nie mam za wiele czasu.

Mężczyzna po raz pierwszy okazał zniecierpliwienie. Kiedy wraz z wypowiedzianymi słowami wróciło światło, Ginkorowi udało się dostrzec jego twarz. Przeraził się. Mimo dość przeciętnych rysów ten człowiek miał w oczach coś, co kazało medykwowi przesunąć się w stronę wejścia. Widział już takie oczy w pracowni Navidy. Znajdowała się tam spora kolekcja eksponatów. Jednym z nich był preparowany łeb rekina. Kaitarios miał takie same oczy: puste i martwe.

– Dobrze – zaczął Ginkor, bo nie chciał dłużej się droczyć. – Dlaczego krainy znikają? Dlaczego zniknęły Debeli i Reza? I jak to się dzieje, że nikt o tym nie pamięta?

– No tak. – Kaitarios jakby się zamyślił. – Krainy znikają – powiedział wolno i dobitnie – bo ludzie przestają o nich myśleć. O czym nie myślisz, tego nie ma.

– Ja o tym myślę! I Mervil myślał – zaprotestowała Naela.

– To za mało. Wy jesteście tylko odpryskiem, ślepą pętlą, a to za mało, o wiele za mało, by istniały Debeli czy Reza.

– A Żniwiarze, Mervil opowiadał...

– Żniwiarze to wy i tylko wy. Jakiego wyjaśnienia więcej trzeba? Powiem wam coś banalnego: w ostatecznym rozrachunku tylko dobro ma znaczenie. Dopóki nie jest za późno.

– Nie wiemy, o czym mówisz. Może znasz kogoś, kto nam pomoże, wyjaśni! – Ginkor wyprostował się i pomógł wstać Naeli.

– Jest pewne miejsce, ale...

– Jakie miejsce?

– O, tu, za tymi drzwiami.

Słowa Kaitariosa rozświetliły ścianę za jego plecami. Kryły się tam masywne, stare dwuskrzydłowe wrota ze złotymi, kunsztownie rzeźbionymi klamkami.

– Jeśli chcecie, to zapraszam.

Nagle rozległ się przejmujący, świdrujący dźwięk, który ułożył się w rodzaj natrętnej muzyki. Ginkor i Naela nie mogli wyobrazić sobie instrumentu, z którego mógłby pochodzić.

– Przepraszam, muszę odebrać – powiedział Kaitarios i po prostu zniknął.

Wokół znów zapadła ciemność.

– Poczekaj – mruknął Ginkor. – Chyba widziałem świecę na stole, spróbuję ją wymacać.

Ruszył do przodu, niechętny przewracając jakąś butelkę, która rozbiła się z trzaskiem. Oboje wstrzymali oddech, nic się jednak nie wydarzyło.

– Jestem pewna, że to jest sen – powiedziała Naela.

– Czyli że my wczoraj wcale nie, no wiesz...

– Nie! – zaoponowała. – Tamto było prawdziwe. Myślę, że odurzono nas później. Dla pieniędzy.

– Ale przecież mamy je przy sobie.

– Śnimy o nich.

– No tak.

– Albo jedno śni. Tylko które z nas jest prawdziwe?

– Może oboje. Jeśli ludzie się kochają, to takie rzeczy są możliwe.

– Czyli my się kochamy, tak? – zaśmiał się, strącając ze stołu kolejny przedmiot.

– Skoro razem śnimy, to musimy się kochać.

Dał się słyszeć odgłos krzesania ognia. Blask objął twarz medyka, który wyglądał jak upiór.

– Kiedy słucham o tej całej miłości, mam przeczucie, że jednak jestem nieprawdziwy.

Naela rzuciła w niego małym, lśniącym kamykiem, jednym spośród wielu walających się na stole. Medyk zasłonił się, chichocząc, po czym skierował świecę w stronę drzwi. Widniał na nich krwistoczerwony napis: „Szpital Uniwersytecki im. dr. Antoniego Jurasza w Bydgoszczy”.

– Rozumiesz coś z tego?

– Znam słowo „szpital”.

- Wchodzimy?
- Wchodzimy.

12

Bydgoszcz, szpital! Jest blisko. Czuje to. Odkłada logoszyt i upewnia się, że całość przerzuciła się na węzeł.

– Vermilu, idziesz? – słyszy z dołu głos Alberta.

Schodzi na kolację. W ascetycznej kuchni Rafał Daczyński krząta się wokół wyspy oddzielającej stół od zlewu i kuchenki.

– Tradycyjne spaghetti, co pan na to?

Vermil wzrusza ramionami. W głowie wciąż ma przeczytaną przed chwilą historię.

– Dało się coś wydusić z mojego zlepiacza? – nie ustępuje Daczyński. – Nie ma zbyt wielu opcji.

– W pisaniu najważniejsza jest regularność.

– Mam nadzieję, że zobaczę pana nazwisko w jakiejś księgarni.

– Pewnie na szyldzie. Kiedy zostanę jej właścicielem.

– Panie Vermilu – Daczyński z lubością wdycha zapach sosu bolognese – wkłada pan w pisanie tyle pasji. Dobra sztuka zawsze rodzi się z życia.

– Wolałbym, żeby rodziła się z przyjemności – odpowiada obojętnie Olson i zmienia temat: – A jak on się czuje?

Z twarzy gospodarza znika spokój. Staje się czujny. Nóż w jego dłoni nie wydaje się już tylko kuchennym narzędziem, lecz potencjalną bronią.

– Śpi – odpowiada. – Już od trzech godzin.

– Dobrze mu to robi – mówi Albert, przeglądając jakąś książkę.

Daczyński układa naczynia na stole, prosi, by się częstowali. Jedzą, nie rozmawiając. Przedwczoraj przekonał ich, że nie jest wrogiem. Zgodzili się przyjechać do jego domu. Były szef pionu AI zachowuje godny podziwu spokój. Po zamieszczeniu wywołanym w M-Techu przez jego chorego syna ruszyła potężna machina ochroniarsko-prawnicza. Ugoda z Vermilem i Albertem była ledwie jej drobnym elementem. Daczyński najwyraźniej nie dba już o te sprawy. Nie mówi o firmie. W centrum jego zainteresowania

pozostaje tylko Adam – siedemnastolatek, któremu, jak utrzymuje ojciec, zdarza się chodzić po ścianie, wyć jak zwierzę i wymiotować gwoździami.

Kiedy Albert bada Adama, Vermil podłącza się do domowego zlepiacza. Sprzęt jest wolny, a sesje wyczerpujące. Dlatego Olson musi dużo odpoczywać, choć wie, że za drzwiami, przed którymi stoją Naela i Ginkor, kryją się odpowiedzi. Może już jutro, pojutrze zniknie bolesna luka i w końcu dowie się, co zobaczył w Niemczu, w domu Solidarii Kurtz. Mimo wszystko wciąż nie opuszcza go gryzący niepokój. I nie chodzi tylko o jego własne bezpieczeństwo, lecz przede wszystkim o chłopaka, który zeszłej nocy warczał jak wilk i jedną ręką zgiął stalową poręcz grubości męskiego przedramienia. Na szczęście Vermil jest wyczerpany. Nie ma siły się bać.

Po kolacji Daczyński wrzuca naczynia do audiozmywarki. W wieczornej ciszy brzmia jakieś angielskie walce.

– Bardzo lubiliśmy te melodie. Kiedy żona jeszcze żyła – dodaje, widząc pytające spojrzenia Vermila.

Przechodzą do salonu. Gospodarz proponuje po szklaneczce whisky. W rogu dyskretnie skwierczy kominek.

– Od początku czułem, że jesteście, panowie, spokrewnieni – zagaja.

– Ja czasami o tym zapominam – odpowiada Vermil.

– Różnica osobowości?

– Raczej potencjałów. Albert ma dodatni.

– No tak – ucina dyplomatycznie gospodarz, po czym jednym haustem wychyla drinka. Kostki lodu z brzękiem uderzają o dno szklanki.

Nalewa następną kolejkę. Wygląda, jakby mocował się ze sobą, próbował coś zatrzymać lub przeciwnie – uwolnić.

– To trudne. – Robi dłuższą pauzę. – Byłem wierzący. Jestem. Po rodzicach. Tak mnie wychowali. – Bierze łyk alkoholu. – Nigdy nie praktykowałem. Adama też nie zmuszałem. Zwłaszcza po śmierci Zosi dałem mu całkowitą duchową wolność. Ufałem, że sam będzie umiał wybrać. No i coś tam wybrał. Nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy.

– Mówił pan, że zna swojego syna – przerywa mu delikatnie Albert.

– Znam! Oczywiście, że znam! – zapala się Daczyński.

– Znał pan. Kiedyś.

– Może ma ksiądz rację. – Gospodarz mięknie, kurczy się jak świeca, z której kapie roztopiony wosk.

– Na pewno chce pan o tym mówić? – pyta Vermil, bo czuje się zażenowany. Takie wywnętrzanie się, bicie w piersi wydaje mu się czymś niestosownym. Przecież gospodarz powiedział im wszystko. Adam jest chory! Olson nie chce niczego więcej.

– Tak. Myślę, że tak. – Zamyśla się Daczyński. – Zaczęło się rok temu. Adam nie mógł spać, mówił, że coś widzi, że ktoś do niego mówi. W dzień był apatyczny, nie chciał chodzić do szkoły, całe dnie leżał w pokoju. Nie mył się, nie jadł, nie sprzątał. Polecili mi dobrego psychiatrę, potem następnego i jeszcze jednego. Żadnej poprawy. Raczej pogorszenie. Nocami krzyczał. Dobrze, że dom jest wyciszony. Postanowiliśmy spróbować z ultraskanerem. Skopiowaliśmy część mózgu Adama i wszystko obudowaliśmy aktywnymi protokołami AI. Przyczepiły się i zaadaptowały do ludzkiego rdzenia. Zaczęliśmy szukać anomalii. Trwało to trzy miesiące. Pionierskie badania. Niestety, żadnych wyników. Komputerowa wersja Adama twierdziła, że jest opętana i ciągle prosiła o księdza. W końcu Werner, choć sceptyczny, wyraził zgodę. Cóż złego mogło się stać?

– Mimo wszystko zabranie syna do M-Techu było niepotrzebnym ryzykiem. Stracił pan pracę. – Kręci głową Vermil.

– Już mówiłem, żywiłem jakąś irracjonalną nadzieję, że sama bliskość księdza może pomóc. Sam nie wiem, co sobie myślałem.

– Bliskość kapłana zwykle wszystko pogarsza. Przynajmniej na początku – mówi Albert.

– Nieważne! Jesteście tutaj, ze mną i z Adamem. Posuwamy się naprzód.

– Zazdroszczę optymizmu – puentuje z przekąsem Olson.

Daczyński wzdycha.

– Zależy mi wyłącznie na zdrowiu syna. Znajdę nową pracę. Jednak wciąż nie rozumiem. – Ukrywa twarz w dłoniach i pociera, aż staje się czerwona. – Mamy XXI wiek, a ja poważnie zastanawiam się nad opętaniem. Wariactwo.

– Wiem, co pan czuje – rzuca Vermil.

– Współczesna choroba. – Albert odstawia szklankę. Ludzie wierzą w Boga, ale nie wierzą w szatana.

– Z filozoficznego punktu widzenia jakiś Wielki Architekt jest jeszcze do przyjęcia – przytakuje Daczyński. – Moja niezbyt głęboka wiara w środowisku ludzi od AI traktowana bywa zwykle jako niegroźne dziwactwo. W końcu w M-Techu pracuje też wyznawca religii Jedi. Świetny programista! – Ociera usta dłonią. – Ale szatan? Tego nikt nie kupi. Przewyciężyliśmy już ten etap.

– Nie chcę tu wygłaszać kazania – podejmuje Albert. – Pan decyduje, co stanie się z Adamem, jaką pomoc otrzyma. Mogę zniknąć stąd za chwilę.

– To prawda – mówi posępnie Daczyński.

Vermil ma już dosyć tej rozmowy. Wstaje i bez słowa idzie do łazienki. Gdzieś z innej części domu dobiega miarowy stuk. Jest noc. Adam Daczyński właśnie się obudził.

Vermil myśli o wieczornej rozmowie, przerzucając zapisy w logoszycie. W pokoju gościnnym jest cicho. Jednak wystarczy natężyć słuch, wstrzymać oddech, by złowić strzępki tego, co dzieje się w przeciwległej części domu. Albert rozmawia z Adamem. Kiedy wcześniej Vermil spytał kuzyna, czy może mu towarzyszyć, ten spojrzał na niego w taki sposób, że wszystko było jasne. Teraz Olson bardzo się z tego cieszy. Stara się skoncentrować na własnych problemach. Bydgoszcz, niebezpieczeństwo, Solidaria – przy Adamie za ścianą wszystko wydaje się odległe i bez znaczenia. Zagadki Mervila, a później Ginkora są ciekawe przede wszystkim jako tajemnica sama w sobie. Vermil myśli o Aquilu, Kaitariosie i napisie nad drzwiami. Dlaczego mózg uznał to za ważne? Nie wie. Lektura zapisków z sesji po raz kolejny uświadamia mu, że nie jest panem we własnym „domu”. Gra bowiem nie toczy się już tylko o to, czego nie pamięta. Wraz z kolejnymi zdaniami, ewolucją postaci, konstrukcją scenerii dochodzi do wniosku, że ma w sobie kogoś innego. On przecież poprowadziłby tę historię zupełnie inaczej, nadał jej więcej dramatyzmu, heroizmu. A miłość! Naela i Ginkor to nie kochankowie, lecz kukiełki. Każdy zlepiacz, któremu dawał wolną

rękę, ujawniał zupełnie nowego, nieznanego dotąd Vermila. Jak uporać się z tym wszystkim? Jak pogodzić się z sublokatorom, z którym najwyraźniej dzieli mózg?

Organizm ma na to swój sposób, a jest nim obojętność.

Albert i Daczyński nie znajdują dla niego czasu przez cały następny dzień. Mając dosyć obcowania z samym sobą, Olson po raz pierwszy od wielu dni przejawia zainteresowanie światem. Przegląda wiadomości, daje się ponieść zabawnym holo, a nawet kupuje nowe buty. Dziwi się, jak mało emocji wzbudza w nim to wszystko. W zestawieniu z wyciem, dobiegającym czasem z pokoju Adama, wydaje się całkowicie pozbawione sensu. Vermil patrzy w lustro. Od dawna nie był u fryzjera. Fryzura, która stanowiła jego znak rozpoznawczy, fundament tożsamości, jest teraz karykaturą mody i elegancji. Vermil uśmiecha się krzywo do swego odbicia. To nie tak, że się zmienił, że w COŚ uwierzył bądź zrozumiał, że jedne wartości mają pierwszeństwo przed innymi. Najzwyczajniej w świecie ma to wszystko gdzieś. Jest listem w butelce, który niosą wzburzone fale. Jest głodny. Schodzi do kuchni.

– I jak? – zagaduje Alberta, łapczywie pijącego wodę.

– Sam jeszcze nie wiem. Trudno powiedzieć, czy jest chory.

– A te wrzaski? Co mu tam robicie?

– Próbuję różnych rzeczy. Ten chłopak to tajemnica.

W drzwiach pojawia się Daczyński. Wygląda na wyczerpanego.

– Odtworzenie sieci neuronowej to jedno, ale jest jeszcze chemia mózgu

– mówi. – Tego nie da się przegrać do komputera, można tylko symulować.

– A jak ty spędziłeś dzień? – Albert jeszcze raz przysysa się do butelki.

W dresie, który pożyczył mu Daczyński, wygląda jakby wrócił z porannego biegania.

– Kupiłem buty.

– Czyli jest lepiej.

– Tak. Jutro wyjeżdżam – odpowiada Vermil i sam się dziwi, że przychodzi mu to tak łatwo.

Czuje, jakby zrzucił z piersi wielki ciężar.

- Nie musi pan – mówi szybko gospodarz.
- Podjąłem decyzję. – Vermil jest stanowczy, lecz jego głos zaraz łagodnieje. Patrzy na Alberta. – Dasz sobie radę?
- To moja praca – uśmiecha się zakonnik.
- Każdy powinien robić to, w czym jest dobry.
- Kiedy tu skończę, przyjadę prosto do ciebie.
- Nie trzeba, naprawdę. – Vermil czuje patetyczną niezręczność chwili.

Następnego dnia żegnają się bez zbędnej wylewności. Są jak bohaterowie z dawnych lat, którym wystarczy uścisk dłoni i spojrzenie w oczy. Czekają na walkę, lecz obaj są na nią gotowi. Olsonowi niespecjalnie przeszkadza, że prowadzi SAM. Sadowi się na wyprofilowanym siedzeniu. Nie zadaje sobie nawet trudu, by rozjaśnić szyby. Trwa w letargu, popijając zimne piwo. Kiedy zatrzymują się na Gdańskiej w ruchliwe przedpołudnie, Olson wciąga głęboko miejskie powietrze. Nie czuje się zupełnie bezpieczny, ma wrażenie, że ktoś intensywnie się w niego wpatruje. Nie jest to jednak tamten zwierzęcy strach, który odczuwał, słysząc miarowy rytm kroków i sapanie Adama Daczyńskiego, wydającego się uciekinierem z dna piekła.

W domu wszystko wygląda tak samo. Sprzęty pokrywa tylko warstewka kurzu, na którą w normalnych warunkach z pewnością by sobie nie pozwolił. Bierze się do sprzątanego, potem jeszcze raz przegląda wiadomości. Zastanawia się nawet, czy nie wrócić do pracy lub nie zabrać się za jakieś intratne zlecenie. Brak mu motywacji, nie musi martwić się o pieniądze. Kładzie się więc na podłodze, holo wyrzuca mu ocean, a on patrzy na oszałamiające kolory rafy koralowej. Wszystko faluje i skrzy się w najradośniejszej manifestacji życia, jaka kiedykolwiek została stworzona. Czas mija, a Vermil wciąż leży: to zasypia, to znów się budzi. Kiedy jest głodny, przedziera się do kuchni przez ławicę nefrytek, uważa, by nie nadepnąć langusty, śmieje się z przyczajonej mureny, która zdaje się śledzić jego ostrożne kroki, po czym wraca na dywan. Tę pogodną homeostazę burzy ostry dzwonek do drzwi. Ile czasu minęło? Godzina? Może pięć? Dzwonek jest coraz bardziej wrzaskliwy. Vermil odpędza oceaniczne holo i wyrzuca obraz z nadbramnej kamery. Stoi tam mężczyzna w kwadratowej marynarce. Wydaje się dziwnie znajomy. Vermil odpala interkom.

– Kto tam?

– Policja, proszę otworzyć, panie Olson.

Wcisła przycisk. Strach wysysa z niego całe powietrze. Wygląda jak sflaczały balon. Na szczęście są schody. Przejście ich zajmie funkcjonariuszowi kilka sekund. Vermil zdąży odzyskać chociaż część równowagi. Otwierając drzwi, jest prawie pewien, że sobie poradzi. Mężczyzna stojący na progu macha mu legitymacją przed nosem, coś do niego mówi. Zmysły Vermila kurczowo chwytają się tylko jednego elementu jego twarzy: oczu. Olson widzi, słyszy i czuje te dwie czarne kulki, które wbijają się w niego jak pociski. Nie ma dokąd uciec, bezpieczna toń oceanu odeszła, został tylko rekin. Zatacza się na biurko, potyka o fotel. Uderzenie w ścianę przywraca mu część zdolności myślenia.

– Nic panu nie jest, wszystko w porządku? – Rekin nachyla się nad nim, a jego usta wypowiadające przyjazne słowa w ogóle nie pasują do pustki spojrzenia.

– Jestem trochę oszołomiony, siedziałem w holo. – Vermil gramoli się z podłogi.

– Musiało być mocne.

– To nie to, co pan myśli!

Policjant ignoruje histeryczny ton.

– Nazywam się Kowalski, jestem z Komendy Wojewódzkiej.

– Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? – przerywa mu Olson.

– W szpitalu, ale wtedy był pan, hmm, niedysponowany.

– Nie chodzi o szpital.

– W takim razie nie przypominam sobie, a mam raczej dobrą pamięć – kończy policjant z emfazą. – Powinienem spytać, czy mogę wejść i zadać panu kilka pytań.

– Oczywiście, proszę, nie mam nic do ukrycia.

– Zatem, panie Olson – funkcjonariusz wyciąga logoszyt i włącza zapis – niepokoi nas pański wypadek i pańskie nagłe zniknięcie ze szpitala, a potem z mieszkania. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w Niemczu, przed domem Solidarii Kurtz?

– Po prostu nie zauważyłem jadącego samochodu, to wszystko.

Intuicja podpowiada Olsonowi, że nie powinien być szczerzy z rekinem.

– Nalegam, ma to związek z inną sprawą. Pana spostrzeżenia mogą zawierać cenne szczegóły.

– Z jaką sprawą?

– Przykro mi, nie mogę powiedzieć.

Vermil jak najogólniej opowiada o feralnym wieczorze. Zdaje mu się, że policjant za wszelką cenę chce wydobyć z niego coś, co obciążałoby Solidarię. Kiedy kończy, tamten skubie róg logoszytu.

– Nie zaproponowałem panu nic do picia – odzywa się Olson.

– Och, proszę nie robić sobie kłopotu.

Vermil nie słucha i już pędzi do kuchni, uzyskawszy pretekst, by wyzwolić się z jego spojrzenia. Gorączkowo szuka w lodówce soku, a potem rozchlapuje go przy nalewaniu. W pokoju policjant kręci się wokół komputera.

– Niezła maszyna.

– Owszem. – Vermil staje się jeszcze bardziej czujny, o ile to w ogóle możliwe.

– Tak się zastanawiam – Kowalski wyjmując z kieszeni węzeł – czy zgodziłby się pan na chwilę zabawy z moim holo.

Widząc odrazę na twarzy Olsona, unosi ręce w pojednawczym geście:

– Pan decyduje, ale myślę, że możemy sobie pomóc. To najnowsze dziecko naszego laboratorium. Świetne wyniki.

– Proponuje mi pan wykrywacz kłamstw? Na to chyba trzeba nakazu?

– Nie – krzywi się funkcjonariusz. – Zwykły test behawioru. Czysto informacyjny, nie dowodowy.

– Ale nie muszę się zgodzić?

– No wie pan, kiedy dojdzie do rozprawy...

– Jakiej rozprawy? – pyta Vermil, który od zawsze mierzy się z hipotetycznym koszmarem Józefa K.

– Mówiłem, jest jeszcze inna sprawa. Niestety, wiąże mnie tajemnica zawodowa. Powiem tylko, że zgadzając się na pracę z moim programem, wykaże pan maksimum dobrej woli, co w przyszłości może działać na pana korzyść.

Vermil myśli gorączkowo. Nie ma doświadczenia w tego typu sytuacjach. Nie jest graczem. Kowalski patrzy na niego uważnie i bawi się węzłem.

– To tylko prosta apka, żadnej dodatkowej stymulacji, żadnego nano, tak?

– Tak, nasi technicy będą mieli trochę więcej materiału niż nagranie na logoszyce. Dzięki temu precyzyjniej określą wiarygodność świadka.

Olson oddycha z trudem, jakby coś pożarło mu płuca, ale jest zdecydowany. Zgadza się.

– Po tym spotkaniu nie będę już pana niepokoił. – Kowalski czyta w jego myślach.

– Czy lubi pan filmy o zombie? – pyta nagle Vermil, sam się dziwiąc, skąd wzięła mu się tam myśl.

– Nie przepadam. – Policjant wzrusza ramionami.

– Aha – bąka Vermil i dodaje, wywołując interfejs: – Niech pan ładuje tę apkę.

Policjant robi swoje, po czym patrzy na leżący na półce węzeł.

– Warto zrobić synchro na soczewkach. Będzie szybciej i wydajniej. Holo jednak trochę przekłamuje.

Olson nie może się już cofnąć. Nie lubi soczewek, woli okulary, których jednak nigdzie nie może znaleźć. Grzebie w szufladzie i wyjmuje jakąś starą parę przejrzystych błonek, unoszących się w białawym płynie. Zakłada je z widocznym wstrętem. To jest cena, jaką płaci, by nie widzieć już nigdy więcej rekinich oczu. Siada na fotelu i kilkoma ruchami sprzęga komputer z węzłem. Mały uśmiechnięty gliniarz – ikonka policyjnej apki – stepuje tuż przed jego nosem, jakby zapraszał do tańca. Vermil rusza.

– Tylko parę minut – słyszy uspokajający głos Kowalskiego.

W następnej chwili płynie po parku. To chyba „śluzy”. W tych okolicach się wychował. Rozpoznaje Kanał Bydgoski, plac zabaw. Po prawej stronie widzi zarys cmentarza okolonego czerwonym murem. Jest słoneczne popołudnie. Vermil spogląda w dół na swoje nogi. Widzi jeansy, trampki i naprzemienne kroki. Wierci się na fotelu, którego nie ma w symulacji. Unosi ręce i przysuwa je do oczu. Wszystko do bólu rzeczywiste, apka musi wyciskać z jego sprzętu siódme poty. Nie jest specjalistą, ale na pewno nie

ma w domu niczego podobnego. Jeszcze przez chwilę zachwyca się rękami, potem łapie liść podrygujący na wietrze. Ależ wszystko podkręcili! Zaczyna mu się tu podobać. Zwłaszcza że nic się nie dzieje. Gdzieś naprzeciwko idzie kobieta z psem. Vermil chce przyspieszyć, lecz tempo spaceru nadaje program. Kobieta jest coraz bliżej, a on ze zdziwieniem zauważa, że zwalnia. Kiedy są już blisko, oboje z psem stają w miejscu. Kobieta patrzy w dół, w stronę bystrego nurtu kanału, zwierzę łąsi się do Olsona. Ten chce je pogłaskać.

– Bardzo wstępny! – mówi twardo kobieta, pociągając za smycz.

Pies skamle żałośnie.

– Proszę pani – mityguje Vermil, zrozumiałwszy raczej intencję niż treść.

Mimo wszystko nachyla się, by pogłaskać zwierzę. Piesek wyrывa się w jego stronę.

– Zbyt wstępny! – powtarza kobieta i rusza dalej.

Vermil również i choć chce zawrócić, nie zależy to od niego. Jest nieco zdezorientowany, ale i zaintrygowany. Idzie dalej, a po kilkudziesięciu metrach skręca w stronę placu zabaw. Okrąża go rój dzieci na deskach. Przez chwilę fruują dokoła jak różnokolorowe owady, po czym odpływają w swoją stronę. Na staroświeckiej huśtawce jakiś malec bezskutecznie próbuje się bujać.

– Pobruszysz? – Błagalnie patrzy na Olsona.

Ten delikatnie popycha siodelko malca. Ku jego zdziwieniu, huśtawka dosłownie strzela w powietrze, a wrzeszczący, nieprzywiązany pasami dzieciak wylatuje z niej wysoko w górę. Machając rękami, przypomina małą rozgwiazdę. Po dwóch sekundach uderza głową w ziemię i wbija się do połowy tułowia. Nikt z dzieci i dorosłych na placu nie zwraca na to uwagi. Vermil podbiega do chłopca, który poruszywszy kilkakrotnie nogami zamiera. Olson próbuje go wyciągnąć. Kolejne szarpnięcie i wreszcie się udaje. Pociągnięcie okazuje się tak silne, że Vermil stacza się ze skarpy na brzeg wąskiego kanału. W rękach nie trzyma nóg nieszczęsnego wielbiciela huśtawki, lecz wędkę.

– Zaleszkowana na petopława – informuje życzliwie kolega wędkarz, który ma stanowisko nieopodal.

Vermil stoi bezradnie na brzegu. Nogi nie niosą go donikąd. Chyba musi coś złapać. Nie wiadomo skąd w jego dłoni pojawia biały śliski robak. W pierwszym odruchu chce go upuścić. Robi to, ale przynęta zawisa w powietrzu.

– Lojmita – uśmiecha się wędkarz i kiwa ze zrozumieniem głową.

Vermil nigdy nie łowił. Zanim zarzuca pierwszy raz, kilka razy płące żyłkę. Wreszcie, gdy spławik rażno tańczy na wodzie, czuje, że cały się spocił. Nurt kanału w tym miejscu jest dość wartki, więc pcha zestaw od razu w prawo. Olson zaczyna iść wolnym krokiem, by nadążyć za spławikiem.

– Zarębsko – żegna go machaniem życzliwy wędkarz.

Vermil idzie, koncentrując się na spławiku. Antenka i kolorowy brzuszek podskakują na falach, ale się nie zanurzają. W dali pojawia się zarys miejsca, do którego wpada ta część kanału. Olson zamiera. Kiedy przychodził tu w dzieciństwie, usiłował wyobrazić sobie, co kryje się za tą czarną, okratowaną czeluścią. Stanowiła ona złowrogi kontrast z zielonością, słońcem i przejrzystością wody. Od tego miejsca bowiem kanał zaczyna swe podziemne, tajemnicze życie. Vermil nieraz śnił o tym, że krata pewnego dnia znika, a on, wyposażony w odpowiedni sprzęt, schodzi w mroczną czeluść.

Nurt przyspiesza, a spławik ani myśli się zanurzyć. Olson wyteża wzrok. W płytkiej wodzie nie widzi żadnych ryb. Jeszcze dwa, trzy metry i dosyć. Podrywa szczytówkę, jednak spławik ani drgnie. No tak, po zarzuceniu nie zablokował kołowrotka i całe metry żyłki płaczą mu się teraz między nogami. Zanim zdoła cokolwiek z tym zrobić, spławik znika za kratą. Poplątana żyłka niespodziewanie podcina go i już ciągnięty jest w stronę podziemnego wlewu. Krzyczy. Przecież się nie przecisnie, krata jest za wąska. Nagle jednak przypomina sobie ucieczkę z M-Techu i wie, że teraz też da radę. Przekręca się efektownie, by stalowy pręt nie rozciął go od krocza aż po szyję, i złączywszy nogi wślizguje się między kraty kosztem ledwie kilku otarć. Czuje strach, lecz jednocześnie zew przygody. Wreszcie pozna tajemnicę, która nie dawała mu spać w dzieciństwie.

Ciemność, która tak brutalnie go wessała, jest tylko chwilowa. Na suficie tunelu już po chwili rozbłyskają żarówki. Vermil nie trze już siedzeniem o chropawą fakturę betonowego podłoża, lecz jedzie w wygodnym wagoniku. Oświetlony tunel staje się coraz szerszy, raz po raz skręca to w prawo, to w lewo. W końcu wypływa wagonik na środku wielkiej sali, której sklepienie tworzy płatanina rur, rurek, kranów i kraników. Wokół natychmiast gromadzą się ludzie.

– Ktoś ty? Ktoś ty? Przywiozłeś NAZWISKO? – pyta gorączkowo jakiś cudak, a reszta ludzi, których głowy wyrastają zewsząd jak spod ziemi, podchwytuje: – NAZWISKO! To jest ten, co da nam NAZWISKO.

Vermil próbuje wyplątać się z obejmujących go rąk, chce coś powiedzieć, traci oddech. I kiedy wydaje mu się, że obraz wokół faluje i rozmywa się, tłum nagle od niego odstępuje. Czterech ludzi, ubranych w garnitury o archaicznym kroju, niesie krzesło, na którym drży jak osika starzec. Owa dziwna procesja, najwyraźniej budząca lęk i szacunek w podziemnym zgromadzeniu, powoli zbliża się do Vermila.

– Tyś Polak? – pyta starzec, kładąc mu rękę na czole.

– Polak – odpowiada Vermil spierzchniętymi wargami.

– Klęknij. – Starzec jeszcze przez kilka sekund nie odrywa ręki od głowy Vermila, po czym tryumfalnie oznajmia: – On da nam NAZWISKO.

– Jakie NAZWISKO!?! – Olson usiłuje przekrzyczeć wycie, ale już chwytają go jakieś silne ręce i płynnie ponad głowami na trybunę, na której siedzą nobliwi panowie w sędziowskich togach.

Jako że wyglądają nieco bardziej racjonalnie niż ciżba poniżej, Vermil ostrożnie pyta:

– Co tu się dzieje?

– A zwyczajnie, panie, wybory.

– Wybory? Znaczy się kampania czy coś?

– Kampania.

– A gdzie kandydaci?

– Jak to? – pyta zdziwiony mężczyzna z faworytami, który dotąd odpowiadał nadzwyczaj uprzejmie. – Jak wybierzemy, dopiero zaczniemy klonować.

– Klonować?

– Niechcesz pan nie udaje, drogi kolego. – Tamten nachyla się konfidencko ku Vermilowi. – Będziemy klonować wybitnego Polaka. Przejmie rządy po Batorym, który rządził trzy kadencje, ale miał pecha. W każdej umierał na nerki. I mówiąc między nami, to dobrze, bo ile można bić Ruskich. No nic, nie zazdroszczę koledze. Ma dziś kolega decydujący głos.

– Dlaczego ja?

– Jako jedyny w kraju nie zalega kolega z abonamentem RTV.

Vermil nie ma czasu, by się nad czymkolwiek zastanowić. Trzyma się myśli, że to tylko symulacja, zwykły test wyboru. Niestety, nigdy nie był mocny z historii. Sala tymczasem dudni od krzyków, w których przewijają się nazwiska. Stronnictwa stawiają improwizowane mównice, a zwolennicy konkretnych propozycji puchną od krzyków. Niejeden gmera przy pasie, jakby szukał tam broni.

– Piłsudski! Ludzie, tylko Piłsudski. W tych czasach trzeba prawdziwego męża stanu.

– Bez żartów, na co nam druga sanacja, żebyśmy się potem przez pokolenia podnosili?

– Kościuszko, on mógłby, moje stronnictwo...

– Spokoju, nam trzeba spokoju, Paderewski kandydatem zgody narodowej! Pamiętajcie, że nigdy mu nie dali doprowadzić pomysłów do końca.

– Panie, ej panie, a za kogo weszliśmy do Unii, za kogo?

– Unia to dawno i nieprawda. Tu potrzebny jest gracz polityczny, co siada przy stoliku z blotkami i wszystkich ogrywa.

– Co pan mówisz, że Polska to tylko blotki? To jest wciąż silna karta. Bardzo silna.

– Zdajmy się na dziedzictwo SŁOWA. Pamiętajcie: „Z matki obcej...”. Jest taka propozycja, poparta zresztą przez szeroki front, żeby pójść inaczej, zrezygnować z genetycznego nacjonalizmu. Kto jest za Napoleonem, ręka w górę. No dalej, panowie, tyleśmy czekali, więc miejmy odwagę głosować!

– To może Kazimierz Wielki, zastał Polskę...

– Do XIX wieku, tylko do XIX wieku, współczesność ma swoje prawa!

– Jeśli tak, to tylko Dmowski. Polak zawsze nowoczesny, Polak rozumiejący tych, którzy nie wiedzą, że chcą być Polakami.

– No nie, panowie. Dajmy kogoś, kto jeszcze nie rządził. Nie powtarzajmy tych samych błędów.

– No i właśnie Dmowski...

– E tam, Dmowski. Kogoś z drugiego, a może z trzeciego szeregu. Prawdziwy mąż stanu, zawsze godny zaufania, trzymający się własnych zasad, bezkompromisowy...

– ...Król Salomon!!!

Sala wybuchła śmiechem, ale mówiący jakoś dorywa się do głosu.

– ...bezkompromisowy: Beck!

– Mieli być wybitni.

– Mickiewicz!

– Słowacki!

– Sienkiewicz, człowiek słowa, znany... Nobel, patriota. Czego więcej trzeba?

– Lema!

– Pracy! Trzeba pracy! My od lat stawiamy na Gierka! Jak mi babcia opowiadała, jak wtedy było dobrze, to, to mnie coś aż tu, o tu ściska.

– To już jest skandal, co cztery lata słyszymy o tych pachółkach Moskwy! Państwu już dziękujemy, proszę...

– Co, za co, no za co, że prawdę mówi? Dobrze się żyło i będę powtarzać: dobrze się żyło.

Vermil siedzi osłupiały, sąsiad nachyla się do niego z życzliwą miną.

– No i co kolega na to? Wybór niełatwy, oj niełatwy.

– Ale... ale ja się nie znam.

– Spokojnie, oni też w większości się nie znają.

– Polska! – Gromowy głos dudni w całej sali, a wszystkie głosy milką.

Białobrody starzec niesiony na krześle wraca na środek sali.

– Kto to jest? – szepcze Vermil.

– Niemcewicz, szef Państwowej Komisji Wyborczej.

– Polska! Spytajmy więc Polaka, zaufajmy Polakowi.

Wszystkie oczy patrzą na Vermila. W ich wyrazie dostrzega on skupienie, nadzieję, zrozumienie, ale też nienawiść i groźbę. Jakaś część jego osoby wie, że to tylko symulacja, którą policyjni psychiatrzy wybebeszą na swój własny użytek. Jednak ten tłum, ci Polacy są tak prawdziwi. O Niemcewiczu, białym i kruchym jak opłatek, coś tam uczyli go w szkole. Inne nazwiska również słyszał, na dźwięk niektórych w jego sercu narastała jakaś niezrozumiała duma, nie do końca wykorzeniona przez życiowe wybory.

Cisza się przedłuża, przelewa między zaciśniętymi ustami, splecionymi palcami i rurowo-kranowym sklepieniem. Vermil ma wrażenie, że jeśli za chwilę nie da im NAZWISKA, to rozerwą go na strzępy, wybuchną na wszystkie strony pozbawieni celu i kierunku: zwolennicy, by być za, przeciwnicy, by oponować. Tak więc Vermil Olson wstaje i zaczyna przedzierać się ku wyjściu. Już postanowił: nie da im żadnej odpowiedzi. Od lat nie głosuje, dlaczego miałby robić to teraz? Jest Polakiem tylko z przypadku. Zmienił nawet nazwisko, marząc o światowej karierze restauratora. Nazywał się Trzaskowski, lecz wszyscy łamali sobie na tym język. Co go to obchodzi: przywódca ten czy tamten. I tak nie oni rządzą, polityka jest do dupy. Nie da się niczego zmienić, tylko głupcy myślą inaczej.

Racjonalne „ja” podpowiada, że nic się nie stanie. Jednak symulacja jest wyraźna, wyciska z przestrzeni każdą drobinę kurzu, zmarszczkę, kroplę potu. Oczy bardzo chcą wierzyć w ten obraz.

Vermil rozpycha tłoczących się ludzi, lecz przychodzi mu to z coraz większym trudem, bo robią się więksi, silniejsi. A może to on maleje? Ogląda się na trybunę, gdzie przed chwilą siedział. Krzesła są olbrzymie, teraz na pewno nie wspiąłby się na żadne z nich. Czuje się mały. Jest mały. Wszystko dokoła wciąż rośnie. Teraz nawet podeszwa buta wydaje się kilkunastometrowym murem nie do przebycia. Przejście na kolejny poziom to już tylko mgnienie oka. Cząsteczki podłogi, pojedyncze atomy, ich wnętrza wraz z tańcem elektronów, a potem dalej i dalej. Wraz z oślepiającym błyskiem wszystko znika.

Olson powoli przeciera oczy. Przez łyzy widzi znajomą ścianę pokoju. Obraca głowę i napotyka twarz Kowalskiego. Obraz jest zbyt zamazany, by mógł na powrót wystraszyć się oczu rekina. Jeszcze przez chwilę dochodzi do siebie.

– Znam takich, co by chętnie za to zapłacili – próbuje żartować.

W myślach odtwarza wszystko jeszcze raz, by być pewnym, że nie powiedział niczego kompromitującego. Nie dał się nawet wciągnąć w politykę. Sumienie ma czyste.

Policjant tymczasem odłącza swój węzeł.

– Jeśli pan sobie coś przypomni, proszę koniecznie zadzwonić. Zresztą my zawsze mówimy „do widzenia” zamiast „żegnam”. Proszę mnie nie odprowadzać.

Vermil nie reaguje. Bąka tylko zdawkowe „aha”. Kowalski wychodzi, pozostawiając po sobie ciężki zapach nieznanych perfum i aurę niepokoju. Nagle, nie wiedząc czemu, wracają do Olsona pytania o szatana i opętanie. Myśli te niczym wędka podrywają pętle pamięci, które rejestrowały wrzaski Adama, dobiegające z oddali. Choć policyjna symulacja nie odświeżyła pamięci, nie zmusiła Vermila do politycznej deklaracji, z pewnością spowodowała, że jakieś uszczelki, neuronowe tamy zaczynają przeciekać.

Olson idzie do kuchni, gdzie w ścianie mieści się świetnie zaopatrzone barek. Otwiera szesnastoletniego malta, którego trzyma na jakąś specjalną okazję i wypija podwójnego drinka. Potem jeszcze jednego i następnego. Whisky smakuje mu jak nigdy, wprawia go wręcz w euforię. Ma ochotę tańczyć. Zamiast tego wciąż pije. Kiełkuje w nim odwaga i przebojowość Mervila, stawia czoła całemu światu. Śmieje się do siebie, strofuje Ginkora, a co najważniejsze prawi komplementy Solidarii Kurtz, która jest królową elfów. Od czasu do czasu budzi się w nim cynik. Gdyby choć raz zaciągnął ją do łóżka i podczas seksu dyskretnie wisiał na soczewkach, to miałby ją już na zawsze dla siebie. Znał faceta, który z nagrań kroił takie holo, że niejeden wołał je potem niż seks w realu. Jak szła ta reklama? Aha, przypomina sobie: noś wszystkie swoje dziewczyny zawsze przy sobie.

Holo jest lepsze niż wspomnienia. Wspomnienia są zamazane, nie słuchają Vermila. Solidaria znika, a on ma w piersi dziurę wielkości

chodnikowej płyty. Człapie do sypialni, przytulony do prawie pustej butelki. Wali się na łóżko, które rozpaczliwie próbuje nadać workowatemu ciału naturalne kształty.

Teraz chce już tylko spać. Bezkarny sen w „opakowaniu” to święty przywilej samotnika. Jednak mimo wypitego alkoholu, a może właśnie z jego powodu, nie może zasnąć. Pod powiekami majaczą strzępki obrazów. Sypialnia wydaje się duszna. Vermil bierze się w garść. Leży i leży, tępo wpatrując się w sufit. Ciemne ściany pokoju powoli zaczynają na niego napierać. Atakuje go myśl, że właśnie uczestniczy w dalszej części policyjnego testu. Zrywa się z łóżka i chwyta butelkę. Alkohol pali gardło. To real. Żadne holo tak nie kręci w żołądku. Rzeczywistość jednak również jest pełna pułapek. W głowie Vermila pojawiają się słowa Alberta: „...w Nowym Testamencie diabeł zostaje wymieniony z imienia 34 razy. Występuje we wszystkich księgach z wyjątkiem Ewangelii św. Marka”.

Wraca lęk spotęgowany alkoholem. Pokój nagle przestaje być przyjazny. Twarz Alberta patrzy, groteskowo wykrzywiona. Głos nie chce zamilknąć: „...Św. Łukasz pisze, że może on uniemożliwić zbawienie, św. Jan mówi o kuszeniu do grzechu, a św. Piotr ostrzega przed szatanem podobnym do lwa ryczącego, który krąży, szukając, kogo pożreć...”.

Vermil analizuje swój stan ze spokojem pilota, który wie, że maszyna za chwilę się rozbije. Strach przyczaja się gdzieś na zewnątrz niego. Nie wie, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy. Pokój powoli zaczyna wirować. Zdaje mu się, że na jego środku stoi mrówka trzymająca olbrzymi, kołyszący się fotel, który zaraz zwali się na niego. Mrówka jest silna, lecz mebel lada chwila przeważa. Owad zatacza się na cieniutkich nóżkach, napręża małe muskuły i... nie daje rady.

Vermil ma w ustach kwaśny smak alkoholu i wymiocin. Leżąc pijany, z resztami jedzenia na ubraniu, czuje się jak bezbronne dziecko, które nagle dowiedziało się o istnieniu nieznanego świata poza bezpieczną piaskownicą. Ktoś nazwał to trafnie poszerzeniem pola walki. Najgorsze jednak, że Olson nie ma w sobie nic z dziecięcej ciekawości. Żałuje, że kiedykolwiek usłyszał o Solidarii i M-Techu. Chce mu się płakać. Zarzygał się we własnym łóżku.

Wstaje i rusza w stronę łazienki, a prawda ujawnia mu się z przerażającą oczywistością: funkcjonariusz Kowalski jest diabłem!

Po obfitym śniadaniu, dokonawszy rachunku sumienia racjonalisty, Vermil postanawia ruszyć z miejsca. Na szczyt listy priorytetów znów wraca zlepienie. W blasku słońca, które przyjaźnie patrzy zza okna, diabelski policjant wydaje się ledwie odpustowym straszidłem. Olson długo planuje telefon do Solidarii: zagajenia i przydechy na wszystkich „czy mógłbym”, „w rzeczy samej”, „jak najszybciej”. Szykuje się na długą rozmowę, tymczasem kobieta niemal od razu zaprasza go do siebie, a kiedy Olson oznajmia, że chciałby skorzystać z polecanego przez nią zlepiacza, robi się wręcz wylewna. Umawiają się na popołudnie w jej kancelarii. Do takiego spotkania należy się oczywiście przygotować. Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Zanim Vermil wyjdzie z domu, przerzuca jeszcze ostatnie zlepienie. Oniryczność tekstu w osobliwy sposób uświadamia mu, że być może nie ma nic do odkrycia, że za tajemniczymi drzwiami Ginkor i Naela nie znajdą niczego godnego uwagi. Jak dotąd nigdy nie brał poważnie sugestii, że na skutek wypadku ta akurat część pamięci została uszkodzona mechanicznie, że mózg niczego przed nim nie ukrywa, bo informacja po prostu przepadła.

Wypija napój witaminowy, wybiera muzykę, industrial light, myje się, nakłada bluzę z kapturem, okulary przeciwsłoneczne i rusza do fryzjera. Wtapia się w przedpołudniowy ruch. Sportowy strój wyróżnia się krojem i smakiem. Kobiety i mężczyźni patrzą z sympatią na jego sprężysty krok. Gdyby to była Warszawa, mógłby uchodzić za celebrytę, który postanowił wybrać się na małą przechadzkę. Nie jest umówiony ze stylistką, ale Gosia zawsze potrafi wygospodarować dla niego godzinę, tak jak on dla niej stolik w restauracji na darmową kolację.

Przyspiesza kroku, z wprawą narciarskiego slalomisty wyprzedza przechodniów. Holo w sklepach śmieje się do niego. Spersonalizowane niegdyś wabiki chwalą świetny gust, wbijając się na otwarty kanał węzła. Mógłby oczywiście je wyciszyć, nie robi tego jednak. Bo tak bije serce

miasta. Sklepowe profile sprawiają, że człowiek ma prawdziwe poczucie przynależności.

– Jak koszula, którą kupił pan ostatnio? Dobrze się nosi? – pyta holowzorzec męskiej urody. – Właśnie przyszła nowa kolekcja z limitowanymi wzorami.

Vermil z trudem powstrzymuje się, by nie wejść do sklepu. Odkłania się tylko znajomej, która tu pracuje.

– Przebieżka? – Macha z samochodu znajomy taksówkarz.

– Fryzjer! – odkrzykuje radośnie Olson.

W oddali rysuje się aerostrada. Wieża kościoła Klarysek, w którym tak niedawno gościł, całkowicie przysłonięta jest holoreklamami. Vermil nie chce patrzeć w tamtą stronę. Dziś pociąga go to, co lekkie i zabawne. Niemal tanecznym krokiem wchodzi do studia stylizacji.

– Dwadzieścia minut, dobrze? – rzuca Gosia, uśmiechając się, a on zawisa na węźle. Ma trochę nieodebranej poczty. Szybko profiluje selekcionera i w zasadzie zostają mu dwa listy. Pierwszy to zaproszenie na otwarcie nowej restauracji. Klasyczna molekula, na pewno nie pójdzie. Drugi natomiast jest od... matki Trolla! Vermil raz i drugi czyta krótki apel z prośbą o pomoc w poszukiwaniach syna. Najwyraźniej kobieta wysłała list na wszystkie adresy z jego listy. Troll zaginął pięć dni temu. Samochód znaleziono na parkingu strzeżonym, ale Trolla i jego żony nie ma na miejskich recordach. Ich węzły milczą. Olson zatrzymuje wzrok na jednym, uderzającym zdaniu: „Ktokolwiek mógłby...”. Owo „ktokolwiek” jest jak krzycząca bezsilność, poczucie niemożności zwerbalizowane w dramatycznym apelu.

Węzeł jest wilgotny, Vermilowi pocą się ręce. Jak w transie siada na fotelu, a Gosia przegrania jego bujne włosy. Zaśmiewa się przy tym perliście, pytając o to i owo. Olson odpowiada zdawkowo, tak by jej nie urazić. Myślni wraca jednak do Kowalskiego i jego drugiej sprawy. Czyżby chodziło mu o Trolla?

Fryzura zakwita na głowie jak egzotyczny kwiat. Gosia nie tylko zna najnowsze trendy – ona je upgradeuje. Dzięki temu Vermil jest o krok przed modą. Fundament zawsze zanurzony jest w terażniejszości, lecz

fryzjerka ulepsza go tu i ówdzie. Normalnie Vermil czułby się jak nowo narodzony. Teraz jednak ma wrażenie, że przez tę fryzurę jest napuszony jak paw: kolorowy i wszędzie rozpoznawalny. Ku zdziwieniu Gosi, wychodząc znów nakłada kaptur. Z trudem powstrzymuje się, by nie patrzeć za siebie. Na Placu Wolności siada na jednej z ławek i jeszcze raz czyta list od matki przyjaciela. Na końcu widnieje numer. Z pewnym wahaniem wybiera go. Słyszy „słucham”, wypowiedziane zmęczonym kobiecym głosem.

– Dzień dobry, tu Vermil, właśnie odebrałem wiadomość. Co się dokładnie stało? Jak mógłbym pomóc?

Słysząc ciężki oddech.

– Mówił, że zadzwonisz. Kazał, żebym natychmiast się rozłączyła.

– Dlaczego? – wydusza z siebie Olson.

– Mówił, że wiesz, że jesteś już blisko. – Głos jej się załamuje.

Vermil nie drąży tego wątku, choć niepokój rozsadza mu serce.

– A co na to policja?

– Powiedzieli, że sam musi wrócić. I jeszcze Magda. Jej też nie ma. – Kobieta całkiem się rozkleja.

Vermil gorączkowo szuka strategii. Jego pytanie jest jednak standardowe, płaskie.

– Jak to się mogło stać?

– Nie wiem, przecież ludzie nie znikają, prawda?

– Przyjadę do pani! – decyduje Olson. – Razem coś wymyślimy, jakoś pani pomogę.

Matka Trolla rozłącza się.

– Nie, nie! Proszę zaczekać, muszę wiedzieć! – krzyczy, ale jest za późno.

Słyszy tylko sygnał. Wokół niego latają gołębie, chwytają każdy okruszek chleba czy wafla rzucony im przez dzieci. Vermil marzy, by być takim gołębiem. Niestety, ma w sobie imperatyw myślenia. Szuka na węzle współpracowników Trolla. Znajduje profil Oliviera. Nie zna go zbyt dobrze, ale ma nadzieję czegoś się dowiedzieć. Nikt nie odbiera. U Andrzeja

podobnie. Wysyła w sieć szperacza. To może jednak trochę potrwać. Zostaje mu Solidria.

Idąc do domu, nie zauważa tego wszystkiego, co jeszcze przed chwilą sprawiało mu taką radość. Kiedy przykłada palec do wejściowego czytnika, czuje silne uderzenie w plecy. Nie znajduje punktu oparcia w otwierających się drzwiach i młóćąc rękami powietrze, przewraca się na podłogę. Po sekundzie jego plecy przygniata ogromny ciężar.

– Ani, kurwa, drgnij – słyszy tuż koło ucha.

Głos brzmi spokojnie, pewnie, jakby rozkaz wypowiadał automat.

Niepotrzebnie, Vermil wcale nie zamierza się ruszać. Palce napastnika wczepiają się w dzieło sztuki na jego głowie. Fryzura jest dobrze usztywniona i wymodelowana, doskonale nadaje się na uchwyt ciągnący brodę w górę.

– Po co wróciłeś?

Nie rozumie pytania.

– Ja tu mieszkam – jęczy zdezorientowany.

– Masz tupet. Po tym wszystkim. I jeszcze dzwonisz do mojej siostry. Tego ci, kurwa, nie daruję.

Vermil nie rozumie:

– Do nikogo nie dzwoniłem! To jakaś pomyłka.

– Tak? – mężczyzna zwalnia chwyt, obraca Olsona na plecy i wymierza mu uderzenie w szczękę. Niezbyt mocne, ale wystarczające, by leżący poczuł w ustach smak krwi. Napastnik tymczasem zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem. Olson zna tę twarz! Zna te zęby! To Marek – samiec alfa z przyjęcia u Solidarii.

Pięść ponownie ląduje na szczęce Vermila.

Kiedy Olson odzyskuje przytomność, nie może się ruszyć. Jest przywiązany taśmą do krzesła, a w ustach ma knebel. Marek bawi się kuchennym nożem.

– Powiem krótko. Za chwilę porozmawiamy, a ty powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Inaczej utnę ci to i owo. System bezpieczeństwa tej rudery bez problemu łyknął moje nakładki. Jestem jak duch. Nikt nie powiąże tego

ze mną, a ty się tu wykrwawisz. Znajdą cię pewnie dopiero jak zaczniesz śmierzieć. Ja będę wtedy daleko. Kiwnij głową, jeśli rozumiesz.

Vermil wykonuje polecenie, choć niczego nie rozumie. Swoją dezorientację manifestuje, mrugając oczyma. Marek zdejmuje mu knebel. Vermil dopiero teraz dostrzega jego muskularne ręce. Facet ma na sobie jeansy i białą koszulkę. Bez garnituru jeszcze bardziej przypomina drapieżnika.

– Proszę pana, o co panu...

Tym razem uderza otwartą dłoń. Policzek piecze, ale przynajmniej zęby się nie chwieją.

– Co powiedziałeś o mnie glinom?

– Nic, nawet o pana nie pytali. – Tym razem Olson nie próbuje niczego dodawać.

– Czego chcesz od Solidarii?

– Jesteśmy umówieni na dziś, pomoże mi ze zlepieniem.

Mina Marka każe mu zamilknąć.

– Wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam? – Napastnik z wprawą obraca nóż w lewej dłoni. – Interesuje mnie, czemu jej to zrobiłeś.

Vermil zamiera z otwartymi ustami. Słowa mężczyzny dopiero moszczą się w jego mózgu.

– Może lepiej, że nie odpowiadasz. Bo co można powiedzieć? – Marek chwyta za knebel.

– Co zrobiłem, powiedz? Co zrobiłem? – wybucha Vermil. Jest tak rozżalony, że z trudem powstrzymuje łzy. Budzi litość.

Marek udaje, że się waha, rozważa coś w myślach, patrzy na Vermila.

– Wystarczył mi rzut oka w czasie tamtej kolacji i już wiedziałem. Pieprzony kogucik. Fiut sterczy ci z czoła. No ale ona cię lubiła.

– O co tu chodzi?! – To już nie jest pytanie, ani nawet krzyk, to skowyt zaszczutego wilka, który patrzy w lufę karabinu i jest mu wszystko jedno.

Marek opuszcza nóż, cofa się, patrzy na Vermila z nowym zainteresowaniem.

– Musiałeś wiedzieć. Wróciłeś, żeby zatrzeć ślady. Potem zaszyłeś się w tym kościele!

– Wróciłem po okulary, przysięgam! Potrącił mnie samochód, nic nie pamiętam, mam dziurę we łbie – wyrzuca z siebie chaotycznie Olson.

– Gówno prawda. Sfingowałeś to – mówi tamten beznamiętnie.

– Niech mi pan da węzeł, mam wypis ze szpitala na własną prośbę. Też się bałem. Nie wiem, co zobaczyłem, w ogóle nie wiem, co się stało. Strach mnie, kurwa, zżerał, a ja nie pamiętałem dlaczego. Może pan mi powie, co jest grane, a ja przestanę chodzić na te cholerne zlepienia.

– Jakie zlepienia?

– Kiedyś chciałem być pisarzem, teraz zlepiam, żeby wypełnić luki w pamięci.

– Gdzie to masz?

– Węzeł, logoszyt.

Marek podnosi urządzenie. Czyta. Mijają ciągnące się minuty. Na czole Marka wykwitają poprzeczne bruzdy.

– Bełkot – wzdycha. – Trzeba być zdrowo walniętym, żeby robić takie bzdety.

– To wszystko, co mam. Może odpowiedź jest za drzwiami na ostatniej stronie?

Marek zagłębia się w fotel, gładząc policzek ręką noża. Rozgląda się po pokoju.

– Czyli nie wiesz, że zamordowałeś moją siostrę, Solidarię Kurtz? – pyta zmęczonym głosem.

Vermil mruga. Zaśmiałyby się w głos, gdyby nie nóż Marka.

– Rozmawiałem z nią dzisiaj.

– Ona nie żyje. Tylko jeszcze o tym nie wie.

Dla Vermila wszystko staje się jasne. Wokół jego głowy rozbłyska tysięczny blask zrozumienia: piraniozęby Marek jest wariatem.

– Może pojedziemy do niej razem? – pyta ostrożnie Vermil, czekając na reakcję rozmówcy.

W oczach Marka nie ma ani odrobiny szaleństwa. Jest tylko niezłomna pewność.

– Personalizowana broń biologiczna. Ty jej to podałeś.

– Jeszcze raz. – Olson czuje niemal wesołość.

– Leczymy choroby, grzebiąc w ludzkim DNA. Zabijamy, robiąc to samo. I to bez pomyłek i dodatkowych ofiar. Dlatego mówię, że broń jest spersonalizowana. Zabiła tylko Solidarię, choć wszyscy jedli wasze potrawy.

– Może da się ją wyleczyć? – Vermil udaje powagę.

– Nie. Choroba strawi ciało w ciągu trzech tygodni.

Po tych słowach pewniej chwyta nóż i podchodzi do Olsona. Ten kurczy się w nagłym ataku przerażenia. Marek jednak tylko przecina krępującą go taśmę.

– Albo jesteś genialnym aktorem, albo kompletnym idiotą.

Vermil zrywa z siebie resztki taśmy, rzucając dyskretne spojrzenia swemu niedawnemu oprawcy.

– Czy ona wie?

– Ja wiem!

– Poszedłem po okulary!

– Jedź do Solidarii, powiedz jej, co uważasz za stosowne. Jeszcze się spotkamy.

– Niech pan poczeka! – Olson zastępuje mu drogę. – Jeśli nie ja, to kto?

Marek odpycha go bez wysiłku. Trzaśnięcie drzwiami nie dociera do Vermila. Stoi i stoi, trzymając się jednej myśli: Marek jest wariatem. Potem bierze się nagle za prasowanie koszuli. Gładkość wyłaniająca się spod niemodnego już ręcznego żelazka zawsze go uspokajała. Wyprasowana koszula to synonim ładu i harmonii – widomy znak, że świat ma sens. Kiedy ją zakłada, czuje, że zyskał pancierz. Jest jak rycerz, jak Mervil. Wie już, co należy zrobić. Pójdzie do Solidarii przygotowany. Zaskoczy ją zlepieniem. To nic, że sesje w Twórczości trzeba umawiać wcześniej. Teraz jest bogaty. Stać go, by przekupić kogoś z kolejki. Za chwilę dowie się wszystkiego!

SESJA DWUNASTA

Co jest we mnie?

Drzwi ustąpiły bez oporu. Ginkor ostrożnie zajrzał w niewielką szparę, po czym uchylił je jeszcze bardziej. Naela starała się wcisnąć głowę pod jego pachą, żeby też coś zobaczyć.

– Nie pchaj się, jeszcze zdążysz wpaść w kłopoty – szepnął Ginkor, wchodząc w jasno oświetlony, długi korytarz.

Drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie. Medyk odwrócił się zdziwiony. Jeszcze nie spotkał tak cicho działającego zamka.

– Przypomnij mi, po co tu weszliśmy? – spytała Naela, a on nie wiedział, czy dziewczyna żartuje, czy też dzieje się z nią coś niedobrego. Na wszelki wypadek zignorował pytanie.

– Chodźmy. – Pociągnął ją lekko za ramię.

Przed nimi, jak okiem sięgnąć, ciągnął się korytarz o gładkich zielonkawych ścianach. Nad głową błyszczały malutkie otwory, z których sączyło się światło. Ginkor omiótł wzrokiem ściany, sufit i podłogę.

– Fanatycy kąta prostego. Czuję się jak w pudełku.

– Myślisz, że wciąż jesteśmy w Morze? – spytała trzeźwo Naela, poprawiając kuszę.

– Na pewno. Mora, jak każde dostatecznie stare miasto, rozrasta się nie tylko na boki, ale także w górę. Kamienice, pałace, powstają na fundamentach starych konstrukcji. Wczesne kondygnacje zostają w dole i po setkach lat tworzą płataninę korytarzy i tuneli. Lorenzo Navida twierdzi, że są tam miejsca zamieszkałe przez setki ludzi, którym nie podoba się władza na powierzchni.

– Setki? Nieźle. Mam tylko dwadzieścia bełtów. – Spojrzała na sufit. – Żaden ptak nas tu nie uratuje.

– Żebyś się nie zdziwiła – powiedział Ginkor, po czym wiedziony nagłym impulsem odwrócił się i wyciągnął miecz.

Naela błyskawicznie zrobiła to samo. Zadnego dźwięku, ruchu, nic. Za nimi po prostu zapadała ciemność.

– Gasną. Dlaczego? – Naela zrobiła kilka kroków w stronę, z której przyszli.

Światła powoli zaczynały się zapalać.

– Niezła sztuczka. – Medyk patrzył w zaciemniający się korytarz.

– Myślisz, że Kaitarios nas widzi?

– Czemu nie? Na pewno ma ludzi od takich sztuczek.

Naela wyglądała na przestraszoną, jednak, nie mówiąc słowa, jakoś wzięła się w garść. Korytarz z gasnącym i zapalającym się światłem sprawiał upiorne wrażenie. Ginkor westchnął, schował miecz i ruszyli przed siebie. Wkrótce przekonali się, że korytarz wcale nie jest prosty. Zdarzały się gwałtowne skręty. Po jakimś czasie napotkali też odgałęzienia. Było ich coraz więcej.

– To labirynt. Jesteśmy w labiryncie – stwierdził Ginkor.

Naela przez chwilę trawiła tę wiadomość, po czym wypaliła:

– Moja siostra twierdziła, że z każdego labiryntu wyjdiesz, skręcając zawsze w prawo.

Medyk nie zdołał powstrzymać riposty:

– Z taką filozofią pewnie gubiła się we własnej jadalni, łażąc wkoło stołu.

Wolę poszukać wskazówek. Korytarze muszą się czymś różnić.

– Dlaczego „muszą”?

– Posłuchaj, jak byłem mały, Mervil opowiedział mi taką bajkę: Pewien zły czarownik, który chciał zbadać, jacy ludzie są naprawdę, zamknął pięcioro Nerolfczyków w dużym stalowym sześcianie. Każdy z takich sześcianów miał sześć wyjść, które prowadziły do innych sześcianów i tak dalej. Dodatkowo jeszcze cały ten układ nieustannie się poruszał. Po jakimś czasie ludzie zauważyli, że stalowe sześciany są ponumerowane.

– I tak dotarli do wyjścia? – przerwała mu.

– Nie. Zaczęli się kłócić i nawzajem zabijać. No i nie wspomniałem, że w niektórych sześcianach były pułapki. Jednak jeśli się znało matematykę, można było wyliczyć, gdzie są pułapki, a gdzie ich nie ma.

– Czyli jak się nie pokłócimy i znajdziemy wskazówki, to mamy szansę. Pokrzepiająca historia.

– Koniec był najlepszy: okazało się, że czarownik tak wszystko ułożył, że byliby bezpieczni, w ogóle nie ruszając się z miejsca, a pierwszy sześcian sam dowiózłby ich do wyjścia.

– Ta historia wiele wyjaśnia. Jeśli wychowałeś się na podobnych bajkach, nic dziwnego, że bywasz trudny.

– Trudny? – obruszył się Ginkor.

– O widzisz, już zaczynasz się kłócić.

– Nie zaczynam. Zresztą nie sądzę, żeby twórca tego labiryntu kopiował bajki Mervila.

– No dobra. – Naela zmierzwiła włosy. – Jeszcze jedna rzecz. Po co ten czarownik to zrobił? Czego się dowiedział o zachowaniu ludzi z tych sześciaków?

– No nie! Przecież to tylko metafora. Chodzi o rozważne działanie i tak dalej.

Ginkor wybrał ścianę po prawej stronie i zaczął ją metodycznie lustrować, przesuając się w stronę zakrętu. Po kilku minutach obserwacji jej porowata faktura zaczęła powoli się rozpływać. Medyk przetarł oczy i kilka razy zamrugał. Naela, przyglądająca się ścianie naprzeciwko, nawet nie podniosła wzroku. Ginkor wrócił do przerwanej czynności. Zdążył przejść może pół kroku, gdy nagle usłyszał:

– Hej, chyba masz coś z proroka. Znalazłam pierwszą zagadkę!

Poszło gładko. Po trzech godzinach Vermil znów jest w domu. Patrzy na znaki, jakby nie widział w nich ciągu wyrazów i zdań niosących z sobą jakiegokolwiek znaczenia. Kiedy przychodzi zrozumienie wsparte litrem wypitej wody, jego własna wyobraźnia budzi w nim zażenowanie. Czyta jeszcze raz, a potem kolejny. Motyw labiryntu, choć zgrany, oznacza, że jest blisko jądra tajemnicy. Olson jeszcze nie wie, czym okaże się jego Minotaur. Boi się konfrontacji i jednocześnie jej pragnie. Wiedziony nagłym impulsem zaczyna szperać w starych filmach w poszukiwaniu *Cube'a*. Ogląda przez kilka minut, po czym wraca do czytania.

Labirynt w niczym nie przypomina żadnego szpitalnego wnętrza. Zresztą Vermil jest pewien, że nigdy nie leczył się w Juraszu. Jednak jego mózg jest innego zdania. Freud oszalałby ze szczęścia. Olson myśli o wizycie u Solidarii. Odżywają w nim samcze fantazje, jakby organizm w obliczu zagrożenia właśnie kopulację czynił priorytetem. Olson wypełnia czas czytaniem wiadomości i bezsensownym snuciem się po mieszkaniu. Jest zawiedziony. Nie to chciał dać Solidarii. Niestety, na kolejne zlepienie nie ma już czasu.

Ubiera się, po czym siada przed lustrem i ćwiczy zachowanie pełne pogodnej obojętności. Marzy, by być jak dekadent, dla którego kolejne życiowe katastrofy są tylko pretekstem do ironicznego skrzywienia warg. Strach o własne życie? Potencjalna śmierć pięknej znajomej i przyjaciela? Rozwiązywanie zagadki własnej amnezji? – dla człowieka w lustrze to tylko nowe, ekscytujące doświadczenia. Przed wyjściem Vermil na wzór des Esseintes komponuje alkoholową symfonię, która dodaje mu animuszu.

Po wyjściu na ulicę zdaje sobie sprawę, że nie ma siły przeciskać się przez tłum. Po spotkaniu z Markiem ludzie wydają mu się obcy i niebezpieczni. Gardzi motłochem. Bierze taksówkę na chybił trafił. Za kierownicą siedzi

kobieta, która obrzuca go innym spojrzeniem niż na to zasługuje. Jest obojętna i rzeczowa.

– Paderewskiego, nie pamiętam numeru. Tam jest taka willa. No wie pani – rzuca Olson.

Radio gra jakiś idiotyczny przebój, a kobieta bębni palcami w kierownicę. Ulica jest zakorkowana. Vermil próbuje uciec na węzeł, lecz nie jest w stanie skoncentrować się na obrazach tańczących w soczewkach.

– Czy może pani to wyłączyć? – prosi.

Kobieta bez słowa ścisza radio. W samochodzie unosi się jakieś nieuchwytnie napięcie.

– Niezły dzisiaj ruch – próbuje zagaić Olson.

– Zauważył pan.

W jej tonie jest coś wyzywającego.

– Mam wrażenie, że SAM-y radzą sobie jednak trochę lepiej. Jeśli chodzi o usługi transportowe, brak uczuć to rękojmia profesjonalizmu – odcina się, przekonany, że dostała to, na co zasłużyła.

– Nieprawda – podejmuje ona zaskakująco spokojnie. – Łatwiej je opętać.

– Opętać? – wzdryga się.

Mógłby przysiąc, że na szybie mignęła twarz Adama.

– Tak mówimy, ale chodzi o hakowanie. Ja nigdy nie ufam maszynom.

– Dlaczego.

– Bo to maszyny.

Napięcie ulatnia się, jakby znaleźli nić porozumienia. Przez dłuższą chwilę jadą w milczeniu. Są blisko celu. W końcu kobieta znajduje wolne miejsce. Vermil daje duży napiwek.

– A to za co? – pyta kobieta.

– Za to, że nie jest pani maszyną. – Drzwi zamykają się z cichym sykiem i taksówka odjeżdża.

Kancelaria Solidarii Kurtz mieści się w secesyjnej willi. Nie trzeba żadnego holo, by ją upiększyć. Sama w sobie prezentuje się wspaniale. Ta część starej Bydgoszczy praktycznie wolna jest od krzykliwych reklam i holoskórek. Tu zwycięża tradycja. Olson z przyjemnością zatrzymuje wzrok

na kobiecej masce u wejścia, ślizga się po geometryczno-roślinnej sztukaterii i osobliwym połączeniu falistych szczytów z masywnymi wieżyczkami. Przykłada palec do przycisku interkomu, który patrzy na niego czarnym okiem kamery. Drzwi otwierają się z cichym bzyknięciem. Willa jest przyjemnie chłodna. Na kremowych ścianach wiją się pastelowe kwiaty. Kancelaria Solidarii zajmuje cały budynek: kilkaset metrów kwadratowych. Na szczycie schodów czekają jeszcze jedne drzwi. Ustępują, zanim ich dotyka. O tej porze Vermil spodziewa się ruchu, tłumy sekretarek, współpracowników. Jednak wita go absolutna cisza. Wokół pachnie biurem i mieszkanką różnych drogich perfum, jakby wszyscy ludzie zniknęli stąd ledwie sekundę temu.

Vermil ostrożnie zagląda do kolejnych gabinetów i lustruje biurka sekretarek w oszklonych przedsionkach. Czuje, jak koszula pod marynarką nasiąka potem. Odruchowo odpina dodatkowy guzik przy kołnierzyku. Ma ochotę opaść na czworaki i zacząć się skradać. Nagle zdaje mu się, że gdzieś po prawej stronie słychać ciche skrzypienie. Podchodzi do framugi i uczepiony jej kurczowo zagląda do środka.

Siedzi tam, w białej sukience, z nogą założoną na nogę i cienkim papierosem w dłoni. Vermil chce się odezwać, ale coś go powstrzymuje. Przestaje się skradać i staje w drzwiach, nie spuszczać wzroku z Solidarii. Kobieta patrzy w jego stronę, lecz zdaje się go nie widzieć, jakby był zupełnie przezroczysty. Odpycha się lekko nogą, a jej biurowy fotel obraca się wokół własnej osi. Solidaria znika, na ułamek sekundy zasłonięta oparciem. Kiedy znów się pojawia, w jej cudownych oczach skrzy się inteligencja. Zaciąga się papierosem i wydmuchuje smużkę białawego dymu. Patrzy na niknący dym, po czym zaczyna:

– Przyszedł mi pan powiedzieć, że nie żyję?

Vermil nie może się ruszyć. Solidaria Kurtz jest jak pająk, trzymający go siecią samego tylko spojrzenia. Chciałby się odezwać, lecz czy istnieją odpowiednie słowa?

Kobieta wstaje zza biurka i posuwistym krokiem płynie w stronę Vermila. Podnosi lekko głowę i całuje go w usta.

– Po śmierci człowiek ma prawo zachowywać się nieco dziwnie, prawda?
Zawsze miałam na to ochotę.

Potężny zastrzyk pewności siebie przywraca Vermilowi władzę we własnym ciele.

– Właśnie się dowiedziałem. Przykro mi.

– To miło z pana strony. Ja też wiem od niedawna. Powinam za to podziękować panu i...

Olson w lot łapie sugestię. Odruchowo odwraca głowę. Za plecami napotyka twarz i dwa rzędy małych zębów.

– Miał pan już przyjemność poznać mojego brata – zauważa rezolutnie Solidaria.

Vermil mięknie, topi się.

– Dobrze nam się rozmawiało.

Słowa Marka jak zwykle nie mają w sobie ani odrobiny emocji. Jego twarz pozostaje doskonale beznamiętna. Vermil dopiero teraz zauważa, że ów bezruch bierze się prawdopodobnie z przekręcenia. Myśl, że drapieżnik nie jest obojętny na upływ czasu, więcej, rozpaczliwie z nim walczy, dodaje mu odwagi.

– Pani brat na mnie napadł!

Marek wzrusza ramionami, Solidaria lekko się krzywi.

– Robił to dla mnie – stwierdza, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Usiądźmy. – Marek robi krok do przodu, popychając Vermila w stronę krzesła.

Solidaria klęka i kładzie mu rękę na kolanie. Olson czuje mrowienie w podbrzuszu. Dotyk i zapach papierosów działają jak afrodyzjak.

– Proszę się nie martwić. My wszystko rozumiemy. Pan jest tu tylko niewinną ofiarą, wplątana w intrygę, która pana przerasta. Ale pomożemy panu. Proszę. – Wskazała gestem drzwi. – Samochód czeka. Czas na ostatnie zlepienie.

SESJA TRZYNASTA

Na co nam te wszystkie tajemnice?

– „Przyjdź na występ boskiej Olidrias” – przeczytał na głos Ginkor piąty lub szósty raz.

Teatralny plakat przyklejony do ściany labiryntu przedstawiał skąpo ubraną piękność, wygiętą w zmysłowym tańcu. Jego obecność na gładkiej ścianie wydawała się całkowicie nie na miejscu.

– Cholera – zaklął. – Szkoda, że nie wypytałem Mervila dokładniej.

– Jesteś pewien, że to kobieta, którą kazał odszukać Verio?

– Imię się zgadza, tylko co ten plakat robi w labiryncie?

– To musi być wskazówka. Może Kaitarios o niej wiedział, może to wszystko od początku było ukartowane?

– Wszystko?

– No wiesz... – Dziewczyna zmarkotniała.

Medyk ścisnął jej rękę, choć sam poczuł, jak głos więźnie mu w gardle. Zaczął chodzić w tę i z powrotem, patrząc na plakat pod różnymi kątami.

– Olidrias, Olidrias. – Stukał w zęby kostką zaciśniętej pięści, próbując wypatrzyć na plakacie cokolwiek, co przypominałoby wskazówkę lub plan wyjścia z labiryntu.

Na razie zorientował się tylko, że oczy kobiety w przedziwny sposób patrzą na niego, obojętnie gdzie by się znalazł. Niestety, jej ręce nie wskazywały żadnych kierunków. Na gładkim tle także niczego nie było.

– Kaitarios mówił, że za tymi drzwiami wszystkiego się dowiemy – przypomniała Naela. – Nie wspominał o żadnym labiryncie. Może pójdziemy głównym korytarzem najdalej, jak się da?

Ginkor nie miał lepszego pomysłu. Naznaczył korytarz mieczem, co zwykł robić po każdej przecznicy, i bez słowa ruszył do przodu. Dłoń Naeli zwinnie wśliznęła się pod jego ramię. Światło za nimi gasło, jakby labirynt zasypiał spokojnym snem. Szli równym krokiem, uważnie przeglądając

wejścia do bocznych korytarzy. Wkrótce w ich serca wstąpiła nowa nadzieja. Znaleźli kolejny plakat z gorączką Olidrias. Tym razem trzymała w ręku urządzenie wielkości kuchenki mikrofalowej, a napis głosił: „zlep mnie”.

– Wiesz, o co chodzi?

– Chyba tak. Navida mówił mi kiedyś, że są takie maszyny, zlepiające, które potrafią wydobyć myśli wprost z czyjejs głowy. Nie trzeba niczego pisać. Maszyna wyrzuca gotowy tekst.

– To jakieś czary? – wydeła usta Naela.

– Takie same jak węzeł czy stetoskop.

– Dobra, mamy występ, mamy zlepiając, co dalej?

– Tak jak mówiłaś: przed siebie.

Ruszyli, chwyciwszy się za ręce. W ich ostrożnych krokach nie było strachu. Ich serca stały się twardsze, zahartowane niezwykłościami. Teraz pchała ich w ciemność przede wszystkim ciekawość i nowo odkryte uczucie. Nie musieli o nim mówić, nie musieli patrzeć sobie w oczy. Wystarczyła bliskość ciał, wyrażona ciepłem stykających się dłoni.

– Właściwie to już niczego nie chcę, to mogłoby się tak właśnie skończyć – powiedziała Naela.

– Po prostu byśmy szli?

– Tak. Na co nam te wszystkie tajemnice? Co z nimi zrobimy?

– Jak to? – zdziwił się Ginkor. – Będziemy wiedzieć.

– Wiedza jest przereklamowana.

– A Debeli?

– Jaka Debeli?

– Twoja kraina! – medyk poczuł ukłucie niepokoju.

Zaśmiała się, puszczając mu oko, a on myślał gorączkowo, co powinien zrobić, powiedzieć.

– Jesteś tu, bo twoja kraina zniknęła, pamiętasz. Przyszliśmy do Kaitariosa.

– To jakiś Grek? Pierwsze słyszę?

– Kochanie, dość tej zabawy. – Zatrzymał się i ścisnął jej ramiona.

– Dobrze już – burknęła i niespodziewanie przywarła do jego ust.

Nie odpowiedział pocałunkiem, bo kątem oka dostrzegł, że droga się skończyła, a w półmroku majaczą białe drzwi.

– Poczekaj! – wysapał, kiedy figlarnie gryzła jego wargę. – Jest wyjście!

– No to dalej, ruszaj, na co czekasz. – Pchnęła go, wyraźnie niezadowolona.

Nie patrzył na nią, bał się. Nacisnął klamkę i naparł barkiem na białe skrzydło.

Vermil jest cały spocony. Przygląda się Solidarii, która czyta ostatnie zlepienie. Brat zagląda jej przez ramię.

– A wie pan, że w młodości tańczyłam?

Usta Marka wykrzywia coś na kształt uśmiechu. Oczy wciąż pozostają nieruchome.

– No i co my zrobimy, panie Vermilu. – Solidaria patrzy na niego z troską, która w ogóle mu się nie podoba. Ma wrażenie, że widzi w nim śmiertelnie chorego.

– Jak to? – pyta, szukając wzrokiem kubka, z którego tuż przed zlepieniem wziął łyk wody.

– Ginkor i Naela weszli do środka, to koniec – ciągnie Solidaria.

– Koniec czego?

– Wszystkiego – niecierpliwi się Marek. – Dopóki szli, mieli szansę. Wszyscy mieliśmy.

– Zabił mnie pan – mówi smutno Solidaria Kurtz. – I nawet nie zdążyliśmy... – zawiesza głos.

– To pani chciała...? – wykrztusza.

Kobieta ignoruje pytanie. Sięga po papierosa, a brat usłużnie przypala. Olson nie może pojąć, jakim cudem są spokrewnieni.

– Chodźmy, musi pan zobaczyć, jak to wszystko się zaczęło.

Podaje mu rękę. Kiedy Olson stawia stopy na podłodze, kręci mu się w głowie. Marek podtrzymuje go. W jego oczach błyszczy... no właśnie, co? Zrozumienie? Sympatia? Kula euforii formuje się gdzieś pod sercem Vermila i płynnie autostradami tętnic do wszystkich zakamarków ciała. Nie wie, co się za chwilę stanie, ale ma wrażenie, że wygra tak czy inaczej: Solidaria go pożąda, Marek przestał być niebezpieczny. Jego ostre zęby nie mają już znaczenia. Vermil żałuje, że nie ma z nim Alberta.

– Tędy!

Solidaria prowadzi go korytarzem. Skręcają to w prawo, to w lewo. Nagle wyrastają przed nimi drzwi z napisem: „Szpital Uniwersytecki im. dr. Antoniego Jurasza w Bydgoszczy”.

– Nie rozumiem – szepcze Vermil, przygryzając wargę.

– Wiem. – Solidaria głaszcze go po głowie.

Marek naciska kławkę, torując Vermilowi drogę. W dużej sali, w większości wypełnionej medyczną aparaturą, stoi łóżko, wokół którego tłoczą się ludzie. Olson nie patrzy na nich, bo jego uwagę całkowicie przykuwa leżąca postać.

– Troll! – Chce krzyknąć, ale nie krzyczy, bo przyjaciel na łóżku porusza się niespokojnie, jęczy.

Vermil podchodzi wolno, a ludzie rozstępują się przed nim jak teatralni statyści. Twarz Trolla jest kredowobiała. Chyba umiera. Olson mruga oczami.

– Trzymasz się? – słyszy za sobą nieznany głos.

Odwraca się i widzi ascetyczną twarz mężczyzny, który kładzie mu rękę na ramieniu.

Mervil!

– Tu nawet Lorenzo Navida nie poradzi – kiwa głową Ginkor, stojący u wezgłowia. Naela obejmuje go czule.

– Módlmy się – nakazuje cicho Albert.

Vermilem wstrząsa spazmatyczny dreszcz, chwytą się poręczy łóżka. Solidaria całuje go w policzek. Jej twarz jest najczystszy destylatem smutku, a oczy wydają się pełne oddania i miłości. Pozostali jednak patrzą na Trolla. Są tu chyba wszyscy. Vermil łowi spojrzeniem poszczególne, jakby rozmazane twarze. Widzi Konrada Wenera i Rafała Daczyńskiego, kapitana Thorica, Kiliasa Verio, Michała Boruckiego i tylu innych. Nawet Lukrecjusz wraz z hrabią de Sternem wydają się strapieni. Malwa i Gosia szlochają głośno, nie wstydząc się swoich uczuć. Kowalski poprawia poduszkę. Książę Avidion i Iorgo Sariva zachowują dostojną powagę. Mervil bawi się nożem. Olson przygasa, blednie. Nikt na niego nie patrzy. A on przypomina sobie, czego dowiedział się, wracając do domu Solidarii po okulary. Dowiedział się, że nie jest prawdziwy. Zobaczył to wtedy i teraz

też to widzi, czy raczej czuje. Tamte drzwi nie prowadziły do jej willi, lecz do domu Mervila Bellusa.

Nagle Vermil dostrzega, że po lewej stronie nie ma już ściany, lecz rysuje się tam zasłona jasnego blasku. Chce zostać przy Trollu, ale blask ciągnie go, wsysa. Widzi jeszcze machającego doń Mervila. Już się nie boi. Idzie. Rozpływa się w świetle, by trafić tam, gdzie jego miejsce.

DZIEŃ ZERO

Ilverm Trzaskowski mruga i głębiej wciąga pachnące sterylnością powietrze. Podobnie jak poprzedniego ranka budzi się z nadzieją. Powoli porusza wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami. Najpierw prawą, potem lewą. Wyteża słuch. Słyszy szaleńczą gonitwę własnego serca. Przenosi wzrok z przedmiotu na przedmiot. Szepcze nazwę każdego z nich. Działa! Znow wszystko działa! Takie poranki chyba nigdy mu się nie znudzą. Patrzy na czujniki przyssane do ciała niczym pijawki. Wyrastające z nich kable biegną do potężnej aparatury, która cicho szumi. Zrywa je i kładzie na sprzęcie. Mimowolnie chwytą spojrzeniem logo firmy medycznej. Orzeł z dumnie rozpostartymi skrzydłami napawa optymizmem.

– Aquil, Aquil – czyta raz i drugi srebrny grawer.

Mógłby wstać i przejść się po sali. Nie robi tego jednak. Jeszcze poleży. Unosi ręce i kreśli nimi koła tuż przed oczami. Sprawia mu to nieopisaną radość. Słyszy szelest otwieranym drzwi.

– Ta gimnastyka nie mogła ujść naszej uwadze – uśmiecha się mężczyzna o wyglądzie trenera fitness. Na pewno jest przekreślony o jakieś dziesięć lat. – I jak się dziś czujemy?

– Pan z pewnością znakomicie – żartuje Ilverm.

– Owszem, znośnie – przytakuje lekarz. – Rano byłem na siłowni. A co powie mój ulubiony pacjent? Czternastogodzinny sen to niezły dopalacz.

– Jest świetnie – odpowiada Ilverm, przeciągając się.

– Ja myślę! – Tamten poufałym gestem kładzie mu rękę na ramieniu. – I jak co dzień z przyjemnością powtórzę: półkule się komunikują, rekonstrukcja spoidła wielkiego przebiegła pomyślnie.

– Wolę określenie „ciało modzelowate”. Brzmi bardziej tajemniczo.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

– Tyle że jest coś – Ilverm nagle poważnieje – uczucie, wrażenie, że wszystko...

– Dezorientacja jest zrozumiała. W przypadku *story cure* to zwykły efekt uboczny.

– A co z prawą półkulą?

– Motoryka lewej strony jak na razie w porządku. Przeszedł pan wszystkie testy. Po takim wypadku to i tak sporo. Na razie stworzył pan najdłuższą opowieść. Prawie trzysta stron maszynopisu.

– Da się to w ogóle czytać?

– Moja doktorantka jest zachwycona.

– Publikujecie może jakąś serię z cyklu: „Pacjenci z połową mózgu prezentują”?

– Niezły pomysł – podchwytuje lekarz z figlarnym błyskiem w oku. – Nowy gatunek prozy szpitalnej: *half-brain story*.

Obaj śmieją się nieco zbyt głośno.

– Jak pan myśli: dlaczego na końcu byłem Trollem? Czy nie powinienem być raczej Vermilem?

Lekarz rozkłada ręce:

– Ja pilnuję tylko, by w końcu ci z lewej i prawej półkuli spotkali się w jednym pokoju. Ale jeśli pan chce, mogę jeszcze dziś przysłać psychologa. On wszystko panu rozmontuje.

– Lepiej nie.

– Jak pan woli. Niemniej i tak trzeba będzie umówić kilka sesji.

Ilverm wodzi wzrokiem po sali.

– Czyli właściwie mogę się zbierać.

– Jak najbardziej. Od ostatniej sesji minęło trzydzieści dni. Nic złego się nie dzieje. Dziś po południu możemy pana wypuścić. Zresztą jest pan silny, pana mózg poradził sobie z przedwczesnym ujawnieniem. Przekuł problem w nośną fabułę. Świetnie racjonalizuje.

– A Reza, Debeli? Coś jednak straciłem.

– Tak. – Lekarz wciąż się uśmiecha. – Jednak mózg wspaniale wszystko otorbił, wplótł w historię, zatkał wyrwę. Wciąż jest pan spójny. Mervil, Vermil i Ilverm poradzą sobie bez tych dwóch krain. Jestem pewien.

– Mimo wszystko coś przepadło. Niestety, nie wiem co.

– Każdy człowiek codziennie gubi wspomnienia. Mózg już taki jest.

Ilverm trawi te słowa. Myśli o tym, że rok temu jego głowa wyglądała jak pomięta papierowa torba. Powinien się cieszyć, ale wcale tak nie jest. Za szpitalnymi drzwiami napotka świat, który nie jest opowieścią. Świat, w którym są dziury. I mimo że armia nowych neuronów czeka spragniona wiedzy, tamte utracone części nigdy doń nie wrócą.

– Ja wiem – lekarz staje się poważny – teraz wszystko będzie inaczej. Ale – klepie pacjenta w kolano – dostaje pan w prezencie nowe życie.

Ilverm bardzo chce w to wierzyć, lecz musi jeszcze o coś zapytać, wyjaśnić wszystko do końca:

– Dlaczego umarł Mervil, dlaczego Solidaria umarła? To znaczy umrze. Pytam o pana osobistą opinię.

Lekarz zastanawia się przez chwilę:

– Nie sądzi pan, że wszystko, co dla nas ważne, piękne, zawsze przeminie lub straci sens?

– Proszę się nie obrazić, ale brzmi to dość banalnie.

– Niech pan znajdzie lepsze wytłumaczenie.

Ilverm chce już kończyć, ale wraca do niego jeszcze jedna wątpliwość.

– Naprawdę wszystko wydaje się panu spójne?

– Jeśli przyłożymy do tego kryteria naszych *half-brain stories*, to jak najbardziej. Przecież historie stopniowo się zazębiały, a na końcu przeniknęły całkowicie. Do tego zmierza klasyczna terapia przy użyciu zlepacza narracyjnego. Rzeczywistość się nie rozpadła, lecz zintegrowała w ramach powieściowego prawdopodobieństwa. Mózg działa poprawnie. Lewa półkula na powrót zaakceptowała prawą. Vermil poszedł w stronę światła!

– Rozumiem.

– Dobrze, zatem jak zwykle: formalności. – Jestem gotów.

– Jaki dziś dzień?

– Wtorek, 14 listopada 2046 roku.

– Znakomicie, jak się pan nazywa i gdzie mieszka?

– Ilverm Trzaskowski. Gdańska 127/15, Bydgoszcz.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem policjantem.

- Co się panu przydarzyło?
- Miałem wypadek samochodowy. Wciąż niewiele pamiętam z tamtego dnia.
- Och, to akurat całkiem normalne – mówi z wyrozumiałością lekarz. – Jest pan gotowy!

Ilverm siada na łóżku. Potem wstaje. Jest w tym coś uroczystego. Ściskają sobie dłonie. Lekarz wychodzi, a on rozpoczyna pakowanie. Ma tylko małą torbę z niezbędnymi rzeczami. Ubranie trochę na nim wisi, bo choć karmią tu smacznie, to na szpitalnej diecie zawsze się chudnie. Po godzinie jest gotowy. Idzie korytarzem, rozdając uśmiechy i uściski. Recepcjonistka wzywa dla niego taksówkę. Rozmowa z kierowcą ma w sobie coś odświeżającego, jest jak powrót do dawno niewidzianej ojczyzny. Mówią o pogodzie i polityce. Ilverm prosi, by zatrzymali się w miejskim parku.

Wysiada i spaceruje kilkadziesiąt metrów, aż znajduje zacienioną ławkę. Otwiera torbę i wyjmuje zbindowany wydruk ze lśniącą, przejrzystą okładką. *Pętla pamięci* – literuje. Czytał to już trzy razy. Ma wrażenie, że trzyma w ręku własną duszę, wszystko, czym tak naprawdę jest. Z bolesną jasnością dostrzega kluczowe elementy kształtujące jego życie: katolickie wychowanie, chorobę i śmierć żony, żenującą tęsknotę za miłością i za tym, by być przystojnym, uwielbienie dla fantazy i dobrego jedzenia, inżynierskie wykształcenie. Wążąc w rękach trzysta stron, już wie, że filozofowie, których czytywał, kłamali. Człowiek nie jest ani niepowtarzalny, ani nieskończenie skomplikowany. Mieści się tu, w jednej ręce, z wszystkim, co wie na swój temat, z wszystkim, czego się domyśla i z wszystkim, czego nigdy by nie podejrzewał. Jest słojem, w którym fermentują konwencjonalne lęki: przed śmiercią, przed odrzuceniem, przed nieznanym. Prawdę o nim można by spisać na pudełku zapalek. Cóż z tego, że mózg ma ileś tam dziesiątek miliardów neuronów, że wykonuje absurdalnie wielką liczbę operacji na sekundę, skoro i tak nie jest w stanie stworzyć niczego naprawdę wartościowego. Jego, Ilverma, zapamiętają jako pacjenta w zlepieniu integrującym rozdzielone półkule mózgu. Przy czym prawa była tak pomiażdżona, że cudem coś z niej sklecono.

Ilverm wyrywa jedną, potem drugą kartkę i rzuca je na wiatr. Leci Mervil, leci Ginkor, lecą Vermil i Albert. Tańczą na wietrze, a potem kończą w pobliskiej fontannie. Jeszcze kochają się i walczą, czegoś chcą, o czymś marzą. Jeszcze nie utonęli. Ale to tylko kwestia czasu. Ich rozedrgane papierowe osobowości są widowym znakiem chaosu panującego w ludzkiej głowie. Ilverm wie, że Vermil Olson ma rację: mózg to zdrajca, narząd, który tak jak serce czy nerki żyje własnym życiem. Jest bowiem schronieniem dla setek osób, z których jednocześnie każda jest nim i żadna nim nie jest.

Mimo to powietrze pachnie, a słońce przebija się przez liście w nieregularnych ciepłych przebłyskach. Ilverm wkłada do torby częściowo zniszczoną książkę i rusza dalej. Spływa na niego spokój rezygnacji. Cieszy się, że może iść o własnych siłach, krok za krokiem, do domu, gdziekolwiek on teraz jest. Nagle tuż pod sercem czuje wibracje. Rozpina kurtkę i wyjmuje węzeł. Nie ma profilu dzwoniącego.

– Słucham – mówi.

– Brawo, wreszcie w zasięgu. O 18.00 tam gdzie ostatnio. Rozumiesz? Tam gdzie ostatnio!

Świat zwalnia. Słońce przestaje grzać, znikają dźwięki i kolory. Ilverm ma wrażenie, że jego mózg podlega jakiejś przedziwnej aktualizacji. Spływa nań wiedza, w natłoku milionów sprzężonych rozbłysków.

– Potwierdź. Zrozumiałeś? – napomina znajomy głos.

W głowie Ilverma wiruje nowa-stara opowieść: jego własne życie sprzed wypadku.

– Tak, potwierdzam – mówi zmartwiały, bo mózg właśnie zakończył aktualizację.

Ilverm patrzy na drzewa, fontannę, szachownicę sklepowych wystaw. Świat znów nabiera kolorów, a on jest policjantem. I nie jest to już puste słowo, które rzucił lekarzowi w szpitalu. Dopiero teraz, gdy słyszy głos swojego partnera, zdaje sobie sprawę, co tak naprawdę robi policjant. Tylko że on już nie ma swojego biurka na komendzie. W najlepszym wypadku sam mebel pozostał, ale siedzi przy nim ktoś inny. Spędził rok w szpitalu. Nie rozwiązał żadnej sprawy, nie było go, nie istniał. Zmartwychwstanie jest

trudne, chociaż nie niemożliwe, jednak Ilverm tak naprawdę nie zastanawiał się, co będzie robił po wyjściu ze szpitala. Mgliście pamięta sumę, którą wypłacili mu z ubezpieczenia. Wie tylko, że była duża.

Kroki same kierują go w stronę domu, choć nic tam na niego nie czeka. Za rogiem, na Cieszkowskiego, jest włoska knajpka, którą lubi. Zamawia kawę i przez godzinę patrzy w przestrzeń. Ledwie zauważa, że budzi życzliwe zainteresowanie dwóch pań, które wyskoczyły tu na lunch. Jest gliniarzem, otacza go aura tajemniczości i niebezpieczeństwa. Kobiety zwykle wyczuwają takich facetów jakimś szóstym zmysłem.

Ilverm chwytą atmosferę lokalu jedynie obrzeżami świadomości. Tak naprawdę na nowo uczy się skupiać, koncentrować. Patrzy w jakieś zasłonięte okno naprzeciwko i usiłuje sobie przypomnieć, po co Kuba do niego dzwonił. Dlaczego nazywa mężczyznę Kubą? Kiedy usłyszał głos, imię samo pojawiło się w jego głowie. Spotkanie musi dotyczyć sprawy. Tylko jakiej? Nieważne. Przecież zawsze jakieś są.

Jest 14.00. Ilverm nie wie, co ze sobą zrobić. Boi się iść do domu. Czuje, że jeśli to zrobi, przez dłuższy czas z niego nie wyjdzie. Opuszcza lokal i wraca na Stary Rynek, syci oczy Bydgoszczą. Przez tak długi czas dzięki zlepiaczowi podglądał własne tajemne życie, że teraz pragnie zajrzeć pod podszewkę życia innych. Jednak ludzie na ulicy nie wydają się dobrym obiektem obserwacji. Przemykają skuleni, przygnieci listopadowym chłodem. Ilverm wybiera kino. Film jest głośny i bezdennie głupi. Włosy bohaterki śmierdzą, a fotel wibruje zbyt mocno. Ilvermowi zbiera się na wymioty. Wychodzi w połowie seansu.

Kątem oka chwytą sklep w centrum handlowym. Są tam zamki, karty, klucze. Staje. Holo pokazuje uśmiechniętego faceta w garniturze, który pakuje dokumenty do sejfu. Obok piętrzy się stos zniszczonych logoszytów i węzłów. Reklama przyciąga jakąś staroświecką bezpretensjonalnością.

– Niezły, co? – mówi facet w holo, siadając na sejfie. – Wiesz, jaką ma przewagę nad tym całym badziewiem?

Ilverm nie wie.

– Istnieje naprawdę! – facet klepie sejf z miną, jakby ten był jego wiernym koniem.

Sekwencja powtarza się z pięć razy, a Ilverm ogląda ją z wciąż nowym zainteresowaniem. Ma wrażenie, że holo powie mu coś nowego. Oczywiście nic się nie zmienia, więc Ilverm z ociąganiem rusza dalej. Boli go głowa. Bierze tabletkę zapisaną przez lekarza. Ból mija w ciągu kilkunastu sekund. Ilverm znów myśli jasno. Czegoś szuka, ostatni raz odwraca się w stronę holoreklamy. Już wie. Biegnie, roztrącając przechodniów. Biegnie do swojego „sejfu”, który z całą pewnością też istnieje naprawdę.

Na szczęście Szyper jest już otwarty. Właściciel rzuca mu się na szyję w łzawej parodii przywitania. Ściska go, ogląda głowę, jakby była markową piłką do kosza. Ilverm poddaje się tym zabiegom z dobrotliwą rezygnacją. W końcu udaje mu się trafić na piętro. Jest tam mały pokoik, klubowa graciarnia, w której i on trzyma kilka swoich drobiazgów, między innymi stary kredens po babci. Otwiera go, w środku jest przykurzona pustka, lecz on maca ręką uzbrojoną w grubą tekturę. Zapadka skrytki ustępuje, choć jej końcówka wbija się w papier. Gdyby nie osłona, ręka z pewnością już by krwawiła. Ilverm wygarnia kilka przenośnych pamięci. Ładuje wszystkie do kieszeni i wymawiając się od piwa, wychodzi. Z przyzwyczajenia kluczy zaułkami, aż trafia do Mózgu – Mekki najmłodszej i najstarszej bydgoskiej awangardy. Patrzy na nielicznych jeszcze gości wspartych na słupach papierosowego dymu, który gdzieś tam rzeczywiście jest prawdziwy. Nie budzi zainteresowania w żadnym z nich. Jest doskonale przejrzysty. Zamawia samotne piwo i zaszywa się w najciemniejszym kącie. Wyciąga węzeł, odcina go dyskretnie i zaczyna przeglądać pamięciowe kości.

Zalewają go echa spraw, raportów, notatek. Wiele z nich pamięta, jakby napisał je wczoraj, co napawa go optymizmem. Niestety, są też i takie, które widzi pierwszy raz w życiu. Chwyta głowę obiema rękami, pociera skronie, jakby w ten sposób mógł indukować dodatkowe impulsy nerwowe. Wie, że to jest jego Reza, jego Debeli – krainy pamięci, które już nie wrócą. Na szczęście daty są dość odległe. Da się żyć bez tych wspomnień. Na jednej kości znajduje folder *Heart of darkness*. Nie pamięta hasła. Denerwuje się, lecz ma nadzieję, że nie przepadło na zawsze. Czuje je na końcu języka. Wpisuje kilka kombinacji. Nic. Zamawia drugie piwo. Płaci przy barze.

Mózg jest chyba ostatnim miejscem, gdzie stoliki są po prostu stolikami i trzeba się fatygować do terminala.

Bierze spory łyk. Dawno nie pił. Alkohol smakuje mu jak nigdy. Zsyła ułudę spokoju. Ilverm przerzuca foldery na węźle. Ostatnia sprawa. Raport napisał dwa tygodnie przed wypadkiem. Co robił potem? Nie pamięta. Czyści węzeł i ładuje kości do kieszeni. Sprawdza swoją aktywność w sieci. Sprawdza face plusa. Trafia tylko na zwykłe towarzyskie gówna. Nie ma tam niczego, co mogłoby się przydać. Zresztą cała jego aktywność w społecznościówkach ma charakter seksualny. Nie wywnętrza się, nie zabiega o popularność.

Jest 17.00. Musi się związać. Ma spotkanie na śluzach, przy starym cmentarzu. Zakrzaczony, popękany mur daje znakomitą ochronę. Jednak Ilverm woli rodzinną kryptę. Tylko on ma klucze. Każdemu wydaje się brudna i śmierdząca. Włożył sporo trudu, by na taką wyglądała. W środku aż puchnie od sprzętu – prawdziwa twierdza.

Szybkim krokiem zmierza w kierunku parku. Właściwie jest już ciemno. Park wydaje się pusty. Ilverm podnosi kołnierz. Jest wysoki i szczupły, więc z daleka można by go wziąć za pień pozbawionego gałęzi drzewa. Wtapia się w mrok krzaków przy cmentarnym murze. Nie boi się. Przynajmniej nie tak jak kiedyś. Patrzy na swoje życie jakby z boku. Intryguje go to, co się za chwilę stanie, ma poczucie, że jest tylko bohaterem kolejnej opowieści. Jeśli ktoś powiedziałby mu teraz, że nie żyje, wcale by się tym nie przejął. Zresztą ma w mózgu dość syntetycznych pętli, by uważać się za kogoś zupełnie nowego. Wkłada ręce do kieszeni. Dotyka kości pamięci, dotyka węzła. W torbie i na węźle jest jego powieść, jego dusza, na kościach jego przeszłość, ślady istnienia.

Dostrzega ruch, lekkie drganie ciemności. Kuba czeka. Ilverm miauczy cicho jak zbłąkany kot. Kuba stoi jeszcze przez chwilę, po czym kieruje się do krypty. Ilverm rusza kilka minut po nim. Wszystkie czynności wykonuje automatycznie. Są jak jedzenie i wydalanie. Konspiracja leży w jego naturze. Wślizguje się do krypty. Drzwi zostawia uchylone. Zaraz pojawi się w nich Kuba. Ilverm nie bardzo pamięta, jak partner wygląda, ale jest pewny, że rozpozna go po głosie.

– Nareszcie – szepcze wchodzący cień.

– Drzwi. Zamknij drzwi.

Ilverm uruchamia ekranowanie krypty.

– Myślałem, że dorwali cię na dobre!

Mężczyzna ma ochotę uścisnąć Ilverma, powstrzymuje się jednak, czując jego rezerwę.

– Co tu robimy?

Kuba spaceruje po krypcie.

– Rozmawiałeś z kimś o sprawie?

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiada spokojnie Ilverm.

– O Niemcu.

W głosie Kuby jest coś dziwnego.

– Zmiażdżyło mi łeb. Parę rzeczy wypadło z pudełka. – Ilverm puka się w głowę. – Tam nie ma już człowieka, którego znałeś.

– Bzdura. Wróciłeś. Toczy się duża gra!

Ilverm czuje, jakby występował w jakimś przedstawieniu. Zachowanie Kuby trochę go śmieszy.

– Mam parę zlepień. Wrzucę ci na węzeł. Sam zdecyduj, co wiem.

W świetle obu węzłów Ilverm może zobaczyć twarz rozmówcy.

No tak, Kuba! Twarz wyskakuje z zapadki pamięci, odkrywając kilka innych faktów, które stają się oczywiste. Ilverm jest zadowolony. Partner przypomina Ginkora.

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – mówi Kuba, a jego palce rolują tekst na węźle. – Dużo tego.

– Przeczytaj w domu i pogadamy – radzi Ilverm.

– Tak zrobię – odpowiada Kuba i zbiera się do wyjścia.

– Czeka! – powstrzymuje go Ilverm, bo coś sobie przypomina. – Opowiedz mi o sprawie, może coś zaskoczy

– Był przetarg, naciskali jednego urzędnika. – Kuba wyrzuca słowa jak karabin maszynowy. – Prosili, grozili, nie zgodził się. I tak znaleźli dojskie, mają pieniądze. Sprawa się pokomplikowała, było więcej chętnych. Dwóch wielkich graczy, bardzo wysoko. Próbowaliśmy ich rozpracować. Ja wciąż próbuję, ale ślady się urywają.

- Jaki przetarg?
- Aerostrada, druga nitka. Miliony! Trzeba by przenieść Farę, wyburzyć parę bloków. Wszyscy korzystają.
- Tylko nie zwykli obywatele.
- Właśnie.
- Jakaś polityka?
- Pytanie! Ci, co byli i ci, co mają być, cholernie naciskali. Nie mów, że nie pamiętasz rautu z komendantem. Takiego homara jak żyję nie jadłem! Losowanie potraw. Cuda!
- Pierdołę, mam nadzieję, że nie nazartem się tam jak świnia.
- Wyszedłeś po przystawkach.
- Nienawidzę polityki.
- Przecież wiesz, że ja tylko tak...

Kuba stoi z bezradnie opuszczonymi rękami. Ilvermowi robi się go żal, więc zwierza się:

- Chyba coś mam. Na kości. Folder nazywa się *Heart of darkness*, ale nie pamiętam hasła. Może niedługo sobie przypomnę.
- Trzaskowski nigdy nie odpuszcza. Pozbierałeś się po śmierci żony, pozbierasz się i teraz.

Ilverm ma ochotę go uderzyć. Chwycić za sympatyczną twarz i rozsmarować ją na ścianie krypty.

- Nigdy nie wspominaj o mojej żonie! Nigdy!
- Kuba cofa się. Gniew Ilverma mija, zmienia temat.
- Podobno ktoś walnął mnie w tył i skończyłem na drzewie.
 - To wersja dla prasy. Śledztwo trwa. Ile znasz takich wypadków? Ja żadnego. Przecież nawet jak zaśniesz za kierownicą, to SAM przejmie kontrolę. Nie da się w kogoś wjechać. Musieliby cię walnąć furmanką! No albo mieli całkowicie gołą furę. A kto dziś jeździ golasami? Czujniki drogowe by takiego nie puściły.
 - Wiesz może, dokąd jechałem lub skąd wracałem?
 - Nie ja prowadzę sprawę. Przykro mi.
 - Dzięki. Idź już. – Ilverm czuje, że teraz właśnie powinien zakończyć rozmowę z partnerem. Nie wie dlaczego, po prostu chwila wydaje mu się

odpowiednia.

– Jesteśmy w kontakcie! – Kuba najwyraźniej jest przyzwyczajony do nagłych pożegnań. – I jeszcze jedno: dobrze cię znów widzieć.

Ściskają sobie dłonie. Ilverm zostaje sam w ciemnej krypcie. Jest wilgotno, pachnie zgniłymi liśćmi. Dla niego to zapach tradycji i dawnych tajemnic. Dobrze mu tu. Siada na cmentarnej ławeczce, którą przymocował w środku. Odpala węzeł i jeszcze raz wrzuca *Heart of darkness*. Bierze się do rzeczy metodycznie. Wpisuje imiona wszystkich bohaterów Conrada, następnie charakterystyczne słowa po polsku i angielsku. Bez rezultatu. Jednak ma wrażenie, z każdą wpisaną literą jest bliżej. Hasła od zawsze układa według systemu skojarzeń. Ma setki zabezpieczonych folderów. Kończy z powieścią. Szuka dalej. W dalekich i bliskich nawiązaniach. Nagle przypomina sobie *Czas Apokalipsy*. Oczywiście! Jeszcze kilka błędnych wpisów i jest! Jedno jedyne właściwe słowo: BRANDO.

Wyrzuca pliki na holo. Ładnie tańczą na tle ceglanych ścian krypty. Czuje się jak na studiach, kiedy często używał skórki nekropolis. Przegląda notatki, streszczenia – wszystko najwyraźniej sczytane z głosu. Materiał jest chaotyczny, zupełnie nieobrobiony. Potwierdza wszystko, o czym mówił Kuba. Momentami jest jednak niespójny, urywany, jakby coś z niego usunięto. Ilverm bezskutecznie szuka odpowiednika Solidarii Kurtz. Może prawniczka jest tylko echem jego młodzieńczych fascynacji starszymi kobietami? Teraz zdecydowanie woli młodsze. Jak Naela. Odpędza te myśli. Wraca do sprawy. Niestety, materiały są słabe. Ot, zarys dużego miejskiego przekrętu. Raczej publicystyka niż śledztwo.

Bębni węzłem w udo. Czeka. Już wie, co ma robić. Wyłącza ekranowanie krypty i wybiera numer hakera, który jest mu winny przysługę.

– Słucham – brzmi twardy głos.

– Chciałbym coś odebrać.

Chwila ciszy.

– Proszę – słyszy w końcu.

– Trasa numeru CB 0208 z 16 listopada zeszłego roku.

– Może być trudno.

– Dlatego dzwonię.

- Już wiesz?
- Nic nie wiem. Wymienili mi kawał mózgu.
- To wiele wyjaśnia.

Policjant rozłącza się. Sprawa na pewno będzie załatwiona.

Ilverm siedzi w ciemności, oddycha wilgotnym zapachem ziemi. Po kilkunastu minutach węzeł brzęczy. Odbiera wiadomość. Patrzy na trasę. Jest zdziwiony, nic nie rozumie. Spodziewał się czegoś innego. Ma wrażenie, że ktoś go nabiera. To uczucie wydaje się jednocześnie zupełnie nowe i znajome. Pęcznieje w nim ciekawość, niemal słyszy klikanie zapadek pamięci. Pętle na powrót się łączą, splatają w uchwytny sensy: Kuba, śledztwo, Niemcz. I ludzie. Zawsze są jacyś ludzie. Tylko trasa się nie zgadza. To musi być jakiś błąd, tym razem jego dłużnik się nie wywiązał. Hakerzy zawsze coś kombinują!

Ilverm ogląda film o samym sobie. Dziwi się, że nie ma w nim strachu. Może zniknął wraz z Debeli i Rezą? Odcina kryptę i wraca do zlepiania. Czyta zakończenie. Wie, że Vermil źle ulokował uczucia. Solidaria Kurtz jest nieprawdziwa, skłamana. A on, Ilverm, musi być w tej historii Marlowem, który pozna PRAWDE. Jeszcze raz patrzy na trasę swojego samochodu. Zastanawia się, gdzie leży „serce mroku”. Powinien tam pojechać. Co mogą mu zrobić? Przecież już raz zabili Mervila.

Podchodzi do niewidocznej skrytki. Wyjmuje stamtąd glocka. Broń jest czarniejsza niż mrok dokoła. Przeładowuje. Metaliczny szczęk upewnia, że wszystko wraca na swoje miejsce. Wychodzi z krypty. Noc jest orzeźwiająca, a niebo jasne. Ilverma rozpięra jakaś niepojęta radość. Dzwoni po taksówkę. Na skraj parku podjeżdża zgrabny SAM. Po pięciu minutach wysiada na Starym Rynku. Lufa glocka przypomina o sobie przy każdym ruchu. Stary Rynek zalany jest latarnianym światłem, oplata go zgrabny kwadrat kamienic. Ilverm patrzy w półprzejryste plastry okien wystawowych o falujących jak franki szybach. Falowanie to, na pierwszy rzut oka ledwie dostrzegalne, po chwili zdaje się wsysać patrzącego. To ostatni cud techniki. W niektórych oknach o szklistości wody kąpią się skrawki rozgwieżdżonego nieba.

Z daleka widać katedrę św. Marcina i Mikołaja. Jest przyczajona i spokojna w wysuniętym łbie frontonu. Chropawa fasada przywodzi na myśl niepokorne zwierzę o zmierzwionej sierści. Nikogo nie ma w pobliżu, spacerowicze omijają to miejsce. Kościół leży jak bestia zamknięta w klatce z plastoidalnej siatki tylko po to, by zdechnąć. Wszyscy wiedzą, że będzie przeniesiony. Serce Bydgoszczy od dawna bije gdzie indziej. Za siatką jest pas ziemi. Żeby się tam dostać, trzeba zejść kilka metrów w dół. Miasto rośnie jak ciasto przez ostatnie lata – katedra i otoczenie zostały w dole. Ilverm rozgląda się dokoła. Prowizoryczne powidoki drugiej nitki aerostrady są najdobitniejszym argumentem za tym, że budynek trzeba przenieść. Katedra jest za wysoka. Żadna pajęczyna nie uczyni tego terenu bezpiecznym. Ilverm podchodzi do czaszy admina siatki. Dyżuruje tam stary ochroniarz.

– Można się chwilę pomodlić?

Ochroniarz jest zaskoczony. Ilverm pokazuje mu na węźle gotowe polecenie przelewu. Mężczyzna przez chwilę się zastanawia.

– Brałem tu ślub – kłamie Ilverm. – Moja żona zmarła tydzień temu.

Ochroniarz wyjmuje węzeł i akceptuje przelew.

– Piętnaście minut – mówi. – Proszę zostawić węzeł.

Ilverm blokuje sprzęt i posłusznie go odkłada. Przez ułamek sekundy ma ochotę wyciągnąć glocka. Powstrzymuje się jednak.

Plastoidy siatki kurczą się i cofają. Wchodzi. Może dotknąć sierściastej fasady. Zadzierza głowę tak wysoko, że aż boli go szyja. Wieża nachyla ku niemu swą beznosą i bezuchą głową, jakby chciała zapytać, czy przeniesienie boli. Ilverm otwiera ciężkie drzwi. Od razu wpada w objęcia gotyckiego sklepienia, dając się porwać tej symfonii łuków. Zastanawia się, gdzie będą cięli, na jakie bloki rozczłonkują tę piękną bestię.

Prezbiterium jest trójprześłowe, zamknięte trójbocznie, przylega do niego prostokątna zakrystia z drewnianymi, barokowymi drzwiami. Od nawy oddziela je potężny tęczowy łuk. Trójnawowy korpus zbudowany jest na planie kwadratu. Ilverm chaotycznie błądzi oczami po zdobieniach, prześlizguje się spojrzeniem po ośmiobocznych filarach międzynawowych, chłonie niezwykle kolory. Na ołtarzu płonie wielka samotna świeca.

Dostrzega Jezusa na krzyżu. Klęka, sam nie wie dlaczego. Wzrok ma ostry. Tonie w półdymnych skosach światła, którymi strzela świeca. Ilverm ma wrażenie, że między nim a krzyżem jest rodzaj elipsoidalnego tunelu, ograniczonego wielkością jego oczu. Skazy na drewnianym brzemieniu lśnią. Zbawiciel faluje, jakby spoglądał to w lewo, to w prawo. Pokazuje na coś palcem. Ilverm mruga, złudzenie znika.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Ktoś dotyka jego ramienia, a on podrywa się odruchowo. Przed nim stoi wielki tobół czerni. Ilverm cofa się, odsłania światło świecy. Rozpoznaje habit zakonnika.

– A, to znowu pan – mówi tamten. – Długo pana nie było.

– Przepraszam, czy my się znamy? – pyta ostrożnie Ilverm.

Zakonnik gestem prosi go o podejście do ołtarzowej świecy.

– Albert – przedstawia się. – Kiedyś przychodził pan tu dość często. Szukał pan informacji, prowadził śledztwo. Ale chyba pan go nie dokończył. – Mówi z nutą smutku w głosie.

– Miałem wypadek samochodowy. Bardzo poważny. Rok spędziłem w szpitalu.

Twarz zakonnika tężeje.

– Samochodowy? – dziwi się. – Jak to możliwe?

– Nie wiem. Dochodzenie chyba niczego nie wykazało. – Ilverm wzrusza ramionami, trudno mu się skupić. – Lada dzień zaczną przenosić – stwierdza.

– Za tydzień.

– Co ksiądz tu jeszcze robi?

– Pilnuję, żeby wszystko odbyło się godnie.

– To śledztwo... – waha się Ilverm. – Zamierzam je dokończyć.

Zakonnik uśmiecha się.

– Zatem powodzenia, panie Marlow. Będę się za pana modlił.

Ilverm pochyla nieznacznie głowę i odwraca się ku wyjściu.

– Aha – przypomina sobie nagle. – Czy jest ksiądz egzorcystą?

Mężczyzna patrzy na niego dziwnie.

– Czy rozmawialiśmy kiedyś o opętaniu? – kontynuuje Ilverm, ale książdz znika już za łukiem zakrystii.

Ilverm wychodzi i odbiera węzeł od ochroniarza. Czoło tamtego jest spocone, można się w nim przejrzeć. Ilverm czuje ukłucie niepokoju, chce o coś zapytać. Jednak rezygnuje i wychodzi z czaszy. Nagle zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. W szpitalu dużo spacerował, jednak w prawdziwym świecie chodzi się inaczej. Film, w którym gra główną rolę, przestaje mu się podobać. Chce do domu, do łóżka. Chce zasnąć bez snów.

Nagle ktoś chwyta go pod ramię. Obraca głowę. Twarz mężczyzny nie mówi mu niczego. Chce się wyrwać, jednak drugą rękę również ktoś trzyma.

– Mamy nadzieję, że już się pan naspacerował, panie Trzaskowski – mówi jeden z mężczyzn, po czym delikatnie, lecz stanowczo wpychają Ilverma do czarnej furgonetki.

Pokój przesłuchań. Kapitan Marski chodzi wokół jak wygłodniałe zwierzę. Co chwila mierzwi niesforną rudą czuprynę. Kiedy opiera się o stół, jego przedramiona przywodzą na myśl mostowe przęsła. Ilverm opowiada mu o wszystkim. Daje kości pamięci, udostępnia węzeł. Na skroniach Marskiego rysują się niebieskie żyły.

– Musisz napisać raport.

– Jestem zatrzymany?

Dezorientacja Ilverma rośnie. Nic nie rozumie. Nie tak wyobrażał sobie powrót na komendę. Marskiego zna o tyle o ile. Pamięta tylko, że był w porządku. Teraz kapitan wygląda, jakby się go bał i maskował ten strach opryskliwością.

– Weź się do pisania! Im szybciej skończysz, tym szybciej będę mógł cię puścić – odpowiada Marski i wychodzi.

– Pozdrów Kubę – rzuca Ilverm ironicznie. – Pięknie mnie podpuścił.

– Daj spokój – krzywi się Marski. – Musieliśmy wybadać, w jakiej jesteś formie, no i odzyskać to, co stąd wyniosłeś.

Ilverm zostaje sam na sam z logoszytem. Przez kilka minut wodzi wzrokiem po ścianach. Stroi miny do lustra naprzeciwko. W końcu jednak zaczyna pisać.

Mozoli się z każdym zdaniem. Słowa nie słuchają go. Są kanciaste, chropowate, nie chcą łączyć się ze sobą. Relacja pozbawiona jest wszelkich emocji – a więc nieprawdziwa. Ilverm myśli tak intensywnie, że dopada go nieznośny ból głowy. W raporcie są dziury, których nie potrafi wypełnić. Teraz widzi dokładnie, co zyskiwał dzięki zlepiaczowi. Z odrazą odsuwa od siebie logoszyt, nie jest w stanie postawić już ani jednego znaku. Ktoś za szybą najwyraźniej obserwuje go przez cały czas, bo drzwi niemal natychmiast się otwierają i staje w nich Marski. Siada, zagarnia logoszyt i przebiega oczami tekst.

– Tylko tyle?

Ilverm kiwa głową. Ma nadzieję, że kapitan nie każe mu niczego dopisywać. Marski na szczęście zatrzymuje logoszyt. Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjmuje z niej okulary.

– Założ.

– Co to jest? – pyta Ilverm ochryłym głosem.

Przez ostatnie dwie godziny nie odezwał się ani słowem. Wypluwa głoski jak kamienie.

– Debeli i Reza – odpowiada Marski i przesuwa okulary w jego stronę.

– Skąd?

– Przecież byłeś na akcji, wszystko nagrałeś. Bez wężła. Soczewki i stream prosto do chmury.

Ilverm drżącymi rękami chwyta oprawki. Zakłada je tak gwałtownie, że niemal wybija sobie oko. Na interfejsie jest tylko jeden plik. Odpala go. Znow jest w Niemczu. Jego serce przyspiesza. Jak wtedy. Idzie żwirową alejką z fontannami. Jest czujny. Zachodzi z drugiej strony, stara się pozostać swobodny. Doskonale zna kąty kamer. Ma autoryzację, dom właściwie go ignoruje. Podchodzi do drzwi. Dotyka ich powierzchni opuszkami palców. Czuje się jak oldskulowy kasiarz przed otwarciem sejfu. Nie ma pojęcia, co za nimi zastanie. Nagle obraz porusza się, wędruje w dół. Ilverm widzi swoje nogi i białego kota, który ociera się o spodnie,

zostawiając na nich długie pasma sierści. Klęka i głaszczkę zwierzątko, który odpowiada mruczeniem. Potem zgrabnie wyslizguje się z jego rąk. Drapie w drzwi. U dołu podnosi się ledwie widoczna, mała klapka. Kot wskakuje do środka. Po klapce ani śladu. Drzwi na powrót stają się jednolite, lśniące. Ilverm pcha je lekko do przodu. Białe światło pada na ściany korytarza prowadzącego do kuchennego magazynu. Nerwy Ilverma są napięte, jakby był tam naprawdę.

Niespodziewanie zrywa z nosa okulary. Oddycha ciężko. Marski patrzy pytająco.

– Sam znajdę zakończenie. Musi być w zlepieniu.

– To nie łamigłówka. Załóż je.

Ilverm ignoruje polecenie.

– Co mogłem tam zobaczyć? – myśli na głos. – Po pierwsze coś, co obciążałoby gospodynię i resztę gości. Po drugie – robi chwilową pauzę – nic nie zobaczyłem, choć z pewnością na coś liczyłem. Jakoś mnie zauważyli i posłali za mną samochód, nie wiedząc, co znalazłem. Postanowili mnie usunąć na wszelki wypadek.

Ilverm podświadomie czeka na jakiś znak od Marskiego. Odwleka chwilę obejrzenia nagrania. Boi się.

– Obejrzyj – prosi łagodnie kapitan.

W jego głosie jest coś, co każe na powrót chwycić oprawki. Jednak jakaś myśl przychodzi mu do głowy:

– Mówiłeś, że to stream z moich soczewek.

– Tak.

– Ale tamten dom jest ekranowany. Nie da się przesłać niczego do chmury.

Marski mruga, po czym trze oczy, maskując zakłopotanie.

– Dobra – zaczyna zmęczonym głosem. – To nie stream, tylko twoja czarna skrzynka.

– Jak to, kurwa, czarna skrzynka! Przecież ja żyję! Myślałem, że nie da się tego wyrwać żywemu gliniarzowi.

– Żyjesz, ale wtedy nie było to takie pewne. Komisarz się uparł. Udało się.

- Mogliście mnie zabić, do cholery.
- Tamta operacja była twoim najmniejszym problemem.
- Gdzie miałem skrzynkę?
- Daj spokój, to tajne. Ciesz się filmem.

Ilverm włącza nagranie: Niemcz, znajomy dom, sterylna i cicha kuchnia. Z salonu dobiegają głosy. Nie idzie w tamtą stronę. Wybiera drzwi prowadzące do głównego korytarza, który jest kręgosłupem parteru. Światło rozjarza się w rytmie jego kroków. Ilverm staje, ogląda się i cofa. Światło, które przed chwilą zgasło, znów się zapala, a przed nim zapada ciemność. Bawi go ten efekt.

Nagle dopada go myśl, że to szaleństwo, że chłopaki w wozie pewnie się niecierpliwią. Jest w mu wstyd, że skłamał i poszedł po okulary, które tak naprawdę miał przy sobie. Ilverm z nagrania i Ilverm z sali przesłuchań stają się jednym. Wzrok lustruje bezradnie sprzęty w kolejnych pokojach, czyste i lśniące biurko w gabinecie. Czas mija, a on wie, że musi wyjść. Niczego więcej nie znajdzie. Ma tylko nagranie z kolacji. Wraca tą samą drogą. Wychodzi na dwór i kieruje się w stronę obszernej bramy. Żwir chrzęści pod nogami.

Nagle obraz drga, jakby bohater dostał torsji, rzeczywistość wiruje wstęgą ciemnych kolorów. Zapada ciemność. Ilverm jest zdezorientowany. Już, już zamierza zdjąć okulary. Jednak obraz wraca. Widzi pomieszczenie składające się z podłogi i otaczających ją ścian czerni. Wstaje. Nim dotyka czegokolwiek, zapala się światło. Obraz znów się rozmazuje. Ilverm się zatacza, przymyka oczy. Jasność jest jak smagnięcie szpicrutą przez twarz. Ktoś chwyta go i ciągnie ze sobą. Trafia na fotel, mając wrażenie, że fizycznie uczestniczy we wszystkim, co się tu dzieje. Niemal czuje ból głowy po uderzeniu, które na chwilę pozbawiło go przytomności. Teraz majaczy przed nim kształtny biust, a w tle rysuje się mur ciemnego garnituru. Ilverm nie dostrzega twarzy.

- Dobry wieczór, panie Trzaskowski – mówi niski kobiecy głos.

Brzmi zmysłowo, jest w nim zapowiedź tego, co może się wydarzyć. Klik! Ilverm wie, że spotkał Solidarię Kurtz. Rozgląda się po obszernej bibliotece zbudowanej na planie koła. Gumowe kółka piszczą na szklanej posadzce.

To robot biblioteczny precyzyjnie wyciąga długie teleskopowe ramiona, by sięgnąć po odpowiednie tomy znajdujące się na wieżach półek. Ilvermowi ten widok dodaje otuchy. Jego wzrok zatrzymuje się na dwóch wielkich portretach. Na jednym z nich widnieje kobieta, która przed chwilą się z nim przywitała, a na drugim mężczyzna, bardzo do niej podobny. Choć może tylko mu się zdaje. Ilverm czuje, że kobieta i mężczyzna na dwóch portretach to ta sama osoba. Nie Solidaria, lecz Kurtz. Po prostu Kurtz.

– Długo czekaliśmy – mówi.

– I co, warto było?

Kurtz wybucha śmiechem, a stojący w tle garnitur o pustych soczewkowych oczach wymierza Ilvermowi policzek.

Obraz skacze.

– Gdzie są materiały. Proszę powiedzieć, a zaraz wróci pan do domu.

– To pomyłka! – Ilverm słyszy swój zduszony głos.

Kurtz siada obok niego i zakłada nogę na nogę. Jest to cholernie pociągające. Jako kobieta ma dużo więcej klasy niż jako mężczyzna. Ilverm czeka. Garnitur chce go uderzyć. Kurtz unosi rękę.

– Poczekaj, Marek!

Ręce garnituru obwisają, jakby ktoś przestawił go w stan niskiego poboru mocy.

– Niezły był z pana kelner. Prawie się udało.

Biała ręka zbliża się do jego twarzy. Kurtz głaszcze go po policzku.

– Umie pan patrzeć. Dzięki takim spojrzeniom czuję się naprawdę piękna. Gdyby rzeczywiście był pan kelnerem, a nie gliną, tej nocy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Wstaje i zapala papierosa.

– Psuje nam pan świetny interes. – Zmienia temat. – Wszyscy możemy zarobić. Po to jest polityka.

– Nie rozumiem – mówi Ilverm, a Marek znów maca go pustym spojrzeniem.

– Dogadajmy się. Wszyscy potrzebują pieniędzy. Tylko czasem o tym nie wiedzą. Zatem proszę powiedzieć, gdzie są materiały! – Zaciąga się dymem.

Ilverm mruga.

– Jakie materiały? – pyta.

– Wszystkie – brzmi nagle znajomy głos.

Do pokoju wchodzi Tomasz Dwoiński, jeden z jego informatorów. Uśmiecha się paskudnie.

– Od kiedy dla nich pracujesz? – Ilverm przestaje udawać, jego głos zyskuje straceńczą pewność siebie.

– Czy to ważne? Ktoś zawsze musi donosić. Dlaczego nie miałem to być ja?

– Judasz też się tak uśmiechał. Potem się powiesił.

– Zostanę przy uśmiechu.

– Hasło do węzła i kości pamięci. Tomek mówi, że masz tam sporo ciekawych rzeczy – włącza się Kurtz. – Nie chcę być niedelikatna, ale Marek ma coraz mniej cierpliwości.

Ilverm chce się zerwać, ale Marek usadza go na miejscu. Lufa pistoletu błyszczy przez ułamek sekundy, a potem trafia do ust policjanta.

– Hasła – przypomina Kurtz.

Ilverm pamięta tamto uczucie: lufa jest zimna, czuć ją smarem i prochem. Ręką wskazuje na stolik, na który robot biblioteczny znosi kolejne tomy. Kurtz podaje mu węzeł. Ilverm podnosi go na wysokość tkwiącego w ustach pistoletu i bębni weń palcami. Nie szuka jednak folderu *Heart of darkness*, ale czegoś zupełnie innego. Głowa diabła na ekranie patrzy nań złowrogo. Ilverm uruchamia aplikację Opętanie.

Kurtz czeka.

Pistolet w rękach Marka ani drgnie. Ilverm kaszle, a dźwięk ten zlewa się z piskiem gumowych kółek robota zawracającego na szklanej posadzce. Maszyna wjeżdża w Marka, przewracając go na ziemię. Lufa wypada z ust Ilverma, zabierając ze sobą dwa zęby. Wie, że to boli. Cholernie boli.

Tymczasem centauroidalny kolos z trzema parami chwytników podjeżdża do Marka gramolącego się z podłogi. Metalowe ramię o palcowatych końcówkach strzela w stronę gardła mężczyzny. Ten odparowuje pierwszy atak, jednak za nim jest drugi i trzeci. Po sekundzie Marek wykrwawia się już na posadzce. Rozchlastane gardło uniemożliwia wypowiedzenie

ostatnich słów. Robot zwraca się ku Ilvermowi. Ten jednak odruchowo wyciąga przed siebie węzeł, na którego ekranie migocze świetlisty krzyż. Maszyna zmienia kierunek. Dwoiński i Kurtz stoją jak zahipnotyzowani. Jeszcze nie rozumieją. Chwytnik robota uderza w brzuch Kurtz i wychodzi po drugiej stronie. Kurtz klęka. Patrzy na dziurę we własnym ciele. Coś wypada z niej z głośnym plaśnięciem. Kurtz kręci głową z niedowierzaniem.

Dwoiński zbiera się w sobie. Chce uciec. Posadzka biblioteki jest śliska od krwi. Kółka robota radzą sobie lepiej niż buty z miękką podeszwą. Długi chwytnik podcina Dwoińskiemu obie nogi. Mężczyzna uderza w jedną z półek z książkami. Próbuje wstać, oszołomiony. Maszyna tymczasem omija biurko, zajeżdża półkolem, odcinając go od drzwi. Dwoiński w panice wspina się na biblioteczne półki. Ma zamiar przeskoczyć na galeryjkę. Robot strąca go z góry, jak sprzątaczkę pająka chodzącego po ścianie. Mężczyzna ląduje na plecach. Słychać trzask łamanego kręgosłupa. Robot dla pewności robi jeszcze dziurę w ciele. Potem znów zwraca się w stronę Ilverma. Widząc świetlisty krzyż, zamiera na sekundę, po czym chowa teleskopowe chwytniki. Ilverm obchodzi go ostrożnie, wciąż trzymając przed sobą rozjarzony węzeł. Robot ani drgnie.

Ilverm starannie zamyka drzwi biblioteki. Nasłuchuje. Cisza. Chyba jest sam w ogromnym domu. Ociera rękawem zakrwawione usta. I patrzy na ekran węzła. Wyłącza Opętanie. Nić korytarza prowadzi do obszernego przedpokoju oskrzydłonego lustrzanymi wnękami. Są tam główne drzwi. Otwiera je i wybiega na dwór. Patrzy. Obraz się urywa.

Ilverm niemal rzuca okularami. Ma problemy z oddychaniem. Rozluźnia kołnierzyk koszuli. Zdobyta przed chwilą wiedza, pochodząca ze zniszczonych części mózgu, na powrót szuka sobie miejsca w jego głowie. Rozrywa stare pętle pamięci, resztki zlepień, tworząc nowe, zwarte i bezlitosne struktury.

– Oni nie żyją – mówi po prostu Ilverm.

– Tak – kiwa głową Marski.

Ilverm ma ochotę schować się, wtopić w oparcie krzesła, zniknąć.

– Nie muszę ci mówić, jak góra traktuje Opętanie – ciągnie tamten. – Zresztą twoje ktoś nieźle podkręcił.

Ilverm doskonale wie, o co chodzi. Opętanie to nowa aplikacja dla funkcjonariuszy pracujących pod przykryciem, którzy nie mogą mieć przy sobie broni. Dzięki niej każdy przedmiot podłączony do sieci staje się ich sprzymierzeńcem. Usiłuje sobie przypomnieć, kogo poprosił o grzebanie w apce. Bezskutecznie.

– Chcieli mnie zabić – mówi niezgrabnie. – Włożyli mi pistolet do ust.

– Ale żyjesz.

– Straciłem dwa zęby.

– No tak. – Kapitan milczy przez chwilę. – Niestety, nie oni są twoim największym problemem. Powiem więcej. O nich w ogóle nie musisz się martwić.

– A wypadek? Ktoś mnie ścigał!

– Tego nie wiemy, po prostu tam leżałeś, w samochodzie, ze zmiażdżoną czaszką.

– A moi koledzy?

– Jacy koledzy?

Ilverm patrzy na niego jak na wariata. Marski wydaje się jednak śmiertelnie poważny.

– Co chcesz powiedzieć? To nie było prawdziwe?

– Dobre pytanie – włącza się mężczyzna, który właśnie pojawia się w drzwiach.

Ma na sobie sweter i dzinsy. Z szyi zwisa przepustka.

– Jarocki, BBN.

Wyciąga rękę do Ilverma, ten ściska ją zdezorientowany. Nowo przybyły przejmuje inicjatywę.

– Jesteśmy w Biurze fanami *Pętli pamięci*. Przez tę książkę dużo czasu spędzamy z mapą województwa.

– Po kolei. – Do Ilverma wraca uczucie, że jest postacią w filmie. – Biuro Bezpieczeństwa Narodowego interesuje się moją *half-brain story*?

– Nie inaczej! W końcu jest pan jedynym człowiekiem, który pamięta Niemcz. A dzięki panu i my go pamiętamy.

Pokój wiruje. Ilverm wstaje i chwiejnie podchodzi do lustra. W odbiciu widzi zafrasowaną twarz Marskiego. Jarocki wydaje się mniej realny,

zamazany. Trzyma w ręku butelkę coca-coli. Klik. W umyśle Ilverma znów coś przeskakuje.

– Pies – mówi cicho. – Kurtz chyba miała psa.

Jarocki wyjmuje logoszyt.

– Panie Trzaskowski, proszę. Niech pan będzie łaskaw pokazać, gdzie dokładnie znajdował się Niemcz.

Ilverm podchodzi do mapy województwa. Patrzy na nią długo i nic nie rozumie. A może inaczej: rozumie wszystko, ale za nic w świecie nie chce się na to zgodzić.

KONIEC

Pętle pamięci

Copyright © Marcin Kowalczyk

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Robert Rajszczyk

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-137-6

epub ISBN 978-83-7995-138-3

mobi ISBN 978-83-7995-139-0

Redakcja: dr Marta Kładź-Kocot

Korekta: Aleksandra Ślósarek

Ilustracja i projekt okładki: Robert Rajszczyk

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#).